

**Splinder Erica**

**ZAKAZANY OWOC**

*Przełożyła: Klaryssa Słowiczanka*

„KB”

## PROLOG

*Vacheñe, Luizjana, 1959*

Hope Pierron siedziała przy oknie swojej sypialni na drugim piętrze i spoglądała na leniwy nurt Missisipi. Uśmiechnęła się do siebie. Podniecona i zdenerwowana, panowała w pełni nad swoimi odczuciami. Całe życie czekała na ten dzień. Kiedy wreszcie nadszedł, nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd, wiedziała, że musi zachować ziirina krew.

Przycisnęła dłoń do rozgrzanej słońcem szyby. Miała ochotę wypchnąć ją, wydostać się, uciec precz, ku wolności. Ile razy w ciągu czternastu lat zamknięcia w tym domu z czerwonej cegły ogarniało ją podobne pragnienie? Przemienić się w ptaka, rozwinąć skrzydła, odlecieć.

Od dzisiaj nie będzie musiała tęsknić za skrzydłami. Dzisiejszy dzień przyniesie jej wolność. Wolność i wyzwolenie od stygmatu grzechu. Od matki i ludzi, którzy ją otaczali.

Dzisiaj urodzi się na nowo.

Przymknęła powieki. Myślała o przyszłości, ale przed oczami przesuwały się obrazy z przeszłości, z lat spędzonych w znienawidzonym domu z czerwonej cegły. Zbudowany w 1917 roku Pierron House przy River Road był jednym z przejawów kultury południowej Luizjany. Jej babka Camellia, pierwsza madame Pierron, przeniosła się tutaj z córką i dziewczętami na krótko po likwidacji Storyville, dawnej nowoorleańskiej dzielnicy uciech.

O dziwo, nikt nie protestował, nikt się nie obruszał, nawet wtedy gdy w domu zaczęli pojawiać się mężczyźni. Po prostu akceptowano istnienie przybytku, tak jak akceptowano sierpniowe upały i moskity - z pełną rezygnacją, niechęcią i uprzejmym lekceważeniem.

Tego zresztą można było się spodziewać w Luizjanie, gdzie jedzenie, picie i inne potrzeby ciała stanowiły element tego samego powszedniego obrządku, co msza i spowiedź. Luizjańczycy przyjmowali brzemień pokutne z taką samą *joie de vivre*, z jaką odnosili się do rozmaitych przyjemności życia, jedno i drugie pojmowali w bardzo specyficzny, sobie tylko właściwy sposób. Pierron House był dla nich zarówno symbolem pokuty, jak i rozkoszy.

Sam budynek, klasycystyczna bryła z dwudziestoma ośmioma doryckimi kolumnami od frontu i biegnącymi wokół elewacji galeriami, był zadziwiającym dziełem architektury. Kiedy oświetlało go popołudniowe słońce, jaśniał, jak na ironię, dziewiczą bielą, zdawał się otoczony aureolą świętości. Gdy słońce zachodziło, blask aureoli znikał i złudzenie świętości pryskało. Dom ożywał muzyką Jelly Roli Mortona, Tony Jacksona i im podobnych, po pokojach niósł się śmiech mężczyzn, którzy pojawiali się tutaj, by kupić zakazany owoc, i kobiet, które oferowały go na sprzedaż.

Co wieczór, przez całe swoje życie, Hope musiała słuchać tych śmiechów, co wieczór, z przygnębiającą regularnością, obserwowała, jak dziewczęta pracujące u jej matki prowadzą swoich gości na górę po krętych schodach. Wyłożone miękkim czerwonym chodnikiem stopnie wiodły

do sześciu przestronnych sypialni na piętrze, gdzie  
pyszniły się jedwabie, brokaty i gdzie stały  
szerokie, wygodne łóża.

Łoża tak pomyślane, by mężczyzna czuł się tutaj jak król - albo jak bóg, jeśli noc należała do udanych.

Od kiedy sięgała pamięcią, wiedziała, co dzieje się w sypialniach. Tak jak miała świadomość, kim i czym jest - córką dziwki, naznaczonym grzechem dzieckiem przypadku.

Ukryta w ciemnych zakamarkach, podglądała z mieszaniną zgrozy i fascynacji, co robią mężczyzna i kobieta, kiedy zamykają się w sypialni. Bywało, że zaciskała wówczas mocno uda, a oddech stawał się przyspieszony.

Po takich tajemnych, mrocznych seansach ogarniały ją wyrzuty sumienia i szukała dla siebie kary. Wiedziała, że dopuściła się czegoś występnego, grzesznego. O grzechach dowiadywała się podczas mszy i na lekcjach katechizmu. Wysłuchiwała chrześcijańskich nauk samotnie; żadne dziecko nie odważyło się do niej zbliżyć. Poza murami kościoła, w salonach Pierron House, grzeszne zachowania były wszak aprobowane, nawet pochwalane, szczególnie przez mężczyzn, którzy śmiali się nocą, a w dzień odwracali wzrok.

Skrzypnęły schody prowadzące do jej sypialni. Hope odwróciła głowę od okna, utkwiała wzrok w drzwiach. W chwilę później w progu stanęła jej matka.

Lily Pierron była absolutną pięknnością, jak wszystkie kobiety z jej rodziny. Jej twarz i figura zdawały się nie poddawać upływowi czasu, miała te same kruczoczarne, lśniące włosy, które Hope pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Dziewczęta szeptały za jej plecami, że Lily ma pakt z diabłem. Że wszystkie Pierron podpisały cyrograf.

Wszystkie z wyjątkiem Hope. Nie była ani w połowie tak piękna, jak matka - włosy miała ciemnobrązowe, nie czarne jak Lily, błękitne oczy pozbawione były tej intensywności, co u matki.

Tak, nie była tak piękna, bo nie ciążył nad nią mroczny Cień.

- Cześć, mamó - szepnęła ze smutnym, łagodnym uśmiechem na ustach.

Lily odwzajemniła uśmiech i weszła do pokoju.

- Wydajesz się taka dorosła. Ledwie cię poznałam. Hope poczuła, że serce zaczyna jej bić gwałtowniej.

- To tylko ja.

Matka pokręciła głową ze śmiechem.

- Wiem, kochanie, ale mnie się wydaje, że jeszcze wczoraj byłaś małym dzieckiem.

A mnie się wydaje, że spędziłam w tym domu całą wieczność.

- I ja mam takie wrażenie, mamó.

Lily podeszła do łóżka, na którym leżała otwarta walizka. Z trudem panowała nad sobą. Chyba nawet nie zauważyła, że oczy córki są zupełnie suche, że nie drży jej głos, nie trzęsą się dłonie. Hope zastanawiała się, co też powiedziałyby matka, jak by zareagowała, gdyby się dowiedziała, że jedynaczka zamierza odejść na zawsze i nigdy jej już więcej nie widzieć.

- To ostatnia? - zapytała Lily. - Samochód powinien przyjechać lada moment.

- Ostatnia. Resztę zniosłam już do holu.

Lily umieściła jeszcze kilka drobiazków w walizce i zamknęła wieko. Podniosła załzawione oczy na córkę.

- Wszystko gotowe do... drogi - słowa uwięzły jej w gardle.

Hope z ociąganiem podeszła do matki. Ujęła dłonie Lily i podniosła je do policzka.

- Wszystko będzie dobrze, Memphis nie jest tak daleko. - Wiem, tylko że... - matka wciągnęła powietrze. - Nie wiem, jak dam sobie

radę bez ciebie. Jesteś najwspanialszą... czymś najlepszym, co dostałam od życia. Będzie mi cię bardzo brakowało.

Hope objęła matkę, uśmiechnęła się z przymusem, po czym ukryła twarz na ramieniu Lily.



- Mnie też będzie ciebie brakowało. Bardzo. Może nie powinnam jechać. Może powinnam zostać, pomóc ci...

- Wykluczone! - Lily ujęła twarz córki w dłoń. - Nie możesz skończyć jak ja. Nigdy na to nie pozwolę, słyszysz? Masz szansę, żeby wydostać się stąd. Uciec. Zawsze tego chciałam. Dlatego dałam ci na imię Hope - Nadzieja. Zawsze byłaś moją nadzieją na lepszą przyszłość. Nie możesz tutaj zostać.

Tym razem Hope nie musiała przymuszać się do uśmiechu.

- Będiesz ze mnie dumna, mamo. Przekonasz się.

- Wiem, kochanie. - Lily opuściła rękę. - W St. Mary's czekają na ciebie. Pamiętaj, przyjeżdżasz z Meridian w stanie Missisipi, jesteś córką zamożnych ludzi.

- Rodzice wyjechali za granicę - dopowiedziała Hope i nerwowo splotła palce. Po raz pierwszy zdradziła się ze swoim zdenerwowaniem. - Co będzie, jeśli prawda wyjdzie na jaw? Może się okazać, że w mojej klasie będzie jakaś dziewczyna z Meridian, a wtedy...

- Nikt nie dojdzie prawdy. Mój przyjaciel wszystko sprawdził, wszystkiego dopatrył. W szkole nie ma ani jednej uczennicy z Missisipi. Nawet dyrektorka wie tyle tylko, że do St. Mary's przyjeżdża Hope Penelope Perkins. Nikt nie będzie kwestionował twojej wersji. Lepiej już?

Hope przez chwilę wpatrywała się w twarz matki, po czym skinęła głową. „Przyjacielem”, o którym wspomniała Lily, był nikt inny tylko sam gubernator Tennessee. Znała go od lat, znała też

jego rozmaite ciemne sprawki. Mroczne tajemnice, które miała zabrać ze sobą do grobu. Za tego rodzaju lojalność trzeba niekiedy płacić - najlepiej przysługami.

W lekkiej popołudniowej ciszy rozległ się dźwięk klaksonu. Hope ze ściśniętym sercem podbiegła do okna. Na podjeździe stał mikrobus kursujący na lotnisko. Tom, domowa złota rączka, i kierowca pakowali już walizki do bagażnika.

Lily stanęła za córką.

- Mój Boże, już czas. - Położyła dłonie na ramionach Hope, przytuliła policzek do jej włosów.

Hope ogarnęła radość, jakiej dotąd nie знаła. Była prawie wolna. Jeszcze kilka minut i nigdy więcej nie zobaczy już ani matki, ani tego znienawidzonego domu. Musiała się hamować, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Matka westchnęła, opuściła ręce, cofnęła się o krok.

- Pora iść.

- Tak, mamo. - Hope wzięła walizkę i ruszyła w stronę schodów, Lily za nią. W holu zebrały się dziewczęta. Każda chciała uściskać i ucałować Hope. Jedna przez drugą życzyły jej szczęścia, przypominały, żeby pisała.

Najmłodsza - niewiele starsza od Hope - podała jej jabłko: błyszczące, czerwone, dojrzałe.

- Na wypadek gdybyś zgłodniała - powiedziała cicho, ze łzami w oczach.

Wzięła owoc, choć palił dłoń niczym żrący kwas. Miała ochotę odrzucić go precz i uciec. Powstrzymała się, podniosła wzrok, spojrzała z uśmiechem w oczy dziewczyny.

- Dziękuję, Georgie. Jesteś kochana, że o

mnie pomyślałaś.

Wyszła na zewnątrz, matka szła obok. Znad rzeki czuć było ciepły, leniwy powiew wiatru. Owiewał Hope, otulał, a odpływając, zabierał ze sobą odór domu, odór przeszłości. Jej przeszłości.

Matka wzięła ją w ramiona i mocno uścisnęła.

- Moja kochana, maleńka. Tak bardzo mi będzie cię brakowało...

Hope miała nieodpartą ochotę wyrwać się z objęć matki, pobiec do czekającego auta. Przemagając się, pozwoliła matce na ostatni pocałunek. W duchu przysięgała sobie, że już nigdy więcej nie poczuje na skórze jej brudnego dotyku.

Dotknięcie grzechu.

Kierowca chrząknął. Dzięki Bogu, pomyślała Hope i uwolniła się z ramion Lily.

- Muszę już jechać, mamo.

- Wiem. Zadzwoń zaraz, jak tylko dotrzesz na miejsce. - Lily z trudem powstrzymywała łzy.

- Zadzwonię. Przyrzekam - skłamała Hope.

Ruszyła w kierunku samochodu, licząc kroki. Z każdym następnym czuła, że zostawia za sobą kolejny fragment przeszłości. Rzeczy minione odpadały płatami, niczym kawałki zbutwiałej materii ze starego, cuchnącego odzienia.

Kierowca otworzył drzwiczki. Zatrzymała się na moment i spojrzała przez ramię na Dom, na matkę stojącą w cieniu, na dziewczęta zbite w progu w ciasną gromadkę. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Dzisiaj narodziła się na nowo, jako Hope Penelope Perkins.

Uwolniła się od Cienia.

Jabłko wysunęło się jej z dłoni. Pozwoliła mu upaść i wsiadła do samochodu.

## CZĘŚĆ I

Hope

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Nowy Orlean, Laizjana, 1967*

Powietrze wypełniał obezwładniający, słodki zapach kwiatów. Zmieszany ze szpitalnymi woniami oddziału położniczego stawał się nie do zniesienia, ale bukiety napływały nieustannie - kolejne świadectwa radości z powodu narodzin pierwszego dziecka Philipa St. Germaine III.

Radości w pełni zrozumiałej, jako że noworodek miał być dziedzicem rodzinnej fortuny, kontynuatorem rodowych tradycji i rodowego nazwiska. Przyszłym właścicielem luksusowego, szacownego hotelu wybudowanego w 1908 roku przez pierwszego Philipa St. Germaine.

Tak, urodziło się dziecko, przed którym świat miał stać otworem.

Hope spojrzała na oseska leżącego w koszyku obok jej łóżka. Ogarniała ją rozpacz i rozczarowanie, tak gorzkie, że nie umiała sobie poradzić z własnymi uczuciami. Przez ostatnie miesiące modliła się o chłopca. Odmawiała różaniec, odprawiała pokuty, składała śluby. Była tak pewna, iż jej prośby zostaną wysłuchane, że nie zastanawiała się nawet nad imieniem dla dziewczynki.

Prośby nie zostały wysłuchane. Zamiast błogosławieństwa spadło na nią przekleństwo.

Urodziła córeczkę, nie synka. Jak jej matka i babka, jak wszystkie kobiety w rodzinie Pierron, od wielu, wielu pokoleń.

Hope wciągnęła głęboko powietrze, w gardle wzbierał bolesny ucisk. Dośćignęła ją w końcu rodzinna spuścizna. A już gotowa była uwierzyć, że udało się jej umknąć, że wyzwoliła się z zakłętego kręgu. Przez osiem lat, które minęły od chwili, gdy opuściła dom na River Road, udało się jej zrealizować wszystkie plany. Uwolniła się od matki i od stygmatu dziwkarskiego bękarta, wyszła za mąż za Philipa St. Germaine III, bogatego człowieka z tak zwanej dobrej rodziny, i była teraz jedną z pierwszych dam Nowego Orleanu.

Zostawiła przeszłość za sobą, lecz nie mogła od niej uciec. Dzisiaj okazało się, że dosięgła ją klątwa ciążyąca nad jej nazwiskiem.

Jej maleńka córeczka była piękna: jasna skóra, bystre błękitne oczy, aksamitne ciemne włosy. Jak wszystkie Pierron powinna umieć w przyszłości zdobywać mężczyzn podbojem i zniewalać ich. I ona będzie nosić w sobie mroczny Cień. Cień, który miał oznaczać grzeszne życie i wiekuiste potępienie.

Hope wzdrygnęła się. Czyż sama nie odczuwała obecności Cienia? Walczyła z nim, usiłowała trzymać go na uwięzi, a jednak bywały chwile, kiedy brał górę, dominował nad jej wyborami, kierował decyzjami.

Do pokoju wszedł Philip z błogim uśmiechem na twarzy i ogromnym naręczem róż.

- Kochanie, ona jest piękna. Wspaniała. - Nachylił się i pocałował Hope w czoło, ostrożnie, by nie obudzić śpiącej córeczki. - Jestem z ciebie

bardzo dumny.

Hope odwróciła twarz w obawie, by nie wyczytał z jej rysów, co czuje, by nie odgadł, jak bardzo jest zrozpaczona. Philip przysiadł na krawędzi łóżka.

- Co się z tobą dzieje, kochanie? - zapytał z troską w głosie. - Wiem, że chciałaś dać mi syna, ale to nie ma żadnego znaczenia. Nasza mała jest najcudowniejszym dzieckiem pod słońcem.

Po policzku Hope spłynęła jedna, samotna łza, której nie zdołała powstrzymać.

- Nie płacz, skarbie. - Przygarnął ją do piersi. - To naprawdę żaden powód do rozpacz, uwierz mi. Poza tym będziemy jeszcze mieli dzieci. Całe mnóstwo.

Nie mogła tego słuchać. Philip nie wiedział o czymś, o czym ona wiedziała aż za dobrze: nie mieli mieć już więcej dzieci. Jak wszystkie kobiety w jej rodzinie, skazana na poronienia, nie donosi już żadnej następnej ciąży. Między innymi na tym też polegała klątwa: Pierron rodziły od pokoleń tylko jedno dziecko i zawsze była to córka. Córka, która przejmowała Dom i grzeszną spuściznę.

Hope zacisnęła palce na miękkim materiale męzowskiej marynarki. Tak bardzo pragnęła podzielić się z nim bolesnymi myślami, ale wiedziała, że byłby wstrząśnięty, dowiadując się prawdy o swojej uwielbianej żonie. I swojej słicznej córeczce.

Nigdy nie może się dowiedzieć. Przełknęła z trudem ślinę i wtuliła twarz w ramię Philipa, wdychając zapach deszczu, który przylgnął do jego ubrania, o wiele bardziej znośny niż duszne

powietrze w pokoju.

Nikt nigdy nie może się dowiedzieć.

- Tak żałuję, że moi rodzice nie dożyli tej chwili i nie mogą zobaczyć małej - szepnęła z wystudiowaną boleścią w głosie. - Nie mogę... nie mogę się z tym pogodzić.

- Wiem, kochanie. - Tulił ją jeszcze przez chwilę w ramionach, po czym odsunął się nieco i spojrzał jej w oczy z nieznacznym uśmiechem. - Mam coś dla ciebie. - Wyjął z kieszeni marynarki niewielkie pudełko obciążone delikatnie wyprawioną granatową skórką. Na wieczku widniał znak najlepszego jubilera w Nowym Orleanie.



Hope otworzyła pudełko drżącymi dłońmi. Wewnątrz, na białym aksamicie, połyskiwał naszyjnik z pereł.

- Och, Philipie. - Wyjęła naszyjnik i przytuliła do policzka. Poczwała miły chłód klejnotów na skórze – Są wspaniałe.

Philip spojrział na małą, która zaczęła się wiercić w wymoszczonym kocykiem koszyku.

- Pewnego dnia będą jej. Pomyślałem, że to odpowiedni prezent.

Cała radość Hope prysła w jednej chwili. Włożyła naszyjnik z powrotem do pudełka. Jej mąż już uwielbia córkę, pomyślała z rezygnacją. Już padł na niego urok idący z Cienia, a ten głupiec niczego się nie domyśla.

- Nasza mała wywołała sensację w szpitalu. Zbiegły się pielęgniarki ze wszystkich pięter, żeby ją podziwiać. Trzeba ci było widzieć, jak się tłoczyły jedna przez drugą przy oknie sali noworodków. - Położył dłoń na dłoni żony, uściskał ją. - Boże, jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Dziecko poruszyło się znowu, zakwiliło i zaczęło płakać. Hope zeszywniała na myśl, że powinna przystawić teraz córeczkę do piersi. Mała coraz głośniej domagała się jedzenia, już zanosila się płaczem.

Philip stropił się, nie bardzo wiedząc, jak się zachować i co myśleć. Nie rozumiał reakcji żony.

- Hope, kochanie... ona jest głodna. Trzeba ją nakarmić.

Pokręciła głową i wcisnęła się głębiej w poduszki. Twarz małej poczerwieniała, nabrzmiały złością płacz wzmagął się z każdą

chwilą. Wykrzywiona buzia stała się raptem brzydka i przerażająca, niczym twarz ze złych snów.

Cień. Mroczny Cień miał już to dziecko w swoim władaniu.

Philip mocniej zacisnął palce na dłoni żony.

- Skarbie... ona cię potrzebuje. Musisz ją nakarmić.

Kiedy Hope ani drgnęła, wziął dziecko na rękę i zaczął nieporadnie kołysać, ale mała nadal płakała w głos, darła się na całe gardło. Podał córeczkę żonie.

- Musisz.

Hope potoczyła błędnym wzrokiem po pokoju, szukając drogi ucieczki. Z każdego kąta wyzierał Cień, wszystko przypominało jej, jaka była głupia, jak nierozumna.

Nie uwolniła się od spuścizny domu Pierron. Nigdy się nie uwolni.

To potrzask, pomyślała z rozpaczą. Nie ma nadziei. Tkwiła w potrzasku. Tak jak przed laty.

- Nie mogę. - W jej głosie zbierała histeria. - Nie chcę.

- Kochanie...

Do pokoju weszła pielęgniarka.

- Co się stało, pani St. Germaine?

- Nie chce jej nakarmić - powiedział Philip, szukając wsparcia u siostry. - Nie chce jej wziąć na rękę. Nie wiem, co robić.

- Pani St. Germaine... - Głos pielęgniarki brzmiał sucho, rozkazująco. - Córka jest głodna. Musi ją pani nakarmić. Przestanie płakać, kiedy...

- Nie! - Hope podciągnęła kołdrę pod brodę i wpiła w nią palce tak mocno, że zaczęły drętwieć. Drżała na całym ciele w ataku niezrozumiałej paniki. - Nie mogę.

- Spojrzała na męża, po policzkach popłynęły jej łzy.

- Proszę, Philipie, nie zmuszaj mnie. Nie mogę. Nie jestem w stanie. Nie nakarmię jej.

Patrzył na nią, jakby nagle wyrosły jej rogi.

- Hope? Co się z tobą dzieje? To nasze

dziecko, kochanie. Ona cię potrzebuje.

- Nic nie rozumiesz... ty nie... - ostatnie słowa uwięzły jej w gardle. Ukryła twarz w poduszce i zaczęła szlochać.

- Idź stąd. Zostaw mnie samą... proszę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Philip August St. Germaine wiódł życie pozbawione trosk, tak bardzo wolne od wszelkich kłopotów, że aż godne pozazdroszczenia. Pochodził z dobrej rodziny, otaczał się dobrymi przedmiotami, był zdrowy, wysportowany, przystojny. Wykształcenie zdobywał bez najmniejszego wysiłku, co po części zawdzięczał wrodzonej inteligencji, po części zaś urokowi osobistemu, który nabywa się przez wychowanie.

Prawdę powiedziawszy, Philip nigdy na nic nie musiał pracować. Dobre oceny, powodzenie u dziewcząt, wygodny byt, wszystko przychodziło mu niejako samo, w sposób niewymuszony. Wszystko otrzymywał na srebrnej tacy, podane z uśmiechem. Tak, bez wstrząsów i dramatycznych zmagania z losem, mijał Philipowi rok za rokiem.

Ani trochę nie była naszemu bohaterowi nieznośną owa lekkość bytu, nie przeszkadzało mu, iż nie nadaje kształtu swojej egzystencji i żadnych po temu nie musi podejmować wysiłków. Przeciwnie, co mu życie przyniosło, przyjmował z łaskawą wdzięcznością jako sobie należną daninę od losu. Potrafił się uzalić nad nieszczęśnikami, co skazani są nieść na swoich barkach nieznośne brzemień biedy i wszelkich utrapień, nigdy też nie skąpił - bo szczerą miał rękę - ofiary na Kościół,

którą traktował jako dziękczynienie za dotychczasową pomyślność i swego rodzaju ubezpieczenie na przyszłość.

Szczerze musimy powiedzieć, że jeszcze trzydzieści sześć godzin wcześniej, Philip August St. Germaine III trwał w durnym, acz usprawiedliwionym przekonaniu, że nie może go spotkać nic szpetnego, żaden cień zasnuć pogodnego horyzontu życia.

Teraz, stojąc przy oknie sali noworodków i obserwując, jak jakaś obca kobieta karmi jego śliczną córeczkę, odczuwał całą śmieszność swego zadufania. Jego sielski świat nagle się rozpadł.

Ostatnie półtora dnia było niczym senny koszmar, z którego nie mógł się obudzić. Jego uwielbiana żona, zawsze łagodna i pełna spokoju, zmieniła się w kogoś obcego, kogo nie poznawał, kto napawał go lękiem.

Podniósł rękę do skroni ociążałym ze zmęczenia ruchem. Nie chodziło nawet o to, że lżyła go najgorszymi słowami, o jakich znajomość nigdy by jej nie posądzała. Także nie o to, że wykrzyczała mu w twarz, jak go nienawidzi, kiedy dopominał się, by wybrali imię dla małej.

Nie. Najgorsze w tym wszystkim było jej spojrzenie - spojrzenie osoby owładniętej przez siły, których nie pojmował i które napawały go lękiem. Kiedy patrzyła na niego w ten sposób, czuł, że dotychczasowe życie skończyło się bezpowrotnie.

Philip włożył ręce do kieszeni i przyglądał się swojej córeczce, łapczywie pijącej mleko z butelki. Już teraz była uderzająco podobna do matki. Nie rozumiał, dlaczego dziecko napawało

Hope takim przerażeniem, dlaczego tak strasznie się wzbraniała przed wzięciem go na ramiona. Przetarł piekące z niewyspania oczy. Co takiego widziała w małej, czego on nie mógł dostrzec?

Gdyby tylko potrafił zrozumieć reakcje swojej żony, gdyby mógł czytać w jej myślach, może zdołałby jej pomóc. Może wówczas jego świat wróciłby do normy.

Zachowanie Hope było dla niego całkowitym zaskoczeniem. Tak bardzo czekała na dziecko. Ciężę zniosła wyjątkowo dobrze. Nie męczyły jej poranne nudności, nie odczuwała nagłych zmian nastrojów. Wiele rozmawiali o dziecku, układali plany na przyszłość. Poza niezachwianym przekonaniem, że urodzi chłopca, traktowała swoje macierzyństwo zupełnie normalnie.

A teraz to... Philip wstrząsnął się. Co zrobi, jeśli ją straci? Co pocznie, jeśli się okaże, że kobieta, którą dotąd kochał ślepa, bezrozumna miłością, przeistoczy się w kogoś obcego i niepojętego? Jak sobie poradzi w nowej sytuacji?

Salowa skończyła właśnie karmić małą i położyła ją do łóżeczka, ale Philip już tego nie widział. Zatopiony we wspomnieniach przywoływał pierwsze dni znajomości z Hope. Przyjechał do Memphis w interesach i zobaczył ją po raz pierwszy u wspólnych przyjaciół. Zaśmiała się, przechylając lekko głowę, a wtedy włosy opadły jej miękko na policzek. Miał ochotę dotknąć ich, podnieść do warg jedwabisty kosmyk. Sam dźwięk jej głosu wprawiał go w podniecenie.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Miał wrażenie, że nieznajoma odgaduje bez trudu jego myśli i że sprawiają jej one przyjemność. W tym samym momencie zakochał się w niej jak wariat. Historia prosta i skomplikowana zarazem.

Nie rozstawali się ze sobą przez cały jego pobyt w Memphis. Opowiedział jej o sobie wszystko, ona też mu się zwierzała. Głęboko poruszyła go historia tragicznej śmierci rodziców Hope w czasie podróży do Włoch, współczuciem

przejął fakt, że w wieku siedemnastu lat została zupełnie sama na świecie.

Było w niej coś, co sprawiało, że czuł się silny i ważny. Pragnął osłaniać ją przed całym światem, chronić przed kłopotami i problemami, wprowadzić w bezpieczny krąg, w którym toczyło się jego życie.

Gdyby był mniej przezorny, nie tak rozważny, oświadczyłby się z miejsca, już w czasie pierwszego spotkania.



Tymczasem czekał sześć długich, rozpaczliwie długich tygodni.

Rodzina i przyjaciele uważali, że oszalał. Zmienili zdanie, kiedy poznali Hope. I oni ulegli jej nieodpartemu czarowi. Nawet zwykle krytyczni i wymagający wobec ludzi rodzice Philipa uznali, że nie mógł lepiej wybrać.

Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Gdyby nawet mieli zastrzeżenia, i tak zignorowałyby ich zdanie i postawił na swoim. Za każdą cenę.

Noc poślubna była dla niego niezapomnianym, niepowtarzalnym przeżyciem. Kochali się wtedy bez żadnych zahamowań, śmiałość Hope zaskakiwała go, uderzała do głowy i oszalała, a przy tym była w niej jakaś niepojęta niewinność.

Czasami miał wrażenie, że jego życie toczy się od jednej miłosnej nocy do następnej, a dni są tylko koniecznymi pomostami pomiędzy nimi. Żadna kobieta przed Hope nie weszła aż tak głęboko w jego życie.

- Tu pan jest. - Głos lekarza wyrwał Philipa z zamyślenia. Harland LeBlanc odebrał w swoim życiu kilkanaścioro St. Germaine'ów i chociaż miał już sześćdziesiąt lat, nadal był uważany za najlepszego położnika w Nowym Orleanie. Przy całej trudnej sytuacji pewną pociechę stanowił fakt, że Hope jest w dobrych rękach.

- Masz piękną córeczkę, Philipie. Chyba nigdy jeszcze nie widziałem tak ślicznego dziecka.

Philip spojrział na LeBlanca, potem na salę.

- Pomimo to Hope nie może jej znieść. Dotąd nie wzięła jej na ręce. Nie chce nawet

rozmawiać o imieniu dla małej.

- Wiem, że to trudne... ale...

- Trudne? - W głosie Philipa zabrzmiała nuta sarkazmu. - Nie wiesz, bo i skąd, nie było cię przy tym, kiedy zaczęła mnie przeklinać. Rzucała obelgi, krzyczała, że mnie nienawidzi. A wszystko dlatego, że chciałem wybrać imię dla naszej córki. Jak ona na mnie wtedy patrzyła... to jej lodowate spojrzenie. Nigdy nie przypuszczałem, że ujrzę Hope właśnie taką.

Doktor położył dłoń na ramieniu Philipa przyjacielskim gestem.

- Wierz mi, naprawdę rozumiem, jak musisz się teraz czuć. Wiele razy spotkałem się z podobnymi reakcjami. To minie. Wszystko będzie dobrze, Philipie.

- Taki jesteś tego pewien? - Philip przeciągnął dłonią po czole. - A jeśli nie minie? Nie chcę jej stracić, nie zniósłbym tego. Jest dla mnie wszystkim. Jest... - Nagle zrobiło mu się głupio, że zwierza się LeBlancowi ze swoich intymnych spraw. - Odwrócił wzrok, ale mówił dalej: - Kocham swoją żonę, Harlandzie. Czasami wydaje mi się, że aż za bardzo.

- To, co teraz przeżywa Hope, zdarza się częściej, niż myślisz. Mnóstwo kobiet dopada depresja poporodowa, czasami tak ciężka, że kończy się odrzuceniem dziecka, rozbiciem rodziny. Albo jeszcze gorzej.

Philip spojrzał uważnie na LeBlanca.

- Jeszcze gorzej?

- Owszem. Brzmi to strasznie, wiem, ale matka w depresji potrafi nawet zabić swoje dziecko.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że Hope

mogłaby... zabić naszą córeczkę.

- Oczywiście, że nie - zapewnił Harland pospiesznie. - Myślę jednak, że powinna u nas zostać jeszcze kilka dni. Musimy ją poobserwować. Upewnić się.

Upewnić się? Dobry Boże, o czym?

Philip dopiero teraz naprawdę się przeraził. Harland, uznawany za jednego z najlepszych specjalistów w swojej dziedzinie, doświadczony lekarz, który stykał się w swojej praktyce z różnymi przypadkami, musiał być poważnie zaniepokojony stanem Hope, skoro wspomniał o obserwacji.

Coś podejrzewał, czegoś się obawiał, ale nie znał przecież Hope tak dobrze, jak jej mąż. Philip był przekonany, że niepotrzebna jest żadna obserwacja. Wystarczy, by

Hope wróciła do domu, do normalnego trybu życia, żeby znowu znalazła się w otoczeniu swoich bliskich.

- Naprawdę uważasz, że to konieczne, Harlandzie? Moim zdaniem Hope powinna jak najszybciej wyjść ze szpitala. W domu szybko odzyska dawną formę. Jestem tego pewien.

- A jeśli nie? Przyczyną depresji są gwałtowne zaburzenia hormonalne. Hope nie panuje nad swoimi reakcjami. One nie wynikają z jej złej woli. - Doktor pokręcił głową. - Boję się, że jeśli za wcześnie wypiszę ją ze szpitala, to stanie się coś naprawdę złego. Nie chcę brać na siebie takiego ryzyka. - Spojrzał na Philipa. - A ty, weźmiesz na siebie taką odpowiedzialność?

Coś naprawdę złego? Philip z trudem przełknął ślinę.

- Nie, oczywiście, że nie.

- Sam widzisz. Twoja żona bardzo cię teraz potrzebuje. Powiadasz, że ją kochasz. Masz okazję dowieść swojej miłości.

Tak, powinien zapomnieć o swoich egoistycznych lękach, o własnym rozczarowaniu. Jest potrzebny Hope. Ich córeczce. Musi być silny.

- Co mogę zrobić? Powiedz mi, Harlandzie.

- Po prostu bądź przy niej. Okaż jej wyrozumiałość... serdeczność. Wiem, że to trudne, ale tłumaczę ci, że Hope nie panuje nad swoimi emocjami. Jest w tej chwili tak samo przerażona, jak ty. Może nawet bardziej. Potrzebuje czasu. Potrzebuje dużo cierpliwości i miłości.

Philip spojrział na śpiącą córeczkę.

Zdawała się tak bezbronna, krucha, że serce mu się ścisnęło. Mała powinna być z matką, w domu.

- A jeśli miłość nie wystarczy? Co wtedy, Harlandzie?

Lekarz milczał przez chwilę, wreszcie westchnął.

- Musi wystarczyć, mój drogi. Nie ma innego lekarstwa.

### **ROZDZIAŁ TRZECI**

Hope obudziła się przerażona. Z trudem chwytając powietrze, rozejrzała się po tonącym w półmroku pokoju, jakby oczekiwała, że zobaczy wewnątrz sypialni na drugim piętrze Pierron House.

Odetchnęła z ulgą. Nie. Jest w szpitalu w Nowym Orleanie. Z dala od domu przy River Road. Dom należy do przeszłości. Do przeszłości kogoś innego. Ona nazywa się przecież St. Germaine.

Wciągnęła głęboko powietrze. Powoli otrząsała się z sennego koszmaru. Śniło się jej, że jest znowu w Domu i skulona w ciemnym kącie podgląda kochającą się parę. I że kobieta w łóżku to jej córka. Lecz kiedy mała dziwka obejrzała się przez ramię, jakby czuła, że ktoś ją obserwuje, Hope ujrzała własną twarz.

Zacisnęła kurczowo palce na kołdrze, usiłując uwolnić się od sennej mary. W pełni zdawała sobie sprawę, co się z nią dzieje, wiedziała, dlaczego każdej nocy nękają ją koszmary z przeszłości.

Dopał ją Cień, od którego, jak myślała, dawno się uwolniła. Drwił z niej. Pewny swej wygranej, zapraszał, by się z nim zmierzyła.

Nie! Hope podniosła drżące ręce do twarzy. Nie może dopuścić, by Cień zwyciężył. Zbyt wiele wysiłku kosztowało ją, by osiągnąć punkt, w którym się znalazła, by teraz miała skapitulować.

Objęła mocno kolana ramionami i zaczęła się kołysać. Czowała kompletny zamęt w głowie. U kogo szukać pomocy? Komu mogłaby zaufać? Philip powoli tracił cierpliwość. Rodzina i przyjaciele zachowywali się dziwnie: pełni dystansu, podejrzliwi. Widziała w ich oczach zdziwienie i dezaprobatę. Jeszcze trochę i ktoś w końcu dojdzie prawdy o jej przeszłości. Jeszcze trochę, a fikcja, którą stworzyła, pryśnie z hukiem.

Musi zaakceptować swoje dziecko. Musi zachowywać się jak czuła, kochająca matka. Jakby nie dostrzegła zła drzemiącego w jej córce, jakby nie widziała, że dorodny owoc zżera robak.

Po jej policzkach zaczęły spływać łzy. Jak ma wziąć małą na ręce, nie okazując wstrętu? Czy będzie w stanie ukrywać rozpacz, udawać miłość? Nie. Wiedziała, że nie potrafi udawać, że to ponad jej siły.

Odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. Podeszła boso do uchylonych drzwi, wyjrzała ostrożnie na pusty szpitalny korytarz. Z sąsiedniej sali dochodził kobiecy płacz i ciche szepty pocieszenia.

To pani Vincent, której dziecko umarło zaraz po porodzie. Hope usłyszała o nieszczęściu tego dnia po południu od Philipa. Przekazał żonie smutną wiadomość, jakby chciał jej powiedzieć: powinnaś się cieszyć, że nasza córeczka jest silna i zdrowa. Tymczasem ją ogarnęła zazdrość, poczuła, że wolałaby być na miejscu pani Vincent.

Śmierć małej rozwiązałaby wszystkie jej problemy.

Ale Pierron rodziły silne córki. Cień dawał im moc. Nigdy nie umierały.

Muszę uciekać, pomyślała gorączkowo. Muszę się wydostać z tego przeklętego szpitala, zaczerpnąć świeżego powietrza. Muszę uciec od czujnych spojrzeń, od nieznośnego współczucia, od czuwających nad nią lekarzy i pielęgniarek. Muszę znaleźć kogoś, kto by zrozumiał i potrafił pomóc.

Kościół. Tam znajdzie wsparcie. Zwróci się do księdza. On powinien zrozumieć.

Przy konfesjonale będzie bezpieczna. Zawierzy swoje problemy tajemnicy spowiedzi.

Nie zastanawiając się dłużej, podeszła po omacku do szafy, wyjęła ubranie. Przez całe życie znajdowała pociechę w Kościele, był jej wsparciem i opoką w najtrudniejszych chwilach. Tak będzie i teraz. Ksiądz na pewno jej powie, co powinna robić.

A jeśli tym razem ksiądz nie będzie w stanie pomóc? Co wtedy pocnie, gdzie pójdzie?

Była tak przerażona, że nie mogła oddychać, myśleć, działać. Musi się opanować, nie może się rozsypać. Nie może pozwolić, by dosięgnął ją Cień.

Wzięła głęboki oddech, podeszła do telefonu, wezwała taksówkę, po czym wzięła torebkę i na palcach podeszła do drzwi. Miała szczęście - w dyżurce pielęgniarek nadal nie było nikogo. Uśmiechnęła się do siebie, wymknęła na korytarz i szybko przeszła do windy. Oby Philip jak najdłużej nie wiedział, że opuściła samowolnie szpital. Próbowalby ją zatrzymać. Podobnie jak

lekarze. Nikt nie rozumiał, co się z nią dzieje.

Zjechawszy na parter, skierowała się w stronę podwójnych szklanych drzwi. Stojący przy wyjściu ochroniarz zajęty był rozmową z recepcjonistką. Obydwoje zerknęli obojętnie na Hope i wrócili do błażej konwersacji.

Po chwili stała już na podjeździe szpitala. Wilgotne nocne powietrze otoczyło ją niby ciepły kokon. Odetchnęła głęboko, szczęśliwa, że wreszcie wydostała się na wolność.

Zanurzyła się w mrok. Mokry chodnik połyskiwał srebrzystą poświatą księżyca, z liści drzew na twarz Hope spływały ostatnie krople deszczu.

Ulicą przejechał tramwaj, jakiś przechodzień krzyknął coś do kierowcy mijającego go samochodu. Po gałęzi dębu przemknęła zabłąkana wiewiórka, szukająca miejsca na nocleg.

Przy krawężniku zatrzymała się taksówka.

- Do Katedry św. Ludwika - rzuciła Hope, wsiadając do środka. Wierni, którzy chcieli ustrzec się grzechów i wyznać już popełnione, do późna w noc mogli się spowiadać w świątyni na Jackson Square, najstarszym, budzącym prawdziwą bojaźń bożą przybytku wiary w Nowym Orleanie, znajdującym się, jak na ironię, w samym centrum dzielnicy burdeli i nocnych klubów.

Hope zacisnęła kurczowo dłonie. Wnętrze taksówki cuchnęło papierosami i pleśnią. Mrukliwy kierowca nie próbował, na szczęście, wdawać się w konwersację, więc w milczeniu przyglądała się imponującym rezydencjom Górnego Miasta. Minęli śródmieście, wjechali do



Vieux Carre, starej dzielnicy francuskiej, i po chwili byli już pod katedrą.

Tu poprosiła, by kierowca na nią zaczekał, wysiadła i spojrzała w rozgwieżdżone niebo, na potężne wieże świątyni. Dwa razy dźwigana z gruzów, surowa, majestatyczna budowla stanowiła uderzający kontrast z lekką, kapryśną architekturą otaczających ją domów. Dla Hope była zawsze symbolem wsparcia, a jej surowość równoważyła beztroskę zamieszkujących niegdyś Vieux Carre Kreoli.

Stukając obcasami o bruk, ruszyła w kierunku portalu. Znad przepływającej nieopodal Missisipi doszedł ją pojedynczy odgłos syreny jakiegoś statku, z Bourbon Street niosły się dźwięki dixielandu i sprośne śmiechy.

Kiedy weszła do katedry, otoczyła ją cisza. Cisza, która napawała otuchą i przynosiła ukojenie. Z Hope opadł histeryczny niepokój ostatnich dni. Tutaj Ciebie nie miał do niej dostępu. Tutaj, w kościele, powinna znaleźć odpowiedź na swoje problemy.

Zanurzyła palce w święconej wodzie, przeżegnała się i ruszyła w stronę konfesjonałów pomieszczonych w pobliżu prezbiterium.

Przyklękła przy pierwszym, zaciągnęła za sobą szczerze kotarę, pochyliła głowę ku kratce, za którą niewyraźnie majaczyła twarz kapłana.

- Przebacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam. Ostatni raz u spowiedzi byłam dwa tygodnie temu...

- Jakie grzechy popełniłaś, moje dziecko?

Hope nerwowo splotła palce. Serce biło jej tak mocno, że z trudem mogła oddychać.

- Ja... nie przyszedłam, żeby się wyspowiadać. Potrzebuję rady. Ja... - słowa uwięzły jej w gardle, na powrót ogarnęła ją mroczna rozpacz i lęk. - Nie mam do kogo się zwrócić. Jeśli ksiądz mi nie pomoże, nie wiem, co się ze mną stanie. Będę zgubiona. - Ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się. - Proszę, niech mi ksiądz pomoże.

- Uspokój się, moje dziecko. Oczywiście, że ci pomogę. Opowiedz mi, co cię trapi.

- Kobiety z mojej rodziny to złe istoty, grzesznice. Sprzedają swoje ciała. Tak było zawsze, od pokoleń. Jakaś klątwa ciąży nad nami. - Otarła łzy z policzków. - Ja się ustrzegłam, ale boję się o duszę swojej maleńkiej córeczki. Widzę, że i nad nią zaciążył ten sam Cień, co nad moją matką, babką... Bardzo się lękam, ojcze.

Ksiądz milczał przez chwilę, po czym przemówił spokojnym, mocnym głosem:

- Nad wszystkimi nami ciąży cień ciemności, moje dziecko. Ewa ofiarowała Adamowi jabłko, a on je przyjął, i od tamtej

chwili żyjemy w grzechu. Każdy z nas jest nieczysty, ale Bóg zesłał nam swego Syna - Odkupiciela naszych win. Chrystus jest obietnicą zbawienia.

Ksiądz poruszył się, zaszeleściła alba, zadzwoniły paciorki różańca.

- Musisz pomóc swojej córce, pokazać jej drogę, nauczyć ją, jak zwyciężać Szatana.

- Jak, ojcze? - Hope nachyliła bliżej głowę. - Jak mam jej pomóc?

- Jesteś jej matką. Możesz uczynić z niej kobietę o silnym charakterze. Tylko ty jesteś w stanie tego dokonać. Pokaż jej, jak żyć, naucz odróżniać dobro od zła, to, co święte, od tego, co zbrukane. Bóg zesłał ci dziecko, żeby wypróbować moc twojej wiary. To dziecko może stać się twoją chlubą albo twoją klęską...

Serce Hope zabiło mocniej. Nagle zobaczyła przed sobą jasny, wyraźnie naznaczony cel. To nie Bóg wystawiał ją na próbę, lecz Ciemność.

Zacisnęła dłonie tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało. Niech ją jej mroczny Cień wodzi na pokuszenie, niech drwi z niej i szydzi. Ona nie ulegnie, nie odda mu córki. Wypleni ziarno zła ze swojego dziecka, jak wypleniła je z własnej duszy.

To dziecko może być jej chlubą albo jej klęską.

Chlubą, pomyślała. Dziecko będzie jej Glorią.

## CZEŚĆ II

Santos

### ROZDZIAŁ CZWARTY

*Nowy Orlean, Luizjana, 1979*

Victor Santos miał piętnaście lat i bardzo mu odpowiadało życie w nowoorleańskiej Vieux Carre. Nigdzie, gdzie mieszkał wcześniej, nie było tak jak tutaj. Dzielnica noc i dzień tętniła życiem, zawsze coś się tu działo, zawsze znalazł się ktoś, z kim można było zamienić słowo. Lubił odgłosy Carre, charakterystyczne zapachy starego kwartału miasta, domy ze spękany, zawsze wilgotnym tynkiem, fantazyjne balkony z kutego żelaza.

Nade wszystko zaś Santos, którego tylko matka nie nazywała tym imieniem, lubił ludzi. Dzielnica przyciągała osobników różnych ras i różnej maści: złych, dobrych, odstręczających. Fascynowali go zwłaszcza ci, którzy ciągnęli nocą na Bourbon Street, czy byli to wieczni balowicze w poszukiwaniu zabawy, czy wiedzeni ciekawością kolekcjonerzy przeżyć osobliwych.

Psycholog z poradni szkolnej do znudzenia powtarzał jego matce, że Dzielnica to nie miejsce dla dziecka: za dużo w niej mieszka „elementu”. Niechybnie i ją włączyłby do tej kategorii, gdyby wiedział, że jest tancerką, specjalistką od „tańca egzotycznego”, nie zaś kelnerką, jak mu wmówiła.

Santos miał go za nadętego, wszytkowiedzącego bubka. Trwał w

przekonaniu, że uliczne dziwki, rozmaici łażikowie i inny ludek, który wymykał się porządkowi społecznemu, ma więcej serca niż sztywniacy pokroju jego tatusia. W swoim krótkim życiu zdążył zrozumieć, że ci, którzy dostali bolesne ciągi od losu, nie potrafią chować w sercu nienawiści.

Przeszedł przez jezdnię i przystanął, żeby zamienić kilka słów z Bubba, wykidają w Club 69 na Bourbon Street, gdzie tańczyła jego matka.

- Cześć, Santos - zawołał barczysty bramkarz.- Masz zapalić? Skończył mi się towar.

Santos ze śmiechem uniósł puste dłonie.

- Opuść se. Chcesz się przejechać? Nie słyszałeś, że to zabija?

Chłopak poklepał Santosa przyjaźnie po ramieniu, po czym zajął się parą turystów, którzy zatrzymali się przed klubem i wyciągali szyje, by zobaczyć coś z trwającego właśnie show.

Victor ruszył przed siebie i skręcił z Bourbon Street w St. Peter's. Tym sposobem mógł skrócić drogę i zaoszczędzić kilka minut. Obiecał matce, że w drodze do domu odbierze zamówione wcześniej sandwicze z krewetkami.

Na myśl o ogromnych, piętrowych kanapkach ślinka napłynęła mu do ust, przyspieszył więc kroku, acz bez przesady. Sierpień w Nowym Orleanie nie sprzyjał pośpiechowi. Słońce co prawda już zachodziło, ale chodniki były nadal rozgrzane jak patelnia, a od betonu szły fale gorącego powietrza. Wilgotność przekraczała dziewięćdziesiąt procent i uniemożliwiała niemal oddychanie. Tydzień wcześniej na ulicy padł koń ciągnący powozik obwożący turystów - kolejna ofiara

nowoorleańskich upałów.

- Hej, Santos! - Zza pleców dobiegł go kobiecy głos.

- Dokąd się tak spieszysz?

Zatrzymał się i odwrócił z uśmiechem.

- Cześć, Sugar. Idę do Central Grocery odebrać sandwicze, potem do domu. Mama czeka.

- Jeszcze pół roku wcześniej Sugar tańczyła w klubie z matką Santosa. Musiała zacząć zarabiać na ulicy, kiedy odszedł jej chłopak, zostawiając ją samą z trójką dzieci.

- Tak, twoja matka lubi sandwicze, założę się, że ty też. Rośniesz, to i pewnie jesz za dwóch.

- Zaśmiała się i poklepała Santosa po policzku. - Pozdrów matkę. Powiedz jej, że Brown Sugar jakoś sobie radzi.

- Powtórzę. Na pewno się ucieszy.

Santos patrzył chwilę za dziewczyną, po czym kręcąc głową, ruszył dalej. Sugar należała do tej kategorii osób, którą naprawiacze świata, jak szkolny psycholog Santosa, określali krótko: „wywiera zły wpływ”. Tymczasem w opinii chłopca dziewczyna robiła po prostu, co mogła, by utrzymać rodzinę. Pieski los, pomyślał. Czasami człowiek nie ma innego wyjścia, jeśli chce przeżyć.

Oczywiście w Dzielnicy trafiali się też łajdacy, jak wszędzie. Generalnie Santos dzielił ludzi na trzy kategorie: tych, którzy mają szczęście, którzy go nie mają i wreszcie na tych, którzy nieustannie za szczęściem gonią. W oczach chłopca między tymi trzema grupami przebiegał wyraźny podział. Podział ekonomiczny, mówiąc najprościej.

Szczęściarze mieli najłatwiej. Cieszyli się

życiem i nie przejmowali pozostałymi grupami, pod warunkiem że ich przedstawiciele nie psuli szczęściarzom dobrego samopoczucia. Najbardziej kłopotliwi byli wieczni poszukiwacze szczęścia, zawsze głodni władzy i pieniędzy, gotowi uczynić wszystko, by zdobyć jedno i drugie, choćby po trupach.

Santos uważał się za twardziela, ale nie chciał należeć do poszukiwaczy. Dostał dobrą szkołę. Jego ojciec był właśnie taki: wiecznie za czymś gonił, wiecznie był nienasycony, szedł przez życie jak taran, nie zważając na innych, niszcząc słabszych. Jakby to miało uczynić go potężniejszym.

Ojciec... Santos skrzywił się z niesmakiem na to słowo.



Samuel „Willy” Smith nie pozostawił mu po sobie nic oprócz złych wspomnień. Był śmieciem, ale uważał się za lepszego od swojej latynoskiej dziewczyny. Kiedy zaszła w ciążę, nie zaproponował małżeństwa, nie dał dziecku swojego nazwiska. Nazywał Victora i jego matkę „meksykańskimi brudasami”, wykrzykiwał, że nie są nic warci.

Santos do dziś pamiętał, jaką ogromną ulgę odczuł pewnego ranka, kiedy do ich drzwi zapukał szeryf z informacją, że Willy Smith nie żyje; ktoś poderżnął mu gardło w czasie bójki w barze. Czasami wspominał ojca i życzył mu wówczas miłego pobytu w piekle.

Zatopiony w rozmyślaniach, dotarł wreszcie do sklepu i zanurzył w jego chłodnym wnętrzu. Odebrał sandwicze, zamienił kilka słów z ekspedientką i kilka minut później był z powrotem na ulicy z brązową torbą na zakupy pod pachą. Mieszkał z matką na Ursuline Street, w małym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Dom był schludny, czynsz niski, ale doskwierał brak klimatyzacji. Zainstalowali wprawdzie niewielkie klimatyzatory w sypialniach i dzięki nim mogli przetrwać letnie miesiące, jednak w kuchni i bawialni panował czasami taki upał, że posiłki jadali w łóżku.

Przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na piętro i wpadł do mieszkania.

- Jestem, mammo! - zawołał od drzwi.

W progu sypialni pojawiła się matka ze szczotką do włosów w dłoni, z grubą warstwą makijażu na twarzy. Twierdziła, że kiedy tańczy, lubi być mocno umalowana. Kosmetyki stanowiły rodzaj maski, pod którą się ukrywała, występując

na scenie. Miała wtedy odczucie, że oglądający ją mężczyźni patrzą na kogoś innego, na inną osobę. Mówiła też Santosowi, że faceci, którzy przychodzą do klubu, chcą, żeby wyglądała tandetnie. Jak dziwka. To ich kręciło.

Santos miał na ten temat własne zdanie. Zżymał się, że matka musi uprawiać podły zawód i marzył o tym, żeby mogła zerwać ze swoim zajęciem.

Zamknęła drzwi sypialni, skąd szybko uciekało chłodne powietrze.

- Witaj, kochanie. Jak minął dzień?

- W porządku. - Santos założył łańcuch w drzwiach.

- Przyniosłem sandwicze.

- Świetnie, bo umieram z głodu. Chodź, zjemy w moim pokoju. Gorąco dzisiaj jak w piekle.

Zasiedli na podłodze i zabrali się do jedzenia. Victor pałaszował z apetytem, ale nie spuszczał oka z matki. Pół Indianka - jak sama przypuszczała, z plemienia Cheronee - pół Meksykanka, miała ciemne włosy, ciemne oczy i egzotyczną twarz o wysoko podniesionych kościach policzkowych. Odkąd pamiętał, zawsze widział lgnące do niej spojrzenia mężczyzn, kiedy wychodzili razem na miasto - matka w dzinsach, uczesana w koński ogon, bez makijażu.

Był do niej podobny, tak mówili wszyscy znajomi. Ilekroć spoglądał w lustro, dziękował Bogu za to podobieństwo. Nie zniósłby, gdyby każdego ranka, patrząc na swoje odbicie, musiał przypominać sobie Willy'ego Smitha.

- Dzwoniła dzisiaj pani Rosewood.

No tak, pomyślał, nowa szkolna

psycholożka, następna naprawiaczka świata.

- Wspaniale. Tylko jej nam jeszcze brakowało.

- W przyszłym tygodniu zaczynasz szkołę. Musimy zrobić zakupy. - Matka odłożyła sandwicza i wytarła usta serwetką.

Zesztywniał. Wiedział, co to oznacza. Dzisiaj, jutro albo pojutrze matka przyprowadzi „przyjaciela”. Nagle znajdują się pieniądze na ubranie, na wizyty u lekarza, na książki. Nienawidził tego.

- Niczego nie potrzebuję.

- Nie? - Ugryzła kolejny kęs i popiła piwem. - A te pięć centymetrów, które urosłeś przez lato? Nie sądzisz, że stare spodnie będą za krótkie?

- Nie przejmuj się. - Zmiał opakowanie po sandwiczu i wrzucił do pustej torby na zakupy.

- Zaoszczędziłem trochę forsy z tego, co zarobiłem. Sam sobie kupię ubranie.

- Musisz iść do dentysty. Pani Rosewood mówi, że twoje oceny...

- Co ona wie? - przerwał ze złością, zerwał się na równe nogi i zmierzył matkę wściekłym spojrzeniem. - Czy ten stary babsztyl nie może zostawić nas w spokoju?

Lucia też się podniosła, rozszłoszczona nie mniej niż syn.

- O co ci chodzi, Victorze?

- Szkoła to strata czasu. Nie rozumiem, dlaczego nie miałbym rzucić tego w diabły.

- Bo nie możesz i kwita. Nie rzucisz szkoły, nie pozwolę, rozumiesz? Musisz się uczyć, skoro chcesz się wydostać z tego bagna. Jeśli rzucisz szkołę, to skończysz jak twój ojciec.

Tego chcesz?

Victor zacisnął pięści.

- To bez sensu, mamó. Wiesz, że nie jestem taki jak on.

- Więc dowiedz tego. Skończ szkołę.

- Wyglądam na szesnaście lat. Mogłbym zacząć pracować. Potrzebujemy pieniędzy.

- Nie potrzebujemy. To, co mamy, w zupełności wystarcza.

- Jasne.

Lucia poczerwieniała, słysząc sarkazm w głosie syna.

- Chciałeś coś powiedzieć? Brakuje ci czegoś?

Nie odpowiadał, wbił wzrok w podłogę, na której leżały pośród papierów resztki niedojedzonej kolacji. Co za obrzydliwy bałagan. Całe ich życie tak wyglądało: nieuporządkowane, poplątane, zabałaganione. W piersi wzbierał mu gniew, poczucie zawodu, bezradności. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a eksploduje.

- Mów - przynagliła Lucia, szturchając go palcem w ramię. - Chcesz mieć nowy sprzęt stereo? A może nowe dzinsy? Kolorowy telewizor do swojego pokoju?

Podniósł głowę i spojrzał matce w oczy z zawziętą, nieustępliwą miną.

- Może chcę, żebyś nie musiała wykręcać tych swoich numerów za każdym razem, kiedy masz mi kupić nową parę butów albo zaprowadzić mnie do lekarza.

Cofnęła się o krok, jakby zdzielił ją w twarz. Zbladła. Victor, skruszony, wyciągnął ku niej rękę.

- Nie powinienem tego mówić, mamó.

Przepraszam.

- Nic nie mów. - Cofnęła się o krok. - Skąd wiesz o moich... numerach?

Przezcesał włosy palcami, zły, że zaczął tę niepotrzebną rozmowę.

- Daj spokój, mam, przecież nie jestem ślepy. Ani głuchy. Dzieckiem też już nie jestem. Wiem od dawna.

Patrzyła na niego przez chwilę, po czym odwróciła się i podeszła do okna. Mijały sekundy dłużące się niby minuty, Lucia ciągle milczała.

Santos postąpił krok w stronę matki, lecz zatrzymał się, klnąc w duchu. Dlaczego w porę nie ugryzł się w język? Dlaczego nie udał, że o niczym nie wie? Nie mógł już cofnąć wypowiedzianych słów, a milczenie matki bolało bardziej niż razy zadawane przez ojca.

- Czego się spodziewałaś? - zaczął tym razem już spokojnie. - Za każdym razem, kiedy musisz mi coś kupić, przyrowadzasz do domu jakiegoś „przyjaciela”, który znika po godzinie, dwóch i nigdy więcej się nie pojawia.

Lucia spuściła głowę.

- Przepraszam.

Przemógł się wreszcie, podszedł do niej, objął i wtulił twarz w jej pachnące włosy. Kiedy w nocy wróci z pracy, będzie śmierdziała papierosami i starymi capami, którzy ją obmacywali.

- Za co przepraszasz? - wykrztusił.

- Że jestem... dziwką. Na pewno myślisz...

- Nie jesteś! Jesteś najwspanialsza na świecie! - Głos uwiązł mu w gardle, dopiero po chwili mógł mówić dalej. - Nie wstydę się ciebie. Wściekam się, bo wiem, jak tego nienawidzisz. Zawsze potem chodzisz nieswoja, masz smutną twarz. Najgorsze, że robisz to dla mnie. Jak mam się czuć, kiedy wiem, że z mojego powodu pozwalasz różnym facetom... - nie mógł dokończyć zdania.

- Przepraszam - powtórzyła cichym, łamiącym się głosem. - Nie chciałam, żebyś wiedział. Myślałam... Inaczej sobie wyobrażałam nasze życie. Twoje życie. Zaslugujesz na lepszą matkę, Victorze.

- Nie mów tak. - Objął ją mocniej. Dałby wszystko, żeby móc chronić matkę, bronić, opiekować się nią. - Nie masz za co przeproszać. Ja tylko chciałbym... gdybym rzucił szkołę, nie musiałabyś już tego robić.

Odwróciła ku niemu mokrą od łez twarz.

- Zrobiłabym dla ciebie wszystko, Victorze. Nie widzisz? Jesteś dla mnie najważniejszy. Przyrzeknij mi, że nie rzucisz szkoły. - Wpatrywała się z napięciem w oczy syna. - Przyrzeknij, proszę.

Santos wahał się przez moment, wreszcie skinął głową.

- Dobra. Zostanę w tej budzie, przyrzekam.

- Dziękuję - powiedziała z wątlým uśmiechem. - Zawsze dotrzymujesz obietnic. Zawsze dotrzymywałeś, od dziecka. - Pokręciła głową. - Czasami zastanawiam się, skąd u ciebie, dziecka takich rodziców, tyle honoru, tyle godności.

- Pewnego dnia zaopiekuję się tobą. I nie będziesz już więcej musiała nakładać na twarz tej tapety. Nie będziesz musiała zarabiać tak, jak

zarabiasz teraz. Masz na to moje słowo.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Victor, kochanie, wychodzę.

Santos oderwał wzrok od ekranu telewizora stojącego na komodzie w jego pokoju i spojrzał na matkę.

- Do zobaczenia.

Lucia założyła torebkę na ramię.

- Podniesiesz się i pocałujesz matkę na do widzenia?

- Roześmiała się, widząc kwaśny grymas na twarzy syna.

- Wiem, jesteś zbyt dorosły na pieszczoty.

Podeszła do niego i ucałowała go w czubek głowy, po czym przecesała palcami włosy.

- Znasz zasady?

Santos wznosił oczy do nieba.

- Rany, co wieczór to samo.

- Nie bądź taki mądry. Powtórz, co masz robić.

- Zamknąć drzwi na łańcuch - zaczął z rezygnacją.

- Nikomu nie otwierać. Choćby przyszedł do nas sam Pan Bóg.

Matka stuknęła go lekko w głowę.

- I nie wychodzić z mieszkania, chyba żeby wybuchł pożar.

- Jasne.

- Nie patrz tak na mnie. To nie żarty. Po ulicach kręci się pełno łobuzów. Już nie wiem, kogo bardziej się bać: ich czy urzędników. Merry, dziewczyna z klubu, opowiadała, że zabrali jej synka. Ci z opieki społecznej odkryli, że zostawia



go samego na noc. No i tyle widziała dzieciaka.

- Tak, tylko że ona ćpa, a jej mały ma dopiero sześć lat.

- Santos opuścił nogi na podłogę i podniósł się z łóżka.

- Nam to nie grozi, mamó. Nie martw się tak strasznie.

- A pewnie, mój panie. Mam piętnaście lat i zjadłem wszystkie rozumy, tak? - Nachyliła się ku niemu z rękami wspartymi na biodrach. - Kiedy byłem w twoim wieku, też byłem strasznie mądra. W głowie mi się nie mieściło, że mogłabym zarabiać na życie, kręcąc tyłkiem przed obcymi facetami. Nie wiedziałam nawet, że istnieją takie kobiety.

- Pokiwała głową z zadumą. - Ale tak to jest. Jeden głupi krok może spieprzyć człowiekowi całe życie. Pamiętaj o tym, zanim znowu pomyślisz, że wszystko już wiesz.

Jeden głupi krok... Matka mówiła o Willym Smisie i nieplanowanej ciąży. Rodzina ją wydziedziczyła, Willy traktował jak worek treningowy. Rzeczywiście, gorzej nie mogła wybrać. Tyle że w efekcie tego głupiego kroku urodził się on.

Zrobiło mu się smutno.

- Będę uważał, mamó.

- Bardzo cię proszę. - Pogłaskała go delikatnie po policzku. - Nie wyobrażam sobie, że mogłabym cię stracić. Nie zniosłabym tego.

Chciał powiedzieć to samo, ale zrobiło mu się głupio: jest w końcu facetem, nie będzie się rozklejał, nawet wobec matki.

- Nie stracisz mnie - mruknął tylko, ściskając jej dłoń.

- Zawsze będziemy razem.

Uśmiechnęła się i wskazała głową na drzwi.

- Pora na mnie. Wiesz, jak Milton się wścieka, kiedy przychodzę spóźniona.

Santos odprowadził ją do wyjścia. Na końcu korytarza odwróciła się jeszcze i pomachała mu na pożegnanie, on zaś poczuł nagłe dziwny ucisk w gardle. Zawsze tak oszczędny w okazywaniu uczuć, tak oschły, chciał teraz za nią pobiec, uściskać ją, ucałować i powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

Co by zrobił, gdyby ją stracił?

Wybiegł na korytarz i zatrzymał się w pół kroku. Głupio. Jest za stary na takie czułości. Nie potrzebuje matczynych pieszczot. To dobre dla małych dzieci.

Zaśmiał się do siebie. Te jej opowieści, przestrogi, ciągle zatroskanie działały mu czasami na nerwy. Jeszcze trochę, a każe mu wierzyć w Babę Jagę i dziada z worem, który mieszka w szafie i zabiera niegrzeczne dzieci. Ubawiony własnymi wizjami, zamknął drzwi na łańcuch, wrócił do pokoju i wydobył buty spod łóżka. Teraz musi odczekać kilka minut.

Zerknął na zegarek. Jeszcze trochę. Niech matka dotrze do klubu, wtedy będzie mógł wyjść i zobaczyć się z kumplami. Spotykali się co wieczór w opuszczonej szkole przy Esplanadzie, w północnej części Dzielnicy.

W uszach dźwięczały mu jeszcze słowa Lucii o ludziach z opieki społecznej, ale szybko odsunął je na bok. Matka za bardzo się przejmuje, traktuje go jak małe dziecko. Przez całe lato, każdego wieczoru zrywał się z chaty i widywał z

chłopakami. W czasie roku szkolnego spotykał się z nimi w weekendy. Musiał tylko pilnować, żeby wrócić do domu przed Lucią i nie włączyć w oczy glinom patrolującym ulice. Przyrzekł matce, że będzie uważał na siebie i dotrzymywał słowa. Nigdy nie dał się złapać.

Dokładnie po dziesięciu minutach wyszedł z mieszkania i zanurzył się w gorącą nowoorleańską noc. Zaklął pod nosem. Pomimo późnej pory powietrze było tak duszne i parne, że nie dało się oddychać. Otarł pot z karku. Tak właśnie wygląda lato w Nowym Orleanie, czego nie zrozumie nikt, kto tutaj nie mieszkał - ani chwili chłodu, nieznośny żar w dzień i w nocy, ani chwili ulgi, nawet po zachodzie słońca.

I tak od maja do września. W sierpniu ludzie byli tak wymęczeni, że snuli się po mieście jak muchy. Turyści, z którymi Santos czasami rozmawiał, nieodmiennie pytali, jak on to znosi. Śmiał się z tego. Nowoorleańczycy nie próbują „znosić” upałów, po prostu są do nich przyzwyczajeni. Dla Santosa była to znacząca różnica.

Uniósł wysoko głowę i wciągnął powietrze przez nos. Zachód słońca nie przyniósł, co prawda, ochłody, ale powietrze się zmieniło. Zmieniła się też atmosfera w Dzielnicy - w sposób tyleż subtelny, co dający się wyraźnie wyczuć, jak wyraźnie da się wyczuć różnicę między zapachem kwiatów i perfum, tak jak uderza w oczy różnica między światłem dziennym i sztucznym.

Ze zmierzchem zniknęli w swoich domach kupcy, sklepikarze i biznesmeni, a w ich miejsce na ulicach pojawiły się nocne ómy. Te dzieliły się na dwie kategorie - na ludzi marginesu i ludzi, nazwijmy ich tak, krawędzi. Matka Santosa, na przykład, należała do tej pierwszej grupy. Przez swoje pochodzenie i swoje zajęcie nie pasowała do standardu porządnej Amerykanki, choć bardzo chciała nią być. Ludzie krawędzi przeciwnie - sami decydowali się na taką egzystencję, świadomie odrzucali amerykański model życia wyznaczany przez jednorodzinny dom pod miastem, samochód i pracę od dziewiątej rano do piątej po południu.

Gdzieś z balkonu płynęły smutne dźwięki bluesowej muzyki, z innego dochodził gwar rozmów. Santos szedł pospiesznie, wybierając mniej ludne ulice i ciemne zaułki, by nie natknąć się, broń Boże, na kogoś ze znajomych, kto

mógłby donieść matce, że włóczy się nocami po mieście.

Z restauracji na rogu dobiegał brzęk garnków, w powietrzu snuł się nęcący zapach gotowanych langust, a może innych skorupiaków. Minął zaplecze knajpy, przeszedł koło śmietnika i zmarszczył nos. W upale wystarczyło dzień, dwa nie opróżnić pojemników z odpadkami i nęcący zapach langust zamieniał się w przyprawiający o mdłości smród.

W pobliżu szkoły zwolnił kroku. Tutaj, w biednej okolicy, gdzie co chwila zdarzały się przestępstwa, ktoś kto szybko szedł lub biegł, wzbudzał natychmiast podejrzenia patroli policyjnych. Spieszysz się, młody człowieku, znaczy, że coś masz na sumieniu i teraz uciekasz.

Zaszedł pod stary budynek szkolny od tyłu, upewnił się, że nikt go nie widzi, i zanurkował w gęstwinę zdziczałych oleandrów. Dotarł do otwartego okna, przez które zawsze dostawał się do środka, podciągnął się na parapecie i po chwili był wewnątrz. Gdzieś z głębi opuszczonej rudery doszedł go odgłos śmiechów: jego kumple są już na miejscu.

Nagle zajaśniał płomyk zapalniczki. Santos odwrócił się gwałtownie. Malec zwany Harcerzykiem - nadali mu to przezwisko, bo jako najmłodszy stał zwykle na czatach, wypatrując gliniarzy i meneli, wkraczających na terytorium zagarnięte przez chłopców - czaił się w kącie z zadowoloną z siebie miną.

- Co jest grane, młody? - warknął Santos. - Wystraszyłeś mnie jak jasna cholera.

Harcerzyk zapalił papierosa i zaciągnął się fachowo.

- Przepraszam. Spóźniłeś się dzisiaj.
- Czekałem, aż matka wyjdzie z domu.
- W porządku. Dobrze, że to ty. -

Harcerzyk wskazał opartą o ścianę metalową rurkę. - Już myślałem, że będę musiał komuś dojechać. Trzeba pilnować zastępu, nie?

I chłopak rzeczywiście pilnował, Santos o tym wiedział. Większość jego kumpli, Harcerzyka nie wyłączając, żyła na ulicy. Część, jak Santos, pozbawiona opieki dorosłych, wymykała się z domów i łąkowała po nocach. Grupa to rozrastała się, to znowu topniała. Ktoś się przyłączał, po kilku dniach znikał, wracał do domu albo lądował w pogotowiu dla niepełnoletnich. Tylko Santos i paru innych stanowili od samego początku jej niezmienny trzon.

- Gdzie chłopaki?

- W sali głównej. Lenny i Tish podprowadzili karton krabów z ciężarówki. Jeszcze ciepłe. W każdym razie były pół godziny temu.

- Idziesz?

- Nie. Popilnuję.

Santos skinął głową i ruszył w stronę sali głównej. W ogromnym budynku wybrali sobie cztery sale na swoje spotkania i każdej nadali inną nazwę: był klub teatralny, sala sztuk i rzemiosł, sala seksu i sala główna.

Ta ostatnia mieściła się na pierwszym piętrze, na końcu długiego korytarza. Kiedy tam dotarł, zastał kolegów zajadających się krabami, roześmianych, upakanych jedzeniem jak świnie.

Żyleta, najstarszy z grupy, pierwszy zauważył Santosa i przywołał go gestem dłoni. Nazywany Żyletą z oczywistych powodów, najdłużej spośród chłopaków żył na ulicy. Z gruntu dobry, nie ufał nikomu, ale tego właśnie nauczyła go ulica. Santos czuł, że Żyleta wkrótce wypadnie z grupy. Skończył szesnaście lat i był gotów gdzie indziej szukać sobie miejsca.

- Spisaliście się dzisiaj. - Santos przybił piątkę z obydwojema bohaterami wieczoru i zasiadł na podłodze. Zaczęli rozmawiać.

Chłopcy przerzucali się wiadomościami o znajomych. Oto ludzie z opieki społecznej znowu namierzili Bena i odesłali do jego rodziny zastępczej, oto jakiś alfons straszył Claire, bo chciał, żeby dla niego pracowała. Doreen przyłapała Sama w łóżku z Leą, Tygrys i Rick wyjechali niedawno z Nowego Orleanu, szukać szczęścia w południowej Kalifornii...

Dopiero po dłuższej chwili Santos zauważył, że jest z nimi dzisiaj nowa dziewczyna. Siedziała z boku, nie brała udziału w rozmowie, nie sięgała po zdobyczne kraby. Skulona, milcząca, mocno obejmowała ramionami kolana i trzymała nisko głowę. Santos szturchnął Harcerzyka, który zszedł z czatów, żeby coś zjeść i usiadł właśnie obok. Wskazał na nową.

- Kto to?

- Tina - mruknął Harcerzyk. - Claire ją przyprowadziła. Przez cały wieczór powiedziała może dwa słowa.

- Widać, że zielona. Na gigancie?

- Chyba tak.

Nie chyba, tylko na pewno, pomyślał Santos, przyglądając się Tinie. Dziewczyna miała wymalowane na twarzy rozpacz i zagubienie. Była śmiertelnie przerażona. Spuściła oczy, przygryzała cały czas dolną wargę, jakby bała się, że za chwilę usta zaczną jej drżeć i rozpłacze się. Nie wiedział, skąd i przed czym uciekła, ale gotów był założyć się o swój marny wakacyjny zarobek, że musiała mieć poważne powody.

Było mu jej serdecznie żal, jak zresztą pozostałych przyjaciół. Przez lata zdążył nasłuchać się opowieści, przy których metody wychowawcze jego ojca wydawały się naprawdę łagodne.

Rozebrał kraba, wyssał delikatne mięso z szynki, sięgnął po następnego. Za każdym razem, kiedy stykał się z nowym nieszczęściem, jeszcze bardziej doceniał matkę i własne życie.

Wrócił myślami do wieczornej rozmowy. Przypomniawszy sobie, jak bardzo się wstydziła, że syn wie, w jaki sposób dorabia, kiedy brakuje w



domu kasy. Może nie była idealną matką, ale kochała go. Żyli biednie, ale mieli siebie nawzajem. W rozmowach z kumplami uświadamiał sobie, jakie to ważne, by w złym, brutalnym świecie mieć kogoś, kogo się kocha i na kim można się oprzeć.

Kiedy kraby się skończyły, część dzieciaków zbiła się w mniejsze grupki. Ktoś drzemał w kącie, reszta poszła w miasto i tylko Tina trwała nieporuszona na swoim miejscu. Zalękniona, niepewna, sama.

Santos wstał i podszedł do niej.

- Cześć - zagadnął z uśmiechem. - Jestem Santos. Podniosła na niego wzrok i zaraz spuściła oczy.

- Cześć.

W jej głosie słyszało się łagodność, niemal słodczy. I lęk. Zbyt łagodny, zbyt słodki głos jak na dziewczynę z ulicy. Szybko stwardnieje, pomyślał, nabierze ostrych tonów. O ile przetrwa.

Usiadł obok niej, ale nie za blisko, żeby nie wystraszyć jej jeszcze bardziej.

- Masz na imię Tina?

W odpowiedzi skinęła tylko głową, jakby nie chciała wdawać się w rozmowę.

- Harcerzyk mówi, że Claire cię tu przyprowadziła.

Ponownie skinęła głową.

- Wkrótce się przekonasz, że Harcerzyk wie wszystko o wszystkich. To po pierwsze. Po drugie, jesteśmy zgraną załogą, u nas człowiek zawsze może liczyć na innych.

Widząc, że nadal milczy, Santos pomyślał, że powinien zostawić ją w spokoju. Podniósł się z podłogi.

- Jak będziesz czegoś potrzebowała, daj mi znać. Postaram się pomóc, jeśli tylko będę mógł.

Dopiero teraz uniosła twarz i popatrzyła na niego dłużej. Oczy i policzki miała mokre. Była bardzo ładna - ciemnoblonde włosy, duże niebieskie oczy. Musiała być w wieku Santosa, może trochę starsza.

- Dziękuję - szepnęła.

- Nie ma za co. - Uśmiechnął się ponownie. - Do zobaczenia.

- Zaczekaj.

Przystanął w pół kroku.

- Ja... - Przez chwilę zmagala się ze sobą, żeby wykrztusić to, co zamierzała powiedzieć. - Ja nie wiem, dokąd... mam iść. Nie mam pojęcia, co ze sobą począć. Czy mógłbyś... mi pomóc?

- Spróbuję. - Wątpił, czy będzie w stanie zapewnić jej to, o co prosiła: bezpieczne miejsce do spania, uwolnienie od lęku. Usiadł z powrotem.

- Dokąd chciałabyś pójść, Tino?

- Do domu - szepnęła ze łzami w oczach i mocno zacisnęła dłonie. - Ale nie mogę.

- Skąd jesteś?

- Z Algiers. Moja matka i...

Ciszę nocy rozdarło raptem wycie syren policyjnych. Ostatnie słowa Tiny utonęły w hałasie.

- O, Boże! - Dziewczyna zerwała się na równe nogi, rozejrzała nieprzytomnie jak zwierzę schwywane w potrzask.

Santos też wstał.

- Uspokój się. Wszystko w porządku. To tylko...

Znowu wycie. Suki musiały przejeżdżać w pobliżu budynku, bo biało-niebieskie światło kogutów omiotło wnętrze sali, prześlizgując się po spękanych murach jak w jakimś złowrogim kelejdoskopie. Santos miał przez chwilę wrażenie, że szkołę otoczyły oddziały specjalne.

- Nie! - Tina zatkała uszy. - Nie!!!

- Wszystko w porządku, Tino. Nic się nie dzieje. - Santos położył jej dłoń na ramieniu. Przerazona, odwróciła się gwałtownie, szarpnęła i rzuciła na oślep w kierunku drzwi.

Pobiegł za nią, złapał ją przy samym wyjściu. Zaczęła się wrywać, krzyczeć, kopać, młócić pięściami, jak człowiek ogarnięty histerią.

- Puść mnie, puść, słyszysz! Masz mnie puścić!

- Zrobisz sobie krzywdę. - Uchyłał się, jak mógł, przed jej ciosami. - Niech cię cholera,

Tino... Schody są...

- Zaraz tu przyjdą... to on ich nasłał. On!

- Jaki on? - Santos złapał ją za ramiona i mocno potrząsnął. - Nikt tu nie przyjdzie. Nikt nie zrobi ci krzywdy. Posłuchaj, nie słychać już syren. Pojechali.

Przestała się szamotać, ale wciąż drżała, nieprzytomna z przerażenia.

- Nic nie rozumiesz. Nic nie rozumiesz - powtórzyła.

- Przyśle ich... powiedział, że ich przyśle.

Po chwili wreszcie się uspokoiła. Zupełnie wyczerpana, osunęła się w ramiona Santosa, on zaś zaprowadził ją w kąt sali, gdzie pod ścianą leżał jakiś stary materac.

- Chcesz o tym porozmawiać?

Nie odpowiadała przez długą chwilę, ale Santos miał wrażenie, że chce mu opowiedzieć o sobie. Że musi zebrać siły, uporządkować myśli i że zaraz zacznie.

- Myślałam, że to po mnie - zaczęła głuchym głosem.

- Myślałam, że... to on ich przysłał.

- Myślałaś, że szukają cię gliny?

Skinęła głową i skuliła się jeszcze bardziej.

- Dlaczego? - mruknął Santos bardziej do siebie niż do dziewczyny. - Mówisz, że to on ich nasłał na ciebie. To znaczy kto?

- Mój ojczym. On też jest gliną. Groził mi, krzyczał, żebym nie próbowała uciekać, bo i tak mnie znajdzie.

Znajdzie, a potem...

Nie dokończyła. Santos mógł się tylko domyślać, czym facet mógł jej grozić, skoro była tak śmiertelnie wystraszona. Do tej pory też musiał się z nią obchodzić okropnie, inaczej nie uciekłyby z domu. Sukinsyn. Santos splótł palce, oparł brodę na dłoniach.

- Mieszkam z mamą. Jest fajna, ale ojciec był strasznym kutasem. Lał mnie. Już nie żyje. Domyślam się, że twój ojczym jest niewiele lepszy.

- Nienawidzę go - powiedziała z zacięłością. - On... mnie dotyka.

Santos zeszywniał na te słowa.

- I dlatego uciekaś.

- Miałam do wyboru: albo uciec, albo skończyć ze sobą. - Usiadła na materacu, wyprostowała się. Jej twarz

mówiła, że naprawdę zastanawiała się nad samobójstwem.

- Zabrakło mi odwagi.

- Mówiłaś o tym komuś?

- Matce, ale mi nie uwierzyła. Powiedziała, że kłamię, że jestem... małą ladacznicą.

Santos zaklął pod nosem. Nie był zaskoczony opowiadaniem Tyny, słyszał już niejedną taką historię.

- Nie mogłaś zwrócić się do nauczycielki, sąsiadki, do kogokolwiek?

- On jest gliną, pamiętaj. Kto by mi uwierzył, skoro własna matka nie chciała mnie słuchać?

- Przykra sprawa - westchnął Santos, ściskając mocniej jej dłoń.

- Beznadziejna. - Tina odwróciła głowę. - Żałuję, że stchórzyłam, że nie miałam odwagi połknąć tych proszków. Miałam je już w ręku... i nie mogłam.

- Nie mów tak. Cieszę się, że tego nie zrobiłaś. - Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się blado. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze, Tino.

- Na pewno. Nie mam forsy, nie mam dokąd pójść...

- Ukryła twarz w dłoniach i znowu zaczęła płakać. - Boże, tak strasznie się boję. Nie wiem, co robić. - Opuściła ręce i spojrzała na Santosa bezradnie. - No powiedz, co ja mam teraz robić?

On też nie wiedział. Nie potrafił jej pomóc, nie umiał poradzić. Mógł tylko pocieszać. Objął ją więc mocno i trzymał w ramionach, póki się nie wypłakała. W sali zrobiło się cicho. Reszta towarzystwa już wyszła, każdy w swoją stronę.



Zostali tylko we dwoje. Przypomniał sobie, że matka niedługo wróci do domu. Jeśli go nie zastanie, już po nim.

- Muszę iść, Tino - powiedział z żalem, wypuszczając ją z objęć. - Ja...

- Nie zostawiaj mnie. - Chwyliła go kurczowo za rękę.

- Okropnie się boję. Pobądź ze mną jeszcze trochę, proszę. Nie idź jeszcze, Santos.

Santos westchnął. Nie mógł jej zostawić. Nie miała nikogo, nie miała dokąd pójść. Lucia powinna zrozumieć. Owszem, zrozumie, ale najpierw go zabije.

Zaczęli rozmawiać. Santos opowiadał o sobie, o swoim życiu, o matce, o ojcu, o szkole, o tym, jak się mieszka w Dzielnicy. Tina mówiła o swoim prawdziwym ojcu, o tym, jak bardzo go kochała i jak umarł.

W jej głosie był ból i straszna tęsknota. Dopiero słuchając Tyny, Santos zdał sobie sprawę, co to naprawdę znaczy stracić kogoś ukochanego. Kiedy umarł ojciec, nie czuł nic poza bezmierną ulgą, ale nigdy się nie zastanawiał, jak by zareagował, gdyby nagle zabrakło w jego życiu matki.

Chybaby tego nie przeżył.

Później zwierzali się sobie ze swoich marzeń i planów na przyszłość, w końcu obydwójce zmogło zmęcznie.

- Naprawdę muszę już iść, Tino. Matka mnie zabije. Tina zbladła jak płótno, ale dzielnie skinęła głową.

- Wiem. Musisz iść.

- Opowiem jej o tobie. Zapytam, czy nie mogłabyś na razie zostać z nami. Obiecuję ci, że o tym porozmawiam.

- Ujął jej twarz w dłonie. - A ty zostań tutaj, jutro przyjdę po ciebie, masz na to moje słowo.

Nachylił się i pocałował przerażoną Tinę w usta. Po chwili odsunął się, równie zdziwiony jak ona tym, co przed chwilą zrobił. Spojrzał jej w oczy, po czym pocałował jeszcze raz, tym razem mocno, głęboko.

Tina zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

- Nie idź, proszę. Nie zostawiaj mnie samej.

Przez moment Santos gotów był ulec. Już się spóźnił, w domu czekała go awantura, jakiej jeszcze nie było. Właściwie nie miało znaczenia, czy wróci teraz, czy rano.

W uszach słyszał jeszcze słowa matki: „Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym cię straciła.” Kiedy nie wróci, pewnie pomyśli, że stało się z nim coś strasznego. Być może już zawiadomiła policję albo krąży po ulicach i sama go szuka.

- Nie mogę - szepnął. - Chciałbym, ale nie mogę. Pocałował ją jeszcze raz, uwolnił się z jej objęć, wstał.

- Przyjdę jutro. Obiecuję, Tino. Wrócę na pewno.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minął sklep z neonowym zegarem w witrynie. Blask jarzeniówek kładł się na chodniku upiornym żółtawo-zielonym światłem. Już po czwartej. Rany, matka naprawdę go zabije.

Nie próbował przemykać zaułkami, lecz wybrał najprostszą, najkrótszą drogę do domu. Szedł szybko, chwilami biegł. Zwykle ludne ulice, o tej porze świeciły pustkami.

Cały czas zastanawiał się, jak udobruchać matkę, jak ją przekonać, żeby Tina zatrzymała się u nich przynajmniej na kilka dni. Bał się, że rozwścieczona jego eskapadą, Lucia nie będzie chciała go słuchać.

Przed oczami widział twarz dziewczyny, słyszał jej błagania, żeby nie zostawiał jej samej. Nerwowo zaciskał i rozkurczał palce. Powinien był zabrać ją ze sobą do domu, prośbą i groźbą zmusić matkę, by dała jej schronienie. Lucia Santos miała miękkie serce. Wystarczyłoby jedno spojrzenie w przerażone oczy Tiny, a na pewno by uległa.

Zwolnił. Chciał wracać do starej szkoły, ale rozmyślił się po chwili. Prawie świtało. Tina powinna być bezpieczna w swojej kryjówce. Spróbuje najpierw ułagodzić matkę i rano pójdzie po dziewczynę.

Skręcił z Dauphine Street w jakiś zaułek i po chwili był na Ursuline, dwie przecznice od domu. Dostrzegł w oddali trzy wozy policyjne i karetkę. Stały w pobliżu ich kamienicy.

Zwolnił, zmrużył oczy. Nie w pobliżu, tylko dokładnie pod ich kamienicą. Pod jego domem.

Rzucił się biegiem w tamtą stronę.

Policja ogrodziła teren taśmą. Pomimo wczesnej godziny wokół zebrał się wianuszek gapiów. Dostrzegł wśród nich sąsiadkę z parteru.

- Co się stało? - zagadnął, z trudem chwytając powietrze.

- Nie wiem. - Starsza pani zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. - Ktoś nie żyje. Chyba morderstwo.

- Kto? - Santos czuł, jak wzbiera w nim panika. Serce zaczęło bić niespokojnie.

Sąsiadka wzruszyła ramionami i zapaliła papierosa.

- Nie mam pojęcia. Może nikt.

Widząc, że niczego się nie dowie, zaczął rozglądać się za matką. Liczył, że dojrzy ją pomiędzy gapiami, ale nie - nigdzie nie mógł jej dostrzec.

To jeszcze nic nie znaczy, powtarzał sobie, walcząc z ogarniającym go przerażeniem. Nie wszyscy wylegli na ulicę. Być może matka przyjmuje jednego ze swoich „przyjaciół”, może wyszła z domu szukać syna. A może przerażona, że nie wrócił na noc, zawiadomiła policję.

Ale po co w takim razie karetka?

Santos pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z koszmaru. Jeszcze chwila, a zwymiotuje. Musi zobaczyć matkę, upewnić się, że nic się jej nie stało. Zaczął się przeciskać pomiędzy gapiami, przeszedł pod taśmą policyjną i ruszył w kierunku wejścia do budynku.

- Hej, mały!

Odwrócił się. W jego kierunku szedł jeden z policjantów.

- Zdaje się, że kogoś zamordowali - szepnęła jakaś kobieta.

- Do ciebie mówię. - Policjant położył dłoń na kaburze pistoletu. - Dokąd to?

- Chcę wejść. - Santos ledwie mógł mówić. - Mieszkam tutaj.

- Naprawdę?

- Tak - przytaknął, wycierając spocone dłonie o spodnie. - Matka na mnie czeka. Spóźniłem się... musi być bardzo niespokojna.

Zbliżył się drugi policjant. Miał młodą, dziecięcą twarz, łagodne błękitne oczy; aż dziw, że taki dzieciak nosił już odznakę i broń.

- Nazywasz się jakoś? - spytał starszy z gliniarzy.

- Victor Santos.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Santos?

Skinął głową, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Gdzie byłeś dzisiaj w nocy, Victorze?

- Z kumplami... wyszedłem, kiedy matka poszła do pracy. Obiecałem jej, że będę siedział w domu, ale... - wziął głęboki oddech, miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę. - Zlitujcie się, ona tam pewnie umiera ze strachu.

- Masz przy sobie jakiś dokument?

- Nie, ale moja mama może...

- Ile masz lat, Victorze?

- Piętnaście. - Znowu przypomniały mu się ostrzeżenia matki, jej strach przed opieką społeczną. Zaczął drżeć. - To nie jej wina, tylko moja. Ona jest naprawdę dobrą matką, dba o mnie. - Spojrzał błagalnie na młodszego policjanta, tego o łagodnej, dziecięcej twarzy. - Urwałem się z domu wieczorem. Matka ukręci mi łeb, kiedy mnie zobaczy. Proszę, nie zawiadamiajcie opieki społecznej.

Policjanci ponownie wymienili spojrzenia.

- Uspokój się, Victorze - odezwał się młodszy policjant niepewnym głosem. - Wszystko będzie dobrze.

- Co to znaczy? - Santos spoglądał to na jednego, to na drugiego z funkcjonariuszy, coraz bardziej przerażony.



- Co się stało? - Szarpnął policjanta za rękaw. – Dlaczego przyjechaliście?

Policjant uwolnił rękę, objął Santosa ramieniem i poprowadził do jednego z radiowozów.

- Usiądź, Victorze - zaczął łagodnym, uspokajającym tonem. - Zaraz sprowadzę tu kogoś, kto z tobą porozmawia.

- Ale moja matka...

- Nie martw się tym teraz. - Policjant otworzył drzwiczki. - Posiedź tutaj chwilę, a ja zaraz zawołam kolegę.

- Nie! - Santos wyrwał się i ruszył w stronę wejścia do budynku. - Idę do domu. Muszę zobaczyć się z matką.

- Obawiam się, że to niemożliwe. - Młody oficer położył mu rękę na ramieniu. W jego głosie nie było już wcześniejszej, łagodnej nuty. Nagle wydał się znacznie dojrzały, zniknęła gdzieś zabawna dzieciuchowatość.

- Masz tutaj czekać, rozumiesz?

Santos wpatrywał się ze zgrozą w twarz policjanta. Matka. Gdzie jest jego matka?

Tymczasem tłum nagle się ożywił, rozległy się podniecone szepty. Cierpliwość gapiów została wreszcie nagrodzona. Za chwilę będą świadkami sensacji. Santos skulił się, jakby ktoś smagnął go biczem.

Odwrócił się gwałtownie w stronę wejścia do budynku, skąd wynurzyło się kilku policjantów i pielęgniarze z zakrytym ciałem na noszach.

Ktoś umarł.

Został zamordowany.

Wyrwał się policjantowi i podbiegł do pielęgniarzy z noszami. Zanim ktokolwiek zdołał

go powstrzymać, zerwał prześcieradło.

Kilku funkcjonariuszy odciągnęło go natychmiast od ciała. Za późno. Zdążył zobaczyć krew i twarz ofiary, wykrzywioną w śmiertelnym grymasie.

Twarz jego matki.

Ciszę nocy rozdarł przeraźliwy krzyk. Matka nie żyje. Ktoś ją zamordował. Santos zgiął się wpół i zwymiotował na lśniące buty policjanta o dziecięcej twarzy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Siedział na korytarzu wydziału zabójstw i wpatrywał się tępo w wyłożoną starym linoleum podłogę. Był tak odrętwiały, że nic już nie czuł.

Matka nie żyje. Została brutalnie zamordowana tydzień temu. Szesnaście pchnięć nożem, w pierś, szyję, brzuch, plecy. Otrzymała rany tak okrutne, że gazety wstrzymywały się od szczegółowych opisów.

Przygryzł wargę, żeby nie jęknąć na głos. Linoleum zaczęło rozpływać mu się przed oczami. Powstrzymywał napływające do oczu łzy, chociaż przez miniony tydzień zdążył już zrozumieć, że hamowanie zewnętrznych oznak rozpaczony w niczym jej nie umniejsza.

Wokół niego panowało zamieszanie. Po korytarzu kręcili się policjanci, pod drzwiami wyczekiwały rodziny ofiar i aresztantów, doprowadzano zatrzymanych, wśród tłumu krążyli adwokaci niby zwabione krwią rekiny. W uszy wciskał się jednostajny szum, nad którym czasami wznosił się czyjś krzyk lub płacz. Od strony recepcji niósł się dudniący głos sierżanta udzielającego informacji i wskazówek. Santos oczekiwał, że lada chwila usłyszy wołanie:

- Hej, mały, detektyw Patterson chce się z tobą widzieć!

Kilka razy był już przesłuchiwany i zdążył serdecznie znienawidzić detektywa Pattersona. Na

myśl o nim zacisnął palce. Miał ochotę rąbnąć w coś pięścią, przyłożyć komuś. A najchętniej dzieliłby Pattersona w ten jego arogancki, głupi pysk.

Z „Times Picayune” i „State Item” dowiedział się szczegółów dotyczących morderstwa. Gazety rozpisywały się obszernie o śmierci Lucii Santos, relacjonowały drobiazgowo ostatnie godziny jej życia. Wieczorem, jak zwykle, pojawiła się w Klubie 69, gdzie pracowała jako tancerka. Wyszła stamtąd z jakimś przygodnym znajomym, a zabita została w domu, po odbyciu stosunku. Obok łóżka znaleziono niedojedzone jabłko.

Reporterzy pisali: prostytutka. Snuli przypuszczenia, że to jej klient był zabójcą.

Po przeczytaniu pierwszej notatki Santos zwymiotował. A potem się wściekł. W tonie informacji prasowych było coś obleśnego. Oto zginęła kolejna dziwka, zdawały się mówić, lecz czy to takie dziwne? Czy sama nie jest sobie winna? I czy to aż taka wielka strata?

Dzwonił do gazet, rozmawiał z pismakami, którzy płodzili podobne teksty. Lucia nie była prostytutką, oburzał się. Była tancerką w nocnym klubie. Była jego matką. Kochał ją.

- Przykro nam, chłopcze, że poniosłeś taką stratę - odpowiadali. - Ale my opisujemy sprawę tak, jak je widzimy.

Policjanci nie byli ani trochę lepsi, choć z nimi też usiłował rozmawiać. Z początku odnosili się do niego grzecznie, nawet jeśli traktowali go nieco z góry. Cierpliwie tłumaczyli, na czym polega ich praca. Owszem, robią co w ich mocy, ale nie natrafili dotąd na żaden trop. Przesłuchali

go, sprawdzili alibi, a potem pozbyli się jak robaka. Usłyszał klasyczne: „Nie dzwoń do nas, my odezwiemy się do ciebie” - i na tym koniec.

Lecz Santos nie wybaczyłby sobie, gdyby dał się zbyć tak łatwo. Nie mógł pozwolić, żeby zlekceważyli jego matkę, żeby zamknęli dochodzenie i machnęli ręką, uznawszy, że nie warto się przejmować śmiercią jeszcze jednej dziwki. Przychodził na policję codziennie - przynajmniej raz każdego dnia. Po tygodniu telefonów i wizyt mieli go dość i nie byli już tak uprzejmi. Informacje, których udzielali, były zdawkowe - żadnych śladów, żadnego przełomu w dochodzeniu. Następna ofiara, proszę.

Ledwie Lucia spoczęła w grobie, zamknęli sprawę. Nie powiedzieli mu o tym, ale Santos wiedział, że tak właśnie się stało. O pewnych rzeczach nie trzeba mówić, tak są oczywiste. Kto by się przejmował nic nie znaczącą dziwką, prawda?

Zanurzył twarz w dłoniach, przed oczami miał cały czas obraz matki. Tak jak wyglądała ostatniego wieczoru. Widział, jak się odwraca do niego na korytarzu i z uśmiechem macha mu ręką na pożegnanie.

Nie pocałował jej wtedy. Nie powiedział, że ją kocha. Uważał, że jest na to za duży.

Mocno zacisnął powieki. Piekły go oczy, ale nie chciał pozwolić sobie na płacz. Do głowy cisnęły się inne obrazy, koszmary wracające we śnie, z których budził się w nocy spocony i zapłakany. Wizje, w których pojawiała się matka i jej zabójca. Wołała syna, błagała go o pomoc. A potem jej zastygła twarz, znieruchomiałe ciało na noszach...

Nie było go przy niej, kiedy najbardziej go potrzebowała. Wyśmiewał się z jej lęków. Robił, co chciał, nie licząc się z jej odczuciami. Nie potrafił zatroszczyć się o jej bezpieczeństwo.

A teraz nie żyła.

Dręczyły go wyrzuty sumienia. Poczucie winy nie dawało spokoju. To przez niego sprowadziła do domu klienta: musiał ładnie się ubrać do szkoły, chodzić do drogiego lekarza. Zginęła dlatego, że nie było go w domu i nie miał jej kto obronić.

Czy pomyślała o nim przed śmiercią? Zadawał sobie to pytanie setki razy. Czy była na niego zła? Czowała się zawiedziona? Łzy dławiły go w gardle. Dlaczego jej nie posłuchał? Dlaczego siedział do późna z Tiną?

Przypomniawszy sobie o dziewczynie dopiero dwa dni po zabójstwie, tylko dlatego że policja kazała mu zrelacjonować minuta po minucie, co robił tamtego wieczoru. Nie znaleźli jej, ale kilku kumpli potwierdziło jego alibi.

Pogrążony we własnym cierpieniu, jeśli w ogóle myślał o Tinie, to mimochodem. Co się właściwie z nią stało? Czy wróciła do domu? Gdzie się podziała, kiedy po nią nie przyszedł, jak obiecywał? W gruncie rzeczy nie miało to dla niego większego znaczenia. Troskę o dalszy los Tyny koniec końców wypierały wyrzuty sumienia.

Gdyby wcześniej wrócił do domu, matka by nie zginęła. To on ponosi winę za jej śmierć.

- Dobrze się czujesz, Victorze?

Przed Santosem stał policjant o dziecięcej twarzy, którego poznał tamtego wieczoru. Jacobs - takie nazwisko widniało na odznace. Facet zachowywał się wobec niego więcej niż

pryzwoicie, pocieszał, jak umiał, chociaż nie należało to do jego obowiązków. Santosowi łzy napłynęły do oczu, próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie dobyć słowa.

Gliniarz położył mu dłoń na ramieniu.

- Naprawdę mi przykro, Victorze. Mogę ci jakoś pomóc?

Santos zacisnął pięści z całych sił.

- Znajdźcie mordercę.

- Próbujemy.

- Jasne.

Policjant puścił sarkazm mimo uszu.

- Wiem, jak musi być ci ciężko.

- Doprawdy? - zapytał Santos z bezsilną złością w głosie. - Też zamordowali ci matkę? Gliny też zlekcewały jej śmierć? Też zasłużyła sobie na wzmiankę na szóstej stronie działu miejskiego? Też myślałeś o tym, że mógłbyś

ją ustrzec przed śmiercią, gdybyś... gdybyś tylko był tego dnia w domu?

- Uspokój się. Co to znaczy, mogłeś ją ustrzec?

- A jak myślisz? - Santos jeszcze mocniej zacisnął pięści. - Gdybym był w domu... facet może by tego nie zrobił. Może by się przestraszył. A nawet gdyby nie, próbowałbym go powstrzymać, pomóc matce. Wiem, że...

- Mógłbyś zginąć, jak ona. Prawdopodobnie tak właśnie by się stało. - Jacobs spojrział mu prosto w oczy. - Ten człowiek, kimkolwiek jest, to groźny morderca. Nie przestraszyłby się piętnastoletniego chłopca. Zabija z rozmysłem, jest przebiegły. Nie zostawił po sobie żadnych śladów. Nikt go nie widział, nikt nie potrafi podać jego rysopisu. Przypuszczamy, że wcześniej już zabijał. Gdybyś był w domu, najprawdopodobniej zginąłbyś razem z matką. Takie są fakty, Victorze.

- Mogłem...

- Mogłeś być jeszcze jedną ofiarą. Kropka.

- Przynajmniej byłbym na miejscu, próbowałbym jej pomóc. Przynajmniej wiedziałaby, że ja... - zamilkł zawstydzony i odwrócił wzrok.

- Ona wiedziała, że ją kochasz. Na pewno nie chciała, żebyś i ty zginął. - Policjant poklepał Santosa po zaciśniętej w pięść dłoni. - Chodźmy porozmawiać z Pattersonem. Może ma coś nowego.

- Wątpię. Ciagle powtarza to samo.

Tego dnia nie było inaczej. Ta sama gadanina. Frazesy. Santos słuchał i narastała w



nim coraz większa wściekłość. Miał ochotę przylać głupcowi. Ulżyłoby mu, chociaż Patterson skulby go pewnie, zanim Santos zadałby pierwszy cios.

A jednak wiele by dał, żeby bodaj na moment zmasać z twarzy detektywa tę arogancką, pewną siebie minę.

- Rozumiem, chłopcze, że matka była dla ciebie kimś bardzo ważnym - mówił Patterson. - Ale mam ważniejsze sprawy. Jeśli tylko znajdziemy coś nowego, wznowimy dochodzenie.

Santos zerwał się tak gwałtownie, że krzesło poleciało z hukiem na podłogę.

- Ty sukinsynu, nawet nie próbujesz! Nic nie znajdziesz, chyba że morderca pofatyguje się do ciebie i sam przyzna do winy!

Detektyw zaplótł ręce na piersi, uniósł brew.

- I to się zdarza.

Jacobs położył dłoń na ramieniu Santosa, jakby doskonale wyczuwał, że chłopak za chwilę gotów rzucić się z pięściami na Pattersona.

- Naprawdę próbujemy, Victorze, możesz mi wierzyć. Na razie jednak nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Tłumaczyłem ci, że facet jest sprytny i przebiegły.

- Pozwolicie mu chodzić na wolności, tak? Nie obchodzi was to? Nie ma żadnego znaczenia?

- Owszem, ma, ale nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Możemy tylko czekać.

Santos pokręcił głową.

- Czekać? Co chcecie...

- On zrobi to znowu - rzucił Patterson, jakby odganiał się od natrętnych pytań, i

ponownie usiadł za biurkiem. - W końcu popełni jakiś błąd. Wtedy będziemy go mieli.

- No tak. Po cholere macie się nim zajmować? W końcu facet załatwia dziwki, więc o co chodzi? Wydaje się wam, że była nikim. Kurwą z ulicy. A że ktoś ją zadźgał? Olać to. Otóż nie. - Santos podszedł do biurka Pattersona. Zmrużył oczy. - Ona była moją matką, kutasie. I obchodzi mnie, kto ją zabił.

- Victor... - wtrącił cicho Jacobs. - Chodź już, postawię ci colę.

Santos nie spuszczał wzroku z twarzy Pattersona.

- Znajdę tego człowieka, rozumiesz, glino? Dojdę, kto zabił moją matkę. Zapłaci za to.

Detektyw westchnął z rezygnacją, miał już wyraźnie dość tej rozmowy.

- Co możesz zrobić? Taki smarkacz... -  
Pokręcił głową. - Tyle osiągniesz, że sam zginiesz. Zostaw to nam.

- Zostawiłbym, gdybyście cokolwiek robili - warknął Santos, jeżąc się na protekcyjnalny ton.

- Dostyc. Nie będę z tobą dłużej dyskutował. Powiedziałem: robimy, co możemy. A teraz do widzenia, mam pilną robotę.

- Jasne, panie detektyw. - Santos nagle zapomniało pozycji Pattersona i o własnych zahamowaniach. Po raz pierwszy w życiu poczuł się mężczyzną. Patrzył na zwalistego mężczyznę za biurkiem jak na równego sobie. - Zapamiętaj sobie: nie wiem jak, nie wiem kiedy, ale znajdę tego sukinsyna, który ją zabił. Będzie musiał zapłacić za to, co zrobił. - Oparł dłonie na biurku, pochylił się i dokończył przez zaciśnięte zęby: -  
Dotrzymam słowa, detektywie Patterson.

### CZĘŚĆ III

Gloria

## ROZDZIAŁ ÓSMY

*Nowy Orlean, Luizjana, 1974*

Siedmioletniej Glorii Aleksandrze St. Germaine świat jawił się miejscem tyleż magicznym, co przerażającym. Oferował wszystko, o czym mogła zamarzyć mała dziewczynka: śliczne sukienki przystrojone koronkami i falbankami, piękne lalki o jedwabistych włosach, które można czesać, lekcje jazdy na własnym kucyku, miniaturowe serwisy z prawdziwej porcelany, na których wydawała przyjęcia w altanie. Wystarczyło tylko wskazać palcem, powiedzieć „chcę” - i życzenie się spełniało.

A wszystko dzięki cudownemu tacie, który wyczarowywał dla niej ten magiczny świat. Kiedy był blisko, nie mogło zdarzyć się nic złego. Przy nim czuła się bezpieczna i wyjątkowa - najbardziej wyjątkowa na całym świecie. Nazywał ją swoim małym skarbem i choć określenie to wydawało się jej trochę za dziecinne dla panny, która miała wkrótce przejść do drugiej klasy, choć obruszała się, ilekroć zwracał się tak do niej przy ludziach, w gruncie rzeczy bardzo je lubiła.

Dla mamy natomiast zawsze była tylko Głorią Aleksandrą.

Poruszyła się na niewygodnym krześle.

Pupa zdrętwiała jej od długiego siedzenia w kącie. To jej kąt. Kąt dla niegrzecznych dzieci.

Z ciężkim westchnieniem zaczęła rysować na podłodze esy-floresy czubkiem lakierka, ale ostrożnie, żeby nie zostawić śladu. Kiedy mama przyjdzie uwolnić ją od kary, sprawdzi dokładnie, czy Gloria znowu czegoś nie zbroiła. W końcu szła do kąta po to, żeby się modlić i zastanowić nad swoim zachowaniem. Mama za każdym razem wbijała jej to do głowy. „Glorio Aleksandro - mówiła - idź do kąta i zastanów się, czego Pan Bóg oczekuje od małych dziewczynek.”

Westchnęła ponownie. Inne matki mówiły do swoich córek „kochanie, myszko, moja maleńka”, lecz jej mama nigdy jej tak nie nazywała. Gloria zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć, czy matka kiedykolwiek zwróciła się do niej pieszczotliwym imieniem.

Nie. Ani razu.

Bo mama jej nie kocha.

Podciągnęła kolana pod brodę, zacisnęła powieki. Ach, gdyby przykre myśli mogły zniknąć równie łatwo, jak znika świat, kiedy zamknie się oczy. Cóż, kiedy nie znikają. Ciągle tkwiły w głowie i niosły strach. Strach i smutek.

Wiele razy próbowała przekonywać siebie, że jednak mama ją kocha. Po prostu trochę się różni od innych mam - nie lubi przytulania się, pieszczot, uścisków, od serdeczności ważniejsza jest dla niej dyscyplina - ale mimo wszystko ją kocha.

Niestety, Gloria nie dowierzała własnym zapewnieniom. W głębi serca wiedziała, że to, co usiłuje sobie wmówić, jest nieprawdą, prawda zaś wygląda zupełnie inaczej.

Łzy napływały jej do oczu. Dlaczego mama jej nie kocha? Co złego zrobiła? Przecież stara się być grzeczna, stara się słuchać we wszystkim mamy, a mimo to mama jest wiecznie z niej niezadowolona. Przeszkadza jej, że Gloria śmieje się tak głośno i tak często. I że biega, kiedy powinna chodzić powoli. I że śpiewa piosenki, zamiast modlić się w skupieniu. I że stara się zjednać sobie sympatię innych ludzi.

Znowu westchnęła. W oczach mamy zdobywanie ludzkich serc było czymś zdrożnym i nagannym, a przecież Gloria nie zabiegała o to, nie musiała się specjalnie starać, by ludzie ją lubili. Wystarczył uśmiech.

Opuściła nogi. Marzyła, żeby wstać wreszcie z krzesła i pobiec do zabawy. Uwielbiała się śmiać, śpiewać, tańczyć, skakać, ale to też nie podobało się mamie, która powtarzała, że Pan Bóg oczekuje od swoich dzieci przede wszystkim pokory. Gloria próbowała o tym pamiętać, czasami jednak matczyne napomnienia wylatywały jej z głowy. Tak jak dzisiaj.

Zacisnęła pięści. Dlaczego nie mogła zachowywać się tak, jak chciała mama? Po policzku spłynęła samotna łza. Mama niedługo powinna przyjść i zwolnić ją z kary. Robiło się ciemno, niedługo zacznie się kolacja. O tej porze zwykle wolno jej było wyjść z kąta, by zasiąść z rodzicami przy stole.

Na myśl o jedzeniu zaburczało jej w brzuchu, ślinka pociekła, gdy Gloria przypomniała sobie gorące grzanki z serem, która Kucharcia zrobiła na lunch. Nie mogła ich zjeść, bo znowu napsociła.

- Mamo, mogę już wyjść? - zawołała. -

Obiecuję, że będę już grzeczna!

Cisza. Gloria przygryzła wargę. Żołądek bolał ją z głodu tak bardzo, że miała ochotę włożyć kciuk do buzi i zacząć ssać. Ale gdyby mama to zobaczyła, znowu zadałaby jej karę. Objęła ramiona rękami, żeby się powstrzymać przed brzydkim zachowaniem. Ciało jest nieczyste, tak mówiła mama.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku i odwróciła się z nadzieją w stronę drzwi.

- Mama?

- Nie, kochanie, tatuś.

- Tatku! - Zeskoczyła z krzesła, podbiegła w podskokach do ojca. Jego nie musiała prosić o pozwolenie, by wyjść z kąta. Nie musiała go przeproszać, tłumaczyć, co przemyślała i co zrozumiała podczas kary. Tata ją kochał taką, jaką była, nawet jeśli nabroiła.

Chwycił ją w ramiona i mocno wyściskał.

Kiedy zaś już postawił ją z powrotem na ziemi, domyśliła się z jego miny, że dzisiaj znowu usłyszy podniesione głosy rodziców. Tata będzie mówił mamie, że jest za surowa, a ona odpowie mu na to, że jest zbyt pobłażliwy i że przy jego wychowaniu Gloria wyrosłaby na pustą, rozkapryszoną dziewczynę.

Kłótnie rodziców zawsze kończyły się w ten sam sposób - grobowym milczeniem. Pewnego razu Gloria podkrađła się pod drzwi ich sypialni i zaczęła podsłuchiwać. Słyszała jęki taty, jakby coś strasznie go bolało, i śmiech mamy - triumfalny śmiech osoby, która wie, że panuje nad innymi. W pewnej chwili coś w sypialni upadło i uderzyło z łoskotem o podłogę. Gloria przerażona przemknęła czym prędzej do swojego pokoju, wskoczyła do łóżka i przykryła się kołdrą po sam czubek nosa.

Zdyszana, z bijącym sercem czekała, że za chwilę wejdzie mama i znowu ją ukarze. Albo powie, że tata nie żyje. Co będzie, jeśli tata umrze?

Nie, nie może umrzeć. Ona też wtedy umrze.

Tamtej nocy już nie usnęła.

- Skarbie? - Ojciec wziął ją pod brodę i



spojrzał w strapioną buzię. - Wszystko w porządku?

- Tak. - Szybko zwiesiła głowę, żeby nie zobaczył napływających do oczu łez. - Ja... byłam niegrzeczna, tatusiu. Przepraszam.

Nie odpowiedział, lecz kiedy zerknęła na niego, zauważyła, że ojciec walczy ze sobą. Ze ma jej coś do powiedzenia, czego nie może wyartykułować.

- Zerwałam trochę kwiatów w ogrodzie i dałam je panu Rileyowi - tłumaczyła. - On jest taki miły. Chciałam mu zrobić przyjemność, żeby się uśmiechnął, bo zawsze jest taki smutny. Naprawdę przepraszam, nie zrobię tego więcej.

Ojciec przykucnął obok niej.

- Nic się nie stało, skarbie. Mamy mnóstwo kwiatów w ogrodzie. To dobrze, że chcesz, by ludzie byli szczęśliwi. Powiedziałem mamusi, że możesz zrywać, ile tylko zapragniesz... i róż, i tulipanów, i żonkili. I dawać je, komu tylko zapragniesz. Mamusia nie wiedziała, ale teraz już wie. - Zacisnął wargi. - Rozumiesz, maleńka?

- Rozumiem, tatusiu.

Tak, ona rozumiała, to tata niczego nie rozumiał. Gdyby robiła wszystko, na co jej pozwalał - zbierała kwiaty, wybiegała z kościoła w podskokach po skończonej mszy, bawiła się w chowanego - matka nie naznaczyłaby żadnej kary, ale pod jej spojrzeniem Gloria i tak czułaby się złym, wstrętnym dzieckiem. W takich razach umierała ze wstydu, miała ochotę skurczyć się i schować w mysią dziurę.

Przeszedł ją dreszcz. Nie mogła znieść karcącego spojrzenia matki, było znacznie gorsze

niż siedzenie w kącie.

A zatem pomimo pozwolenia taty nie będzie już zrywała kwiatów ani dla pana Riley'a, ani dla nikogo innego - chyba że się zapomni i znowu zrobi coś, nie pomyślawszy wcześniej, czy może.

- Mam pomysł - zagadnął ojciec wesoło. - Zjemy dzisiaj kolację w hotelu, w Sali Renesansowej, co ty na to?

Gloria nie wierzyła własnym uszom. W każdą niedzielę po mszy tata zabierał ją na French Market, na bagietki i *cafe au lait*. Szli tam tylko we dwoje. Po lunchu zabierał ją do St. Charles, oprowadzał, tłumaczył, jak funkcjonuje hotel, pozwalał objadać się słodyczami w hotelowej kawiarni, udawał, że nie widzi, kiedy podkradała miętowe czekoladki, które sprzątaczkę zostawiała gościom na dobranoc na poduszce w każdym pokoju.

Jednak jeszcze nigdy dotąd nie zabrał jej do Sali Renesansowej, najlepszej, pięciogwiazdkowej restauracji w St. George. Mama mówiła, że Gloria jest za mała i że nie umie się zachować, więc nie powinna tam być.

- Zjemy w Sali Renesansowej, naprawdę?  
- powtórzyła z niedowierzaniem.

- Naprawdę.

Przypomniała sobie o matce i nagle cała radość prysła. Wizyty w hotelu przestawały ją cieszyć, kiedy obok była Hope. Musiała wtedy zachowywać się jak trusia i trzymać buzię na kłódkę. Uważać, żeby nie siorbać, nie mlaskać, używać serwetki. Przy mamie zwykle uśmiechnięci kelnerzy stawali się sztywni i poważni; nie puszczali oka do Glorii i nie

podsuwali smakołyków.

Zwiesiła smutno głowę.

- Mama mówi, że jestem za mała, żeby chodzić do Sali Renesansowej.

- Nie zaprosimy jej. Pójdziemy tylko we dwójkę, ty i ja. - Ojciec uśmiechnął się przebiegle.

- Tylko pamiętaj, musisz włożyć sukienkę i najlepsze buciki. Te, które cisną.

Gloria mogłaby włożyć nawet ciżmy z żelaza, byle iść z ojcem do Sali Renesansowej.

Buciki rzeczywiście cisnęły. Wystarczyła krótka droga z domu do hotelu, a już ją bolały palce stóp. Spojrzała na fasadę St. Charles z nabożnym podziwem. Uwielbiała ten budynek i wszystko, co się z nim wiązało: wyłożone boazerią, staroświeckie windy, które tak śmiesznie skrzypiały, kiedy rozwoziły gości, ożywioną, zawsze pełną ludzi recepcję, zapach politurę zmieszany z zapachem kwiatów.

Wszyscy ją tutaj lubili. Mogła się tutaj śmiać, skakać i objadać do woli miętowymi czekoladkami. Nikt jej nie strofował, nie wypominał złego zachowania, nie robił srogich min.

Lubiła hotel także dlatego, że należał do taty i jakoś dziwnie był do niego podobny. W hotelowych wnętrzach czuła się bezpieczna, niczym w ramionach Philipa.

Czasami podejrzewała, że mama nienawidzi Hotelu St. Charles równie mocno, jak ona i tata go kochają. Może dlatego, że władza mamy tutaj nie sięgała, że mama nie miała tu nic do powiedzenia. Ilekroć próbowała rozmawiać o hotelu, tata odpowiadał jakoś ostro, z gniewem. Nigdy takim go nie słyszała.

Uśmiechnięty boy otworzył przed Gloria drzwi samochodu.

- Dobry wieczór. Co słychać, moja panno?

- Dziękuję, wszystko dobrze.

- Zostaniemy na kolacji, Eryku. - Ojciec wręczył chłopcu kluczyki i wziął córkę za rękę. - Gotowa?

Kiedy skinęła głową, ruszyli ku wejściu.

- Dobry wieczór, panno St. Germaine, miło znowu widzieć pannę w naszych progach - witał ją wylewnie szwajcar.

- Dziękuję, Edwardzie - odpowiedziała tonem dorosłej damy. - I ja się cieszę, że pana widzę. Przyjechaliśmy na kolację. - Tu zniżyła głos. - Jemy dzisiaj w Sali Renesansowej.

- A to pogratulować. Mają dzisiaj, tak mówili, pyszną melbę z truskawkami. - Tu zrobił oko, a Gloria zachichotała.

Ręka w rękę wkroczyła z ojcem do holu - i zaparło jej dech w piersiach. Hotel zawsze zdawał się jej taki wspaniały. Z sufitu zwieszał się ogromny żyrandol rzucający świetliste refleksy na ściany i podłogę, połyskiwały mosiężne ozdoby i wypolerowane boazerie z cyprysu. Mama mówiła, że wnętrza St. Charles są zbyt bogate, ale dla Glorii było to najpiękniejsze miejsce pod słońcem.

- Jestem z ciebie bardzo dumny - szepnął tata, ściskając jej dłoń. - Pewnego dnia będziesz zarządzała tym hotelem. Już teraz widać, że świetnie sobie poradzisz.

Gloria rozpromieniła się na tę pochwałę. Ojciec przyprowadzał ją do St. Charles od chwili, kiedy zaczęła chodzić, wyjaśniał wszystko, co wiązało się z prowadzeniem hotelu. Wielu rzeczy nie rozumiała, ale zawsze słuchała pilnie ojcowskich słów, szczęśliwa, że traktuje ją jak dorosłą osobę. To właśnie dzięki tym rozmowom zdążyła już nieźle poznać St. Charles i wiedziała, na czym polega zarządzanie rodzinną firmą.

Hotel miał sto dwadzieścia pięć pokoi i apartament zajmujący ostatnie piętro, gdzie nocowało trzech prezydentów USA: Roosevelt, Eisenhower i Kennedy. W St. Charles zatrzymywali się też wszyscy gubernatorzy Luizjany, od czasu gdy hotel otworzył swoje podwoje, a także gwiazdy filmowe: Clark Gable, Marilyn Monroe, Robert Redford. Nie dalej jak przed rokiem mieszkał tutaj Elton John, chociaż tata wcale nie był szczęśliwy, że przyjazd piosenkarza ściągnął do hotelu tłumy nastolatków polujących na autografy.

Gloria i Philip przeszli przez hol. Po lewej znajdowała się recepcja, po prawej bar, gdzie późnym popołudniem goście popijali herbatę z biskwitami i konfiturą. Pomiędzy recepcją i barem usytuowane było wejście do Sali Renesansowej.

Ojciec zatrzymał się na chwilę przy recepcji.

- Dobry wieczór, panie St. Germaine, dobry wieczór, panienko - dziewczyna za ladą przywitała ich uśmiechem.

- Witaj, Madeline. Jak tam dzisiaj?
- Dziękuję, spokojny dzień, mimo że prawie wszystkie pokoje mamy zajęte.
- A w sali restauracyjnej?
- Sporo gości.
- Gdzie Marcus? - zapytał Philip, mając na myśli kierownika nocnej zmiany.

Dziewczyna zawahała się przez chwilę.

- Chyba w barze.

- Będziemy w sali restauracyjnej. Jeśli go zobaczysz, przyslij do mnie.

- Jesteś wściekły na Marcusa, prawda? - zagadnęła Gloria, kiedy ruszyli w stronę wejścia do restauracji.

- Nie, nie jestem wściekły, tylko trochę zawiedziony. Marcus opuszcza się w pracy.

Gloria zacisnęła usta.

- On pije, prawda?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdziwił się ojciec.

- Widziałam go w barze. Nie jestem już małym dzieckiem.

Philip zaśmiał się.

- Racja, niedługo skończysz osiem lat, jesteś prawie dorosła. - Widząc nadąsaną minę córki, zmierzwił jej włosy i przepuścił w drzwiach. - Wchodź, skarbie, damy mają pierwszeństwo.

Przeszli przez niewielki przedsionek do stanowiska szefa sali. Philip zamienił z nim kilka słów i poprowadził córkę do stolika, rozglądając się przy tym bacznie wokół, witając znajomych sobie gości i pozdrawiając tych, których widział po raz pierwszy. Przystawał, pytał, czy są zadowoleni, życzył miłego wieczoru, zapraszał do ponownych odwiedzin.

Kiedy dotarli do stolika, odsunął krzesło dla Glorii, zaczekał, aż córka usiądzie, i dopiero sam zajął miejsce.

- Wszystko musi działać bez zarzutu. Tego właśnie ludzie oczekują po St. Charles. Nigdy nie zapominaj, jakie mamy zobowiązania

wobec naszych gości.

- Nigdy nie zapomnę - przytaknęła z powagą. - Możesz na mnie liczyć, tatusiu.

Uśmiechnął się na te słowa.

- Pamiętaj też, że ważna jest domowa atmosfera, kontakt z ludźmi. St. Charles to firma rodzinna i goście powinni czuć się tutaj jak w domu.



- Tak, tatusiu.

- Stół powinien być nieskazitelny, żadnej zmarszczki na serwecie, najmniejszej plamki. - Uniósł kolejno wszystkie sztucce, sprawdzając, czy są wypolerowane do połysku.

- Żadnych odcisków palców, śladów po wodzie. - Obrócił w dłoni kieliszek, obejrzał pod światło. Gloria poszła za jego przykładem, z przejściem naśladowując każdy gest.

- W wazonach zawsze świeże kwiaty - ciągnął Philip.

- Zwiędnięte trzeba od razu wyrzucać.

- Zastawa nie może być popękana ani wyszczerbiona

- podjęła Gloria. - Nawet najdrobniejsze ukruszenie jest... - zamilkła, szukając właściwego określenia.

- Nie do przyjęcia - odpowiedział.

- Właśnie, nie do przyjęcia.

Pochylił się ku Glorii.

- Ludzie oczekują w St. Charles wszystkiego, co najlepsze, a my musimy dbać, żeby byli zadowoleni. Inaczej poszukają sobie innego miejsca.

Podczas kolacji ojciec nadal mówił o hotelu. Opowiadał o swoim ojcu i dziadku, o początkach St. Charles. Gloria знаła większość tych opowieści, ale mogła słuchać ich w nieskończoność. Za każdym razem wypytywała skwapliwie o szczegóły, a Philip odpowiadał, zadowolony z niej i dumny.

Dopiero kiedy zamówili deser, wróciła myślami do matki. Nie widziała Hope przez całe popołudnie.

- Gdzie poszła mamusia? - zapytała, zlizując z kciuka kroplę syropu truskawkowego.

Philip upił łyk kawy.

- Do kościoła.

- Rano też byliśmy w kościele. Mama musi bardzo gniewać się na mnie, że dałam kwiaty panu Rileyowi.

- Już ci tłumaczyłem, mamusia się pomyliła. Możesz dawać kwiaty, komu tylko chcesz.

Gloria spojrzała mu w oczy i szybko opuściła głowę.

- Tak, tatusiu - przytaknęła bez przekonania.

- Mamusia bardzo cię kocha. Chce, żebyś wyrosła na porządnego człowieka, dlatego czasami zwraca ci uwagę, ale nie chce ci robić przykrości, pamiętaj.

- Tak, tatusiu - powtórzyła. Zerknęła na ojca, ale i on, podobnie jak ona, nie wierzył chyba we własne zapewnienia. Pewnie się zastanawiał, co takiego jest w jego córeczce, że matka jej nie kocha.

Gloria miała ochotę umrzeć.

- Co się dzieje, skarbie?

- Nic, tatku - szepnęła smutno. Philip zamyślił się na chwilę, a ona modliła się w duchu, by zadał jej jakieś pytanie i zmusił do wykrztuszenia prawdy. On jednak milczał, a kiedy odezwał się w końcu, w jego głosie dosłyszała fałsz:

- Myślałaś już, co chcesz na urodziny?

- To jeszcze dwa miesiące.

- Dwa miesiące przelecą, nie będziesz nawet wiedziała kiedy. Powinnaś się zastanowić.

Owszem, zastanowiła się. Pragnęła tego samego, co w zeszłym roku, tego samego, czego życzyła sobie na każde urodziny.

Żeby mama ją kochała.

- Nie, nie zastanowiłam się - mruknęła.

- Nic nie szkodzi. - Philip położył jej rękę na zaciśniętej dłoni. - Ja coś już upatrzyłem, w sam raz na ósme urodziny mojego skarbu.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, uściśnęła małą łapkę.

- Chodź, przejdziemy się po hotelu przed powrotem do domu.

- Dobrze - bąknęła przez łyżę.

Z początku była tak osowiała, że nie cieszył jej zwykły rytuał, ale stopniowo rozchmurzyła się, ulegając magii St. Charles. Była znów szczęśliwa, że przemierza hotelowe sale u boku ojca. Tata ją kochał, tego była pewna, obydwójce też kochali to miejsce. Tutaj mama nie mogła zrobić jej nic złego.

Kiedy obeszlili już wszystkie piętra i upewnili się, że wszystko jest w idealnym porządku, Philip wezwał windę - inspekcja dobiegła końca.

- Najważniejsza jest frekwencja - powiedział, gdy wsiadali do pustej kabiny. - Hotel powinien być zawsze pełen gości. Puste pokoje to stracone pieniądze, tym bardziej że personel musi utrzymywać zawsze ten sam standard, czy mamy dwudziestu gości, czy dwustu, rozumiesz?

Skinęła głową, a ojciec mówił dalej:

- Musisz być dobrą właścicielką, przede wszystkim dbać o potrzeby gości, dopiero potem o własne interesy i własne przyjemności. Nigdy nie rozdawaj za darmo tego, co możesz sprzedać. Nie urządź kosztownych bankietów dla przyjaciół, nie faworyzuj ludzi, których lubisz. Napatrzyłem się na hotelarzy, którzy tak postępując, wpadali w tarapaty i bankrutowali. Pilnuj, żebyś nigdy nie znalazła się w sytuacji, w której przyjdzie ci sprzedać St. Charles. To miejsce należy do rodziny, zawsze o nie dbaliśmy, zawsze było dla nas najważniejsze. Zawsze.

- Nie zniosłabym, gdybyśmy kiedyś musieli sprzedać St. Charles - powiedziała cicho, podnosząc główkę. - Bardzo kocham nasz hotel.

- To dobrze. Pewnego dnia będzie należał

do ciebie.

- Drzwi windy otworzyły się, ale ojciec nie wychodził z kabiny. Wziął Glorię za rękę i mocno uściskał małą łapkę.

- St. Charles to twoje życie, skarbie. Twoja spuścizna.

- Wiem, tatusiu.

- Widzisz, hotel i rodzina to dwie najważniejsze rzeczy. One wyznaczają, kim jesteś, kim będziesz w przyszłości. Pamiętaj o tym, bo tego nikt ci nie zabierze.

Gloria postanowiła zapamiętać słowa ojca na zawsze.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gloria obudziła się nagle. Nie otworzyła oczu, ale wiedziała, że obok jej łóżka stoi matka i przygląda się jej w milczeniu. Czuła jej obecność, jej przenikliwe, palące niczym piętno spojrzenie.

Mijały sekundy, minuty, Gloria nie podnosiła powiek, bo nie chciała, by matka zorientowała się, że nie śpi. Nie chciała też oglądać twarzy Hope. Znała tę minę, to spojrzenie, broniła się przed nimi.

Poczuła, że oblewają zimny pot, serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe. Czas jakby się zatrzymał i myślała teraz tylko o jednym: żeby matka wyszła jak najszybciej z pokoju i zostawiła ją samą.

Ale matka wcale nie spieszyła się do wyjścia. Przeciwnie, podeszła jeszcze bliżej. Gloria słyszała ciche szuranie kapci, kolana matki dotknęły materaca. Hope nachyliła się nad jej głową.

Śmiertelnie wystraszona, Gloria poczuła suchość w ustach. A jeśli to nie mama? Może to ktoś obcy, jakiś potwór?

Może sam diabeł?

Zduśnięta narastający w gardle krzyk. Oczami wyobraźni widziała kosmatą bestię, która zakradła się do domu, żeby zabrać jej duszę.

Zacisnęła kurczowo palce na prześcieradle. Nie miała siły dłużej walczyć z przerażającymi obrazami, które podsuwała jej wyobraźnia. Trudno, niech się dzieje, co chce.

Powoli otworzyła oczy.

I natychmiast pożałowała swojej decyzji.

Obok łóżka rzeczywiście stała matka i przyglądała się jej ze wstrętnym grymasem na twarzy. Gloria skuliła się pod jej spojrzeniem, przeszedł ją dreszcz, łzy napłynęły do oczu. Hope patrzyła na córkę, jakby miała przed sobą potwora, którego mała bała się jeszcze przed chwilą. Jakby to ona, Gloria, była diabłem.

Dlaczego, mamó? - miała ochotę krzyknąć. Co we mnie jest takiego wstrętnego, że patrzysz na mnie w ten sposób?

W chwilę później, wciąż bez słowa, nie mrugnawszy nawet okiem, matka odwróciła się i wyszła. Trzasnęły drzwi i Gloria została sama, pogrążona w ciemnościach.

Po policzkach popłynęły gorzkie łzy. Zwinęła się w kłębek, wtuliła buzię w poduszkę, by nie rozszlochać się w głos. Długo nie mogła się uspokoić, a kiedy nie miała już siły płakać, odwróciła się z ciężkim westchnieniem i przytuliła do policzka swojego pluszowego misia. Objęła go mocno, wspominając, jak to pierwszy raz obudziła się w nocy i zobaczyła stojącą przy łóżku matkę - spoglądała na nią tak jak dzisiaj, z nienawiścią w oczach, z twarzą wykrzywioną obrzydzeniem. Była wtedy tak mała, że nie zapamiętała, co dokładnie czuła tamtej nocy.

Jedno tylko utkwilo jej w pamięci: strach i poczucie samotności, strasznej samotności brzydkiego, niechcianego dziecka.

Dzisiaj czuła się podobnie.

Przygarnęła mocniej misia. Dlaczego mama patrzy na nią w ten sposób? Dlaczego jej twarz zmienia się wtedy nie do poznania? Dlaczego jest taka odpychająca i straszna?

Dlaczego mama jej nie kocha?

Zawsze to samo, pomyślała, i łzy znowu zaczęły spływać po policzkach.

Przynajmniej tata ją kocha.

Czepiała się kurczowo tej prawdy, chociaż jakiś zły, drwiący głos szeptał jej, że ojciec bardziej kocha matkę niż ją. To nieważne, przekonywała samą siebie, wracając myślami do wieczoru spędzonego w hotelu, do wspólnej kolacji w Sali Renesansowej, do jego słów na temat rodzinnego dziedzictwa.

Powtarzała sobie kojące, niosące ulgę słowa ojca. Dzięki nim nie czuła się tak strasznie osamotniona, tak przerażona. Była przecież dzieckiem swoich rodziców, należała do rodziny prowadzącej od pokoleń St. Charles. Tego nikt nie mógł jej zabrać. Ani złe spojrzenia matki, ani mroczny strach.

Nie, nie była samotna. Miała rodzinę.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zatrzymała się w progu biblioteki, obejrzała przez ramię, chcąc mieć pewność, czy w pobliżu nie ma matki, i wślizgnęła się do środka, przymykając drzwi za sobą. Podeszła na palcach do półek, gdzie stały zakazane książki, których matka nie pozwalała ruszać.

Teraz wiedziała już dlaczego.

Raz jeszcze się obejrzała i zaczęła przeglądać tomy stojące na czwartej od dołu półce: „Sztuka na przestrzeni wieków”, „Postimpresjoniści”, „Pierre Augustę Renoir”, „Michał Anioł”...

Zainteresowała ją ta ostatnia. Babcia mówiła, że Michał Anioł jest największym rzeźbiarzem wszystkich czasów. Była pewna, że w albumie znajdzie dokładnie to, czego szukała. Teraz należało tylko znaleźć sposób, by ściągnąć go z półki.

Rozejrzała się po pokoju, marszcząc brwi. Drabinka stała przy przeciwległej ścianie, wyściełane skórą krzesła były zbyt ciężkie, by mogła przesunąć któreś z nich, o kanapie nie wspomniawszy.

- Co robić? - mruknęła zafrasowana.

Dostrzegła w kącie mosiężny kosz na papiery. Przyskoczyła do niego, wyrzuciła śmieci i postawiła obok półki dnem do góry. Kiedy na nim stanęła, by sięgnąć po książkę, kosz zachwiał się niebezpiecznie, a upragniony tom nadal stał za wysoko. Wspięła się na palce i jedną ręką chwyciła regału - niestety, nadal bez skutku.

- Ojejku - westchnęła głośno, zapominając

o ostrożności.

W tej samej chwili usłyszała ziewnięcie i skrzypienie obitego skórą fotela. Wstrzymała oddech ze strachu, zachwiała się i omal nie upadła. Odwróciła głowę. Sponad oparcia fotela wpatrywały się w nią zaspane oczy Danny'ego Coopera, sześciolatniego wnuczka gospodyni.

- Śmiertelnie mnie wystraszyłeś - fuknęła gniewnie.

- Co tu robisz?

- Staram się nie przeszkadzać. - Chłopiec ziewnął ponownie. - Mama musiała iść do lekarza, a babcia przykazała, żebym był grzeczny. Zawsze mi to powtarza, jak do was przychodzę. Chciałem się pobawić, ale nigdzie nie mogłem cię znaleźć.

- Poszłam z bunią na bagietki do Kawiarni Francuskiej, bo mamusia ma dzisiaj migrenę.

- Chcesz się pobawić? - zapytał Danny.

Gloria przez chwilę przyglądała się chłopcu. Znała go od lat, ledwie zaczął chodzić, i chociaż był za mały, żeby mogła go nazywać swoim najlepszym przyjacielem, w głębi duszy tak właśnie go traktowała.

Zeskoczyła z kosza.

- Mam lepszy pomysł. Potrafisz dotrzymać tajemnicy?

- Jasne - odparł i z powagą pokiwał głową.

- To pomóż mi się dostać do tamtych książek - wskazała na tomy ustawione na czwartej półce.

- Po co ci one?

Spojrzała w prawo, w lewo i wyjaśniła scenicznym szeptem:

- Bunia zabrała mnie wczoraj do muzeum sztuki. Zobaczyłam coś takiego... - ciągnęła z wypiekami na twarzy.

- Kiedy zapytałam bunię, poczerwieniała i powiedziała, że czas wracać do domu. No i zaraz wyszliśmy z muzeum.

- I to jest w tych książkach? - zapytał Danny nabożnie.

- Mhm. Dlatego chcę je obejrzeć.

- Mogę poprosić babcię, żeby je zdjęła.

- Nie! - Gloria wyciągnęła ręce, by powstrzymać malca, po czym z palcem na ustach podeszła do niego bliżej. - Nie wolno mi zaglądać do tych książek. One są za-ka-za-ne.

- Och... - Oczy Danny'ego zabłyły z przejęcia. - Ja też będę mógł obejrzeć?

- Pozwolę ci popatrzeć, jeśli pomożesz mi je zdjąć. Ale musisz dochować tajemnicy. Potrafisz?

Chłopiec pokiwał głową.

- Przysięgam.

- Bo jak nas przyłapią, będzie źle. Bardzo źle. - Na myśl o reakcji matki Glorię przeszedł dreszcz strachu. Przygryzła wargę i zerknęła w stronę uchylonych drzwi. Mama została tego ranka w łóżku. Zwykle, kiedy przychodził jeden z częstych ataków migreny, Hope nie wstawała aż do kolacji. Czasami w ogóle nie wychodziła ze swojego pokoju przez cały dzień. - Dasz radę? - zapytała znów, podnosząc brodę w przyływie animuszu.

- Jeśli ty dochowasz tajemnicy, to i ja - zapewnił ponownie Danny.

- Dobrze. Musimy przyciągnąć do półki fotel. Jak go popchniemy we dwójkę, powinno się udać.

Ze śmiechem zaczęli na przemian popychać i ciągnąć ciężki mebel, dopóki nie znalazł się tuż pod półką z albumami. Gloria wskoczyła na siedzisko ze skóry i po chwili zaciskała już palce na grzbiecie upragnionej

książki.

Ciężki, nieporęczny tom wysunął się jej z dłoni i z hukiem wylądował na podłodze. Dziewczynka zmartwiała. Spojrzała na Danny'ego, Danny na nią, po czym obydwójce odwrócili się ku drzwiom, pewni, że za chwilę do biblioteki wkroczy ktoś z dorosłych.

Minęła długa, pełna napięcia chwila, wreszcie Gloria odetchnęła. Przyłożyła palec do ust i zesła ostrożnie z fotela, by podnieść książkę. Zaczęła kartkować opasły album i wkrótce znalazła, czego szukała - zdjęcie Dawida, wspaniałej rzeźby przedstawiającej pięknego młodzieńca. Miał delikatne rysy, kręcone włosy...

I był nagi.

Po raz pierwszy widziała nagiego mężczyznę. Lekko dotknęła palcami zdjęcia, zarazem zaintrygowana i zbulwersowana. Wszyscy mężczyźni mieliby tak wyglądać? Wszyscy mieliby mieć... takie coś?

- Nie bądź taka. Daj popatrzeć. - Danny wyciągnął szyję, zapuszczając ciekawie żurawia do książki.

Gloria z ociąganiem oderwała się od studiowania dziwnej i pięknej postaci.

- Myślisz, że jesteś już dość duży?

- Jak ty możesz, to ja też! - obruszył się malec.

- Jestem dwa lata starsza.

- Ale ja jestem chłopakiem. Gloria wydeła lekceważąco usta.

- Wielkie mi co, i tak jestem starsza.

- Obiecałaś.

- Obiecałam, obiecałam, ale nie miej później pretensji. - Przesunęła album w stronę

Danny'ego, a ten spojrzał na zdjęcie z zawiedzioną miną.

- I co?

- To - wskazała.

Przechylił głowę, nadal nic nie rozumiejąc.

- To - powtórzyła czerwona jak burak.

- Chodzi ci o penisa?

Teraz Gloria zdziwiła się nie na żarty.

Penis? To się nazywa penis?

- Mam takiego samego. Wszyscy chłopcy mają.

Wszyscy chłopcy mają. Gloria zaniemówiła. Wdrapała się z powrotem na krzesło i zażądała albumu. Nie miała pojęcia, jak są zbudowani chłopcy. Chodziła do szkoły dla

dziewcząt. Poza Dannym właściwie nie znała żadnych chłopców, nie licząc dalekich kuzynów, których prawie nie widywała.

Matka powtarzała, że grzeczne dziewczynki nie zadają się z chłopcami, ale Gloria wiedziała przecież, że istnieją szkoły koedukacyjne - inne dziewczynki miały kolegów i przyjaciół. Widywała czasami, jak bawią się razem w pobliżu muru rezydencji, jeżdżą na rowerach, biegają po ulicach. Słuchała opowieści swoich koleżanek, które wcale nie były w jej mniemaniu niegrzeczne.

Zamyśliła się. Ubodło ją, że mały Danny, przedszkolak, wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia. Na domiar złego zachowywał się tak, jakby każdy powinien o tym wiedzieć. Każdy, tylko nie ona.

Danny jest chłopcem, przypomniała sobie raptem. Dlatego wie. Ale pewnie nigdy nie słyszał, jak są zbudowane dziewczynki. Uniosła dumnie głowę i zadała druzgocące pytanie.

- Dziewczynki mają pochwę -  
odpowiedział bez namysłu, wprawiając Glorię w jeszcze większe osłupienie.

- Skąd o tym wiesz?

- Mama mi powiedziała. Chłopcy mają penisa, dziewczynki pochwę. Takimi nas stworzył Bóg.

Zła i zmieszana, ściągnęła brwi.

- A więc to żadna tajemnica?

- No pewnie. - Danny pokręcił głową. -  
Wszyscy o tym wiedzą, no, prawie wszyscy -  
poprawił się szybko. - A mój kolega, Nathan,  
mówi na penisa „fiut”.

- Fiut - powtórzyła, usiłując

uporządkować zaskakujące informacje. Dlaczego matka nic jej nie powiedziała? Dlaczego buniła tak dziwnie się zachowała, kiedy Gloria próbowała dowiedzieć się czegoś wczoraj w muzeum? Nic z tego nie rozumiała.

Nagle jej w głowie zrodził się śmiały pomysł.

- Mogłabym zobaczyć twojego... penisa? - zapytała ku własnemu zdziwieniu. - Ja... nigdy jeszcze nie widziałam... penisa. Jak mi pokażesz, to i ja ci pokażę.

- Nie wiem. - Danny zacisnął usta. - Będziesz się ze mnie śmiała. A co będzie, jak nas nakryją?

Pokręciła stanowczo głową.

- Nie będę się śmiała, obiecuję. Jesteś moim przyjacielem, nie można śmiać się z przyjaciół. Nikt nas nie przyłapie, chcę tylko zobaczyć.

- Dobrze - zgodził się w końcu Danny. Ściągnął spodenki, potem majtki. Gloria przykucnęła obok niego, żeby lepiej się przyjrzeć. Danny wyglądał zupełnie inaczej niż Dawid w książce. Zmrużyła oczy. Penis Danny'ego był znacznie mniejszy.

Nagle od progu rozległ się cichy okrzyk zgrozy. Gloria poderwała głowę - w drzwiach stała matka. Ściągnięta, blada twarz, dzikie, rozszerzone oczy, nawet z tej odległości Gloria mogła dojrzeć, że drży na całym ciele.

Książka z łoskotem upadła na podłogę i otworzyła się na fotografii nagiego Dawida.

- Mamusiu, ja nie...

- Dziwka! - przerwała jej matka, podchodząc bliżej. - Mała, brudna dziwka!



Gloria pokręciła głową. W takim stanie widywała matkę tylko w czasie nocnych wizyt, kiedy ta stała przy łóżku i wpatrywała się w córkę. Nigdy dotąd nie słyszała z jej ust podobnych słów. Brzmiały odrażająco, przejmowały lękiem.

- Mamo - szepnęła ze łzami w oczach. - Ja nic nie zrobiłam. Ja nie chciałam.

Hope chwyciła ją za rękę i ściągnęła z krzesła. Dziewczynka upadła na kolana, lecz natychmiast została doprowadzona do pionu. Ból w ramieniu sprawił, że krzyknęła na cały głos. Jednak bezradny krzyk wzmógł tylko wściekłość Hope. Potrząsnęła córką z całej siły.

- Nie pozwolę na takie bezceństwa w moim domu! Słyszysz? To obleśne, odrażające! Nie pozwolę!

- Mamusiu, ja nie chciałam... ja nie... To był pomysł Danny'ego, on mnie namówił, to on. Proszę, mamusiu, proszę.

Danny, w majtkach opuszczonych do kolan, uderzył w żalony bek. Do biblioteki wkroczyła pani Cooper.

- Madame, co się... - Widok, który zastała, odebrał jej na moment mowę. - Wielkie nieba! - Podbiegła do wnuka. - Co ty wyprawiasz, Danny?

Chłopiec zaniósł się głośnym płaczem.

- Ja nic nie zrobiłem, babciu! To nie ja, nie ja!

Hope obróciła się gwałtownie, z uniesioną dłonią, jakby za chwilę miała uderzyć chłopca w twarz, ale pani Cooper już klęczała przy wnuku. Podciągnęła malcowi majtki i otoczyła go ramionami.

- Proszę się uspokoić, pani St. Germaine. To tylko dzieci. Są ciekawe, nie zrobiły nic złego.

- Proszę wyjść! - krzyknęła Hope. - I niech pani zabierze ze sobą tego... tego małego zboczeńca! Nigdy więcej nie chcę was widzieć w swoim domu, czy to jasne?

Pani Cooper cofnęła się o krok, kompletnie zaskoczona.

- Madame chyba nie chce powiedzieć...

- Owszem. - Hope zbliżyła się do gospodyni. - Proszę się stąd wynosić, w tej chwili. „Albowiem sługa Pana karze tych, co zło czynią.”

Pani Cooper pobladła. Cofnęła się jeszcze o krok, po czym odwróciła się i z beczącym wnuczkiem w ramionach wybiegła z biblioteki.

Gloria patrzyła za nimi z narastającym przerażeniem. Tym razem zrobiła coś naprawdę złego. Matka jej tego nie przebaczy. Nigdy,

przenigdy. Zaczęła drzeć gwałtownie.

- A teraz chodź ze mną, Glorio - oznajmiła matka lodowatym tonem.

Dziewczynka pokręciła głową. Bała się tak bardzo, że nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

Hope poczerwieniała. Chwyliła córkę za rękę i wywlokła siłą z pokoju, ku schodom. Zaciągnęła ją do sypialni, lecz zamiast posadzić w kącie, jak zwykle, skierowała się do łazienki. Dokładnie zamknęła drzwi i dopiero teraz puściła Glorię. Podeszła do wanny, odkręciła kurki na cały regulator. Po chwili wewnątrz wypełniła para.

- Mamusiu, będę już grzeczna, przyrzekam - szepnęła Gloria.

- Zgrzeszyłaś wobec Boga i musisz ponieść karę. Musisz zostać oczyszczona. Do wanny! - poleciła z wyrazem twarzy, który mała widywała w nocnych koszmarach.

Gloria pokręciła głową, szcękając zębami.

- Ja nic nie zrobiłam, mamusiu. To wszystko przez Danny'ego. On mnie namówił. Myśmy się tylko bawili.

- Milcz. Jesteś grzesznicą, jak Ewa. Nie można ci ufać. To ona zerwała jabłko, spróbowała zakazanego owocu. Mieszka w tobie Szatan, Glorio Aleksandro.

Dziewczynka wcisnęła się w kąt.

- Proszę, mamusiu... - powtarzała przez łzy. - To wina Danny'ego. Proszę cię. Boję się ciebie.

- Muszę oczyścić cię z grzechu. - Hope szarpnęła córkę, rozebrała, zaciągnęła do wanny i siłą wsadziła do gorącej kąpieli. Gloria krzyknęła, ale matka przytrzymała ją bezlitośnie. - To nic w

porównaniu z ogniem piekielnym, zapamiętaj sobie. - Nachyliła się nad koszykiem stojącym obok marmurowej wanny i wyjęła z niego szczoteczkę do szorowania rąk. - Oczyszczę cię - powtórzyła. - Muszę cię oczyścić, choćbym miała szorować cię do żywego mięsa.

Następne minuty były koszmarem. Matka z pasją szorowała każdy centymetr kwadratowy drżącego skulonego ciała, szepcząc przy tym modlitwy, to znowu miotając gniewne słowa. Gloria rozpoznawała fragmenty z Biblii przeplatane zwrotami, których nigdy wcześniej nie słyszała w swoim krótkim życiu. Matka wspominała o złym nasieniu, o Cieniu i Światłości. Opowiadała o tym, jak Gloria przyszła na świat, o Bestii i o misji do wypełnienia.

Glorię piekła skóra, w kilku miejscach pokazała się krew. Było jej na przemian gorąco, to znowu drżała z zimna. Poddawała się zabiegom matki w otępieniu, była tak odrętwiała, że chwilami nie odczuwała już nawet bólu. Płacz przeszedł w pochłipywanie, potem w ciche westchnienia rozpacz. Kiedy wydawało się jej, że dłużej nie usiedzi w wannie, Hope wyciągnęła ją z kąpieli, osuszyła pobieżnie, zaprowadziła do kąta w sypialni i kazała klęknąć.

- Musisz zrozumieć, że czynisz zło - powiedziała, zaciskając palce na ramieniu córki. - Musisz obnażyć zło i nie iść za jego głosem.

Gloria podniosła głowę, spojrzała w zaciętą twarz matki.

- Mamo, boję się...

- Nie bój się. Szatan cię nie dostanie.

Rozumiesz? Nie oddam mu ciebie.

Co rzekłszy, wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Gloria nie miała pojęcia, jak długo klęczała w kącie. Była obolała i zrozpaczona, zdjeta strachem, że jeśli się ruszy, zaraz pojawi się matka i znowu wpadnie w złość.

Skóra na całym ciele piekła ją tak, jakby ktoś żywcem ją przypalał. Deski podłogi uwierały w kolana. Bolały plecy, a serce tłukło się niespokojnie.

I to właśnie ono cierpiało najbardziej.

W końcu przyszedł ojciec i zwolnił ją z kary. Bez słowa wziął w ramiona i zaniósł do łóżka. Przysiadł obok, szeptał ciche, serdeczne

słowa pocieszenia.

Gloria przytuliła się do niego. Chciała mu powiedzieć, jak bardzo żałuje swojego zachowania, chciała zapewnić, że ani w głowie jej było postąpić tak paskudnie, ale nie była w stanie wykrztusić słowa, tak jak nie miała już siły płakać.

W pokoju zapadł mrok. Przyszła noc, a ojciec ciągle kołysał ją w ramionach. Zaciśnęła powieki. Och, żeby tak móc pozbyć się z pamięci widoku twarzy mamy, twarzy wykrzywionej wściekłością, i tych oczu gorejących czymś nieodgadnionym, co przejmowało Głorię potwornym lękiem.

Później, kiedy ojciec wyszedł, zostawiając zapaloną nocną lampkę przy łóżku, długo jeszcze leżała z szeroko otwartymi oczami, usiłując zamknąć uszy na przepelnione złością głosy. Matki. Ojca.

Naciągnęła kołdrę na głowę. Nigdy jeszcze nie słyszała, żeby tak strasznie na siebie krzyczeli. Co prawda słowa nie docierały do niej zbyt dokładnie, ale jej imię nieustannie wracało podczas kłótni. Kiedy tata zawołał „rozwód”, odpowiedział mu sarkastyczny śmiech mamy.

Ukryła twarz w poduszce. Zawiniła. Męczyło ją to bardziej niż ból fizyczny. To przez nią rodzice teraz się kłócą. Jeśli się rozwiodą, to także będzie jej wina. Z jej powodu pani Cooper straciła pracę. Przez nią płakał Danny.

Wszystko przez nią.

Okropne, dręczące uczucie. I gorycz. Skłamała przed matką, zrzucając winę na Danny'ego. Przekonywała, że to on chciał oglądać książki, że zdjął spodenki bez jej namowy.

Obiecywała mu przecież, że nikt ich nie przyłapie, nie ukarze. Że nie ma czego się bać.

Cały czas kłamała.

Jest zła, zepsuta, tak jak mówiła mama. Teraz Danny na pewno nie będzie chciał być jej przyjacielem.

Następnego ranka, kiedy zeszła na śniadanie, przekonała się, że nikt nie ma już dla niej przyjaźni. Nikt ze służby nie odezwał się do niej, nie uśmiechnął, zewsząd otaczało ją wzdorliwe milczenie.

Zazwyczaj żartowali z nią, puszczała oko. Koniec, pomyślała ze ściśniętym gardłem. Wszyscy wiedzą, że jest kłamczucha, że to przez nią pani Cooper została zwolniona. Przestali ją lubić. Myślą, że jest złą, przewrotną dziewczyną.

Wpatrywała się w swój talerz i myślała o Dannym, o tym, jak patrzył na nią poprzedniego dnia. Był jej przyjacielem. On nigdy by nie

skłamał, żeby ratować własną skórę. Zdradziła go,  
zawiodła jego zaufanie.

Zwiesiła smutno głowę, wspominając, jak  
bawili się



razem, jak rozweselał ją swoim uśmiechem, kiedy była smutna. A pani Cooper? Kochana pani Cooper, która zawsze miała dla niej coś do jedzenia, ile razy mama za karę nie pozwalała jej siadać do stołu? Która podsuwała różne smaczne kąski i zabronione przez mamę łakocie?

Była tak zrozpaczona, taki straszny przygniatał ją ciężar, że niemal nie mogła oddychać. Tęskniła za panią Cooper, chciała, żeby Danny znowu był jej przyjacielem. Po policzku spłynęła gorzka łza, po niej następna. Żle postąpiła. Nie powinna była kłamać. Poprosi mamę, żeby obydwójce, Danny i jego babcia, wrócili.

Usłyszała głos matki w holu, jak wracała z porannej mszy. Szybko otarła łzy. Kiedy mama dowie się, jak wygląda prawda, na pewno zmieni zdanie. Nie będzie już złościć się na panią Cooper ani obwiniać Danny'ego.

Wyprostowała się. Danny nie zrobił przecież nic złego, jego babcia tym bardziej. Mama to zrozumie i przyjmie biedną gospodynię z powrotem. Nie może jej przecież karać za błędy własnej córki. Trzeba tylko zdobyć się na odwagę i powiedzieć mamie prawdę.

Przypomniała sobie, jaki wyraz miała twarz Hope poprzedniego dnia i zaczęła się trząść ze strachu. Czuła jeszcze na skórze bolesne pociągnięcia szczotki, słyszała ostre oskarżenia, bezwzględne słowa mówiące o Szatanie i Piekło.

A jeśli mama znowu ją ukarze?

Skuliła się w krześle, jakby chciała stać się niewidzialna. Może powinna o wszystkim opowiedzieć tacie, a on porozmawia z mamą, albo

sam przyjmie na powrót panią Cooper?

Tak, ale wczoraj rodzice strasznie się pokłócili. Tata krzychał coś o rozwodzie. Gloria zacisnęła z całych sił powieki. Co pocnie, jeśli rodzice naprawdę się rozstaną? Wiedziała, jak to jest: będzie musiała zamieszkać z mamą. Jak to wytrzyma?

Nie. Nie może prosić ojca o wstawiennictwo. Sama musi powiedzieć mamie o wszystkim. Jeśli stchórzy, nigdy więcej nie zobaczy pani Cooper ani Danny'ego. Musi się przyznać.

Ze ściśniętym sercem zsunęła się z krzesła i na palcach ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się w progu i wychyliła ostrożnie głowę. W holu nie było nikogo, ale domyślała się, gdzie może być matka. Każdego ranka po mszy wypijała filiżankę herbaty i przeglądała gazety w pokoju ogrodowym.

Tam ją znalazła. Zawahała się na moment przy wejściu. Mama wyglądała tak ślicznie.

Opromieniona blaskiem porannego słońca, w prześwietlonej promieniami delikatnej koronkowej bluzce, przypominała jakąś anielską istotę. Piękny anioł o ciemnych włosach.

- Mamo? - zaczęła drżącym głosem.

Hope podniosła głowę i wrażenie prysło - pełne gniewu oczy, zaciśnięte usta. Gloria mimowolnie cofnęła się o krok.

- O co chodzi, Glorio?

- Czy... mogłabym z tobą porozmawiać?

Matka zastanawiała się przez moment, wreszcie skinęła przyzwalająco głową i odłożyła gazetę.

- Słucham - oznajmiła sucho.

- Mamusiu... chciałam... powinnam... - odchrząknęła. - Okłamałam cię, mamusiu.

Matka uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

- To nieprawda, że Danny mnie namówił... to nie był jego pomysł, to ja chciałam obejrzeć książki i... to wszystko moja wina.

Matka w dalszym ciągu milczała. Gloria chyba jeszcze nigdy w życiu nie bała się tak bardzo, jak teraz.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że to ja  
zawiniłam wykrztusiła. - Rozumiem.

W tym jednym słowie było tyle dezaprobaty i niechęci, że dziewczynka spuściła głowę, przytłoczona jeszcze większymi wyrzutami sumienia.

- Przepraszam, mamusiu. Bardzo mi wstyd.

Matka upiła łyk herbaty, ostrożnie odstawiła filiżankę, otarła usta serwetką.

- To wszystko?

- Nie. - Zebrawszy odwagę, Gloria postąpiła krok do przodu. Matka nie zgromiła jej, nie wpadła we wściekłość, jej twarz nie przeobraziła się raptownie w przerażającą maskę.

- Myślałam... myślałam, że może przyjmiesz z powrotem panią Cooper.

Hope siedziała nieporuszona, zdawała się nie oddychać, lekko tylko stuknęła paznokciem w brzeg filiżanki. Wreszcie podniosła głowę i spojrzała bacznie na córkę.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo... bo skłamałam. - Gloria przycisnęła dłoń do piersi. - Danny jest niewinny. Jego babcia też. Nie powinni cierpieć za moje zachowanie. Proszę, mamusiu. Naprawdę mi przykro i bardzo wstyd. Zgódź się, żeby wrócili.

Matka wstała, podeszła do okna, przez długą chwilę spoglądała na zalany słońcem ogród, po czym odwróciła się do córki. Na jej ustach igrał ledwie zauważalny uśmiech.

- To dobrze, że wstydzisz się swojego zachowania. Powinnaś się wstydzić. Dobrze, że jest ci przykro, ale skąd mam wiedzieć, czy naprawdę tak jest?

- Naprawdę! - W głosie Glorii słychać było nadzieję. - Wierz mi, mamusiu. Zgódź się,

żeby pani Cooper wróciła.

- Może się zgodzę - powiedziała cicho. -  
Może.

Gloria przycisnęła piąstki do serca. Mama poprosi panią Cooper, żeby wróciła! Danny znowu będzie jej przyjacielem! Służba już nie będzie omijała jej wzrokiem!

- Och, dziękuję, mamusiu! Bardzo, bardzo dzięku...

- Zgodzę się, żeby wróciła - przerwała Hope surowym głosem - jeśli potrafisz mi dowieść, że będziesz odtąd grzeczna. Jeśli będziesz postępowała, jak Bóg przykazał.

Gloria uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, mamusiu! Zobaczysz, że potrafię być grzeczna! Przekonasz się!

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Hope знаła takie miejsca w Dzielnicy Francuskiej, gdzie mogła znaleźć wszystko, o czym marzyła. W których mogła zaspokoić swoje mroczne pożądanía. Miejsca, które z pozoru nie różniły się niczym od normalnych barów, sklepów, klubów, gdzie przewijały się tłumy turystów, nie podejrzewających nawet, co dzieje się na zapleczu.

Dzisiejszego wieczoru Zła przywiodło ją w jedno z takich miejsc.

Weszła tylnymi drzwiami do wąskiego, cuchnącego korytarza o wilgotnych ścianach, po których biegały karakony. Dla bezpieczeństwa przebrała się w samochodzie. Była tutaj nie po raz pierwszy, wiedziała więc doskonale, że nie natknie się na nikogo ze znajomych, wołała jednak nie ryzykować.

Z każdym krokiem coraz wyraźniej czuła obecność Zła - dojmującą, wywołującą dreszcz podniecenia, intrygującą, niosącą ze sobą poczucie niebezpieczeństwa.

Jutro obudzi się pełna nienawiści do samej siebie, będzie, jak zawsze po nocnych wyprawach, przeklinała swoją matkę, własną przeszłość i wszystkie kobiety z rodziny Pierron. Będzie

szukała dla siebie kary i pokuty.

Ale przynajmniej Zło na jakiś czas zostanie nasycone, przestanie ją nękać, przycichnie, może tym razem na zawsze, może tym razem...



A ona wreszcie będzie wolna.

Zatrzymała się przed drzwiami oznaczonymi numerem trzy. Krew pulsowała jej w skroniach, uderzała do głowy pierwotnym wezwaniem nieokiełznanych potrzeb.

Nacisnęła klamkę.

Na łóżku czekał na nią nagi mężczyzna.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gloria robiła co w jej mocy, by dotrzymać danej matce obietnicy. Starła się być grzeczna i posłuszna. Zamiast biegać, chodziła spokojnym krokiem, nie śpiewała, tylko się modliła, śmiała się z rzadka, a jeśli już, to cicho. Nigdy na nic się nie skarżyła, nie sprzeczała z mamą i nie sprzeciwiała jej woli.

Mijały dni, tygodnie, a pani Cooper nie wracała do pracy. Czasami Gloria budziła się w nocy i widziała pochyloną nad łóżkiem, zastygłą w grymasie nienawiści twarz matki.

Początkowo nie była w stanie zrozumieć, o co chodzi, wreszcie pojęła: mama szykuje dla niej niespodziankę. Pani Cooper pojawi się na powrót w domu w dniu jej urodzin. To będzie prezent. Od tej pory wyczekiwała niecierpliwie poranka, w który powita ją ciepły uśmiech starej gospodyni.

Kiedy jednak owego dnia powitała ją nowa ochmistrzyni, pani Greta Hillcrest, zawiedziona Gloria uciekła do swojej sypialni i zamknęła się na klucz.

Z twarzą wtuloną w poduszkę przeplakała kilka godzin. Była taka pewna, że mama chce jej zrobić niespodziankę, tak bardzo się starała, by zasłużyć na nagrodę...

Wszystko na próżno. Mama nie zamierzała przyjąć z powrotem pani Cooper. Uważała, że Gloria jest złym

dzieckiem, któremu nic się nie należy, z którym są same kłopoty i które nie zasługuje na prezenty i pochwały, nawet na uśmiech.

W Glorii wzbierał gniew. Mama zawsze tak myślała, nawet wtedy, kiedy zawarła z Glorią umowę, wiedziała, że córka nie zasługuje na wybaczenie i że pani Cooper nigdy już nie pojawi się w rezydencji St. Germaine'ów.

Powoli zaczęła rozumieć, że została oszukana.

Mama ją okłamała.

Przestała płakać, zniknął smutek i poczucie zawodu, a na to miejsce, o dziwo, pojawił się spokój.

Późnym popołudniem zdmuchnęła osiem świeczek na torcie urodzinowym, wysłuchała „Happy Birthday”. Od kiedy pamiętała, miała w tym dniu jedno, sekretne życzenie - żeby mama wreszcie ją pokochała.

Tego roku było inaczej. Nie chciała już matczynej miłości.

CZĘŚĆ

IV

Rodzina

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

*Nowy Orlean, 1980*

Santos wyciągnął z szafy swoją torbę. Miał już dosyć płatnej opieki i dętej troski. Znika. Tym razem opieka społeczna go nie znajdzie i nie odeśle do kolejnej rodziny zastępczej.

Przez ostatnie półtora roku umieszczano go kolejno w czterech różnych domach i każdy dostarczył mu zupełnie nowych doświadczeń. W pierwszym robiono wszystko, by nie myślał o nim jako o własnym. Dla opiekunów był po prostu sposobem zarabiania pieniędzy, źródłem dodatkowych dochodów, uzupełnieniem pensji.

W drugim oduczono go płakać, powtarzano z uporem, że jego cierpienie jest jego prywatną sprawą i powinien zachować je dla siebie. Ilekroć próbował się zwierzać, nieodmiennie narażał się na kpiny.

Trzecia rodzina wpajała w niego, że nie powinien niczego od nikogo oczekiwać, nawet zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Z czwartego domu nie wyniósł żadnej lekcji - był już wystarczająco uodporniony na ludzką obojętność. Po drodze zdążył wyzbyć się nadziei, złudzeń, sekretnych pragnień. Nie oczekiwał miłości ani serdeczności, stał się nieufny, zamknął się w skorupie. Zaczęto mówić, że jest trudnym, niekomunikatywnym dzieckiem.

Ostatnie półtora roku żył w czterech różnych domach, mieszkał w czterech różnych dzielnicach, chodził do czterech różnych szkół. Stracił starych przyjaciół, nowych nie zdobył. Jego życie po śmierci matki zmieniło się w sposób radykalny, ale przybrani rodzice, nauczyciele, ludzie z opieki społecznej umieli dostrzec tylko jedno: chłopak sprawia kłopoty wychowawcze, kropka. Jego kumple zawsze powtarzali, że system jest do dupy. Mieli rację.

No dobra, tym razem nikt go nie znajdzie.

Opróżnił szuflady i zaczął pakować swój nędzny dobytek do torby. Nie znajdą go, bo wreszcie zrozumiał, gdzie tkwi błąd.

Tym razem nie zostanie w Nowym Orleanie, jak podczas poprzednich ucieczek. Wyjedzie z miasta, zmyli ślady, zrobi wszystko, byle tylko nie trafić do kolejnej rodziny zastępczej. Dostyc tych ciągłych zmian, nowych szkół, nowych twarzy, przenosin z domu do domu. Nikt już nie zmusi go do niczego. Ma szesnaście lat, jest prawie mężczyzną. Poradzi sobie.

Ucieczkę zaplanował bardzo starannie. Zaoszczędził, składając grosz do grosza, pięćdziesiąt dwa dolary. Przystudiował mapę Luizjany i zdecydował się na Baton Rouge: miasto wystarczająco duże, by zniknąć w nim bez śladu, z uniwersytetem, położone niedaleko Nowego Orleanu.

Nie zapomniał o danej sobie przysiędze - nadal zamierzał znaleźć zabójcę matki. Kiedy stanie się pełnoletni i przestanie podlegać opiece państwa, wróci do Nowego Orleanu i odszuka tego człowieka.

Matka.

Ze ściśniętym sercem wziął do ręki przechowywane na dnie szuflady pudełko z biżuterią. Uniósł wieczko, wyjął kolczyki z barwionego szkła i położył je z nabożną pieczołowitością na otwartej dłoni. Matka bardzo lubiła tę tandetną ozdobę. Słyszał jeszcze, jak z powagą mówi „kryształ austriacki”, pokazując mu nowy zakup. Długie sopelki sięgały prawie jej ramion. Nazywała je „zmiotkami”, bo zabawnie ocierały się o skórę. Ciągłe jeszcze oczami wyobraźni widział, jak kołyszą się w jej uszach, rzucając wesołe refleksy. Wspomnienie przepelniające czułością i zarazem bolesne.

Włożył ostrożnie kolczyki do pudełeczka i schował je do torby. Zaczął już zasuwac zamek błyskawiczny, kiedy zmienił zdanie, wyjął pudełeczko i wetknął je do przedniej kieszeni dzinsów. Tu będzie bezpieczniejsze.

Matka nie miała nic, co przedstawiałoby wartość materialną, ale te kolczyki były dla Santosa cenniejsze niż tysiąc brylantów. Nie wyobrażał sobie, że mógłby je stracić.

Zapiął torbę i rozejrzał się po raz ostatni po pokoju. Nie żałował swojego kroku. Nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia, że wymyka się nocą, bez pożegnania. Nie miał skrupułów, że z puszki w kredensie pożyczył sobie dwadzieścia dolców. Przybrani rodzice nie będą po nim płakać, a pieniądze odeśle, kiedy będzie mógł.

Podszedł do okna, otworzył je ostrożnie, sprawdził, czy na dole nie ma nikogo, a potem wyrzucił torbę i sam skoczył na trawnik.

Pół godziny później wsiadał do minivana, który zatrzymał się na poboczu drogi.

- Dzięki - mruknął do kierowcy, rozcierając zziębnięte dłonie. - Już myślałem, że zamarznę, zanim złapię jakąś okazję.

- Trzeba sobie pomagać. - Chłopak za kierownicą uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Jestem Rick.

Santos trochę się zdziwił, ale uściskał dłoń kierowcy.

- Victor.

- Dokąd grzejesz? - zagadnął Rick, naciskając na gaz.



- Do Baton Rouge. Mam tam babcię, jest w szpitalu. Dzwonili, że z nią kiepsko.

- Współczuję. Masz szczęście, Victor, jadę na uniwersytet stanowy, podrzucę cię do samego Baton.

Do samego Baton. Santos uśmiechnął się.

- Wspaniale. Nie będę musiał sterczeć na mrozie i polować na następny samochód.

- Z tyłu jest termos z kawą, nalej sobie, jeśli masz ochotę.

- Dziękuję, nie znoszę kawy. - Santos rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Nowiutki wóz, pomyślał, nie ma jeszcze nalepek parkingowych i przeglądowych na przedniej szybie. - Na którym jesteś roku? - zapytał.

Rick zerknął na niego i znowu utkwiał wzrok w drodze.

- Kończę jesienią. Robię dyplom z psychologii. Będę miał „dr” przed nazwiskiem.

Santos przypomniał sobie, jak matka przekonywała go, że powinien się uczyć. Ogarnął go żal. I wyrzuty sumienia. Tutaj ją zawiódł. W innych sprawach zresztą też.

- Czym zajmuje się taki psycholog? - zapytał, próbując odsunąć na bok smutne myśli.

- Zagląda ludziom pod czaszkę. Albo do serca. Pomaga tym, którzy nie umieją sobie ze sobą poradzić. Zajmujemy się różnymi odchyłkami. Nie uwierzyłbyś, ile tego jest na świecie.

Owszem, mógł uwierzyć. Przed oczami stanęła mu wykrzywiona w śmiertelnym grymasie twarz matki.

- Jestem zmęczony - mruknął. - Nie mam siły gadać.

- W porządku. - Rick uśmiechnął się szeroko. - Wyglądasz na mocno sfatygowanego. Chcesz, to się zdrzemnij, nie musisz mnie bawić rozmową. Ja nie zasypiam za kierownicą.

W zachowaniu chłopaka było coś niepokojącego, coś co działało na nerwy, wywoływało niemiły dreszcz, niczym zgrzyt metalu o metal.

- Nie, aż taki wykończony nie jestem.

Rick wzruszył ramionami.

- Jak chcesz. Mamy przed sobą jakieś dwie godziny jazdy. - Włączył radio, chwilę szukał stacji. Z głośników popłynęła „Satisfaction” Rolling Stonesów.

Santos oparł głowę o zagłówek i zapatrzył się w mrok nocy. Mknęli pustą o tej porze szosą między-stanową, zostawiając po bokach uspione, zjawiskowe zabudowania. Monotonna jazda odprężała, cichy szum silnika działał usypiająco. Tym razem mnie nie znajdują, pomyślał, zapadając w stan miłego odrętwienia. Nie odeślą do żadnej rodziny zastępczej. Za kilka lat, kiedy będzie już dorosły, kiedy uwolni się od nadzoru rozmaitych służb społecznych, wróci i znajdzie zabójcę matki...

Ocknął się raptownie. Ledwie zasnął, a już zdążyła mu się przyśnić. Matka. I Tina. Otarł pot z czoła. We śnie obydwie krzyczały o pomoc. Próbował do nich biec, ale, jak zawsze w takich snach, docierał zbyt późno. Na darmo wyciągał ręce, żeby je pochwycić, podczas gdy one nieodmiennie znikają w czarnej otchłani i zapadały w niebyt śmierci.

Samochód podskoczył na jakiejś dziurze i Santos rozbudził się na dobre. Zamrugał gwałtownie, zdezorientowany.

- Pobudka?

- Przepraszam, nie myślałem, że kimnę - powiedział z zażenowanym uśmiechem. Powstrzymał ziewnięcie i zapytał: - Jak długo spałem?

- Niedługo, pół godziny.

Dziwne. Miał wrażenie, że trwało to

znacznie dłużej. Roztarł sztywny kark. Czuł się odrętwiały jak po wielogodzinnym śnie.

Spojrzał na zewnątrz - jechali jakąś pustą boczną drogą. Zmarszczył brwi lekko zaniepokojony i potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić resztki snu. Cholera, coś było nie w porządku.

- Gdzie jesteśmy?

- Na River Road, niedaleko Vacherie.

- River Road? - powtórzył. Jeszcze dzisiaj wieczorem sprawdzał trasę na mapie. Baton Rouge leżało niedaleko Nowego Orleanu, jechało się tam Międzystanową 10, nigdzie nie zbaczając.

Dlaczego znaleźli się na River Road?

- Wywróciła się cysterna z chemikaliami, rozlało się jakieś świństwo i musieli zamknąć drogę - wyjaśnił Rick. - Pomyślałem, że najwygodniej będzie dostać się do Baton Rouge właśnie tędy.

Santos bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć, czy River Road rzeczywiście można dojechać do Baton Rouge. Nie potrafił nawet usytuować jej położenia na mapie.

- Byłeś kiedyś w którymś z tych starych domów z czasów plantacji, Victorze?

Santos pokręcił głową, więc Rick mówił dalej:

- Ciągną się wzdłuż całej River Road. Robią wrażenie. W osiemnastym, dziewiętnastym wieku budowano głównie nad rzeką. Umożliwiała transport plonów, zaopatrzenie, wygodną podróż. Powinieneś kiedyś je zobaczyć.

Santos potarł czoło.

- Długi ten objazd?

- Nie za bardzo. Szybciej dojedziemy,

nadkładając drogi, niżbyśmy mieli tkwić w korku i czekać, aż zlikwidują wyciek. Nie wiem jak ty, ale ja wolę nie wdychać tego gówna, które się tam rozlało.

- Jasne - mruknął Santos, próbując przemóc narastający niepokój. Rick jest w porządku, upewniał się w duchu. Postąpił zupełnie przytomnie, decydując się na objazd. Dlaczego zatem nie może pozbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku?

- Dobrze się czujesz? - zatroskał się Rick.

- Jakoś blado wyglądasz.

- Dobrze. Jestem tylko zmęczony. - Santos przesunął się nieznacznie ku drzwiczkom.

Rick rozgadał się. Zaczął opowiadać o uniwersytecie, o psychologii. Od czasu do czasu pytał Santosa o rodzinę, o jego życie, lecz Santos za każdym razem zbywał pytania, kierując rozmowę na inny temat. Słuchał chłopaka i powtarzał sobie, że wszystko jest OK, że nie dzieje się nic złego.

A jednak coś było nie tak. Nie potrafił powiedzieć co, lecz czuł każdym nerwem, że powinien mieć się na baczności.

- Powiedz mi, ale szczerze... - zagadnął Rick. - Nie masz babki w szpitalu, no nie? Nie masz nikogo na świecie. Nikt na ciebie nie czeka, Victor.

Santos poczuł, że włosy stają mu dęba. Rick zerknął na niego z szerokim uśmiechem, który mówił „mnie możesz zaufać, stary”.

Jednak pozory często mylą. Tego nauczył się przez ostatni rok. Zrobił zdziwioną, lekko urażoną minę i odparł:

- Mówiłem ci, jadę do babki. Staruszka

jest ciężko chora. Prosiła, żebym natychmiast przyjechał. Dlaczego myślisz, że kłamię?

- Znam trochę życie. - Rick pewnie prowadził wóz wąską, krętą drogą. - Co mogę pomyśleć, spotykając w środku nocy takiego dzieciaka, jak ty? Coś tu nie gra. Puściłeś się w świat szukać szczęścia, mam rację? - Nie czekając na odpowiedź Victora, dodał: - Mogę ci pomóc, dać ci nocleg na jakiś czas i tak dalej...

- Niby z jakiej racji? Przecież mnie nie znasz.

- Kiedyś byłem w takiej samej sytuacji i dobrze wiem, co to znaczy. Wierz mi, Victor, jest ciężko, nawet sobie nie wyobrażasz, jak ciężko.

Santos był bliski kapitulacji. Miał ochotę przyznać się i przyjąć pomoc Ricka. Oferta brzmiała szczerze, zachęcająco. Z drugiej strony to, co przeszedł przez kilka ostatnich miesięcy, nauczyło go ostrożności wobec ludzi. Przekonany, że za każdym życzliwym gestem muszą się kryć ciemne motywy, nikomu już nie dowierzał i nie ufał w dobre intencje. Ten człowiek mógł kłamać, może chciał go podejść. Dlaczego miałby pomagać nieznanemu?

- Domyślam się, że ciężko. - Santos spojrział Rickowi prosto w oczy. - Ale mnie to nie dotyczy. Nie szukam pomocy. W Baton Rouge czeka moja babka.

- Jak chcesz. - Rick wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby. Było w tym uśmiechu coś odpychającego, fałszywego.

Santos wzdrygnął się z odrazą.

- W każdym razie dzięki za propozycję.

- Nie ma za co. - Rick zwolnił, zjechał na pobocze. - Poczekaj. Muszę się odlać.

Santos skinął głową i odwrócił twarz do okna. Słyszał, jak Rick odpina pas, kątem oka dostrzegł, że nachyla się, żeby wyjąć coś spod siedzenia, i wtedy...

Wiać, wiać stąd jak najszybciej!

Nie wahał się ani chwili. Szarpnął za klamkę, lecz w tym samym momencie Rick wychylił się ku niemu tak gwałtownie, że Santos uderzył ramieniem w drzwiczki, te zaś ustąpiły pod naporem i wewnątrz wozu zalało światło.

Niewiele myśląc, zdzielił napastnika w szczękę i ze zdumieniem zobaczył, że jego cios, chociaż poszedł trochę bokiem, okazał się skuteczny. Ricka wparło w siedzenie, coś upadło na podłogę. Nóż! A obok kawałek nylonowej linki.

Widok, na który nałożył się obraz skrwawionej twarzy matki, był tak porażający, że Santosa na moment sparaliżowało. Czuł absolutną pustkę w głowie, nie był w stanie się ruszyć. Dopiero kiedy zobaczył, że Rick doszedł do siebie i sięga po linkę, krzyknął przerażony i obrócił się ku otwartym drzwiczkom. Na policzkach poczuł chłodny powiew nocy i zapach idący od rzeki. Był już jedną nogą na zewnątrz, kiedy Rick chwycił go za stopę i błyskawicznie zacisnął linkę wokół kostki.

Santos wpadł w histerię. Serce waliło mu jak oszalałe, w głowie kłębiły się chaotyczne obrazy: matka, jej zabójca, twarz wykrzywiona w śmiertelnym skurczu.

- Możemy to załatwić szybko, Victor, albo powoli...

- Rick uśmiechnął się, smakując przerażenie swojej ofiary.

- Szybko jest oczywiście znacznie przyjemniej. - Unieruchomił drugą stopę chłopca.

- Bądź grzeczny i nie opieraj się wujkowi.

Nie! Nie może umrzeć w ten sposób.

Nie może zginąć, nie pomściwszy matki.

Ze zwierzęcym krzykiem, który szedł z samych trzewi, Santos wyszarpnął nogę i z całych sił kopnął napastnika w twarz. Głowa Ricka odskoczyła jak piłka pod siłą uderzenia, a Santos szczupakiem wyprysnął z samochodu wprost na błotniste pobocze. Podniósł się, poślizgnął, upadł na kolana. Dopiero za drugim razem stanął pewnie na nogach i rozejrzał się gorączkowo wokół.

Z jednej strony miał rzekę i wysoki wal przeciwpowodziowy, po drugiej stronie szosy ciągnął się solidnie ogrodzony, prywatny las.

Drzwiczki od strony kierowcy otworzyły się z łoskotem. Rick wyskoczył na asfalt. Santos, nie czekając dłużej, rzucił się do ucieczki.

W ciemnościach zabłyśły reflektory wylaniającego się zza zakrętu samochodu. Jechał tak szybko, że kierowca nie miał szans wyhamować, a Santos uskoczyć; usłyszał jeszcze ryk klaksonu i przeraźliwy pisk opon.

A potem był już tylko ból. Ostry, przejmujący ból, białe oślepiające światło, cudowne poczucie nieważkości i wreszcie czama otchłań.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dobry Boże, przejechałam go.

Z sercem w gardle Lily Pierron nachyliła się nad nieruchomym ciałem. Dotknęła czoła chłopca - było ciepłe i wilgotne. Kiedy odgarnęła mu delikatnie włosy z oczu, jęknął cicho.

Żyje, pomyślała z ulgą i spojrzała na pustą, ciemną drogę, nie wiedząc, co robić. Wątpliwe, by o tej porze ktoś tędy przejeżdżał. Poza Pierron House w promieniu półtorej mili nie było żadnego innego domu. Potarła drżącą dłonią czoło. Ma spróbować go ruszyć czy też zostawić i jechać po pomoc?

Ani jedno, ani drugie rozwiązanie nie wydawało się dobre. Jeśli jest ciężko ranny, przenosząc go do samochodu, może mu tylko zaszkodzić. Była niemłoda i nie należała do silnych, nawet gdyby chciała zabrać chłopca, najprawdopodobniej nie dałaby sobie rady.

Pozostawało zatem jechać po pomoc.

Przypomniała sobie kierowcę minivana. Kiedy zaczęła wołać, żeby jej pomógł, wskoczył do wozu i odjechał pełnym gazem. Nie wiedziała, co zaszło między tymi dwoma, zanim się pojawiła, ale chłopiec, który wpadł jej prosto pod kok, najwyraźniej próbował uciekać. Musiał być ciężko wystraszony, skoro biegł na oślep.

Kolejna myśl wywołała niemiły dreszcz. A jeśli kierowca vana przyczaił się gdzieś w pobliżu, licząc, że zostawi rannego na pastwę losu?

Niedoczekanie, powiedziała sobie i zaczęła rozcierać ramiona. Dopiero teraz poczuła ziąb. Chłopiec znowu jęknął, poruszył powiekami.

Otworzył oczy i spojrzał na nią nieprzytomnie.

- Nic ci nie jest? - zapytała bez tchu. - Nie zauważyłam cię. Wyjechałam z za zakrętu, prosto na ciebie. Próbowałam hamować, naprawdę.

Zamknął na powrót powieki, przez jego twarz przemknął grymas bólu.

- O Boże... - Lily przyłożyła dłoń do serca.  
- Gdzie cię boli? Bardzo? - Prychnęła, zeżłona na własną głupotę.

- I co ja pytam, jakbym mogła ci w czymś pomóc. Jak lekarza trzeba, żadnego nie znajdziesz. Konowały, tylko pieniądze potrafią wyciągać. - Spojrzała chłopca. - Nie martw się, sprowadzę pomoc.

Kiedy chciała się podnieść, chwycił ją za rękę z zaskakującą siłą. Szeroko otwarte, pełne napięcia oczy utkwili w poboczu drogi.

Lily powiodła za jego wzrokiem i natychmiast zrozumiała, w czym rzecz.

- Odjechał - uspokoiła chłopca. - Uciekł, kiedy zobaczył, że wysiadam z samochodu. - Zmarszczyła czoło.

- Powinieneś ostrożniej dobierać sobie przyjaciół.

- On nie... - Chłopak z trudem formułował słowa. Zaczęte zdanie przeszło w nieczytelny bełkot. Lily zaklęła pod nosem.

- Potrzebujesz pomocy. Nie chcę cię zostawiać, ale mieszkam niedaleko - wskazała dłonią kierunek. - Zadzwoń po ambulans i zaraz będę z po w...

- Nn... nie! Ja... w porząd...

- Nie mów mi, że w porządku. - Położyła mu dłoń na ramieniu, uniemożliwiając ruch. - Możesz mieć poważne obrażenia, synku.

- Nn... nie jestem... pani synkiem.

W niewyraźnym, ochryplym szepcie usłyszała wyraźną niechęć i gorycz. Tych kilka słów powiedziało jej więcej o chłopcu, niż gotów byłby zdradzić.

Współczuła mu serdecznie, ale nie mogła w tej chwili przejmować się jego nastrojami i kaprysami.

- Jesteś ranny - powiedziała stanowczym tonem, ucinając wszelką dyskusję. - Nie wiem, jakie masz obrażenia, więc jeśli jesteś w stanie dojść z moją pomocą do samochodu, zawiozę cię do szpitala. Jeśli nie, będę musiała zadzwonić po karetkę.

W oczach chłopca pojawił się strach. Chwycił Lily za rękę.

- Proszę... ni... nigdzie nie dzwonić - wykrztusił. - Nic mi nie jest, naprawdę... nic... - Na dowód swoich słów spróbował się podnieść.

I opadł na kolana, zgięty wpół. Lęk Lily zamienił się w przerażenie.

- Błaznij sobie, jeśli ci się podoba, ale za nic nie zostawię cię tutaj. Mowy nie ma. Wpadłeś mi pod koła i od tej chwili jestem za ciebie odpowiedzialna.

Biedak spojrział jej w oczy. Nigdy chyba nie widziała jeszcze równie zdesperowanej twarzy.

- Nie... niech pani da spokój. Proszę... proszę obiecać, że nigdzie nie będzie... pani dzwoniła. Naprawdę nic... mi się nie stało.

Lily nie wiedziała, co robić. Domyślała się, że chłopiec musi być w tarapatkach. Najwyraźniej uciekał przed kimś czy przed czymś. Może przed policją, chociaż w to akurat wątpiła.

Robił na niej wrażenie raczej zaszczutego zwierzątka niż kryminalisty.

I był ranny. Mógł mieć poważne obrażenia wewnętrzne, może wylew. Mówił z trudem, nie był w stanie stanąć o własnych siłach, ciągle jeszcze znajdował się w szoku.

Prosił ją o rzecz niemożliwą.

Powinna przecież wezwać pomoc.

Powzięła decyzję. Znała kogoś, do kogo mogła się zwrócić, a kto nie będzie zadawał żadnych pytań. Ale tego nie mogła na razie wyjawiać wystraszonemu chłopcu.

- Nie musisz się mnie bać - zapewniła łagodnie. - Nikogo nie zawiadomię, pod warunkiem że ze mną pojedziesz. - Kiedy zaczął protestować, przerwała mu zdecydowanie: - Nie mogę cię zostawić i nie zostawię. Pojedziesz ze mną albo wezwę policję. Nie masz siły, żeby się stąd odczołgać i ukryć, znajdą cię. Jeśli uważasz, że się mylę, bardzo proszę, spróbuj.

Milczenie chłopca potraktowała jako zgodę.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Spróbuję teraz podnieść cię i wsadzić do samochodu. Musisz mi pomóc. Jestem za stara i zbyt słaba, żeby cię przenieść.

Po chwili chłopiec, co prawda chwiejnie, ale stał już na nogach.

- Mówiłam ci, że mieszkam niedaleko stąd. Pojedziemy do mnie i upewnimy się, czy nic ci nie jest. Jak wydobrzejesz, ruszysz dalej, dokąd chcesz.

Chwilę się zastanawiał, jakby zamierzał znowu wdać się w sprzeczkę, po czym skinął głową i ruszyli powoli w stronę samochodu. Lily czuła, że każdy kolejny krok wymaga od rannego coraz większego wysiłku; opierał się na niej całym ciężarem ciała. Wreszcie zdołała usadowić go w fotelu pasażera, a sama usiadła za kierownicą i zapaliła silnik.

Wjazd na jej posesję znajdował się zaledwie trzysta metrów od miejsca wypadku. Tu

skręcili i dopiero wtedy odważyła się spojrzeć na swojego opornego towarzysza.

Siedział sztywno na swoim miejscu, z wzrokiem utkwionym nieruchomo przed siebie, napięty, gotów w każdej chwili, gdyby tylko wyczuł zagrożenie, próbować ucieczki. Mocno zacisnął usta, widziała, jak walczy z bólem i słabością.

Biedne dziecko, pomyślała. Rozumiała go lepiej, niż mógłby przypuszczać. Rozumiała go, ponieważ sama była nikim. Doskonale wiedziała, co oznacza nie mieć swojego miejsca na świecie, być człowiekiem skazanym na samotność.

Poczuła bolesne ukłucie w piersi. Bóg wyznaczył jej wysoką, ale sprawiedliwą zapłatę za grzechy, które popełniła. Przeżywała za życia być może gorsze piekło, niż to zapisane jej po śmierci.

Zacisnęła palce na kierownicy. Kąsający ból narastał, szarpał trzewia, docierał do samego jestestwa. Jej ukochana Hope. Jej zachwycająca Gloria. Jakże chciała być razem z nimi, dzielić ich życie, ich szczęście...

Spędziła cały dzień, czekając, że je zobaczy, choćby na chwilę, choćby z oddali. Siedziała w samochodzie naprzeciwko wejścia do St. Charles z wzrokiem utkwionym w drzwiach hotelu.

Nie po raz pierwszy, nie po raz ostatni.

Tym razem cierpliwość została nagrodzona - pojawiły się obydwie. Zobaczyła ich twarze oświetlone pełnym słońcem i ogarnęła ją bezbrzeżna radość.

Westchnęła, rozluźniła palce na kierownicy. Tęsknota, dręcząca, nieznośna tęsknota towarzyszyła jej dzień i noc, bez reszty wypełniała jej świat, powoli go unicestwiając.

Pragnęła szczęścia dla córki, życia wolnego od piętna grzechu. Udało się - Hope miała wszystko, czego ona nie mogła mieć. Lily rozumiała, dlaczego córka odwróciła się od matki, dlaczego nie chciała utrzymywać z nią, trędowną, żadnych kontaktów. Rozumiała też, dlaczego mała Gloria nie miała pojęcia o istnieniu babki i

dlaczego nie wiedziała nic o przeszłości swojej rodziny. Do nikogo nie miała żalu. A jednak było jej żal.

Sama zresztą wstydziła się swej przeszłości. Nienawidziła samej siebie, gardziła swoim życiem. Wiedziała, że zakończy je w samotności, pogrążona w smutku i pozbawiona nadziei.

Zatrzymała samochód na podjeździe przed domem.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła zupełnie niepotrzebnie. - Zaraz pomogę ci wysiąść.

- Poradzę sobie.

- Dobrze. - Na wszelki wypadek podeszła do drzwiczek od strony pasażera. Zmierzył ją złym wzrokiem, ale nie powiedział słowa.

Uparty, pomyślała, obserwując, jak chłopiec krzywi się boleśnie przy każdym ruchu. Hardy. Zawzięty. Silna wola tego dzieciaka napełniała ją podziwem. Mimo bólu, mimo obrażeń i strachu, odrzucał pomoc.

Znała jemu podobnych, wspierała ich. Dzieciaki, które mogły polegać tylko na sobie samych. Skrzywdzone, odpychane i odrzucane przez wszystkich. Ten chłopiec od dłuższego czasu musiał być skazany na własne siły. Nie winiła go za okazywaną wrogość i podejrzliwość. Widocznie życie zdążyło nauczyć go czujności.

Weszli do domu bocznym wejściem, przez drzwi prowadzące do kuchni. Lily zapaliła światło i dopiero teraz zobaczyła, że nogawka spodni, w które ubrany był chłopak, przesiąknięta jest krwią.

- Siadaj - poleciła, odsuwając krzesło przy starym dębowym stole. - Przyniosę bandaż.



Chwycił ją za rękę.

- Obiecała pani, że nikogo nie wezwie.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Zupełnie niepotrzebnie, powiedziała sobie. Musi zająć się chłopcem, w tej chwili najważniejszy jest jego stan fizyczny.

- Wiem, co obiecałam.

W chwilę później wróciła z bandażem, płynem odkażającym i ręcznikiem kąpielowym. Napelniła miskę ciepłą wodą, wrzuciła do niej myjkę.

- Musisz zdjąć spodnie, inaczej nie będę mogła opatrzyć rany.

Zaczerwienił się.

- Nie zdejmę spodni, proszę pani.

Lily powściągnęła uśmiech, żeby nie wprawiać chłopca w jeszcze większe zakłopotanie. Skoro chciał grać twardziela, powinna to uszanować.

- Widziałam w swoim życiu sporo osobników rodzaju męskiego bez gatek. Jestem starą kobietą, z mojej strony nie masz się czego obawiać. - Wyciągnęła ku niemu dłoń z ręcznikiem. - Owiń się, jeśli tak wolisz.

Chwycił ręcznik, ponownie wywołując nieznaczny uśmiech na twarzy Lily. Odwróciła się dyskretnie, żeby oszczędzić mu zażenowania.

- Już.

Siedział na krześle, z ręcznikiem wokół bioder. Lily podniosła z podłogi zakrwawione dzinsy.

- Wrzucę je do pralki. Nie ruszaj się stąd.

Kiedy wróciła po chwili do kuchni, przywitał ją spojrzeniem spode łba.

- Nie patrz tak na mnie. Przyrzekam, że

oddam ci twoje spodnie. - Ukłęknęła obok nachmurzonego pacjenta i uważnie obejrzała ranę: skaleczenie, dość rozległe, nie było na szczęście zbyt głębokie. Wzięła myjkę do ręki. – Może trochę zapiec, z góry przepraszam.

Chłopiec zacisnął zęby, syknął.

- Mam przyjaciela, to emerytowany lekarz.

- Nie - wycedził przez zęby.

- Mieszka niedaleko - ciągnęła niewzruszenie. - Powiem mu, że jesteś moim krewnym, nie będzie o nic pytał. Mamy wiele wspólnych tajemnic. Ufam mu całkowicie, dam głowę, że nikomu nie powie słowa.

- Chodzi o moją głowę, nie o pani.

- Możesz mieć obrażenia wewnętrzne, wylew, być może trzeba będzie założyć szwy.

- Nie będzie trzeba. - Skrzywił się. - Poza tym powiedziała pani, że nikogo nie wezwie. Dała pani obietnicę...

- Wiem i bardzo mi przykro, że zamierzam ją złamać, ale wolę nie dotrzymać słowa, niż pozwolić ci umrzeć. - Lily podniosła wzrok. - Jesteś za młody, żeby umierać, młody człowieku.

W oczach chłopca pojawiła się panika.

- O czym pani mówi?

- Uspokój się. Naprawdę nic ci tu nie grozi. Mieszkam sama. Nazywam się Lily Pierron, ale możesz mi mówić miss Lily, albo, jeśli wolisz, ciociu Lily.

- Nie zamierzam tutaj zostać tak długo, żeby się zastanawiać, jak mam do pani mówić. - Spróbował wstać, ale ból w nodze okazał się zbyt dokuczliwy. Zaklął i opadł bezsilnie na krzesło. W tej samej chwili odezwał się dzwonek przy drzwiach frontowych, zwiastując przyjazd doktora.

- Nie otwieraj! - Chwycił ją za rękę. - Proszę. Lily.

Uścisnęła uspokajająco jego dłoń i wstała.

- Wybacz... muszę. Zobaczysz, że jeszcze mi za to podziękujesz. I przyrzekam, że wszystko będzie dobrze.

Chłopiec znowu zaklął.

- Obydwoje wiemy, ile warte są twoje przyrzeczenia, prawda?

Puściła mimo uszu kąśliwą uwagę.

- Muszę wiedzieć, jak się nazywasz.

- Idź do diabła!

Dzwonek odezwał się ponownie.

- Przecież musisz się jakoś nazywać, a ja

muszę jakoś się do ciebie zwracać. Diabeł niewiele tu pomoże.

- Todd - burknął, nie patrząc jej w oczy. -

Todd Smith.

Skinęła głową.

- Zaraz wracam, Todd. Chyba masz dość oleju w głowie, żeby nie próbować ucieczki.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ledwie Lily wyszła z kuchni, Santos wstał z krzesła. Spojrzał na swoje gołe nogi i zaklął w duchu. Cholera, okazała się sprytniejsza od niego. Nie uciekłby daleko: ranny, a na dodatek bez spodni, był unieruchomiony na dobre.

- Cholera - powtórzył głośno. Już widział, jak kuśtyka River Road w ręczniku na biodrach. Nie miał wyjścia, musiał jej zaufać. Wielu ludziom próbował ufać przez ostatnie półtora roku, poczynając od beznadziejnie tępych detektywów z wydziału zabójstw. Zaufanie!

Zrezygnowany, pełen najgorszych przeczuć, opadł z powrotem na krzesło. Zamknął oczy, pewien, że za chwilę do kuchni wkroczy gliniarz, weźmie go za tyłek i odwiezie ciupasem do Nowego Orleanu.

Nie, starsza pani nie zrobi mu tego, powiedział sobie nagle z niespodziewaną pewnością i przekonaniem. Miała cięty język, ale i ciepłe, serdeczne spojrzenie. Było w jej zachowaniu coś, co naprawdę budziło ufność.

Zresztą, jakie to ma znaczenie? Tak czy inaczej, tkwił w jej domu niczym w pułapce.

Ciocia Lily. Czy go okłamała?

Nie, nie okłamała. W chwilę później weszła do kuchni w towarzystwie starszego pana, który zamiast odznaki i pałki miał przy sobie skórzaną torbę lekarską. Tak jak

zapewniała, przyjął bez zastrzeżeń historyjkę o tym, że Todd jest krewniakiem pewnej przyjaciółki. Nie dopytywał się, skąd obrażenia i w ogóle starał się zadawać jak najmniej pytań.

Po dwudziestominutowym badaniu oznajmił, że Santos przeżyje.

- Będziesz miał jutro paskudne siniaki i obudzisz się bardzo obolały. - Medyk zatrzasnął swoją pękatą torbę. - Ale poza tym wszystko w porządku, nie ma powodów do niepokoju. Miałeś szczęście, Todd.

Polecił Lily, by przez najbliższych sześć godzin siedziała przy „krewniaku”, budziła go co dwie godziny, jeśli zaśnie, i dzwoniła, gdyby coś ją zaniepokoiło. Potem szybko wyszedł.

Santos przypomniał sobie słowa Lily. Mówiła, że ona i doktor są przyjaciółmi i mają różne wspólne tajemnice. Jakie tajemnice, zastanawiał się, patrząc, jak starsza pani odprowadza przyjaciela do drzwi. Szli objęci, przytuleni, była w tym zażyłość wykraczająca poza stosunki sąsiedzkie i przyjaźń.

Kiedy wróciła do kuchni, od razu przeszła do rzeczy:

- Wolisz spać na kanapie na dole, czy wybierzesz sobie którąś z sypialni na piętrze?

Santos zastanawiał się przez chwilę.

- Na kanapie.
- Dobrze. Mam ci pomóc przejść czy...
- Sam sobie poradzę.
- Oczywiście.

Bez dalszych dyskusji ruszyła przodem, a on, krzywiąc się z bólu, pokuśtykał za nią powoli. Czekala na niego w salonie z rękoma

zaplecionymi na piersi i bardzo zasadniczą miną.

Spojrzał na nią spode łba.

- Jeśli chcesz, żebym cię przeprosił, to  
twoje niedoczekanie.

- Czy ja domagam się przeprosin? To w końcu ja cię przejechałam. - Wskazała na gotowe posłanie. - Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie.

- Skoro zdecydowałaś, że mam nocować na kanapie, dlaczego pytałaś, gdzie wolę spać? - rozzłościł się Santos.

- Nic nie zdecydowałam, po prostu wiedziałam, że będziesz wolał tu zostać. Pomimo to dałam ci wybór.

- Doprawdy? - syknął przez zęby. Lily Pierron była akurat tyle samo warta, co cała reszta dupków, na których natrafił w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy swojej tułaczki. - Skąd niby wiedziałaś, że wybiorę kanapę?

- Bo stąd bliżej do drzwi wejściowych, to jasne. Miała rację, co jeszcze bardziej go zirytowało.

- Co to za historia z tym starym? Jest twoim facetem?

- Smith to dość popularne nazwisko, prawda? - odpowiedziała spokojnie pytaniem na pytanie.

Santos zadarł brodę, spojrzał wyzywająco.

- Nie wierzysz, że tak się nazywam?

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. - Omiótł wzrokiem zasobnie urządzone pokój. - Powodzi ci się.

- Nie narzekam. - Lily ruszyła ku drzwiom. - Zostawiam ci dodatkowy koc, gdybyś zmarzył w nocy. Będę zaglądała do ciebie co dwie godziny. Nie przestrasz się, kiedy się obudzisz i zobaczysz mnie tutaj.

Próbował, jak mógł, lecz nie dała wyprowadzić się z równowagi. A przecież w



ostatnich czasach posiadał w stopniu niemal doskonałym umiejętność doprowadzania dorosłych do szewskiej pasji. Przerzucany z jednego domu do następnego niczym worek ziemniaków, czuł czasami, że jest to jedyny sposób zagwarantowania sobie minimum niezależności.

Bóg mu świadkiem, że miał ogromną ochotę zirytować swojego samozwańczego anioła stróża. Rozejrzył się raz

jeszcze po pokoju, tym razem niespiesznie, z ostentacyjną uwagą.

- Mówiłaś, że mieszkasz sama, Lily?

- Tak, Todd.

Oczekiwał, że skłamię. Spodziewał się ujrzeć w jej oczach niepokój, chciał wzbudzić podejrzliwość. Nic. Zaczynał nabierać respektu dla tej kobiety.

- Dlaczego pytasz, Todd? Chcesz mnie zabić, kiedy usnę, czy tylko obrabować?

- Zgadnij.

Zaśmiała się, był w tym śmiechu smutek i rozbawienie.

- Rzeczy, przedmioty nie są ważne, Todd. Nic dla mnie nie znaczą. A jeśli mnie zabijesz, też niewielka strata. Nie mam po co żyć.

Nie czekając na odpowiedź, podeszła do drzwi. W progu odwróciła się jeszcze i zaproponowała:

- Zawrzyjmy układ, Todd. Ja nie oczekuję niczego od ciebie, ty nie oczekuj niczego ode mnie. Jeśli nie będziesz zadawał mi żadnych pytań, i ja o nic nie będę pytała. I nie obchodzi mnie, czy rzeczywiście nazywasz się Todd Smith, czy nie.

Santosa obudził nęcący zapach smażonego boczku. Przed oczami miał jeszcze wydarzenia ostatniej nocy: jazda z przypadkowym kierowcą, atak, wypadek, niezwykle uczucie nieważkości, kiedy oślepiiony reflektorami wpadł prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu.

Ogarnęło go przerażenie na myśl o tym, co mogło się stać. Gdyby Lily Pierron nie pojawiła się w krytycznym momencie na pustej drodze, albo gdyby jechała szybciej, prawdopodobnie już

by nie żył. A potem - mogła przecież wezwać policję. Otrząsnął się, jakby chciał odpędzić złe myśli i uspokoić rozdygotane serce.

Od dzisiaj jest zdany na samego siebie, dzień po dniu będzie musiał walczyć o przetrwanie. Nie może oglądać się wstecz, rozpamiętywać minionych spraw, zastanawiać się, co by było gdyby. Powinien zatroszczyć się o własną przyszłość, cieszyć się, że jest bezpieczny i wreszcie wolny.

Usiadł i jęknął z bólu. Lekarz ostrzegwał go, że ranek będzie ciężki. Przy najdrobniejszym ruchu całe ciało przeszywał nieznośny ból, jakby wpadł pod ogromnego tira, a nie pod starego mercedesa.

Opuścił powoli nogi na podłogę. Na oparciu kanapy czekały wyprane, starannie złożone dżinsy i bawełnianą koszulka. Na niej niewielkie małe białe pudełeczko i kilka zmiętych banknotów.

Jego torba. Zostawił ją w samochodzie Ricka!

Jęknął ponownie, tym razem z rozpaczą, i ukrył twarz w dłoniach. Zupełnie zapomniał o torbie. Miał tam prawie wszystkie pieniądze, ubrania. Stracił wszystko, co posiadał.

Z wyjątkiem pięciu dolarów.

I kolczyków matki. Dzięki Bogu zachował kolczyki.

Ubrał się szybko, jeśli można w ogóle mówić o szybkim poruszaniu się przy tak obolałych mięśniach, i pokuśtykał do kuchni, znęcony zapachem bekonu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przez całą dobę nie miał nic w ustach.

Gdy stanął w progu, miss Lily podniosła głowę znad patelni i spojrzała na niego przez ramię.

- Widzę, że jednak się nie wyprowadziłeś.

Minionej nocy nie zastanawiał się nad jej wyglądem.

Zapamiętał oczy, ocenił, ile może mieć lat, i to wszystko. Teraz w świetle dnia zastanawiał się, jak mógł nie dostrzec jej uderzającej urody. Kiedyś musiała być bardzo, bardzo piękną kobietą.

- A ty nadal żyjesz - odparł, zaplatając ręce na piersi. - Co więcej, rodowe srebra leżą nietknięte na swoim miejscu.

Lily pokręciła głową ze śmiechem.

- Wiedziałałam, że mnie nie zabijesz.

- Tak? Skąd ta pewność? Wzruszyła ramionami.

- Kwestia doświadczenia. Znam się na ludziach. Siadaj i jedz, śniadanie gotowe.

Zerknął łakomie na plastry bekonu i poczuł rozpaczliwe burczenie w żołądku.

- Domyślałam się, że musisz umierać z głodu – powiedziała, idąc za jego wzrokiem. - Oprócz bekonu mamy grzanki i sos, ale ostrzegam: mój sos mięsny to bardzo szczególne danie.

Santos spojrział na nią spode łba. Duma walczyła w nim o lepsze z uczuciem głodu.

- Nie musisz mnie karmić.

- Nie? - Wyjęła z piekarnika blachę złocistych grzanek i postawiła na blacie. - Mam wrażenie, że coś ci się jednak ode mnie należy. W końcu stuknęłam cię wczoraj dość solidnie.

Santos przypomniał sobie napuszone przemowy jednego z urzędników opieki społecznej, który tłumaczył, co mu się, biednej sierotce, należy od państwa. Któraś z przybranych matek ciągle powtarzała, ile zawdzięcza jej i jej mężowi, że zechcieli go przyjąć pod swój dach. Nie chciał od nikogo nic przyjmować, nie chciał nikomu nic zawdzięczać. Powiedział jej to.

- W takim razie zapłać mi za jedzenie - odparła Lily po chwili.

- Mam zapłacić? - powtórzył, myśląc o kilku dolarach, jakie mu zostały. - Za jedzenie?

- Nie oczekiwałam zapłaty, to chyba jasne, ale skoro nie chcesz przyjąć poczęstunku - wytarła ręce w fartuch - to za niego zapłać.

- Ile?

- Nie wiem. Kilka dolarów. He może  
kosztować domowe śniadanie?

Santos milczał.

- No dobrze. Możesz odpracować, jeśli wolisz. Jest kilka rzeczy do zrobienia w domu: trzeba uporządkować garaż, naprawić okiennice, jeszcze jakieś drobiazgi. Niedawno umarł człowiek, który pracował u mnie przez czterdzieści lat. - Ułożyła na talerzu obłożone bekonem grzanki. - Sam musisz zdecydować, ile warte jest dla ciebie to śniadanie. A gdybyś postanowił zostać kilka dni, żeby nabrać sił, dam ci pełne utrzymanie, nocleg i jeszcze zarobisz kilka groszy.

Santos wpatrywał się łakomie w talerz. Nie miał ochoty zostać, nie chciał być od nikogo zależny, ale był bez kasy, w jednej koszuli na grzbiecie i nie wiedział, co dalej ze sobą począć. Propozycja Lily Pierron spadła mu z nieba. To też go denerwowało, podobnie jak perspektywa zależności od starszej pani.

- Parę dni - oznajmił suchym tonem. -  
Potem się stąd urywam.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Został. Dni płynęły, zamieniały się w tygodnie, potem w miesiące. Santos ani się obejrzał, jak minął kwartał. Nie miał pojęcia, co go trzymało w domu Lily. Tak jak powiedział jej na samym początku, zamierzał odpocząć, nabrać sił, zarobić kilka dolców i ruszyć w dalszą drogę.

Pogrążony w myślach, przysiadł na zewnętrznych schodach wiodących na piętro, podniósł maleńki kamyk, który ktoś musiał wnieść na butach, i w zadumie obracał go w dłoni. Dlaczego Lily godziła się, żeby u niej mieszkał? Jaki miała w tym interes? Nie kupił opowieści o tym, że nie może znaleźć nikogo do pomocy, a już zupełnie nie uwierzył, że miałby obchodzić ją los przybłądy.

Nie, musiała mieć jakiś swój powód. Doświadczenie nauczyło go, że ludzie nie działają bezinteresownie, że każdy czegoś oczekuje od innych. Nie wiedział tylko, czego Lily mogła oczekiwać od niego.

Zasepił się. Sądząc po domu i samochodzie, nie brakowało jej pieniędzy. Bogaci nie potrzebują biednych - chyba że znajdują w nich służących albo chcą ich wykorzystać. Lily nie traktowała go jednak jak popychadła, nie czuł się też wykorzystywany przez nią w żaden sposób. Odnosiła się do niego z szacunkiem, jak do równego sobie. Za wszystkie prace, które mu zlecała, płaciła przyzwoicie.



Poza tym pozostawiała mu całkowitą swobodę, nie zadawała żadnych pytań na temat przeszłości, nie narzucała się z męczącą, fałszywą serdecznością.

O co jej zatem chodziło?

Spojrzał na purpurowe niebo. Wyczuwał w niej tęsknotę za kimś bliskim, ogromną potrzebę miłości i niemal dotykającą samotność. Mimo różnic, jakie ich dzieliły, zdawała się rozumieć swojego młodego lokatora. Tak, do cholery, od dawna nikt nie rozumiał go tak dobrze. Chociaż niechętnie, musiał przyznać, że naprawdę ją lubi.

Zrozumienie? Sympatia? Skrzywił się na te słowa. Jest śmieszny. Zbyt ufny, naiwny. W gruncie rzeczy Lily Pierron nie różniła się od reszty znanych mu ludzi. Jak wszyscy kieruje się własnym interesem, ma jakieś ukryte motywy. Byłby głupcem, gdyby o tym zapomniał.

Spojrzał na kamyk, który trzymał w dłoni, po czym odrzucił go daleko. Nie, nie może jej zaufać, tak naprawdę wcale jej nie lubi. Był zły na siebie, że przyjmował jej pomoc, gardził sobą, że tak długo mieszka w jej domu.

Powinien stąd odejść.

Na galerii pierwszego piętra, tuż za jego plecami, nieoczekiwanie pojawiła się Lily. Zawsze poruszała się tak cicho, że nawykł już do tego. Nigdy dotąd nie spotkał osoby tak opanowanej, tak pewnej siebie. Sprawiała wrażenie kogoś, kto doskonale wie, kim jest. Być może nie była do końca pogodzona ze sobą, ale też nie wydawała się ze sobą skłócona. Przyjmowała życie ze stoickim spokojem.

Pokręcił głową. Co go obchodzi Lily i jej życie?

- Ładny wieczór - zagadnęła, podchodząc bliżej. - Zawsze bardzo lubiłam tę porę dnia. Barwy i zapachy. Ciszę.

Santos zacisnął dłonie. Nie miał ochoty na pogawędki. Wolałby teraz być sam. A jednak w głębi duszy chciał, żeby usiadła obok niego.

Tylko po co? Nie potrzebuje przecież jej towarzystwa. Nie potrzebuje nikogo.

Lily westchnęła, niezrażona jego milczeniem.

- Kiedy byłam młodą dziewczyną, robiłam to samo co ty.

- Co mianowicie? - zapytał ostro, rozzłoszczony, że przyłapała go na rozmyślaniach.

Przysiadła na stopniu obok niego.

- Lubiłam spoglądać na rzekę i rozmyślać.  
- Zaśmiała się cicho. - Zabawne, jak pewne rzeczy się zmieniają, a inne pozostają zawsze takie same.

Nie wiedział, co ma o niej sądzić. Jakim sposobem zaledwie w ciągu trzech miesięcy zdołała poznać go tak dobrze? Czasami miał wrażenie, że Lily czyta w jego myślach jak w otwartej książce.

Odwrócił się ku niej gwałtownie, gotów wszcząć awanturę.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

- A nie powinnam?

- Nie. - Santos zerwał się na równe nogi. - Nie masz żadnych powodów, chyba że czegoś ode mnie chcesz. Powiedz mi, Lily - zmarszczył brwi - powiedz, o co ci chodzi.

Pokręciła powoli głową.

- Nic od ciebie nie chcę, Todd.

- Bzdura. - Przeszedł kilka kroków, zawrócił, zacisnął bezsilnie dłonie. - Jestem ci potrzebny, nie wiem tylko do czego.

Podniosła się, podeszła do niego i spojrzała mu prosto w twarz.

- Dlaczego więc nie wyjedziesz stąd?

No właśnie. Powinien odejść. Natychmiast, bez namysłu, bez oglądania się za siebie.

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń

niewidzącym wzrokiem. W głowie kłębiły mu się  
rozmaite myśli, targały nim sprzeczne uczucia.

Do diabła, wcale nie miał ochoty  
odchodzić. Czuł się

tutaj bezpieczny. Bezpieczny, otoczony opieką, ważny. Trochę jak...

Tak, trochę jak u matki.

A jakże. A za chwilę poczuje nóż w plecach.

Odwrócił się ku niej i zapytał porywczo:

- Dlaczego ty nie masz żadnych przyjaciół, Lily? Nikt cię nie odwiedza, nikt nie dzwoni. Jeśli już gdzieś wychodzisz, to albo do kościoła, albo po zakupy. Dlaczego?

Kiedy zaplotła dłonie, Santos zauważył, że drżą nieznacznie, chociaż na jej niewzruszonej twarzy malował się absolutny spokój.

- To dla ciebie takie ważne, Todd?

- Dlaczego traktują cię jak trędowatą, Lily Pierron? Dlaczego na twój widok dzieci szepczą sobie coś na ucho? Dlaczego kiedy idziesz ulicą, ich matki przechodzą na drugą stronę? Dlaczego na mszy zawsze siedzisz sama?

Nie odwróciła wzroku, nie próbowała się bronić. Tylko skurcz bólu przemknął przez jej twarz.

- Może ty mi powiesz, dlaczego.

- Dobrze. - Santos zatoczył ręką. - Według mnie tutaj był kiedyś burdel, a ty byłaś szefową tego interesu.

Lily lekko drgnęła, to była cała jej reakcja. Czuł obrzydzenie do samego siebie, żałował wypowiedzianych słów, ale mówił dalej, jakby na przekór sobie:

- Nic dziwnego, że sąsiedzi cię nie lubią. Nie chcą mieć do czynienia z burdelmama. Trzymasz mnie tutaj, bo nikt inny nie zgodzi się u ciebie pracować.

Przez długą chwilę nic nie mówiła.

Wpatrywała się w niego martwym wzrokiem, jakby przez lata nawykła do cierpienia, jakby oczekiwała słów, które właśnie padły.

- To wszystko, Todd?

Chciał, żeby coś powiedziała, żeby go zrugala za jego bezczelność. Może wtedy nie czułby się jak ostatni łajdak, może ustąpiłby ten bolesny ucisk w gardle.

Zrobił krok w kierunku Lily.

- Nie, nie wszystko. - Zadarł wojowniczo brodę. - Co z twoją córką? Wiem, że masz córkę, widziałem jej zdjęcia. Ona też ma cię za trędowatą?

Tym razem cios był naprawdę bolesny, celny.

- Jesteś dobrym znawcą ludzkich charakterów - powiedziała w końcu łamiącym się głosem. - Tak, Todd, jestem, jak się domyśliłeś, dziwką. I jestem zupełnie sama. Nawet córka o mnie zapomniała. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Wybacz. Wrócę teraz do swojego pokoju.

Santos spoglądał za nią ze ściśniętym gardłem. Zranił ją z pełną świadomością. Dlatego że ją lubił i dlatego że bał się do niej przywiązać. Zranił ją, a przy okazji i siebie.

Chciał ją zrazić, odstręczyć, uznał, że taki sposób będzie najlepszy.

Teraz zbierało mu się na płacz. Była dla niego zawsze taka dobra, serdeczna. Przyjęła go pod swój dach, dała mu pracę, schronienie i jedzenie. Niczego od niego nie oczekiwała poza tym, żeby wywiązywał się ze swoich, w gruncie rzeczy symbolicznych, obowiązków.

A on nie potrafił jej nawet powiedzieć, jak się nazywa.

Czuł się jak skończony łajdak. Zachował się równie podle, jeśli nie podlej, jak ci wszyscy, od których chciał uciec.

Nie namyślając się, pobiegł za Lily. W holu było pusto, więc zawołał ją, a kiedy nie odpowiedziała, ruszył na jej poszukiwanie.

Znalazł ją w salonie. Stała sztywno na środku pokoju, zapatrzona w przestrzeń. Przez chwilę patrzył na nią zbolałym, zrozpaczonym wzrokiem.

- Lily?

Nie odwróciła głowy.

- Wyjdź, Todd, proszę. Chcę być sama.  
Odchrząknął niepewnie.

- Przepraszam cię... bardzo mi przykro.

- Dlaczego? Że powiedziałeś prawdę?

- Co to za prawda... Ja tylko chciałem.

- To jest prawda. Masz prawo mną pogardzać - mówiła tak cicho, że z trudem łowił słowa. - Nawet moja własna córka mną gardzi. I słusznie.

Zrobił krok w jej kierunku.

- Ja tobą nie gardzę, ja... - Zdjęty nagłą paniką, nie mógł mówić. Przeraziła go myśl, że ma się przed nią odsłonić, ujawnić swoje prawdziwe uczucia. W końcu się przemógł: - Zachowałem się podle - powiedział prawie szeptem. - Przykro mi.

- Idź stąd, Todd - powtórzyła. - Nie musisz przeproszać, nic się nie stało.

- Stało się. - Wsunął ręce do kieszeni dzinsów. - Nie zasłużyłaś sobie na takie słowa. Nie zasłużyłaś sobie na kłamstwa.

Dopiero teraz odwróciła głowę. Dostrzegł łzy na jej twarzy i zawstydzony spuścił oczy.

- Nie nazywam się Todd Smith tylko Victor Santos

- mruknął. - Wszyscy nazywali mnie zawsze Santos, z wyjątkiem mamy. Ale ona nie żyje... - Wziął głęboki oddech, gotując się do najtrudniejszego wyznania: - Chciałem... chciałem cię zranić. Zrazić do siebie. Ale to dlatego... że mi tutaj dobrze. Dlatego że... bardzo cię lubię i... i... - nie umiał powiedzieć nic więcej.

Kiedy Lily podeszła do niego, nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Poczuł tylko delikatne muśnięcie na policzku.

- Wszystko w porządku, Victorze. Rozumiem.

Uniósł nieśmiało głowę. W spojrzeniu Lily dojrzał autentyczne współczucie i mądrość, jaka



przychodzi z wiekiem, mądrość człowieka, któremu życie nie oszczędzało ciosów. Dojrzał w tym spojrzeniu samego siebie.

Jak córka mogła się od niej odwrócić, pomyślał i jakby w odpowiedzi na to nieme pytanie w oczach Lily znowu zaśniły łzy.

- Moja córka chciała ułożyć sobie życie od nowa - usłyszał. - Postanowiła uwolnić się od rodzinnej przeszłości, a więc i ode mnie. Odeszła.

- To wstrętne. - Santos był oburzony. Lily kochała swoją córkę równie mocno, jak matka kochała jego. On nigdy tak by nie postąpił. Nigdy.

Tymczasem Lily zachowywała się tak, jakby zasłużyła sobie na cierpienie. Przypomniawsobie własne słowa wypowiedziane przed chwilą na galerii i poczuł do siebie obrzydzenie.

- Nie martw się - podjęła Lily. - Niczego od ciebie nie oczekuję, ale też nie zawiedziesz się na mnie. Cieszę się, że tutaj mieszkasz. Może to egoistyczne z mojej strony, ale... czuję się taka opuszczona, więc...

Santos ścisnął jej dłoń. Po raz pierwszy od śmierci matki miał wrażenie, że nie jest sam na świecie. Był ktoś, kto o nim myślał, ktoś, na kogo mógł liczyć. Jeszcze powątpiewał we własne odczucia, jeszcze nie do końca potrafił zaufać sobie i Lily, zgasił jednak ten głos sceptycyzmu, odrzucił niedowierzenie i dystans.

Zaczął opowiadać. O sobie. O matce i ojcu. O śmierci Lucii i o tym, jak poprzysiągł ją pomścić. Mówił o domach zastępczych, po których się tułał, i o swoich z nich ucieczkach. Zwierzał się z lęków i smutków, z przyrzeczeń danych niegdyś matce i tych późniejszych, składanych przed samym sobą. Odślonił przed

Lily serce i znalazł w niej uważną, pełną zrozumienia i współczucia słuchaczkę.

Rozmawiali długo w nocy; ochrypł, stracił głos, oczy piekły z braku snu. Był kompletnie wyczerpany, ale wreszcie wyrzucił z siebie to, co go bolało, a wtedy ogarnęło go dziwne wrażenie, że w pewien sposób uwolnił się od przeszłości.

Kiedy zaś wreszcie powiedzieli sobie dobranoc, obydwójce wiedzieli - mimo że nie padło na ten temat ani jedno słowo - że Santos zostanie na dobre w Pierron House.

## CZĘŚĆ V

Kochankowie

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Nowy Orlean, Luizjana, 1984*

Zanim Gloria skończyła szesnaście lat, zdążyła pogodzić się z tym, że matka nigdy jej nie pokocha. Nie miała pojęcia, jaki niewybaczalny grzech popełniła i niewiele ją to obchodziło. Przestała przejmować się brakiem matczynej miłości i akceptacji.

Stała się zuchwałą.

W ciągu ostatnich ośmiu lat bardzo się zmieniła. Wyrosła na hardą, upartą dziewczynę, obdarzoną przenikliwą, zabarwioną cynizmem inteligencją. Im bardziej zdecydowanie przeciwstawiała się matce, tym bardziej się jej narażała, ale wolała raczej znosić rozmaite kary, niż uginać kark.

Z nieposłuszeństwa uczyniła rodzaj gry. Łamała matczyne zakazy dotyczące wszystkiego, co łączyło się z ciałem i seksem, prowadziła z Hope niebezpieczną, ale podniecającą walkę. Poznała czułe punkty matki, nauczyła się nią manipulować, wiedziała, jak ją przechytrzyć i wyprowadzić w pole - to były momenty największej satysfakcji.

Przyłapana na gorącym uczynku, otrzymywała bezlitosne kary: ich surowość zależała od ciężaru przewinienia. Pewnego razu dotąd siedziała w swoim pokoju, aż nauczyła się na pamięć całej Księgi Sędziów ze Starego Testamentu. Kiedy indziej musiała wyszorować podłogi w całym domu szczoteczką do zębów. Przy jeszcze innej okazji matka, przyłapawszy Głorię z chłopakiem w samochodzie na parkingu

koło kościoła, wychłostała ją różgą z gałązek wierzbowych, a uczyniła to z taką wprawą, jakby nic innego w życiu nie robiła; biła, by zadać ból, by ukarać, ale zarazem tak, by razy nie pozostawiły śladu na ciele córki.

Jednak nawet wtedy Gloria pozostała nieugięta i ani myślała błagać o wybaczenie. Nie pobiegła też później do ojca. Przyjęła karę i przyrzekła sobie, że następnym razem nie da się przyłapać.

Prawdę mówiąc, wyczekiwała, kiedy znowu zostanie nakryta, by po raz kolejny obserwować, jak matka czerpie przewrotną przyjemność z wymierzania kar swojemu jedynemu dziecku, jak napawa się chora satysfakcją, że oto jej córka, zgodnie z oczekiwaniami, znowu okazała się nic niewarta.

Miała wrażenie, że Hope jest z niej zadowolona tylko wtedy, gdy Gloria dostarcza jej powodów do karania.

Z upływem lat zaszła także zaskakująca zmiana w relacjach Glorii z ojcem. To na niego przelewała swój gniew, coraz bardziej oddalała się od niego, aż w końcu stali się sobie zupełnie obcy. O ile dawniej wyczekiwała niecierpliwie wspólnych wypraw do St. Charles, teraz ich unikała, udawała, że hotel przestał ją obchodzić, oznajmiała wszem i wobec, że nie ma zamiaru tracić życia na doglądanie sterty kamieni.

Ojciec z bólem słuchał tych deklaracji.

I ją bolało serce, ilekroć wygłaszała prowokacyjne zdania.

Nigdy wszakże nie przyznałaby się, jak bardzo kocha ojca i jak drogi jest jej Hotel St. Charles, choć skrycie tęskniła do chwil

spędzanych niegdyś z tatą, kiedy to czuła się kochana, uwielbiana, doceniana.

Tamten czas minął bezpowrotnie. Wszystko się zmieniło. Nie wiedziała dlaczego, ale tak właśnie było. Bolało ją to bardziej niż pełne nienawiści, rzucane ukradkiem spojrzenia matki.

Uczyła się u sióstr niepokalanek, w założonej w 1888 roku szkole dla panien z dobrych domów, która mieściła się na St. Charles Avenue. Rodzice zapisywali tutaj swoje córki zaraz po urodzeniu, by mieć pewność, że w odpowiedniej chwili będzie na nie czekać miejsce w elitarnym liceum. Matura od niepokalanek była przepustką na studia i do dalszej kariery, nowoorleańskim odpowiednikiem świadectw z Radcliff czy z William and Mary, a samo liceum uchodziło za najbardziej snobistyczną szkołę w mieście.

Gloria miała to gdzieś. Chodziła do szkoły, bo musiała, a bardziej niż lekcje i wykłady ekscytowały ją kolejne przejawy niesubordynacji, których z upodobaniem się dopuszczała. Lubiła te spojrzenia koleżanek, w których zaciekawienie mieszało się ze zgorszeniem i fascynacją. Dzisiaj też spodziewała się je zobaczyć.

Pociągnęła usta jaskrawą szminką, spojrzęła na swoje odbicie w lustrze, uśmiechnęła się zadowolona z efektu i wrzuciła kredkę do torebki. Z korytarza dobiegły ją dziewczęce chichoty: zaraz powinien rozlec się dzwonek uprzedzający, że za kwadrans początek lekcji. Zaraz łazienka zaroi się od pannic, które zanim rozbiegną się do klas, muszą po raz ostatni sprawdzić, jak wyglądają.

Rzeczywiście, ledwie rozdzwonił się dzwonek, do łazienki wpadło kilkanaście rozkrzyczanych podlotków.

Otoczyły Głorię wianuszkami.

- Słyszałyśmy - zaczęła jedna z nich - o historii z siostrą Margueritą. To prawda, że masz szlaban i że nie pójdziesz na fuksówkę?

- Prawda. - Gloria obojętnie wzruszyła ramionami. - Niektórzy ludzie są kompletnie wyprani z poczucia humoru.

Dziewczyna zwana Missy parsknęła śmiechem.

- Chciałabym widzieć jej minę, kiedy zobaczyła cię w kaplicy, jak siedzisz rozparta w ławce, z romanssem na kolanach i pogryzasz komunikanty.

- To było dobre - przyznała Gloria, przerzucając włosy przez ramię. - Gorzej, że zabrała mi książkę akurat wtedy, kiedy zaczęły się momenty.

Missy pokręciła głową.

- Zaczynasz przesadzać. Jeść hostię, ot tak sobie... To chyba grzech, nie?

Gloria wzniosła oczy do nieba.

- Gadasz zupełnie jak siostra. Były jeszcze nie poświęcone, niczym nie różniły się od chipsów.

Do łazienki weszło kilka nowych dziewcząt, szepcząc między sobą i chichocząc. Kiedy zobaczyły Glorię, dołączyły do otaczającego bohaterkę dnia gęstego wianuszka.

- Widziałyście, co ma dzisiaj na sobie nasza sierotka Marysia? - zagadnęła jedna z nowo przybyłych, marszcząc nosek z niesmakiem. - Jej bluzka wygląda, jakby miała dziesięć lat. Zresztą nawet gdyby była nowa, też byłaby paskudna. Ordynarny nylon.

Gloria słuchała z politowaniem. Większość uczennic u niepokalanek wywodziła się rzeczywiście z bogatych nowoorleańskich rodzin, ale szkoła czasami przyznawała stypendia wyjątkowo zdolnym dziewczętom. Jedna z nich



była właśnie obiektem kpin. Gloria prawie jej nie znała, ale słyszała, że jest wybitna.

- To żalosne - oznajmiła Bebe Charbonnet, rzucając okiem na swoje odbicie w lustrze. - Nie do wiary, że ktoś taki ma wstęp do niepokalanek. Moi rodzice muszą płacić ciężkie pieniądze. Każdy powinien płacić.

- Jasne, nie można zaniżać standardu – zauważyła Gloria z przekąsem. - To że jest zdolna, nie oznacza jeszcze, że może chodzić do niepokalanek, no nie?

Bebe była zbyt głupia, by wyczuć sarkazm w głosie koleżanki.

- Dokładnie - przytaknęła skwapliwie. - Ona do nas nie pasuje. Jeśli o mnie chodzi, na pewno nie będę się z nią zadawać.

Otworzyły się drzwi i do łazienki weszła budząca niechęć panienek dziewczyna. Zrobiło się raptem cicho, małe snobki odwróciły wzrok, udając, że nie widzą przybyłej. Glorii zrobiło się żal dziewczyny, która wyglądała na kompletnie zagubioną, choć głowę trzymała dumnie i wysoko. Ruszyła w kierunku kabin, ale Bebe i kilka innych zagroziło jej nagle drogę. Kiedy spróbowała obejść barykadę, panienki także się przesunęły.

- Przepraszam - bąknęła zaczerwieniona.

Bebe spojrzała na nią z pełnym niewinności zdziwieniem.

- Och, to my przepraszamy. Chcesz przejść?

- Tak. - Twarz dziewczyny spąsowiała.

Bebe wytrzymała nową jeszcze przez chwilę, wreszcie odsunęła się na bok. Dziewczyna przeszła i żywa barykada zwarła się na powrót. Gloria domyślała się, co nastąpi za chwilę.

Kiedy dziewczyna wyszła, panienki zablokowały jej dojście do umywalek.

- Przepraszam - powtórzyła.

I znowu Bebe z udanym zdziwieniem wygłosiła swoją kwestię:

- Och, to my przepraszamy. Chcesz przejść?

Gloria miała dość. Uważała, że przyglądać się z boku popisom okrucieństwa jest oznaką tchórzostwa i słabości. Nigdy nie wybaczyła sobie tchórzliwego zachowania tamtego dnia przed laty, kiedy to usiłowała zrzucić całą winę

za epizod w bibliotece na Danny'ego. Poprzysięgła sobie wówczas, że nigdy już tak nie postąpi.

- Tak, Bebe, myślę, że ona chce przejść - syknęła.

- W przeciwieństwie do ciebie myje ręce po wyjściu z ubikacji.

Bebe poczerwieniała, ale odsunęła się, a Gloria uśmiechnęła się do nowej.

- To kwestia wychowania - wyjaśniła. - Naszej Bebe wydaje się, że o klasie człowieka świadczą wyłącznie pieniądze, ale, ma się rozumieć, jest w błędzie.

Kilka dziewcząt wymieniło znaczące spojrzenia. Gloria dotknęła czulego miejsca Bebe. Rodzina Bebe, w przeciwieństwie do rodziny Glorii i wielu innych uczennic niepokalanek, od niedawna mieszkała w Nowym Orleanie. Charbonnetowie, nuworysze, nie mieli wstępu do elity. Pomimo to Bebe była bardzo popularna w szkole i przewodziła koleżankom. Gloria doskonale wiedziała, że mała Charbonnet, osóbką o dość wstrętym charakterze, zdobyła sobie pozycję dzięki własnej bezczelności i przebojowości. Niewiele ją jednak obchodziło, że jej się narazi.

- Pożałujesz, Gloria - oznajmiła Bebe z wściekłością i ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się jeszcze w progu.

- Przekonasz się.

- Już się boję - mruknęła Gloria.

Po chwili w łazience zrobiło się pusto. Zostały tylko Gloria i nowa. Gloria wyciągnęła papierosy z torebki.

- Nie musiałś tego robić - zaczęła

dziewczyna.

Gloria wzruszyła ramionami, zapaliła papierosa i wypuściła kłąb dymu.

- Ale zrobiłam.

- Dziękuję.

Ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie masz za co dziękować. Nie przyjaźnię się z tymi idiotkami.

- Ale ja... - dziewczyna nie dokończyła. -  
Tak czy inaczej, dziękuję.

Gloria przechyliła głowę i spojrzała uważnie na nową.

- Co chciałaś powiedzieć?

- Nic. To nie moja sprawa, nie chcę się wtrącać.

- Wyobraźmy sobie, że jednak twoja.

- W porządku. Zawsze trzymasz się z nimi. Dlaczego, skoro nie są twoimi przyjaciółkami?

Trafne pytanie. Gloria nie była pewna, czy potrafi na nie sensownie odpowiedzieć.

- Może dlatego, że nie ma tu innych? Panienki w rodzaju Bebe to specjalność niepokalanek.

- Ja wolałabym nie mieć nikogo, niż zadawać się z takimi...

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. - Gloria przez chwilę wpatrywała się w papierosa, potem podniosła wzrok. - Nie daj się im. To rozpieszczone idiotki.

- Ty jesteś inna?

Gloria parsknęła śmiechem. Podobała się jej bezpośredniość dziewczyny.

- Myślę, że tak. Ja jestem... zła. Teraz dziewczyna się roześmiała.

- Nazywam się Liz, Liz Sweeney.

- Miło cię poznać, Liz. - Gloria zasalutowała z papierosem w palcach. - Gloria St. Germaine.

- Wiem, jak się nazywasz. - Dziewczyna zaczerwieniła się lekko, odgarnęła niepewnym ruchem włosy za ucho. - Wszyscy cię znają.

- Tak bywa ze złymi ludźmi, no nie? -

Gloria z uśmiechem przysiadła na szafce obok umywalek i zaciągnęła się papierosem. - Zły człowiek daje się zauważyć. Uważam, że bez skandali życie byłoby strasznie nudne, nie sądzisz?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale pewnie masz rację.

- Możesz mi wierzyć. - Gloria obserwowała w lustrze

odbicie nowej. Dziewczyna nie była piękną, ale miała miłą, ujmującą twarz. Szczerą i otwartą, taką, która wzbudza natychmiastowe zaufanie. - Dostałaś się do niepokalanek dzięki stypendium? - zapytała. Liz wbiła wzrok w podłogę.

- Tak.

- To powód do wstydu?

- Wiem, jak mnie tu nazywają. Sierotka Marysia.

- W głosie dziewczyny zabrzmiała nuta goryczy.

- I uważasz, że trafiłaś tutaj dlatego, że jesteś biedna? A może dlatego, że zdolna, chociaż biedna?

Liz podniosła głowę.

- To drugie.

- No więc sama widzisz, że nie ma się czego wstydzić.

- Gloria zaciągnęła się po raz ostatni, zeskoczyła z szafki, wrzuciła niedopałek do ubikacji i wróciła do Liz. - Ja jestem tutaj, bo moja rodzina ma forszę. W przeciwieństwie do Bebe nie uważam, by był to powód do szczególnej dumy. Żadna w tym moja zasługa, że chodzę do niepokalanek.

Rozległ się dzwonek. Liz podskoczyła.

- Ojej, spóźnię się na lekcje. - Chwyła worek z książkami i ruszyła szybko ku drzwiom. Obejrzała się jeszcze w progu. - Ty nie idziesz?

- Nie ma pośpiechu. - Gloria uśmiechnęła się szeroko.

- Zawsze się spóźniam, nie mogę psuć sobie opinii.

Liz odwzajemniła uśmiech.



- Powodzenia. I do zobaczenia. - Już wychodziła, ale odwróciła się raz jeszcze. - Glorio?

- Tak?

- Jeszcze raz dzięki za pomoc. Mam nadzieję, że któregoś dnia będę mogła się odwdzińczyć.

Gloria zasalutowała z udaną powagą.

- Daj spokój. W końcu po co są przyjaciele?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Liz nie zapomniała, że Gloria stanęła w jej obronie. Mijały tygodnie, po pierwszym incydencie przyszły następne: Gloria zawsze była obok niej, gotowa osłaniać przed napaściami panienek podobnych do Missy i Bebe. Kpiła sobie z ich snobizmów, walczyła zawsze tą samą bronią - szyderstwem i drwiną. Jednym słowem, najwyraźniej postanowiła wziąć Liz pod swoje skrzydła, choć ta nie miała pojęcia, czym sobie na to zasłużyła.

Była nowa, była biedna, była nikim. Natomiast piękna Gloria miała pieniądze i uchodziła za najfajniejszą dziewczynę w klasie. Niczego się nie bała, grała na nosie nawet surowej siostrze Marguericie. Koleżanki szeptały trwożliwie o jej szalonych wyczynach, podziwiała ją i trochę się jej bały.

Liz patrzyła w nią jak w obraz. Gloria była nie tylko najpiękniejszą dziewczyną w szkole - była najpiękniejszą dziewczyną, jaką Liz kiedykolwiek widziała. Czasami spoglądała na nią i zastanawiała się, jak to jest być bystrą i piękną, mieć odwagę, pieniądze, a na dodatek pochodzić z dobrej rodziny. Zdarzały się momenty, że zazdrościła Glorii, tęskniła, żeby bodaj na moment znaleźć się w jej skórze.

Zamyślona oparła się o kontuar i wsparła brodę na dłoniach, niepomna panującego wokół hałasu. Warunki stypendium przewidywały pięć godzin dyżuru tygodniowo w sekretariacie, w czasie okienek między lekcjami. Zazwyczaj sekretarka miała dla niej wówczas jakieś zajęcie,

ale dzisiaj akurat była na zwolnieniu.

Liz westchnęła. Rozmyślała o swojej rodzinie, o tym, jak bardzo jest różna od rodziny Glorii. Sweeneyowie żyli bardzo skromnie, właściwie na granicy nędzy. Ojciec, niewykwalifikowany robotnik, pił nałogowo. Zwykle cichy i łagodny, po alkoholu stawał się agresywny. Matka uważała, że antykoncepcja jest grzechem, i z regularnością zachodziła w ciążę. Żeby wyżywić liczną rodzinę i jakoś związać koniec z końcem, popołudniami sprzątała w zamożnych domach.

Liz była najstarsza z siedmiorga rodzeństwa i to na nią spadał obowiązek zajmowania się siostrami i braćmi. Z chwilą kiedy po raz pierwszy zetknęła się z innym, lepszym światem, poprzysięgła sobie, że uczyni wszystko, by wyrwać się z ciasnego mieszkania w nędznej dzielnicy. Jedynym atutem, jaki mógł jej w tym pomóc, była własna inteligencja i wiedza, kiedy więc zaproponowano jej stypendium u niepokalanek, nie wahała się ani chwili.

Stypendium, matura w dobrym liceum - to była szansa, paszport, który miał zapewnić w przyszłości lepsze życie.

Ojciec był przeciwny planom Liz. Nie lubił „panków”, jak nazywał bogatych. Widział w nich chciwych oszustów i egoistów. Liz składała te opinie na karb robotniczej mentalności rozczarowanego do życia człowieka, ale żeby udobruchać staruszka, obiecała mieć się na baczności.

A teraz zdobyła przyjaciółkę, dziewczynę stamtąd, z lepszego świata. W każdym razie sądziła, że ją zdobyła. Uśmiechnęła się do siebie.

Chciała nawet prosić Glorię, żeby...

- Liz?

Ocknęła się z zamyślenia. Przy ladzie stała pani Reece, jedna z niewielu świeckich nauczycielek u niepokalanek. Liz nie słyszała nawet, kiedy weszła.

Wyprostowała się, speszona, że profesorka przyłapała ją na bujaniu w obłokach.

- Dzień dobry, pani Reece. Mogę w czymś pomóc?

- Wyglądasz tak, jakbyś była myślami tysiące mil stąd - zauważyła z uśmiechem nauczycielka.

Liz spaşowiała.

- Przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

- Nic się nie stało. - Pani Reece położyła przed Liz teczkę z dokumentami. - Możesz zrobić mi ksero z tych papierów? Posegreguj je później i zepnij spinaczem.

- Zaraz się tym zajmę.

Liz zapisała polecenie w swoim zeszycie, wzięła teczkę i przeszła do kserokopiarki. Miała już kończyć kopiowanie, kiedy w pojemniku zabrakło papieru. W tej samej chwili usłyszała głos Bebe dochodzący z korytarza; dziewczyna musiała stać tuż obok uchylonych drzwi sekretariatu.

- Ostrzegałam ją - mówiła. - Powiedziałam, że jeszcze mi zapłaci za tamtą historię i wreszcie się doczekałam. Nie przepuszczę okazji.

Serce Liz zabiło mocniej. Gloria. Bebe na pewno mówi o Glorii...

- Nie wiem, Bebe - odezwał się drugi głos, należący, jak się zdawało, do Missy. - A jeśli

orientuje się, że to tyją sypnąłś?

- Wielkie mi coś - prychnęła Bebe lekceważąco. - Co mi zrobi? Ja, w przeciwieństwie do niej, nie mam nic do ukrycia. - Bebe zaśmiała się szyderczo. - Poza tym wszystkie widziałyśmy, jak zwiewa z wuefu. Skąd będzie wiedziała, że to ja ją wydałam?

Dziewczęta weszły do sekretariatu. Schowana za kopiarką Liz słyszała, jak pukają do drzwi siostry Marguerity, potem rozległ się głos dyrektorki i donosicielki zniknęły w gabinecie.

Liz wstała. Bebe zamierza powiedzieć dyrektorze, że Gloria urwała się z lekcji. Trzeba ją ostrzec.

Rzuciła pracę i bez zastanowienia pobiegła do łazienki koło pracowni plastycznej. Gloria lubiła zaszywać się podczas przerwy w tym pustym zwykle pomieszczeniu.

Liz znalazła ją w ostatniej kabynie, spokojnie palącą papierosa, stanęła zadyszana przed przyjaciółką i oznajmiła:

- Gloria! Wychodź stąd i natychmiast wracaj na lekcję!

Gloria uśmiechnęła się, ale nawet nie drgnęła.

- Co się dzieje?

- Podśledzałam rozmowę Bebe i Missy. - Przejęta Liz z trudem łapała oddech. - Są teraz u siostry Marguerity. Poszły poskarżyć, że związałaś z wuefu.

- I co z tego? - Gloria beztrząsco wypuściła z nosa gęsty kłąb dymu.

- Jak to co? - powtórzyła Liz, zupełnie zbita z tropu.

- Ona może tu zaraz przyjść. Wyleją cię ze szkoły. Wyrzuć to świństwo, proszę. Jeśli dyra poczuje zapach dymu...

- Nie wyleją mnie - odparła Gloria, ale wstała i wrzuciła papierosa do ubikacji. - Nawet mnie nie zawieszają. Moja rodzina za bardzo liczy się w tym mieście i zbyt wiele forsy ładuje w tę budę. Chodź, chcę umyć ręce.

Liz podreptała posłusznie do umywalek za przyjaciółką, zdumiona jej postawą, tak zupełnie różną od jej własnej.

- A co z rodzicami? Nie boisz się ich?

Gloria splukała mydło z dłoni.

- Musiałabyś ich poznać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie obchodzi ich, co robisz?

- Wręcz odwrotnie - odparła Gloria ze śmiechem.

- Matka kontroluje każdy mój krok. I wiecznie jest ze mnie niezadowolona. Jakbym miała diabła za skórą. Zawsze tak było. W gruncie rzeczy wszystko im jedno, co zrobię. I tak będzie źle.

Liz pokręciła głową.

- Ja... nie wierzę.

- To uwierz. Zresztą, nie ma się czym przejmować.

- Gloria wyjęła z torebki błyszczak i pociągnęła nim wargi.

A jednak jest się czym przejmować, pomyślała Liz, przyglądając się uważnie przyjaciółce. Gloria udawała twardą, lecz kiedy mówiła o swojej rodzinie, bała się spojrzeć Liz prosto w oczy.

- Nic z tego nie rozumiem, Glorio. Według mnie jesteś najmilszą, najodważniejszą osobą na świecie! - wyrzuciła z siebie, ciągle wstrząśnięta tym, co przed chwilą usłyszała i odkryła.

- Ja? - zaśmiała się Gloria. - Miła i odważna? Powiedz to mojej matce.

- Naprawdę tak myślę. Wstawiłaś się za mną, a przecież jestem nikim. Nie musiałaś tego robić. Przecież nawet mnie nie znasz. Ty jedyna w całej budzie nie potraktowałaś mnie, jakbym była zakaźnie chora, chociaż dziewczynom nie mogło się to podobać.

Gloria wzruszyła ramionami.

- A co mnie one obchodzą?

- Sama widzisz - Liz pokiwała głową. -

Trzeba odwagi, żeby gwizdać na to, co myślą inni.

- Niekoniecznie. Nie lubię tych idiotek, nie mam z nimi nic wspólnego.

- Nie masz w ogóle przyjaciół? - Liz ponieważ ugryzła się w język i oblała rumieńcem. - To znaczy...

- stropiona podniosła rękę do ust - przepraszam, chciałam powiedzieć coś innego. Czy ty...

- Daj spokój, nie tłumacz się. Nie, nie mam przyjaciół. W każdym razie nie mam prawdziwych przyjaciół. Zawsze tak było i bardzo mi to odpowiada.



- Jesteś pewna?

- Owszem. - Gloria wysoko uniosła głowę. - Widzisz tu jakiś problem?

Zaskoczona gwałtownością, z jaką Gloria zareagowała na jej pytania, Liz cofnęła się o krok.

- Nie, nie. Ja tylko... - zamilkła, czując, że zupełnie się zaplątała. - Nieważne. Muszę wracać do sekretariatu.

- Zaczekaj. - Gloria położyła jej rękę na ramieniu. - Przepraszam. Zachowałam się paskudnie. Co chciałaś powiedzieć?

Liz zaczerwieniła się, wzięła głęboki oddech.

- Nie zamierzałam cię krytykować... ja tylko... chciałabym... chciałabym być twoją przyjaciółką, bardzo, Glorio.

Gloria patrzyła na nią przez chwilę, po czym odwróciła głowę i zaczęła bawić się zamkiem swojej torebki, otwierając go i zamykając nerwowo.

Może dlatego, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem?

Liz łzy zakręciły się w oczach. Po co wyskoczyła z tą głupią deklaracją? „Chciałabym być twoją przyjaciółką...”. Żałosne słowa.

Wbiła wzrok w podłogę. Zaraz się rozplacze jak małe dziecko. Przełknęła z trudem ślinę i cofnęła się w kierunku drzwi.

- Zapomnij o tym, co powiedziałam. To było... głupie. Do zobaczenia.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

- Zaczekaj!

Stanąła, ale nie śmiała odwrócić głowy.

- Mam ci powiedzieć prawdę? - zapytała Gloria. - Nie miałaś racji. To ty jesteś odważna,

nie ja. Ja nie musiałam nigdy znosić wyniosłych  
min tych snobek. Mnie chroni nazwisko i forsa  
mojej rodziny, a ty masz w sobie siłę, na którą  
mnie nigdy nie byłoby stać.

Liz odwróciła się powoli. Zobaczyła przed sobą zupełnie inną Glorię od tej, która łamała wszystkie zakazy i kpiła sobie z cudzych opinii. Ta nowa Gloria stała na środku łazienki z opuszczoną głową i zwieszonymi ramionami. Była niepewna, zagubiona. I bardzo samotna.

- Miałaś rację - ciągnęła. - Nie mam prawdziwych przyjaciół, bo nikogo do siebie nie dopuszczam na tyle blisko.

- Dlaczego? - zapytała Liz. - Dlaczego chowasz się w skorupie?

- Ludzie myślą, że jestem odważna. Mówią: „Gloria St. Germaine nie boi się niczego”. I bardzo dobrze. Niech mnie tak widzą. Gdyby się do mnie zbliżyli, dowiedzieliby się, jaka jestem naprawdę.

- Jesteś o wiele odważniejsza, niż ci się wydaje.

- Tak? - Gloria uśmiechnęła się. - Ty też.

Na korytarzu rozległy się kroki. Ktoś szedł do łazienki. Nie było to: siostra Marguerita i jej asystentka, siostra Josephine. Gloria mrugnęła do Liz i przyłożyła palec do ust. Liz skinęła głową, tymczasem przyjaciółka ukryła się błyskawicznie w ostatniej kabinie, wskoczyła na sedes i przymknęła starannie drzwi, zostawiając niewielką szparę. W sekundę później do łazienki weszły obydwie siostry.

Liz uśmiechnęła się promiennie na ich widok.

- Dzień dobry.

- Witaj, kochanie - odpowiedziała dyrektorka. - Szukamy Glorii St. Germaine. Widziałaś ją może?

Liz poczuła, że oblewa się rumieńcem.

Miała nadzieję, że siostrzyczki nic nie zauważyły.

- Tak, widziałam. Przed chwilą stąd wyszła.

- Doprawdy? - Siostry spojrzwały podejrzliwie w kierunku kabin, potem po sobie. - Nie spotkałyśmy jej na korytarzu.

- To dziwne, bo była tutaj chwilę temu. Okropnie się czuła. Kiedy weszłam, siedziała skulona na podłodze. - Liz zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu. - Miała straszne bóle.

- Bóle, powiadasz? - powtórzyła siostra Josephine.

- Biedactwo.

- Namawiałam ją, żeby zadzwoniła z sekretariatu po matkę, ale powiedziała, że ma dzisiaj klasówkę, na której musi zostać. Poszła pewnie do klasy.

- Rozumiem. - Siostra Marguerita odwróciła się do wyjścia. - Dziękuję ci, Liz. Zajrzymy do klasy. - Zatrzymała się jeszcze w progu. - A ty co? Nie powinnaś być o tej porze w sekretariacie?

- Tak, siostro. Wracam tam zaraz. Chciałam jeszcze... umyć ręce.

- Zatem do zobaczenia.

- Tak jest, siostro.

Ledwie siostrzyczki zniknęły za drzwiami, Gloria wychynęła z kabiny i podbiegła do Liz.

- Byłaś wspaniała - szepnęła. - Uwierzyły we wszystko, co im powiedziałaś.

Liz wyciągnęła przed siebie drżące dłonie.

- Biedne, choć zdolne stypendystki mają wiele do stracenia. O Jezu, okropnie się bałam. Byłam pewna, że wszystko się wyda.

Gloria uściskała roztrzęsioną dziewczynę.

- Byłaś naprawdę wspaniała.  
- Czułam się tak, jakbym miała za chwilę zemdleć.

- Trzymaj ze mną - powiedziała Gloria ze śmiechem.

- Nauczę cię, jak kłamać, żeby nikt cię nie przejrzał. Zobaczysz, że ci się spodoba.

- O nie, nie mam ochoty... - Liz złapała się za głowę: zupełnie zapomniała, że powinna siedzieć teraz w sekretariacie i robić odbitki dla pani Reece. - Która godzina? Muszę pędzić.

Gloria dogoniła ją, przytrzymała za ramię.

- Zaczekaj, Liz. Chciałam... chciałam ci podziękować, że uratowałaś mi skórę. Nikt nigdy... tak się wobec mnie nie zachował. To bardzo dużo dla mnie znaczy.

Liz uśmiechnęła się i ponownie ruszyła do wyjścia.

- Drobiazg. To ja jestem twoją dłużniczką.

- Liz?

Obejrzała się przez ramię.

- Tak?

- Ja też cię lubię. I myślę... że nieźle byłoby się zaprzyjaźnić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Od tamtej chwili Gloria i Liz stały się nierozłączne. Spotykały się na przerwach, razem jadły lunch, wieczorem prowadziły długie rozmowy przez telefon, a rano spotykały się na przystanku tramwajowym pięć przecznic od szkoły i resztę drogi szły pieszo, gadając jak najęte.

Gloria zawierzała Liz najgłębsze sekrety, opowiadała o swoich lękach i marzeniach. Liz rewanżowała się tym samym. Chociaż różniło je wszystko: postawa wobec życia, pochodzenie, temperament, rozumiały się w pół słowa. Wystarczyło przelotne spojrzenie, by jedna wiedziała, co myśli i czuje druga.

Posiadanie prawdziwej przyjaciółki było dla Glorii zupełnie nowym, lecz jakże wspaniałym doświadczeniem. Nigdy nie przypuszczała, że przyjaźń tak bardzo ją odmieni. Nie sądziła, że potrafi czerpać z niej aż tak ogromną radość. Dopiero zetknięcie z Liz pozwoliło jej uświadomić sobie, jak bardzo samotna była do tej pory.

A jednak te nowe doznania podszyte były lękiem, że matka nie zaakceptuje Liz i zniszczy rodzącą się zażyłość. Znajdzie sposób, by zniechęcić Liz do córki. Gloria nie chciała nawet myśleć o tym, że mogłaby stracić jedyną przyjaciółkę. Bez niej nie potrafiłaby już żyć tak jak wcześniej.

Niepotrzebnie się martwiła. Hope doskonale wiedziała o jej przyjaźni z małą stypendystką, tak jak wiedziała niemal o

wszystkim, co działo się u niepokalanek. Przeprowadziła niewielkie dochodzenie i zdobyła interesujące ją informacje na temat Liz Sweeney - dziewczyna była cicha, zrównoważona, pilna, przy tym chorobliwie nieśmiała. Typ szarej myszki, która z pewnością nie ugania się za chłopakami.

Najbardziej ucieszyła ją wszakże wiadomość, że pozycja Liz w szkole jest bardzo krucha. Jej stypendium w każdej chwili mogło zostać cofnięte z najbliższego powodu. Jako jedna z poważniejszych sponserek szkoły, Hope mogła kontrolować przyjaciółkę córki, grożąc jej utratą stypendium. Miała oczywiście nadzieję, że do tak drastycznych środków nie będzie musiała się odwoływać, chyba że w ostateczności.

Tymczasem uznała, że Liz będzie miała dobry wpływ na córkę. Ostatnimi czasy Gloria zaczęła się lepiej uczyć, uspokoiła się, złagodniała, toteż Hope łaskawie zaaprobowała nową znajomość. Oznajmiła nawet Glorii, że może zapraszać przyjaciółkę, kiedy tylko zechce.

Tak. Kiedy tylko zechce.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Philip siedział za wielkim, starym biurkiem z drewna cyprysowego, które służyło St. Germanie'om od czterech pokoleń. Kiedy pradziad je stalował, naprawdę dobre meble robiono z pozyskiwanego poza Luizjaną mahoni, orzecha lub wiśni. Nikt nie cenił jeszcze wtedy cyprysu.

Pradziad uparł się jednak, by wykorzystać miejscowe drewno. Jeśli tylko możesz, zwykł powtarzać, nie szukaj daleko, korzystaj z tego, co masz blisko domu, nie odrywaj się od swoich korzeni, bo to one dają człowiekowi siłę.

Dom. Korzenie.

Philip przesunął dłonią po gładkim, politurowanym blacie. Nie leżały na nim żadne dokumenty, teczki, katalogi czy raporty. Papiery pojawiały się tutaj z rzadka. W domu, gdzie ma toczyć się życie rodziny, nie należy załatwiać interesów. Tego też Philip nauczył się od swojego ojca, on z kolei przejął ową zasadę od dziadka.

Jakby dla jej podkreślenia, na biurku stało kilka rodzinnych fotografii. Philip zatrzymał wzrok na zdjęciu Hope z pierwszych lat małżeństwa i poczuł wzbierającą gorycz. Co się stało z tą łagodną, delikatną dziewczyną, którą pokochał od pierwszego wejrzenia, która wydawała mu się kiedyś stąpającym po ziemi aniołem?

Dawno wyzbył się złudzeń co do swojej pięknej żony. Zaczęli oddalać się od siebie, kiedy Hope odwróciła się od ich nowo narodzonej



córeczki. Wmawiał sobie wtedy przez jakiś czas, że wszystko będzie dobrze, że nadal będzie wiódł beztróskie życie, że jego doskonale urządzone świat wcale się nie rozpada.

Te czasy dawno minęły.

Widok twarzy Hope sprawiał mu ból. Zniechęcony, obrócił się w fotelu w stronę okna i oświetlonego zachodzącym słońcem ogrodu. Nie kochał już żony. Nie kochał jej od wielu lat.

A jednak nadal miała na niego ogromny wpływ, spod którego nie potrafił się wyzwolić.

Przycisnął powieki palcami, po czym opuścił dłonie na kolana i oparł głowę o zagłówek fotela. W miejsce rozgoryczenia pojawiło się uczucie niesmaku do samego siebie. Jego uzależnienie od Hope nie miało nic wspólnego z zaufaniem, poczuciem więzi rodzinnej czy szacunkiem. Nie, chodziło o coś zupełnie innego: o seks, prymitywne pożądanie, z którego nie potrafił się otrząsnąć.

Próbował. Sypiał z innymi kobietami, miał nawet romans. Nie dlatego żeby znudzony żoną szukał nowych podniet. Przeciwnie, liczył na to, że w ten sposób przerwie chorobliwą więź, jaka łączyła go z Hope.

I nadal za nią tęsknił. Przelotne związki zamiast zmniejszać, podsycaly tylko nienasyconą tęsknotę.

Philip zacisnął palce. Chryste, nawet znęcanie się Hope nad córką nie było w stanie zabić tego pożądania, chociaż zabiło wszystkie inne uczucia.

Łącznie z szacunkiem dla samego siebie.

Hope sprawiała, że stawał się bezwolnym narzędziem w jej rękach. Przez nią stracił miłość

córki.

Ukrył twarz w dłoniach. Kochał Glorię z całego serca. Pragnął, żeby ich wzajemne stosunki układały się jak niegdyś. Tak bardzo chciał, żeby znowu patrzyła na niego z podziwem.

Ale i to minęło, jak wszystko inne. Teraz zaledwie tolerowała jego obecność. Zdawała się go nie zauważać, a jeśli już zwracała się do niego, widział w jej oczach gniew i wyrzut. Albo politowanie.

Jakby ona też gardziła jego słabością.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Podszedł do drzwi gabinetu, wrócił do biurka, spojrzął na pusty blat. Jedyne co mu zostało, to St. Charles. Hotel należał do niego, tam zapominał o wszystkich niepowodzeniach i klęskach, tam mógł czuć się dumny ze swoich sukcesów.

Teraz groziło mu, że utraci także i to.

Przezesął włosy palcami i zdał sobie sprawę, że drżą mu ręce. Zaklął cicho, prostując plecy. Sam był sobie winien. Akurat Hope nie miała z tym nic wspólnego. Zlekceważył ojcowskie przestrogi, zaciągnął duże kredyty, zaangażował prywatne fundusze. I przegrał.

Kiedy postanowił odnowić St. Charles, Nowy Orlean przeżywał swoisty renesans, boom finansowy, jakiego miasto wcześniej nie znało. Kwitł przemysł naftowy, cena baryłki nigdy nie stała tak wysoko, prowadzono nowe wiercenia, przygotowywano się do Targów Światowych, co oznaczało zalew turystów ze wszystkich kontynentów.

Wszyscy robili pieniądze. Wielkie pieniądze. Przeciągające się do późna, zakrapiane najlepszym Dom Perignon lunche stały się czymś

powszednim. Philip, jak wielu jego znajomych, przemieszczał się po mieście luksusową limuzyną. Żył się zbyt kownie, rozkoszowało nadmiarem i przesadą. W tamtym okresie utopić pół miliona w renowacji i modernizacji hotelu zdawało się rzeczą zupełnie normalną, z pozoru nie niosło ze sobą żadnego ryzyka. Niemal z dnia na dzień w gotującym się do targów mieście wyrastały nowe hotele, Sugar House, Le Meridian, Intercontinental, by wymienić tylko kilka. Wszystkie luksusowe, oferujące gościom to, czego zbywało w St. Charles - pełną nowoczesność, znakomitą lokalizację. Philip uznał, że albo będzie konkurencyjny, albo zginie.

Znaleźli się tacy, którzy go ostrzegali, że starym ojcem na czele, ale ci byli w mniejszości, a skorych do udzielania pożyczek wielu. Wszystko sobie ułożył: spłaci kredyty ze zwiększonych dochodów, jakie zaczną przynosić St. Charles...

Tak, wszystko sobie ułożył.

Opadł z powrotem na fotel. St. Charles nie zaczął przynosić zwiększonych dochodów. Kto przypuszczał, że zapaść przyjdzie tak niespodziewanie i okaże się tak dramatyczna? OPEC się rozpadł, nafta zalewała rynek. Cena za baryłkę spadła na łeb na szyję, wstrzymano raptownie nowe wiercenia. Na dodatek Targi Światowe okazały się finansowym krachem na epicką miarę.

Z dnia na dzień zamykano kolejne firmy, dokonywano drastycznych redukcji, ludzie lądowali na bruku bez pracy. Menedżerowie zajmujący dotąd wysokie stanowiska w przemyśle naftowym pakowali walizki i uciekali z Luizjany z prędkością światła. Turyści omijali Nowy Orlean. Frekwencja w St. Charles zamiast wzrosnąć, spadła o siedemdziesiąt procent.

Philip siedział przy biurku z głową wspartą na łokciach. Dwa razy odwlekał już termin spłaty kredytu. Teraz zbliżał się trzeci, ostateczny. Wierzyciele zaczęli domagać się pieniędzy, a on ich nie miał.

- Philipie?

Uniósł głowę. W progu gabinetu stała Hope w jedwabnym czerwonym szlafroku. Rozpuszczone, wyszczotkowane włosy spływały swobodnie na ramiona, szczupłą sylwetkę oświetlało łagodne światło padające z holu.

Philip z trudem oderwał od niej oczy.

- Siedzisz tutaj Bóg wie ile godzin.

- Tak?

- Jeszcze pytasz. Co się z tobą dzieje?

Zerknął na żonę i szybko odwrócił wzrok.

- Mamy kłopoty - mruknął niechętnie. –  
Finansowe kłopoty.

Hope zbladła.

- Jak to możliwe?

- Musimy spłacić kredyt zaciągnięty na renowację hotelu. Wierzyciel nie godzi się dłużej czekać, a my nie mamy pieniędzy.

- Ile? - zapytała, kładąc rękę na szyi.

- Pięćset tysięcy dolarów.

- To nie tak znowu dużo. Tyle musimy przecież mieć. Znajdziemy...

Philip wstał i podszedł do okna. Przez chwilę wpatrywał się w ciemności, wreszcie odwrócił do żony.

- Nie mamy.

- Nie mamy? - powtórzyła, jakby nie rozumiała znaczenia usłyszanych słów, czy też nie dawała im wiary. - Możemy przecież coś sprzedać. Obligacje, papiery wartościowe, czy jak się to tam nazywa. Na którymś z naszych kont na pewno...

- Mamy dom - przerwał ostro. - Jest twoja biżuteria. Obrazy. Różne nieruchomości rozsiane w mieście. To wszystko kosztuje. Sporo inwestowałem w ostatnich latach. Głównie w przestrzenie handlowe. Wydzierzawienie jednej stopy kwadratowej pod sklep kosztuje mniej więcej osiemnaście dolarów. Osiemnaście dolarów za stopę kwadratową, Hope! A mimo to nie brakowało chętnych. Włożyłem w ten interes prawie wszystkie nasze pieniądze. I co? Teraz te budynki świecą pustkami. Jest jeszcze gorzej niż w St. Charles.

Hope wpatrywała się w męża z przerażeniem na twarzy.

- Sprzedaj je, Philipie - powiedziała cicho.
- Sprzedaj natychmiast.
- Masz mnie za idiotę? Myślisz, że jeszcze o tym nie pomyślałem?

- Wobec tego, co przed chwilą usłyszałam, lepiej żebym nie odpowiadała na twoje pytanie.

- Straciły na wartości, nie zwrócą nam pieniędzy, które w nie włożyłem. - Odwrócił się na powrót do okna. - Jest człowiek, który zgodził się spłacić nasz kredyt w zamian za połowę udziałów w hotelu.

- Dobry Boże! - Hope chwyciła się oparcia krzesła. - Co ludzie o nas powiedzą. Staniemy się pośmiewiskiem całego miasta.

- Nie zgodziłem się.

- Nie zgodziłeś się? - Pokręciła głową, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. - Jak w takim razie spłacimy pożyczkę?

- Hotel jest dla mnie wszystkim, Hope. Nie możemy go stracić. - Obszedł biurko, stanął przed żoną, spojrzał jej prosto w oczy. - Pozostaje twoja biżuteria, kolekcja sztuki i rolls. Nasz dom. Letnia rezydencja. Rzeczy stanowiące naszą prywatną własność.

Hope zaczęła drżeć.

- O czym ty mówisz?

- Musimy się pozbyć tego wszystkiego.

- Boże - jęknęła. - Co ja powiem naszym znajomym?

- Nie obchodzi mnie, co powiesz naszym znajomym!

- Nie krzycz na mnie, Philipie. To nie moja wina, że mamy kłopoty.

- Jasne, że nie - sarknął gniewnie. - Ty jesteś święta.

- Zapewniałeś, że potrafisz mnie utrzymać, a teraz opowiadasz, że mamy sprzedać dom i moją biżuterię? Gdzie będziemy mieszkać?



Pomyślałeś o Glorii? Co z jej przyszłością?

Słowa Hope dotknęły go do żywego. Zaklął cicho, odwrócił się gwałtownie i podszedł do biurka. Przez chwilę stał w milczeniu, wreszcie podniósł głowę.

- Potrafiłem dotąd utrzymać rodzinę, utrzymam i teraz.

- Jak? Sprzedając dom?

- Nie sprzedamy go od razu, obciążymy hipotekę. Nie wyrzucą nas na ulicę.

- Do czasu kiedy i tej pożyczki nie będziesz w stanie spłacić. Jak długo to może trwać, Philipie? Dwa tygodnie? Dwa lata? Dziesięć lat?

- Dość, Hope - wycodził przez zęby.

- Jak mogłeś do tego dopuścić? - zapytała, podchodząc do niego i zaciskając kurczowo palce na jego ramionach. - Ty beznadziejny głupcze. Jak mogłeś być taki... lekkomyślny? Krótkowzroczny?

Philip szarpnął się jak dźgnięty nożem, chwycił żonę za dłonie. Rysy mu stężały.

- Zapomniałaś o przysiędze małżeńskiej, kochanie? Była w niej chyba mowa o miłości i wierności, szczęściu i nieszczęściu, zdrowiu i chorobie? Powinnaś iść natychmiast do spowiedzi, jeśli nie chcesz, żeby twoja nieśmiertelna dusza smażyła się w ogniu piekielnym.

- Dalej, bluźnij - odparła. - Będę się za ciebie modlić.

Skrzywił się i odwrócił wzrok.

- Obłożymy dom hipoteką i sprzedamy letnią rezydencję. Musimy pozbyć się rollsa, w razie potrzeby ruszymy twoją biżuterię i wystawimy na aukcję kilka obrazów z naszej kolekcji. Nie mamy innego wyjścia.

- A ten kupiec, który chciał spłacić nasz dług? Czy nie moglibyśmy...

- Nie, Hope. - Nagle poczuł się bardzo stary. Znacznie starszy, niż był w rzeczywistości. Wypalony i sterany życiem. - Dobranoc.

- Philipie - szepnęła - spójrz na mnie.

Znał doskonale ten niski, gardłowy ton w

jej głosie. Oznaczał, że żona czegoś od niego chce. Niechętnie podniósł wzrok.

Zsunęła szlafrok z ramion, miękka tkanina opadła z cichym szelestem na podłogę. Hope stała przed nim w zwiewnej, przezroczystej koszuli nocnej.

- Podejdz tutaj - poprosila.

Kiedy usluchal, zarzucila mu ramiona na szyje i przylgnela do niego calym cialem.

- Jest przeciez wyjscie z sytuacji - mruknela mu do ucha. - Dopusc do spolki tego czlowieka, ktory chce splacic dlug.

Chcial powiedziec „nie”, ale wtedy Hope odwrócilaby sie na piecie i wyszla. Pogardzal soba, nie byl jednak w stanie znalezc dosc sily, by przerwac zenujaca scene.

- Zostanie nam przeciez polowa udzialow.  
- Dlon zony zsuwala sie coraz nizej, na podbrzusze. - Co mam zrobic, zeby cię przekonac?

Zdawal sobie sprawe, ze nim manipuluje, ale i tak jej pragnal. Chcial ja wziac tutaj, zaraz, na blacie cyprysowego biurka. Jesli jej ulegnie, bedzie mogl kochać się z Hope tak, jak on bedzie chcial. Nie tylko dzisiaj, takze jutro, przez najblizsze dni, moze nawet tygodnie.

Tak dlugo, az Hope uzna, ze splacila juz swój dlug wobec niego, ze nie jest juz mu nic winna. Koniec bedzie bolesny, ale wart calkowitego zapomnienia się w rozkoszy.

Boze, nienawidzil Hope rownie mocno, jak jej pozadal.

Jeszcze bardziej zaś nienawidzil samego siebie.

- Znajomym powiemy, ze byles juz zmeczony codzienna harowka - przekonywala, przyklkajac przed Philipem i rozpinajac mu spodnie. - Ze nie masz syna, ktory mogleby przejac twoje obowiazki, wiec postanowiles przyjac wspolnika.

Poczul cieply oddech na skorce, jeknal, zatopil palce w ciemnych wlosach zony.

- Widzisz, jak dobrze? - szeptała. - Tak może być... cały czas.

- Tak...

Wygiął się do tyłu, drżał z pożądania. Czekał, aż Hope wreszcie go dotknie, obejmie, zacznie pieścić.

- Powiedz to jeszcze raz, kochanie. Chcę to usłyszeć. Chcę, żeby było nam dobrze. - W jej głosie zabrzmiała nuta triumfu. Kiedy uniosła oczy, dojrzał w nich coś, co go przeraziło, coś mrocznego i niezgłębionego.

Zatrwożony odskoczył gwałtownie.

- Philip... kochanie. Co się stało?

Odwrócił się do niej plecami, klnąc własną słabość. Robiło mu się niedobrze na myśl, że omal nie uległ.

- Philipie? - pytała. - Co ja takiego zrobiłam?

Zesztywniał zdjęty obrzydzeniem: ta słodycz w jej głosie, ta błagalna nuta. Przypomnił sobie lata, kiedy był jeszcze zakochany w cudownej, pełnej ciepła dziewczynie. W tamtych czasach był gotów zrobić dla niej wszystko.

- Spójrz na mnie, Philipie.

Nie zareagował. Nie potrafił. Gdyby odwrócił głowę, już by się jej nie oparł. Zapiął spodnie i ruszył ku drzwiom. Zatrzymał się jeszcze w progu, ale nie śmiał spojrzeć na żonę.

- St. Charles należy do naszej rodziny od niemal stu lat. Zrobię wszystko, ale nie oddam hotelu. Nie prosz mnie o to więcej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Hope krążyła niespokojnie po sypialni. Znowu czuła obecność Cienia. Naigrywał się z niej, naśmiewał, kpił sobie z jej zadufania; była pewna, że jest niezłomna, że nigdy nie ulegnie jego podszeptom.

Tymczasem nie mogąc dotrzeć do niej, posłużył się Philipem i w ten sposób jej dosięgnął!

Z każdą chwilą była bardziej wzburzona. Jak mogła nie dostrzec, co się wokół niej dzieje? Nie przygotować się na nadchodzący atak? Słaby, bezwolny Philip był idealnym celem.

Od rozmowy w bibliotece minął tydzień. Hope zdążyła w tym czasie przeprowadzić kilka dyskretnych rozmów telefonicznych: zadzwoniła do banku, do księgowego, który prowadził buchalterie hotelu, i do przyjaciółki pracującej w nieruchomościach. Wszystko, co usłyszała od Philipa, okazało się prawdą. Tkwili po uszy w długach.

Idiotka. Była taka głupia. Łatwowierna. Nigdy nie wtrącała się do spraw finansowych, pozostawiając je całkowicie w gestii Philipa. Tamtego wieczoru w bibliotece próbowała wskazać mu wyjście z sytuacji, ale się spóźniła.

Philip odwrócił się od niej, zostawił ją na klęczkach. Na pośmiewisko Bestii.

Zatrzymała się i otrząsnęła ze wstrętem. Musi się

opanować, musi być silna. Musi znaleźć rozwiązanie. Zbyt wiele wysiłku włożyła w zdobycie obecnej pozycji, by teraz ją stracić. Wystarczy, że rozejdą się pogłoski o ich zadłużeniu i w jednej chwili zostanie wykluczona z kręgu nowoorleańskiej elity.

Już słyszała te poszeptywania. Przesną napływać zaproszenia na przyjęcia, przestanie zasiadać w przydających towarzyskiego prestiżu komitetach, zamkną się przed nią drzwi powszechnie szanowanych domów, wszyscy odwrócą się od niej plecami.

Znajdzie się znowu na marginesie, jak przed laty.

Nie, już nigdy. Nie dopuści do tego, nie da się zepchnąć.

Za oknami zawodził wiatr. Hope otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz, w chłodną noc. Spojrzała w niebo zaciągnięte ciężkimi, zwiastującymi burzę chmurami, oparła się o balustradę. Wiatr targał jej włosy, rozwiewał połę szlafroka, opinał koszulę wokół ciała.

Wychyliła się tak mocno, że poczuła zawrót głowy. Basen kąpielowy, usytuowany niemal wprost pod balkonem, ciągnął ją w dół. Cień porywał w górę. Unosił wysoko, ku mrocznemu niebu. Gałęzie smagały jej twarz, zaczepiały o włosy. Przed oczami załopotwały skrzydła wielkiego ptaka w locie.

Ujrzała matkę - ciemne widmo otoczone złocistą poświatą. Chmury rozstały się na moment, wyrzwał księżyc, opromieniając niematerialną postać.

Hope wpatrywała się nią zafascynowana i przejęta zgrozą. Wyciągnęła dłoń, by zagarnąć



złoty blask. A z nim to, co mroczne.

Wylądowała z powrotem na balkonie. Była znowu w swoim domu, w realnym świecie. Strach zapierał jej dech w piersiach, nadal przechylała się przez balustradę. Wystarczyło, by wychyliła się jeszcze trochę, a runie w dół.

Zginie.

Wyprostowała się powoli, oderwała palce od poręczy i cofnęła o krok. Bezpieczna we wnętrzu sypialni, zatrzasnęła za sobą drzwi balkonowe, zamknęła na klucz i osunęła się na podłogę. Podciągnęła kolana pod brodę. Oplotła nogi rękami i skuliła się, drżąc na całym ciele.

Uspokoiła się dopiero po kilku minutach. Choć przed oczami miała jeszcze obraz mrocznej zjawy otoczonej złocistą aureolą, lęk ustąpił i przyszło odprężenie. Odprężenie i jasność umysłu. Wiedziała już, co ma robić. Odpowiedź nasuwała się sama.

Matka da jej pieniądze. Choć są naznaczone grzechem, należą wszak do niej, są jej legatem, jej posagiem. Jak Ciemność i Cień. Zapomni o nienawiści, o dumie i pojedzie do matki.

Zrobi wszystko, ale nie da się zepchnąć ponownie na margines.

Wstała i podeszła do telefonu. Przez lata śledziła, co dzieje się z Lily Pierron. Wiedziała, że pięć miesięcy wcześniej matka i chłopak, który u niej mieszkał, przenieśli się do miasta i wynajęli mieszkanie w Dzielnicy Francuskiej.

Odszukała numer telefonu. Usłyszała w słuchawce głos matki. Wykorzystując jej zdumienie, zaczęła mówić głosem bezradnego, zagubionego dziecka. Obiecywała niezobowiązująco, że złączą się widywać, kiedy tylko ureguluje swoje sprawy, przyrzekała spłacić dług, jako zabezpieczenie długu proponowała obligacje.

Tak jak przewidywała, matka zgodziła się udzielić pożyczki. Prosiła tylko o trochę czasu -

by zgromadzić potrzebną sumę, będzie musiała zlikwidować prawie wszystkie swoje aktywa, zostanie jej tylko dom przy River Road i pieniądze na życie.

Hope z uśmiechem odłożyła słuchawkę. We wtorek chłopiec przyniesie do hotelu pierwszą ratę pożyczki. Lily przyrzekła, że nie powie mu, co ani komu dostarcza. Nikomu też nie zdradzi, jaki układ zawarła z córką. St. Charles zostanie uratowany, podobnie dom, zbiory sztuki i towarzyska pozycja Hope. A Philip na zawsze pozostanie jej dłużnikiem.

Hope odrzuciła głowę i zaśmiała się w głos. Raz jeszcze pokonała Ciemności.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Santos stał w holu St. Charles i rozglądał się z nabożnym podziwem po wnętrzu. Nigdy w życiu nie widział nic równie wspaniałego. Dotąd znał tylko zbytek domu Lily i podupadające piękno Dzielnicy Francuskiej.

Tymczasem Hotel St. Charles miał w sobie dyskretną elegancję i klasę, był dystyngowany. Boazerie błyszcząły delikatnie, połyskiwały mosiądze, personel poruszał się bezszelestnie. Czulo się tutaj wielkie pieniądze, spatynowane tradycją wielu pokoleń. Santos o jednym i drugim nie miał pojęcia.

Spoglądał na mrowiących się wokół ludzi, na kobiety popijające herbatę na tarasie, na portierów i objuczonych torbami z zakupami boyów. Od wszystkich bił blask, skrzyły się upierścienione dłonie dam, nadgarstki i mankiety panów. Nieskazitelny tłum.

Na tym polega prawdziwa zamożność, pomyślał. Bogactwo, które daje władzę. Wiedział, że nie ma tu czego szukać. On, biedak i mieszaniec, syn dziwki z Dzielnicy Francuskiej, który z trudem zdobył maturę. I to w dodatku w szkole publicznej. Słyszał to w protekcyjnym: „W czym mogę pomóc?” portiera, widział w podejrzliwym spojrzeniu recepcjonistki. Goście hotelowi omijali go szerokim łukiem, jakby bali się splamienia zbyt bliskim kontaktem.

Ciekawe, czy okazywaliby mu trochę szacunku, gdyby był gliniarzem. Rozbawiony, pokręcił głową. Nie, co najwyżej udawaliby.

Nie musieli aż tak bardzo strzec swojego świata, nie miał zamiaru wdzierać się do niego, nie chciał przynależeć do tego zadbanego, plastikowego, białoskórego tłumu, dzielić idiotycznych obaw tych ludzi i ich nieuzasadnionych uprzedzeń.

Podszedł do windy, nacisnął guzik. Lily też nie należała do tego świata, aczkolwiek jej klienci pochodzili z podobnych sfer. Jakie jednak interesy mogły łączyć Lily z panią St.Germaine? Sięgnął do kieszeni, w której miał kopertę. Dostał ją dzisiaj rano z wyraźnym poleceniem oddania do rąk własnych pani Hope St. Germaine.

Czy to możliwe, żeby tamta pracowała dla Lily? Była jedną z jej dziewcząt? Mało prawdopodobne. Z opowieści Lily wynikało, że dwa jakże odmienne światy spotykają się w punkcie wymiany rozkoszy na zysk, ale poza tym nie mają ze sobą nic wspólnego. Nikt nigdy, jak Lily sięgała pamięcią, nie „wybawił” żadnej z dziewczyn. Owszem, prostytutki dorabiały się, zaczynały nowe życie, stawały się szanowanymi kobietami, ale między bajki należało włożyć, co w istocie było bajką - historię Kopciuszka.

Kim zatem była pani St.Germaine? Kiedy zadał to pytanie, Lily powiedziała, że starą znajomą, a w kopercie są prywatne listy sprzed lat, nic ważnego.

Nie uwierzył jej. Nigdy nie widział Lily tak zdenerwowanej, podnieconej niczym pensjonarka. Rumieniła się, wyłamywała palce, to podekscytowana, to znowu wzburzona.

Wspomniał, że dziwnie się zachowuje, a ona na niego fuknęła: wymysły. A przecież nigdy wcześniej nie widział jej w takim stanie.

Coś przed nim ukrywała.

Otworzyły się drzwi windy, Santos wszedł do kabiny i nacisnął guzik na drugie piętro. Drzwi zaczęły się zamykać.

- Chwila! Przytrzymaj drzwi!

Do kabiny wpadła zadyszana dziewczyna, odgarnęła ze śmiechem włosy z czoła.

- Dzięki. Te staruszki tak wolno jeżdżą, że musiałabym całe wieki czekać na następną.

Odpowiedział uśmiechem, speszony nieco wrażeniem, jakie wywarła na nim jej zjawiskowa uroda. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział równie pięknej istoty. Za młoda dla mnie, pomyślał, zerkając na szkolny mundurek.

- Nie ma sprawy. Które?

- Piąte. - Przechyliła lekko głowę i zmierzyła go bezczelnym, pełnym zainteresowania wzrokiem. - Nienawidzę czekać, a ty?

- Zależy - mruknął z lekkim uśmieszkiem.

- Od czego?

- Na co czekam. Odrzuciła włosy na ramiona.

- Aha, to ten model.

Rozbawiony ściągnął brwi. Panna flirciarka? Nie miał nic przeciwko temu.

- Który mianowicie?

Wyglądziła fałdy plisowanej szkockiej spódnicy.

- Wierzysz, że w życiu warto czekać.

- Ty nie?

- No wiesz! Kto by chciał czekać? Mam na

coś ochotę, to biorę.

Zaśmiał się. Już wiedział, z kim ma do czynienia: rozpieszczona, zaczepna, pewna siebie. W Vacherie, ogólniaku, który skończył, pełno było jej podobnych. A jednak zaintrygowała go.

- Zdaje się, że ostro żyjesz.
- Uważasz, że to źle?
- Tego nie powiedziałem.

- Fakt. Jak masz na imię?

- Santos. - Oparł się o ścianę windy. Nie, nie zrewanżuje się tym samym pytaniem. Zamiast się odać, jak oczekiwał, dziewczyna zmrużyła oczy.

- Santos... - powtórzyła. - Dziwne imię.

- Jestem dziwnym facetem.

Otworzyła usta, coś chciała powiedzieć, ale w tej samej chwili winda się zatrzymała, a drzwi rozsunęły cicho.

- Cześć. - Santos wysiadł z kabiny.

- Ja mam na imię Gloria - zawołała za nim dziewczyna, przytrzymując ramieniem otwarte drzwi.

- Gloria... - powtórzył. - Dziwne imię.

- Jestem dziwną facetką. - Uśmiechnęła się. - Do następnego razu, Santos.

Drzwi się zamknęły, Santos ze śmiechem pokręcił głową. Rzeczywiście, „dziwna facetka”, prawdziwa petarda. Musi dawać niezłego czadu swoim starym.

Znał takie dziewczyny. Mnóstwo takich dziewcząt. Zawsze chciały tego samego: wciągnąć go w przygodę, zaszaleć, dokuczyć rodzicom.

Godził się na to. Posługiwały się nim, to jasne, lecz i on je wykorzystywał. Wszyscy byli zadowoleni i nikt nikogo nie traktował poważnie.

Wyjął z kieszeni kopertę, którą dała mu Lily, sprawdził zapisany na wierzchu numer pokoju i ruszył korytarzem w poszukiwaniu biura hotelowego. Po chwili był w sekretariacie. Odchrząknął. Siedząca za biurkiem dziewczyna podniosła głowę.

- W czym mogę pomóc? - zapytała chłodno.



- Szukam Hope St. Germaine.
- Jesteś umówiony?
- Mam dla niej przesyłkę. - Wyjął kopertę z kieszeni. Dziewczyna wyciągnęła rękę.
- Oddam jej.

- Przykro mi, mam przekazać do rąk własnych. Jeśli jej nie ma, zaczekam.

- Nazwisko?

- Victor Santos.

- Chwileczkę. - Dziewczyna podeszła do drzwi, zapukała i zniknęła w przylegającym do sekretariatu gabinecie.

- Pani St. Germaine prosi - oznajmiła, pojawiając się po kilku sekundach.

Santos wszedł do bogato urządzonego wnętrza z ogromnym oknem wychodzącym na St. Charles Avenue. Przy oknie stała kobieta. Odwróciła się dopiero, kiedy zamknęły się drzwi za sekretarką.

Od pierwszego wejrzenia wydała się Santosowi antypatyczna: patrzyła na niego z wyraźną odrazą, jakby zobaczyła przed sobą płaza albo gada, który nagle wypełził spod kamienia. W jej twarzy był jakiś chłód, zaciętość. I wyniosłość.

- Hope St. Germaine? - zapytał.

- Tak. - Wyciągnęła rękę. - Masz przesyłkę?

Podał kopertę, ona zaś odebrała ją i błyskawicznie cofnęła dłoń, jakby bała się zarazić od Santosa jakimś paskudztwem.

- Powiedziano mi, że mam coś od pani odebrać - wycedził.

Hope bez słowa podeszła do biurka, otworzyła kopertę, zajrzała do środka i z zadowoloną miną schowała ją do szuflady, skąd wyjęła inną kopertę. Spojrzała na posłańca wyczekująco, niczym na psa, który powinien podbiec i chwycić swoją kość.

Santos zacisnął zęby. Nie zamierzał się wygłupiać. Założył ręce na piersi i stał bez ruchu.

Kobieta poczerwieniała, wyszła zza  
biurka.

Uśmiechnął się pod nosem. Nie pamiętał,  
żeby ktoś kiedykolwiek budził w nim taką  
antypatię jak Hope St. Germaine.

Wyciągnęła do niego rękę z kopertą, na której widniało nazwisko Lily.

- Weź to i zabieraj się.

Nie drgnął. Spojrzał w zimne oczy Hope. Przekonana o swojej wyższości myślała, że może traktować go jak służącego. Niedoczekanie. Nie pozwoli odnosić się do siebie w poniżający, lekceważący sposób. Nie był niczym służącym. Nawet Lily.

Odebrał kopertę bez wielkiego pośpiechu, schował do kieszeni i uśmiechnął się ironicznie.

- Dzięki, mała. Przykro mi, że nie dotrzymam ci towarzystwa. Faktycznie muszę zniknąć.

Na twarzy Hope odmalowało się zdumienie, zaraz potem wściekłość. Nie czekając na jej odpowiedź, Santos wyszedł z biura odprowadzany nieprzyjaznym wzrokiem sekretarki. Zamiast jechać windą, zbiegł na dół schodami. Chciał jak najszybciej uciec z tego cuchnącego pieniędzmi piekła.

Przemierzył szybko hol na parterze, pchnął drzwi i znalazł się na zalanej październikowym słońcem ulicy. Odetchnął głęboko. Dopiero teraz opadły z niego złość i niesmak po spotkaniu z Hope St. Germaine. Ta kobieta uosabiała wszystko, czego nienawidził: wzdurliwą wyniosłość i głupotę ludzi uprzywilejowanych, cholerny system, który tworzył przepaść między bogatymi i biednymi, który dopuszczał, by zabójstwo jego matki uszło bezkarnie.

Ruszył w kierunku przystanku tramwajowego. Skąd Lily znała tę odpychającą kobietę? Jakie tajemnicze sprawy łączyły ją z Hope?

Zmarszczył czoło. Miał wrażenie, że skądś ją zna, ale był przecież pewien, że nigdy wcześniej jej nie spotkał. Zapamiętałby ją. Taką osobę trudno zapomnieć.

- Santos!

Zatrzymał się na dźwięk swojego imienia, odwrócił.

Przy krawężniku stał czerwony kabriolet z odsuniętym dachem, za kierownicą siedziała panna z windy. Pomachała do niego z uśmiechem.

- Przejedziemy się?

Zawahał się. Była dla niego za młoda i zbyt zepsuta.

Ale w końcu to tylko przejażdżka.

Podszedł do auta, świadomy, że szwajcar z St. Charles patrzy na niego podejrzliwie. Stojący obok boy hotelowy też miał dziwną minę.

Oparł rękę o przednią szybę.

- Niezła bryczka. Potrafisz to prowadzić?

Uniosła ku niemu twarz osłoniętą ciemnymi okularami.

- Możesz się przekonać. Wskakuj.

- Czemu nie? - Santos otworzył drzwiczki i usadowił się obok dziewczyny. Zerknął w kierunku szwajcara i boya. - Twoi goryle?

- Są trochę nadopiekuńczy. - Pomachała do mężczyzny i ruszyła z piskiem opon. - Wiesz, jak to jest.

- Jasne - wycedził przez zęby, zapinając pas. - Wiem, jak to jest. Możesz mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

- Nie - odparła ze śmiechem. - To będzie niespodzianka.

Zajeżdżała drogę białemu lincolnowi, kierowca zahamował gwałtownie, rozległ się klakson. Santos pokręcił głową i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Czekala go zwariowana jazda.

Dziewczyna prowadziła wyjątkowo pewnie. Po przejechaniu kilku przecznic skręciła na zachód, ku wylotowi na autostradę międzystanową.

- Prezent urodzinowy? - Santos przerwał

przeciągające się milczenie, przekrzykując ryk silnika i szum wiatru.

- Co?

- Wóz! Dostałaś go na szesnaste urodziny, tak?

Spojrzała na niego i wykrzywiła się zabawnie.

- To jakaś zbrodnia? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Czyja coś mówię? - Już chciał się usprawiedliwiać, zapewniać, że nie miał nic złego na myśli, ale ugryzł się w język. Skłamałby.

- Po co przyszedłeś do hotelu? Nie widziałam cię tam wcześniej.

- Przyjaciółka prosiła, żebym dostarczył przesyłkę.

- Należy do mnie, wiesz? W każdym razie będzie należał.

- Hotel? - W głosie Santosa zabrzmiało niedowierzanie. Kiedy skinęła potwierdzająco, pokręcił tylko głową. Dziewczyna zaczynała go bawić. - I kupili ci tylko fiata? Ja bym nie przyjął. Powinnaś dostać nowe porsche.

Gloria wybuchnęła śmiechem.

- Nie jesteśmy aż tak bogaci.

- Ma się rozumieć. Nie jesteś aż tak bogata, po prostu należysz do klubu dobrej spermy.

- Do klubu dobrej spermy? Masz poczucie humoru.

- Do usług.

Nie zauważyła sarkazmu w jego głosie.

- Naprawdę nie jesteśmy tacy bogaci - powtórzyła. - U niepokalanek jest sporo bogatszych dziewczyn.

Samochód jadący przed nimi wyraźnie zwolnił.

- Może uważałyś na drogę.

W odpowiedzi na tę uwagę dziewczyna nacisnęła na gaz i wyprzedziła wlokący się wóz.

- Wolę patrzeć na ciebie.

Pokręcił głową i uśmiechnął się pod



nosem. Ograniczona, naiwna pannica, pełna wyniesionych z domu uprzedzeń. Ale seksowna jak diabli i do tego szalona.

Bawił się z nią doskonale, chociaż wiedział, że flirt jest dla maślany oznaką buntu, zabawą. Podobała mu się jednak jej bezpośredniość. Gloria niczego nie udawała, nie mizdrzyła się, grała w otwarte karty, jasno dawała do zrozumienia, o co jej chodzi.

- Opuść sobie. Chciałbym dojechać cało na miejsce.

Był prawie pewien, że się obrazi, tymczasem ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę? - Skręciła na pełnym gazie w zjazd z autostrady. - Co niby mam sobie opuścić?

- Przestań mi dowodzić, jaka z ciebie twarda laska. Niełatwo zrobić na mnie wrażenie. Strachliwy też nie jestem. Wyluzuj się trochę.

Pokręciła głową.

- Lubię wyzwania.

Santos roześmiał się i oparł głowę o zagłówek. Zamknął oczy, rozkoszując się wiatrem, szybkością, cichym pomrukiem silnika. Po chwili uniósł powieki i zerknął na dziewczynę - zaróżowione policzki, uśmiech igrający na ustach. Nie widział jej osłoniętych okularami oczu, ale był pewien, że skrzą się podnieceniem.

Na kieszonce białej, trochę za ciasnej bluzki widniał haft z nazwą szkoły. Zaklął w duchu. Szesnastolatka z ciałem dwudziestoletniej kobiety. Uwodzicielka od niepokalanek. Powinien mieć się na baczności. Nie pozwoli, żeby ta mała petarda go poparzyła.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Przyglądałeś mi się.

- Owszem - przytaknął.

Zwolniła i skręciła w Lakeshore Drive.

- Dlaczego? O czym myślałeś?

- Zastanawiałem się, czy twoi rodzice są  
w stanie spać spokojnie.

Przez chwilę milczała, jakby pytanie  
Santosa ją dotknęło.

- O ile wiem, nie narzekają. - Zjechała na  
parking, zgasiła silnik. - Dlaczego mieliby nie  
spać?

- Gdybyś była moim dzieckiem, nie  
zmrużyłbym oka.

- Traktujesz mnie jak smarkatą.
- A ty jesteś całkiem dorosłą szesnastką?
- Tak myślę. - Uniosła zadziornie brodę. -

Ty taki nie byłeś?

Santos pomyślał o śmierci matki, objaniu się po domach zastępczych, o swojej ucieczce. Sporo zdążył przeżyć, tymczasem ta rozpieszczona panna pewnie nigdy w życiu nie zaznała jednego momentu dyskomfortu, o przerażeniu nie wspomniawszy.

- Piłem mleczko z miseczki. Spojrzała na niego uważnie.

- Nie lubisz mnie?
- Nie znam cię.

- Prawda, nie znasz mnie. Odwróciła twarz, ale zdążył dojrzeć w jej spojrzeniu coś, co przeczyło roli, jaką usiłowała grać: bezradność, lęk, zagubienie. Pomyślał, że być może się pomylił, być może i ona przeżyła swój horror.

Niezbyt zadowolony z własnych obserwacji otworzył drzwiczki.

- Przejdziemy się?

Gloria skinęła głową. Szli w milczeniu wzdłuż falochronu, w oddali białe żagle jachtów, nad pomarszczoną taflą Lake Pontchartrain krążyły mewy. Obok śmignął samochód z nastawionym na cały regulator radiem, z boiska po drugiej stronie drogi dochodziły śmiechy rozbawionych dzieci.

Gloria czasami dotykała ramienia Santosa, chcąc zwrócić mu na coś uwagę i nie pozwalając zapomnieć o swojej obecności. Powtarzał sobie, że musi się kontrolować, że w każdej chwili może się wycofać, uciąć dopiero co zaczęłą znajomość. To tylko przelotny flirt, nic więcej. Powinien o

tym pamiętać.

- Lubię to miejsce - mruknęła Gloria. -  
Kiedy tu przyjeżdżam, mam wrażenie, że jestem  
w innym świecie.

Pamiętam, jak ojciec przywiózł mnie tutaj pierwszy raz. Myślałam, że jesteśmy na wakacjach. Była niedziela, mama miała migrenę. Mieliśmy jechać z tatą do kościoła, a wylądowaliśmy tutaj. Była wściekła, kiedy się dowiedziała.

- Zezłościła się, że nie poszliście na mszę?
- To dla niej bardzo ważne.

Santos spojrzał uważnie na swoją towarzyszkę.

- Zdaje się, że nie przepadasz za nią.
- Myślisz o mojej matce? - Gloria skrzywiła się. - Powiedziałabym, że jest odwrotnie. Hope St. Germaine jest osobą, którą trudno zadowolić.

A więc Królowa Śniegu jest matką jego nowej znajomej. Z jednej strony nie był w stanie w to uwierzyć, z drugiej wszystko mu się zgadzało.

Doszli do parku rozrywki usytuowanego między Lakeshore Drive a brzegiem jeziora. Kiedyś to dzisiaj podupadłe miejsce było atrakcją turystyczną, teraz prawie nikt tutaj nie zaglądał.

- Przychodziłeś do Jeziorniaka? - zapytała. Tak właśnie, Jeziorniakiem, nazywali park nowoorleańczycy.

- Raz byłem, mama mnie przyprowadziła. Najpierw jeździliśmy na wszystkich karuzelach, a potem urządziliśmy sobie piknik. Miałem wtedy chyba dziesięć lat i świetnie się bawiłem.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. I natychmiast ogarnął go gniew. Po kiego się jej zwierza? Dlaczego wraca do przeszłości?

Odwrócił się, chciał odejść, ale chwyciła go za rękę i spojrzała zadziornie w oczy

- Mogę zadać ci pytanie, Santos?

Poczuł się znacznie pewniej. Skinął głową. Znowu flirtowała, a tutaj był na swoim gruncie, z dala od spraw osobistych. Nie chciał, żeby wiedziała o nim zbyt wiele, sam też nie zamierzał poznawać tajemnic jej serduszka.

Żadnej intymności, żadnej zażyłości. Miła przygoda, gra bez wgłębiania się w życie drugiej osoby. Nikt nie cierpi, wszyscy są zadowoleni.

- Kiedy widzisz coś, czego bardzo chcesz, co wtedy robisz?

Doskonale wiedział, do czego ma zmierzać ta rozmowa. Uśmiechnął się, ściągnął brwi. Nachylił się ku niej tak, że ich twarze niemal się stykały. Zniżył głos do szeptu i powiedział:

- Zastanawiam się nad konsekwencjami. Tak robią dorośli.

- Ja jestem dorosła - oświadczyła pewnie, kładąc mu dłoń na piersi.

- Nie powiedziałbym. Zacisnęła palce na jego koszulce.

- Mogę ci dowieść.

- Czego ode mnie chcesz, Glorio St. Germanie?

- A jak myślisz?

Santos dotknął jej zaróżowionego policzka.

- Myślę - mruknął głosem umyślnie lekko ochryłym - że jestem dla ciebie za stary i że powinnaś zmykać do domu, do mamy.

W oczach Glorii zabłyśły iskierki; podjęła wyzwanie.

- Naprawdę? Za stary?

- Aha. Za stary. Zbyt doświadczony. Gramy w innych drużynach, moja panno.

- Wypróbuj mnie. Spróbuj mnie pocałować. - Uniosła twarz. - No, dalej.

Pocałował ją tak, jak mężczyzna całuje kobietę, jak - był tego prawie pewien - nikt jej dotąd nie całował. Dał tej zadziornej smarkatej znacznie więcej, niż oczekiwała.

Oderwał się od niej, przesunął ze śmiechem palcem po jej wargach. Wpatrywała się w niego oniemiała, zbyt wstrząśnięta, by cokolwiek powiedzieć.



- Widzisz? Mówiłem ci, że jestem za stary.

Kiedy odwrócił się, gotów odejść, złapała go za rękę.

- Nie.

Wspięła się na palce i pocałowała go równie głęboko, jak on ją przed chwilą. Włożyła w ten pocałunek całą siebie. Przywarła do Santosa, zagłębiła język w jego ustach, aż przestał panować nad sobą. Podniecała go jak żadna inna dziewczyna. Nie pamiętał już, co wolno, a czego nie, zapomniał ciętych ripost. Liczył się tylko ten jeden, naiwny, nienasycony pocałunek, ciało wtulonej w jego ramiona Glorii.

Otrzeźwiał raptownie i odsunął ją od siebie. Miał jej coś dowieść, tymczasem to ona trzymała karty w ręku.

- Koniec - powiedział. - Miło było, ale czas do domu. Patrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby nie docierało do niej znaczenie usłyszanych słów.

- Zobaczmy się jeszcze? - spytała po chwili.

- Nie.

I znów powtórzyła się ta sama scena: Santos odwrócił się, by odejść, a Gloria chwyciła go za rękę.

- Boisz się - stwierdziła, zaglądając mu w oczy.

- Uciekasz.

- Jesteś jeszcze młodziutka, Glorio St. Germaine. - Poklepał ją po policzku, siląc się na protekcjonalny gest.

- Powiedziałem: miło było, a teraz zmykaj do domu, bo mama i tata czekają.

- Naprawdę się boisz - powtórzyła.

- Posłuchaj, skarbie - cedził, zachodząc w głowę, jakim sposobem dziewczyna odgaduje jego myśli - nie boję się, ale...

- Owszem. Taki duży facet nie powinien bać się takiej smarkatej, jak ja.

Nic, tylko zgrzytać zębami ze złości. Co za dziewczyna, skąd w nim ta słabość do niej?

- Masz szesnaście lat i pstro w głowie. Ani myślę napytać sobie biedy z twojego powodu. Jeśli szukasz faceta na szybki numer, rozejrzyj się za kimś innym. Jasno się wyraziłem?

Łzy zakręciły się jej w oczach, lecz nie straciła fasonu. Może była i twardsza niż pannice jej pokroju, z którymi dotąd miał do czynienia, ale nie znaczyło to, że jest inna. Na przykład - uczciwsza.

- Ty kutasie. - Uniosła zadziornie brodę. - Co? Lepiej ci? Duży chłopiec wygrał?

Nie dała mu szansy na odpowiedź. Zanim zdążył zareagować, odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę samochodu.

Po chwili wahania pobiegł za nią. Wołał ją, ale nie raczyła się zatrzymać czy choćby odwrócić głowę. Wreszcie przegonił uparciuchę i zastąpił jej drogę.

- Odsuń się - rzuciła oschle, chociaż oczy miała mokre od łez.

Coś w nim drgnęło. Obca mu, nieznana dotąd czułość. A może ani obca, ani nieznana, tyle że nie doświadczana od Bóg wie ilu lat. Przeklęte i najcenniejsze w świecie uczucie, z którym nie wiadomo co począć.

- Przepraszam - bąknął nieporadnie. - Nie powinienem był...

- ... zachować się jak sukinsyn, tak? -

rzuciła ze złością.

- Tak.

Patrzył jej prosto w oczy. Przygryzła wargę, ale nie odwróciła wzroku. Niechętnie musiał przyznać, że dziewczyna wzbudza w nim coraz większy respekt.

Uważaj, napomniął się. Respekt - i już jesteśmy ze sobą blisko. Nie, z żadną pannicą nie będzie blisko. Z tą szczególnie. Ta zwiastowała same kłopoty.

- Za mocno dociskasz - powiedział spokojnie. - Nie dajesz wyboru. Gram ostro i niekoniecznie czysto, panno St. Germaine. Dlatego mówię: zabieraj się stąd, bo będziesz płakać jeszcze bardziej.

- Nie chcę. Nie mam zamiaru. -

Wyprostowała się, uniosła ramiona.

- A czego chcesz?

- Spotkać się jeszcze z tobą.

- Uparta z ciebie osoba. - Założył ręce na piersi. - Do tanga trzeba dwojga. Tłumaczę ci, że jestem dla ciebie za stary.

- A ile ci stuknęło? - zapytała niewinnie. - Czterdzieści?

- Hamuj. Dziewiętnaście.

- Jezu, staruch.

Santos parsknął śmiechem i już w komitywie ruszyli dalej.

- Może nie staruch, ale pełnoletni. W przeciwieństwie do ciebie. Poza tym chodzi o coś więcej niż kalendarz.

Otworzyła usta, by prosić o wyjaśnienie, ale nie dopuścił jej do głosu.

- Gloria, mogę zadać ci pytanie?

- Strzelaj.

- Dlaczego chcesz się ze mną znowu spotkać?

- Dlaczego? - powtórzyła zaskoczona. - Dlatego.

- Bo tak ci się podoba? To za mało.

Zasepiła się. Nie wiedział, czy jest zła na niego, czy tylko zastanawia się nad odpowiedzią.

- Jesteś fajny i... świetnie całujesz - orzekła po głębokim namyśle.

Santos zaśmiał się, mile polectany jej słowami.

- Fajny i dobrze całuję! Jestem wzruszony.

Doszli do końca falochronu i zawrócili w stronę samochodu. Przez chwilę szli w milczeniu.

- Naprawdę chodzisz do niepokalanek? -

zapytał, zerkając na jej szkolny strój.

- A co, nie wyglądam?

- I wszystkie są takie niepokalane, jak ty?

- Nie. Ja jestem najgorsza w całej szkole, a już na pewno w mojej klasie. Siostra Marguerita chętnie to potwierdzi.

- Wasza dyrektorka? - Kiedy Gloria skinęła głową, dodał: - Musi być ostra.

- Okropna. Nie znosi moich wygłupów. - Już przy samochodzie Gloria wyciągnęła ku Santosowi dłoń z kluczykami i spytała: - Chcesz prowadzić?

- Jasne. - Otworzył drzwiczki od strony pasażera, wpuścił dziewczynę, a sam usadowił się za kierownicą. Zerknął na swoją towarzyszkę. - Do hotelu?

- Jeśli ci po drodze.

Ruszyli w milczeniu. Santos czuł na sobie uważne spojrzenie Glorii. Wpatrywała się w niego z tak zrezygnowaną, a jednocześnie tak pełną nadziei miną, że był już bliski zmiany zdania.

- Zobaczą cię jeszcze? - zapytała, kiedy zatrzymali się przed hotelem.

- Nie.

- Nie dasz się przekonać?

Owszem, dałby się przekonać, bez trudu. I tego właśnie się bał.

- No cóż, tak myślałam - podsumowała z ciężkim westchnieniem.

Santos wrzucił luz, wyskoczył z auta, a Gloria przesunęła się na jego miejsce.

- Miło było, Gloria - uśmiechnął się. Miała tak strasznie zawiedzioną minę, że parsknął śmiechem. - O rany, o co chodzi? Jestem pierwszym, który ci się wymknął?

- Pierwszym, którego naprawdę chciałam złowić. Oparł dłonie o szybę i nachylił się do dziewczyny.

- Na pocieszenie powiem ci, że i ty świetnie całujesz.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Położyła mu rękę na dłoni, uniosła twarz.

- To pocałuj mnie jeszcze raz.

Santos zerknął w stronę wejścia do hotelu. Szwajcar i boy tkwili na swoim miejscu i gapili się na niego spode łba. Wskazał na nich głową.

- A oni?

- Niech sobie patrzą.

- Chyba rzeczywiście masz diabła za skórą - mruknął, nachylając się do jej ust.

Pocałunek podziałał na niego jak cios wymierzony prosto w splot słoneczny. Oderwał się od Glorii zaskoczony i przerażony własną reakcją.

Mała petarda. Powinien brać nogi za pas, inaczej dojdzie do eksplozji.

Dotknął czubka jej nosa.

- Dzięki za przejażdżkę.

Odwrócił się i ruszył szybko w stronę przystanku tramwajowego, lecz kiedy za nim zawołała, zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Do zobaczenia - uśmiechnęła się szeroko. Patrzył na nią przez chwilę, opartą łokciami o drzwi kabrioletu, uroczą i piękną z błyszczącymi oczami, włosami przysłaniającymi delikatną twarzyczkę. Poczł lekkie ukłucie żalu.

- Do widzenia, Glorio - odparł i pomachał jej na pożegnanie, po czym ruszył ponownie w stronę przystanku z mocnym postanowieniem, że nie zobaczy jej nigdy więcej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Cały dzień minął, zanim Gloria uświadomiła sobie, że nie wie nic o Santosie. Taka była markotna, że nawet specjalnie jej to nie zaskoczyło. Głowę miała zbyt zaprzątniętą rozpamiętywaniem namiętnych pocałunków, by martwić się drobiazgami.

Nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego jak on. Chłopcy, których znała, z którymi się całowała, wydawali się jej teraz dzieciuchami: byli nudni, płytcy i smarkaci.

Santos ukradł jej serce. Umrze, jeśli znowu go nie zobaczy. Po prostu umrze. Musi znaleźć jakiś sposób.

Nadjechał tramwaj, z którego, jak każdego ranka, powinna wysiąść Liz. Gloria nie mogła ustać w miejscu z podniecenia. Poprzedniego wieczoru nie dzwoniła do przyjaciółki, bowiem kiedy wróciła do domu, rodzice byli w dziwnym nastroju, czymś wyraźnie uradowani. Matka zapytała zdawkowo, gdzie była, a kiedy usłyszała, że z Liz w bibliotece, nie pytała o nic więcej.

Już samo to było niezwykle. Odpowiedzi Glorii nigdy nie zadowalały Hope, tymczasem ostatniego wieczoru najzwyczajniej w świecie przyjęła do wiadomości krótkie wyjaśnienie. Dzięki Bogu. Gdyby zaczęła drążyć sprawę, natychmiast zorientowałyby się, że córka coś ukrywa.

Gloria uznała, że to zrządzenie losu, znak Opatrzności. Widać ona i Santos są sobie przeznaczeni.



Potem matka uparła się, by całą trójką poszli na kolację do Sali Renesansowej. Kolejna niebywała rzecz. Przy stole cały czas żartowała, rozświergotana niczym nastolatka. Ojciec też zachowywał się jakoś dziwnie: pił mniej niż zwykle, z czułością patrzył na matkę.

Gloria nie wiedziała, czemu to przypisać. Przez ostatni tydzień rodzice właściwie nie rozmawiali ze sobą. Owszem, przez szesnaście lat była świadkiem wielu kłótni między nimi, awantur, po których następowały ciche dni. Zawsze jednak łączyły ich silne więzy i Gloria wierzyła, że, pomimo różnych napięć, nigdy się nie rozstaną.

W ostatnich dniach milczenie między rodzicami było inne, tak jakby coś wisiało w powietrzu, nie tylko złość i obraza. Atmosfera w domu zdawała się wyjątkowo paskudna, lodowata.

Przerażona, że tym razem to już koniec małżeństwa, zwierzyła się ze swoich lęków Liz. Przyjaciółka uspokoiła ją, że skoro skończyła szesnaście lat, sama będzie mogła zdecydować, z kim chce zostać. Gloria zaczęła już nawet snuć marzenia, jak to będzie, mieszkać z ojcem, uwolnić się od matki, od jej wiecznych podejrzeń i ciągłej krytyki.

Niestety, miniony wieczór oznaczał kres fantazji. Rodzice dawno nie robili wrażenia tak zgodnych i szczęśliwych.

W głębi duszy była zła na ojca. Nie mogła pojąć, co Philip St. Germaine widzi w swojej żonie i dlaczego ma ona na niego taki wpływ. Z drugiej strony czuła ulgę. Zajęci sobą, rodzice nie zwracali na nią uwagi i mogła spokojnie marzyć sobie o Santosie.

Tramwaj zatrzymał się na przystanku, po chwili pojawiła się Liz.

- Cześć, Glo. Co się stało? Nie zadzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem.

Gloria chwyciła przyjaciółkę pod ramię i odciągnęła jak najdalej od grupki niepokalanek, które razem z Liz wysiadły z tramwaju.

- Musimy pogadać w cztery oczy. To bardzo ważne.

Liz zerknęła przez ramię, spojrzała ponownie na Glorię.

- O co chodzi? Rodzice? - zapytała, zniżając głos do szeptu.

Gloria pokręciła głową i nachyliła się ku przyjaciółce.

- Nie uwierzysz. Spotkałam niesamowitego chłopaka. Chyba się w nim zakochałam.

Liz wmurowało w ziemię. Patrzyła na Glorię oczami wielkimi jak filiżanki.

- Zakochałaś się? - powtórzyła szeptem. - Kim on jest? Gdzie go poznałaś? - Chwyciła Glorię za rękaw. - Musisz mi wszystko opowiedzieć!

Gloria nie kazała sobie dwa razy powtarzać. Zrelacjonowała w detalach spotkanie z Santosem. Nic nie ukrywała, mówiła, jak mu się narzucała i jak ją splawił. Mówiła o rozmowie w windzie, o przejeździe nad jezioro i o spacerze wzdłuż falochronu. Opisała Santosa: jego twarz, karnację, rozwodziła się nad tym, jak był ubrany, jaki ma piękny głos, jak przechyla głowę, kiedy się śmieje.

Wreszcie opowiedziała o pocałunkach i o swoich reakcjach.

- Całowałam się z całym mnóstwem chłopaków, ale tym razem było zupełnie inaczej.

- Skąd pewność, że jesteś zakochana? Przecież nic o nim nie wiesz.

Zapaliło się zielone światło i przeszły z przystanku na drugą stronę ulicy.

- Nic o nim nie wiem, ale nigdy jeszcze tak

się nie czułam, Liz. Dziwne, spędziliśmy ze sobą raptem godzinę. W nim jest coś takiego... coś takiego...

Szukała słów, które pomogłyby zrozumieć przyjaciółce, co się z nią dzieje. Tak strasznie chciała, żeby Liz zrozumiała. Żeby ją wsparła. Liz była przecież najlepszą przyjaciółką i jej opinia znaczyła dla Glorii o wiele więcej niż czyjekolwiek zdanie.

- Przy nim zapominam o wszystkim, gdzie jestem, kim jestem... Liczy się tylko dotyk jego warg, jego dłonie na moim ciele. To tak jakbym całe życie czekała tylko na niego, na jego pocałunek, rozumiesz? Wiem, głupio to brzmi, jak bajka dla dzieci albo coś takiego... ale tak właśnie się czuję.

Gloria zamilkła na moment. Zbierała myśli, sama nie bardzo wierząc w to, co zamierzała za chwilę powiedzieć. Wreszcie ponownie spojrzała na przyjaciółkę i wyznała:

- Pomyślisz, że zwariowałam, ale ja jestem pewna, że on... jest tym jedynym. To facet dla mnie. - Przycisnęła książki do piersi. - Przeznaczenie...

- Chcesz powiedzieć, że to na zawsze?

Minęły szkolną bramę z kutego żelaza. Gloria skinęła głową z przejęciem.

- Tak. Wszystko bym dla niego zrobiła.

- Ale fajnie. Tak romantycznie. - Liz przeszedł dreszcz. - Aż się boję, Glorio.

- Ja nie! - zaśmiała się i okręciła w miejscu. - Mam wrażenie, że unoszę się w powietrzu. Fruwam!

- Póki jesteś na ziemi, uważaj - mruknęła Liz. - Siostra Marguerita się gapi.

Rzeczywiście, dyrektorka stała w drzwiach szkoły i patrzyła surowo na Glorię. Ta zatrzymała się i powiedziała wystarczająco głośno, żeby siostra usłyszała, co ma do powiedzenia:

- Muszę go znowu zobaczyć, Liz. Po prostu muszę.

- W jaki sposób? - zafrasowała się Liz. - Jak go odnajdziesz?

- Popytam w hotelu. Może ktoś mi coś

powie. Miał jakąś przesyłkę, jechał na drugie piętro, a tam są biura. Może miał coś dla ojca? Pogadam z jego sekretarką.

Rozległ się pierwszy dzwonek i dziedziniec natychmiast opustoszał. Gloria ruszyła w stronę wejścia, ale Liz chwyciła ją za rękę.

- Uważaj, Glorio. Z tego, co opowiadałaś, Santos nie wygląda na chłopaka, którego twoja matka łatwo zaakceptuje. Jeśli coś zwącha...

Gloria spojrzała w strapione oczy przyjaciółki i przeszły ją zimne ciarki.

- Nic nie zwącha. Będę uważała.

- Obiecujesz? Mam złe przeczucia.

- Obiecuję. Nie martw się, Liz. Wszystko będzie dobrze.

Minęły trzy dni i Gloria powoli zaczęła tracić nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy Santosa. Przepytała wszystkich, którzy tego dnia mieli swoją zmianę w hotelu - kilka osób pamiętało ciemnowłosego chłopaka, ale nikt nie potrafił jej powiedzieć, po co przyszedł i z kim był umówiony. Kiedy zagadnęła sekretarkę ojca, ta spojrzała na nią, jakby miała przed sobą osobę niespełna rozumu.

Gloria oparła się ciężko o szafkę w korytarzu.

- Nie mam już pomysłu, Liz. Wszystkich wypytałam i nic.

- Nie załamuj się. Może jeszcze go znajdziesz. - Liz zamknęła drzwi szafki, zatrzasnęła klódkę. - Jeśli to naprawdę ten jedyny, prędzej czy później musisz go znaleźć.

Rozdzwonił się ostatni dzwonek. Obydwie panny ruszyły do wyjścia.

- Dlaczego tak uważasz? - zapytała Gloria

ponurym głosem.

- Jeżeli jest tym jedynym, to los sprawi, że znowu się spotkacie. Los nie może być taki okrutny, żeby was rozdzielić.

- Naprawdę?

Przecisnęły się przez tłum dziewcząt w holu.

- Murowane.

Gloria zaśmiała się sceptycznie, lecz słowa Liz podniosły ją trochę na duchu.

- A jeśli on jest moim przeznaczeniem, ale ja nie jestem jego?

Teraz Liz zaczęła się śmiać.

- Tak nie ma.

- Akurat. Skąd możesz być tego pewna?

Wyszły na dziedziniec zalany popołudniowym słońcem. Gloria zamrugała, oślepiąca ostrym światłem. Kiedy zaś jej oczy przywykły do blasku - zobaczyła Santosa. Stał koło bramy i wpatrywał się uważnie w mijające go dziewczyny, jakby wypatrywał tej jedynej.

Przyszedł tutaj dla niej. Czuł to samo, co ona. Musiał przyjść.

Glorii na moment zaparło dech w piersiach, zakręciło się jej w głowie. Chwyliła Liz za rękę i wyszeptała:

- To on, Liz. To Santos. Liz zatrzymała się.

- Gdzie?

- Tam. Koło bramy, po prawej. Ten w czarnej koszulce i okularach przeciwsłonecznych.

- Jesteś pewna? Nie widzę jego twarzy.

- To na pewno on. Poznałabym go wszędzie. Boże, co mam teraz zrobić? - Wciągnęła przyjaciółkę z powrotem do szkoły. - Nie mogę oddychać. Chyba zemdleję.

- Uspokój się. Zaraz ktoś cię usłyszy. - Liz rozejrzała się niepewnie. - Jeśli nie chcesz, to nie wychodź na razie. Skoro się boisz...

- Nie, nie boję się, tylko... - Glorii kręciło się w głowie ze szczęścia. - Jezu, przyszedł. Może czuje to samo, co ja. Tak jak mówiłaś, los dał mi szansę.

- No to bierz się i wyjdź do niego.

- Ty chodź ze mną. Przedstawię ci go.



Chcę, żebyś go poznała.

- Nie, lepiej nie. - Liz wyrwała się przyjaciółce. - Boję się chłopaków. Nigdy nie wiem, co powiedzieć, czuję się głupio w ich towarzystwie. Wydaje mi się, że jestem taka brzydka.

- Wcale nie jesteś brzydka, jesteś...

- Idź - przynagliła Liz. - Pospiesz się, bo nie będzie czekał wiecznie.

- Jesteś kochana. - Gloria uśmiechnęła się i wybiegła przed szkołę na spotkanie przeznaczeniu.

Spóźniła się.

Santos już sobie poszedł.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tym razem wnętrza St. Charles nie zrobiły na Santosie wrażenia. Nie zatrzymywał się, by popatrzeć na ludzi i na otoczenie, nie zastanawiał nad charakterem relacji łączących Lily z panią St. Germaine ani nad zawartością koperty, którą miał w kieszeni.

Tym razem głowę miał zajęta myślami o ciemnowłosej piękności, małej petardzie, która jednym pocałunkiem wywróciła cały jego świat do góry nogami.

Zaklął pod nosem. Próbował o niej zapomnieć. Przywoływał trzeźwe, rozsądne argumenty. Rzucił się w wir zajęć, umówił się nawet z jakąś dziewczyną, którą znał ze szkoły.

Wszystko na nic. Nie mógł przestać myśleć o Glorii. Wyganiany z pamięci, jej obraz powracał nieoczekiwanie, jak choćby wtedy, kiedy całował na dobranoc dziewczynę, z którą spędził wieczór.

Pokręcił głową z niesmakiem. Od burzliwego, namiętnego spotkania z Glorią St. Germaine minęły trzy tygodnie. Dlaczego nie był w stanie o niej zapomnieć?

Najtrudniejszy moment przyszedł cztery dni po spotkaniu. Pojechał do śródmieścia, zaparkował wóz w pobliżu niepokalanek i wyczekiwał pod bramą szkoły. Jak zadurzony sztubak! Co za bzdura!

Ocknął się w porę, zanim Gloria zdążyła go zauważyć, zanim doszło do katastrofy.

Gdyby ją zobaczył, nie zdołałby odejść.

Wszedł schodami na drugie piętro, odnalazł biuro pani St. Germaine, wręczył jej przesyłkę od Lily, odebrał kopertę, którą przygotowała. Wszystko w kompletnym milczeniu.

Czuł jeszcze większą niechęć do matki Glorii niż za pierwszym razem. Piekącą, żywiolową nienawiść. Zastanawiał się, jak dziewczyna tak pełna życia i ognia, jak Gloria może być jej córką.

Zbiegł po schodach i ruszył do wyjścia z wzrokiem martwo utkwionym przed siebie, jakby lękał się, że w każdej chwili może natknąć się na Glorię. A jednak podświadomie jej szukał, w głębi serca miał nadzieję ją zobaczyć. Wściekało go, że nie jest w stanie panować nad własnymi myślami.

Śmieszne, żalosne. Zawróciła mu w głowie mała, zepsuta flirtująca, która prawdopodobnie dawno już o nim zapomniała.

Wyszedł na ulicę i odetchnął pełną piersią. Udało się. Oddał przesyłkę, nie natykając się na Glorię.

Nie wiedział tylko, czy bardziej jest z tego powodu zawiedziony, czy też zadowolony.

Uśmiechnął się do szwajcara i ruszył energicznym krokiem w stronę samochodu. Zaparkował kilka przecznic dalej, w jakiejś bocznej uliczce. Skręcił za róg i... zatrzymał się zdumiony.

Oparta o jego samochód stała Gloria. Miała na sobie dżinsy, biały sweter i skórzaną kurtkę, twarz uniosła ku słońcu, ręce zaplotła na piersi.

Była niewiarygodnie piękna.

Serce zabiło mu mocniej, nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał też pojęcia, jak go znalazła, ale jedno wiedział na pewno - zamierzał uciec, zgubić się jej. Natychmiast.

- Cześć, Glorio.

- Cześć, Santos - odpowiedziała, nie zmieniając pozycji.

Wyjął kluczyki z kieszeni.

- Dziwne miejsce sobie znalazłaś na opalanie. Tym razem spojrzała na niego.

- Tak myślisz?

- Mhm.

- Pora roku też nietypowa, koniec listopada - dodała i znowu wystawiła twarz do słońca. - Jechałam właśnie do hotelu, kiedy cię zobaczyłam.

- Śledziłaś mnie.

- Powiedzmy. Chciałam się z tobą zobaczyć.

Bawił się kluczykami, nie bardzo wiedząc, jak postąpić. Intrygowała go, zawróciła mu w głowie. Miał ochotę porwać ją w ramiona i całować bez pamięci. A potem uciec.

- Nie masz lekcji?

Pokręciła głową.

- Wolne. Święto jakiejś świętej, świętego czy innego błogosławionego.

- Dobrze ci. - Santos nie przestawał bawić się kluczami. - Miło było cię widzieć, Glorio, ale na mnie już pora.

Chwyciła go za rękę.

- Myślałam o tobie. O nas.

- O nas? - Uniósł brwi w udanym niedowierzaniu. - Nie wiedziałem, że istnieje jakieś „my”. Pamiętam dwa pocałunki i przejażdżkę nad jezioro. To jeszcze nie „my”, mała, przepraszam.

- Ale może...

Strząsnął jej rękę. Uparta jak osioł, tyle że o niebo ładniejsza, pomyślał. Pochlebiało mu jej zainteresowanie, imponował tupet. Ale co za dużo, to niezdrowo.

- Wiem, do czego zmierzasz, Glorio St. Germaine, ale ja w to nie wchodzę.

Gloria ściągnęła brwi.

- O czym ty mówisz?

O czym mówił? O Hope St. Germaine, oczywiście. Patrzyła na niego jak na śmiecia. Wyobrażał sobie, jak by zareagowała, gdyby zobaczyła teraz swoją córkę razem z nim.

- Buntujesz się - rzucił krótko. - Przeciwno mamusi i tatusiowi. Przeciwno wygodnemu życiu. Chcesz czegoś dowieść, im i sobie. Chcesz być trochę lekkomyślna, chcesz odrobiny szaleństwa. Najłatwiej to osiągnąć, łapiąc takiego faceta jak ja.

Gloria pobladła.

- To nieprawda.

- Przestań. Już to przerabiałem. Znam takie jak ty. I wiem, że to bez sensu.

- Ale między nami coś jest. Czuję to, ty też czujesz...

- Chciał zaprzeczyć, ale nie dała mu powiedzieć słowa.

- Nie jestem taka, jak tamte. Na pewno nie.

- Jesteś, złotko. Przykro mi.

Chciał się odwrócić i odejść, lecz jak zwykle chwyciła go za rękę.

- To ty w coś grasz, nie ja. Dlaczego? Dlaczego udajesz?

- Niczego nie...

- Widziałam cię - przerwała. - Tamtego dnia pod szkołą. - Spojrzała mu w oczy. - Jeśli między nami nic nie ma, czego tam szukałeś?

Był wściekły. Na nią. Na siebie. Zaplątał się w beznadziejną sytuację. Pragnął Glorii wbrew

zdrowemu rozsądkowi, wbrew wszelkim argumentom.

- Może czekałem na jakąś inną stukniętą małolatę?

Zrobiła taką minę, jakby zdzielił ją w twarz, ale zaraz hardo zadarła brodę.

- Nieprawda. Czekałeś na mnie. I stchórzyłeś.

- Stchórzyłem? W życiu. Popełniłem błąd. Dlatego zniknąłem.

- To nie był błąd. - Zacisnęła palce na jego ramieniu, spojrzała na niego z poważną miną.

- Myślę, że moglibyśmy być razem.

- Tak myślisz? - Zaśmiał się, ale nie zabrzmiało to zbyt wesoło. - Jesteś za smarkata, a ja zbyt doświadczony. Od tamtego spotkania nic się nie zmieniło.

Jednak wbrew temu, co jej wmawiał, Gloria nie wydawała się wcale smarkata. W jej oczach była mądrość kogoś, kto, podobnie jak on, wiele przecierpiał.

Nie miał ochoty się z nią rozstawać.

Odwrócił twarz, poruszony własnymi myślami i zdumiony, że w jakimś sensie boi się tej dziewczyny. Tak, bał się, że pokocha ją i będzie przez nią cierpiał.

- Chcesz usłyszeć niemiłą prawdę, Glorio St. Germanie? Otóż nie moglibyśmy być razem. Wykluczone. I nie chodzi tylko o różnicę wieku.

Zirytowany, zawiedziony, przeczesał włosy palcami. Irytację mógł zrozumieć, ale skąd poczucie zawodu?

- Nie chodzi tylko o ciebie, ale o takie jak ty, w ogóle.

- Takie jak ja? - powtórzyła smutnym głosem. - Bogate i zepsute?

- Owszem - przytaknął bez wahania. - Bogate, zepsute, rozpieszczone. Nie masz pojęcia o życiu, o prawdziwym życiu. Nie widziałaś nigdy brudu, nie wiesz, co to cierpienie. Skakano wokół ciebie, podsuwano ci wszystko pod nos. Bawisz się w te swoje bunty, bo tak naprawdę nie obchodził cię nigdy nikt poza tobą.

Dotknął ją do żywego, przebił skorupę zadziorności i pewności siebie. Wcale go to jednak nie cieszyło.

- Skąd wiesz? - zapytała cicho. - Skąd wiesz, co czuję?



- Spójrz na siebie! Co tu jest do odgadywania? Chodzisz do jakiejś wypindrzonej prywatnej szkoły. Założę się, że starzy zapisali cię tam, ledwie się urodziłaś. Czesne wynosi pewnie więcej niż roczny dochód normalnego człowieka. Mieszkasz w Garden District. W starym domu, który opisują w przewodnikach po Nowym Orleanie. Macie dwoje, troje służących, a tacy jak ja wpuszczani są kuchennymi drzwiami. Tatuś jeździ rollsem, matka ma brylanty i przynajmniej dwa futra.

Tym razem role się odwróciły. To Gloria chciała odejść, a Santos chwycił ją za rękę. Przytrzymał i zmusił, żeby spojrzała mu w prosto oczy.

-„St. Charles któregoś dnia będzie mój” - tak oznajmiłaś, ledwie mnie poznałaś. Czy masz pojęcie, co to znaczy? Nie, jesteś tak ograniczona, że nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak żyjesz. Nie mamy ze sobą nic wspólnego, księżniczko.

Broda jej drżała, łzy napłynęły do oczu, ale Gloria nie rozplakała się nawet teraz. Chciał, żeby zaczęła beczeć, żeby okazała się słaba, żeby w pełni potwierdziła jego oskarżenia. Byłoby mu znacznie łatwiej.

- To ty masz uprzedzenia - powiedziała cicho. - Ty sądzisz ludzi według tego, co mają. Nie ja.

- Widać mam podstawy.

Wyprostowała się.

- Może. Ale dziewczyna, o której mówisz, to nie ja. Nie obchodzi mnie, co posiadają moi rodzice. Mam ich gdzieś. - Wyciągnęła do niego dłoń. - Ja to nie oni. Czy chciałbyś, żeby o tobie ktoś myślał tylko na podstawie tego, kim są twoi

starzy?

Santos przypomniał sobie ojca. Ujął jej rękę, jeszcze bardziej zirytowany niż dotąd. Gloria dotknęła miejsca, którego nie powinna była dotykać. Miejsca, do którego nikt nie powinien mieć dostępu, a już na pewno nie ona. Wiedział, że ma rację, chociaż wolałby się mylić.

Odciągnął ją od samochodu, otworzył drzwiczki od strony pasażera.

- Wsiadaj. Coś ci pokażę.
- Co chcesz mi pokazać?
- Zobaczysz. Wsiadaj.
- Powiedz mi najpierw, gdzie jedziemy.
- Skończyło się zaufanie, Glorio St.

Germaine? Chcesz się wycofać? Może powinnaś wrócić do domu, do mamusi i tatusia?

Wyraźnie wystraszona przygryzła wargę.

Santos uśmiechnął się.

- Widzisz, mała? Niebezpieczny ze mnie facet. - Trzasnął drzwiczkami z takim impetem, że samochód się zakołysał. - Zmykaj do domu, dzieciaku. Już, zanim zrobisz coś głupiego!

Nie czekając na odpowiedź, przeszedł na drugą stronę i usadowił się za kierownicą. Włożył kluczyk do stacyjki, zapalił silnik, wrzucił jedynekę.

W tej samej chwili Gloria wskoczyła do auta i usiadła obok niego.

- W porządku - rzuciła lekkim tonem. - Pokaż mi, co masz pokazać.

Ruszył bez słowa w stronę Dzielnicy Francuskiej. Odezwał się, dopiero kiedy dojeżdżali:

- Pierwsze siedem lat życia spędziłem w cuchnącym kontenerze. Ojciec lał mnie i matkę.

Dawał nam spokój, jak się napił, wtedy nie miał siły bić. Nie miałem przyjaciół, nikt nie chciał się zadawać z takim śmieciem, w dodatku mieszańcem. Teksaszczyki nie lubią Indian ani Meksykanów. Ojciec był biały, myślał podobnie. Chyba od nikogo w całym życiu nie nasłuchałem się tylu wyzwisk co od niego. Od własnego ojca. Mile, prawda?

Gloria pokręciła głową.

- Ponure - szepnęła.

- Ktoś go wreszcie załatwił. Pewnie kiedy podrzywał mu gardło, nie miał pojęcia, jaką wyświadcza nam przysługę. Ale to jeszcze nic, mała - ciągnął z uśmiechem, wjeżdżając do Dzielnicy Francuskiej od strony Canal Street i wąskimi uliczkami kierując się w stronę Bourbon. Po chwili zaparkował, wyskoczył z samochodu, otworzył drzwiczki od strony Glorii. - Wsiadamy, proszę wycieczki.

Wysiadła z ociąganiem i niepewnie rozejrzała się

wokół. Byli na stosunkowo pustej, wąskiej uliczce z podejrzanymi knajpami, gdzie nie zapuszczali się turyści.

- Ładnie tu, prawda? - Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą. - Dalszy ciąg naszej sagi rozgrywa się właśnie tutaj, w Dzielnicy Francuskiej. Kiedy tatuś wyzionął ducha, przenieśliśmy się z matką do Nowego Orleanu. Mieszkała tu nasza kuzynka, zapewniała, że praca jest pod dostatkiem, życie łatwe, atmosfera wesoła. Oczywiście kuzynka natychmiast o nas zapomniała, a praca nie było.

Skręcili w Bourbon Street.

- Jesteśmy na miejscu - Santos uśmiechnął się krzywo. - Ta ulica nigdy nie zasypia, pełno tu klubów nocnych, barów ze striptizem, sex shopów. Pełno jazzu i bluesa. A oto Club 69...

Zatrzymali się przed wejściem do lokalu. Naganiacz co chwila otwierał i zamykał drzwi. Za każdym razem oczom gapiów ukazywała się sylwetka dziewczyny tańczącej przed podpiłą publicznością.

Santos nie przychodził tutaj od dawna. Przez całe lata unikał i Bourbon Street, i klubu. Unikał wspomnień. A jednak przeszłość ciągnęła się za nim, nie dawała spokoju.

- Przyjrzyj się dobrze, Glorio. Tutaj pracowała moja matka. Tak zarabiała na życie.

- Daj spokój, Santos, proszę. To niepotrzebne. - Gloria odwróciła się, chciała odejść.

- Owszem, potrzebne. - Zatrzymał ją. Naganiacz uśmiechnął się oblesnie, więc spuściła wzrok. - O co chodzi? Patrz, Glorio. Patrz, jaka zabawa. Dopiero druga po południu, a sala pełna

po brzegi. Moja matka pracowała na nocnej zmianie, wtedy są lepsze napiwki.

Oparł brodę o głowę dziewczyny, wciągnął głęboko powietrze, wdychając odór baru i słodki zapach szamponu Glorii: zapach wspomnień, bolesny zapach przeszłości.

- Czujesz, Glorio? Pociągnij nosem. Tak cuchnęło od matki, kiedy wracała do domu. Skórę miała przesyconą smrodem whisky, papierosów i starych capów. Pamiętam, jak lubiłem niedzielne ranki. Wtedy pachniała świeżością. Gloria otrząsnęła się. Było w tym geście obrzydzenie i współczucie. Mocniej zacisnął palce na jej ramionach. Wyobraził sobie, jakim wzrokiem patrzyłaby na Lucię, co by sobie o niej pomyślała.

- Idziemy - warknął ze złością i pociągnął ją w stronę samochodu.

- Puść mnie. To boli. - Gloria wyszarpnęła rękę.

- Masz ochotę kontynuować zwiedzanie, księżniczko? Czy może wolisz wracać do śródmieścia?

- Ty łajdaku. - Przygryzła wargę, broda jej drżała, łzy napłynęły do oczu. - Dlaczego to robisz?

- Żebyś zrozumiała.

Odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu. Po chwili jechali już w stronę Ursuline Street. To miejsce też omijał. Nie był tutaj od chwili, kiedy zaraz po śmierci matki zabrali go ludzie z opieki społecznej.

Miał ściśnięte gardło, pot wystąpił mu na czoło, dłonie drżały. Ogarnęło go takie przerażenie, że przez chwilę nie mógł oddychać.

- Santos? - Gloria dotknęła jego ramienia. -

Dobrze się czujesz?

Nie był w stanie wykrztusić słowa.

Wysiedli pod ich dawnym mieszkaniem.

Santos patrzył na budynek, jakby tragedia zdarzyła się poprzedniej nocy: tłum gapiów przed domem, wozy policyjne z migającymi światłami, ambulans.

Zamknął oczy, próbując uwolnić się od koszmaru.

Na próżno. Słyszał szepty sąsiadów, pomruk, który przeszedł przez tłum na widok pielęgniarzy z noszami.

Kiedy Gloria przysunęła się do niego i wsunęła mu rękę pod ramię, spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem. Miał przed oczami dwóch mężczyzn w białych kaftanach, nosze, przykryte prześcieradłem, nieruchome ciało. Twarz matki...

- Boże, co to za miejsce?

- Mieszkaliśmy tutaj - powiedział, wpatrując się w budynek. - Ja i matka.

Zrobił kilka kroków w stronę wejścia.

- Tutaj umarła, została... zamordowana. Przez klienta, tak twierdzili gliniarze. Dziewiętnaście ciosów nożem. Tutaj... - stanął na chodniku - tutaj ją zobaczyłem. Zerwałem prześcieradło i zobaczyłem jej... twarz.

Stłumił narastający w piersiach krzyk.

- Była taka piękna - mówił dalej - ale po śmierci wyglądała... strasznie. Nie powinna była umrzeć w ten sposób. To niesprawiedliwe, to... - Spojrzał na Glorię. - Obiecałem sobie, że znajdę łajdaka, który to zrobił. Zapłaci za wszystko.

Gloria chwyciła jego rękę i podniosła do ust. Poczuł jej łyzy na palcach.

Ktoś z całych sił nacisnął na klakson - Santos zaparkował samochód na środku jezdni i wóz blokował przejazd.

- Widzisz, ile mamy ze sobą wspólnego, księżniczko? Wiesz już, kim jestem? - zapytał, nie zwracając uwagi na zirytowaną kierowcę.

Zamiast cofnąć się z odrazą, zamiast spojrzeć na niego z litością, objęła go mocno i przytuliła policzek do jego piersi.

- Tak mi przykro - powiedziała cicho, lecz jej głos brzmiał mocno i pewnie. - Tak strasznie przykro...

Przez chwilę Santos stał sztywno, gotów odrzucić jej serdeczność i współczucie, gotów odepchnąć ją i zaprzeczyć własnym uczuciom. Wreszcie otoczył ją ramionami i ukrył twarz w pachnących włosach Glorii.

- Kochałem ją - wykrztusił.

- Wiem - odparła i stali tak, przytuleni do siebie, niepomi gniewnych porykiwań klaksonów.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wyprawa do Dzielnicy Francuskiej odmieniła wszystko, co było dotąd między Gloria i Santosem. Tak jakby w ułamku sekundy tych dwoje obcych, choć ciekawych siebie ludzi połączyły nierozzerwalne więzy.

Gloria od razu zaakceptowała nową więź, Santos nie. Walczył, szarpał się jak pochwycony w sieć. Mówił sobie, że to szalone, irracjonalne i niebezpieczne uczucie. Nierealne. Powtarzał sobie, że nie mają ze sobą nic wspólnego. A przecież było mu dobrze jak jeszcze nigdy w życiu.

Początkowo wystarczały im dwa, trzy krótkie spotkania w tygodniu. Przychodził pod szkołę, do biblioteki, czasami umawiali się w centrum handlowym. Zadowalali się przelotnymi pocałunkami, cieszyli się, że mogą być przez chwilę razem, że znowu się widzą.

Im więcej czasu spędzali jednak razem, tym trudniej było się rozstawać. Im więcej czułości sobie dawali, tym bardziej byli siebie spragnieni. Stawali się zachłanni. I lekkomyślni. Gloria ważyła się na rzeczy, które jeszcze niedawno nawet ona uznałaby za ryzykowne.

Bała się, to oczywiste. Zdawała sobie sprawę, że matka lada dzień dowie się o wszystkim. A wtedy koniec. Hope znajdzie sposób, żeby rozdzielić młodych.

Lecz nawet ta perspektywa nie była dla Glorii żadną przestrożą. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby wytrzymać dwadzieścia cztery godziny, nie widząc Santosa. Był jej potrzebny jak słońce i

powietrze. Bez niego uschłaby i umarła.

Uciekała się do pomocy Liz. Ilekroć spotykała się z ukochanym, przyjaciółka ją kryła.

Tak jak dzisiejszego wieczoru. Czekał na nią na zapleczu kina, gdzie jakoby wybrała się z Liz. Pojechali do Lafreniere Park, zaparkowali w odludnym miejscu na wyłączonych światłach. Gloria rzuciła mu się na szyję ze śmiechem.

- Tak strasznie za tobą tęskniłam - szeptała między pocałunkami. - Myślałam, że już się nie doczekam, kiedy cię zobaczę.

- Ja też. Jesteś taka... - jęknął cicho i zamknął jej usta pocałunkiem. Całowali się długo, zapamiętali, coraz bardziej podnieceni i spragnieni siebie. Gloria rozpięła koszulę Santosa, on ściągnął jej bluzkę przez głowę. - Boże, jesteś taka piękna... - szeptał, wodząc palcem po nagiej skórze.

Położyła mu dłonie na piersi i nachyliła się ku niemu. Jeszcze nigdy nie posunęli się tak daleko, lecz tym razem Gloria nie chciała się hamować. Powiedziała mu to.

- Nie wiesz, o czym mówisz - odparł.

- Owszem, wiem.

Rozpięła stanik i zsunęła z ramion. Santos przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

- To nie jest najlepszy pomysł, kochanie. Chwyciła jego ręce, przyciągnęła do siebie.

- Dotknij mnie, Santos... proszę. Zamknął dłonie na jej piersiach.

A więc tak wygląda rozkosz, myślała oszołomiona. Nigdy nie przypuszczała, że to takie wspaniałe, cudowne, zapierające dech w piersiach uczucie. Teraz rozumiała, dlaczego matka miała taką władzę nad ojcem. Pojęła, że to

nieprawdopodobne doznanie daje wolność,  
uskrzydla. Tak, Santos da jej wolność,  
wyswobodzi ją.

Był jej przeznaczony, jeśli wcześniej miała cień wątpliwości, teraz nabrała absolutnej pewności.

Osunęli się na siedzenie, Gloria przywarła całym ciałem do kochanka.

- Nie przerywaj - szepnęła.

- Muszę.

- Dlaczego? Kocham cię. Nie będziemy się widzieć przez trzy tygodnie.

Zaczynał się właśnie karnawał, szczególnie celebrowany w Nowym Orleanie okres balów, przyjęć i ulicznych parad. Z karnawalem zaś związane były obowiązki towarzyskie, które miały rozdzielić Głorię i Santosa na dłużej.

- Nienawidzę karnawału - jęknął. - Zwariuję bez ciebie.

- Tym bardziej nie przerywaj. Proszę, Santos.

- Igramy z ogniem.

- Podoba mi się to.

- Glorio, powinnaś chyba...

- Co? - zapytała ze śmiechem, całując wewnątrz jego ucha. - Co zrobisz, jeśli...

W jednej chwili obrócił ją tak, że znalazła się pod nim, dzinsowa spódniczka podjechała w górę.

- I co mam teraz z tobą zrobić?

- Przecież wiesz...

Pieścił ją jak nikt przed nim. Była szczęśliwa, że dotąd czekała, że nigdy z nikim nie posunęła się za daleko i że to Santos jest pierwszy.

Wygięła się, miriady gwiazd eksplodowały jej w głowie, osunęła się bez sił na niego, okrywając go pocałunkami. Serce waliło jej jak po

wyczerpującym biegu, drżała. Nigdy wcześniej  
nie czuła tak mocno, tak głęboko, że żyje.

Ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi,  
wyszeptała słowa podziękowania, całkowitego  
oddania. Świat powoli

wracał na swoją zwykłą orbitę. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że i Santos drży.

- Przepraszam...

Przesunął palcami po jej mokrych od łez policzkach; nawet nie zdawała sobie sprawy, że płacze.

- Za co? - zapytał cicho, z uśmiechem. - Za to, że jestem najszcześniejszym facetem na świecie?

- Jak mogłam... - zaczerwieniła się i odwróciła głowę. - Jak mogłabym... - znów zabrakło jej słów. - Ty przecież jeszcze nie...

Zaśmiał się i ujął jej twarz w dłoń.

- Oddałaś mi się zupełnie, do końca. Uważasz, że to nie dość?

- Dałabym ci wszystko. Wszystko!

- Nie. - Santos pokręcił głową. - Tak nie można.

- Dlaczego nie?

- Bo musimy się ukrywać. To tak jakbyśmy wszystkich okłamywali.

- Nieprawda. - Ścisnęła mocno jego dłoń.

- Kocham cię. Co w tym złego? To ma być kłamstwo? Kocham cię jak nikogo innego na świecie. Santos, powiedz, że mi wierzysz. Że wierzysz w moją miłość.

- Wybacz... nie mogę.

Odsunęła się. Chyba się przesłyszała, nie mógł tego powiedzieć.

A jednak powiedział. Głośno i wyraźnie. Nie wierzy, że go kocha. Nie potrafi jej uwierzyć.

Obciągnęła spódnicę. Jeszcze przed chwilą było tak wspaniale, teraz wszystko się zmieniło. Łzy napłynęły jej do oczu, po omacku zaczęła szukać stanika.

- Nie chciałem cię zranić - powiedział cicho, podając jej bluzkę.

Wyrwała mu ją z ręki. Dłonie drżały jej tak bardzo, że dopiero po kilku próbach zdołała zapiąć guziki.

- Nie, nie chciałeś. Po prostu jesteś szczerzy, tak? Po

tym wszystkim uważasz, że... - nie miała ochoty mówić dalej. - Zresztą, zapomnij o wszystkim.

- Może nie chcę zapomnieć.

- A jednak zapomnij.

- Przynajmniej byłem szczery.

- To znaczy? - Wbiła w niego zagniewany wzrok.

- To znaczy, że ciebie nie było stać na to, żeby powiedzieć, co myślisz. Dzielna Gloria tak naprawdę ma straszego stracha.

Doprowadził ją tymi słowami do wściekłości. Zadarła brodę, spojrzała mu w oczy.

- Ty... skończony kutasie! Ani trochę nie byłeś szczery. Ciągłe ci się wydaje, że gram z tobą w jakąś grę? Myślisz, że jestem zepsutą smarkulą, która zajęta jest tylko sobą?

- Przekonaj mnie, że jest inaczej.

Rzuciła się na niego z pięściami, więc chwycił ją za nadgarstki i mocowali się przez chwilę.

- Dorośnij, mała. Tylko dzieciaki muszą się ukrywać. Ja jestem na to za stary.

- Ty... nic nie wiesz!

- To mnie oświeć, z łaski swojej.

- Po co? I tak uważasz, że jestem rozpaskudzoną smarkulą. Wspaniale. Cudownie. Myśl tak dalej. Niczego nie zamierzam ci udowodniać!

Mierzyła go lodowatym wzrokiem, chciała, żeby się wycofał, przeprosił, ale nade wszystko, żeby ją kochał - tak jak ona kochała jego. Nic z tego, patrzył na nią równie nieustępliwie, jak ona na niego.

- Jeśli rzeczywiście mnie kochasz,



powiedz o nas rodzicom.

Jezu, dlaczego on niczego nie rozumie?

- Wiesz, że nie mogę. Opowiadałam ci o swojej matce. Tłumaczyłam ci, że... - urwała. Dławiący strach nie pozwalał jej mówić. - Proś, o co chcesz. O co tylko chcesz. Zrobię wszystko, ale nie mieszaj do tego matki.

- Wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy? -  
zadrwił i Gloria odwróciła wzrok. - Kiedy ja  
właśnie chcę tego, Glorio. I co ty na to?

- Ona nas zniszczy. Znajdzie sposób.

Otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale  
tylko pokręcił głową.

- A to, co dzieje się teraz, niby nas nie  
niszczy?

Łzy popłynęły jej po policzkach. Objął ją,  
a ona przytuliła twarz do jego piersi. Gdyby tylko  
mogli zapomnieć

Oostatnich słowach, przyszłość  
wyglądałaby inaczej, lepiej.

- Nie chcę się ukrywać, ciągle kręcić... -  
W głosie Santosa dała się słyszeć stanowczość. -  
Nie mam ochoty kłamać. Nie podoba mi się to  
wszystko.

- To nie ma żadnego znaczenia, Santos.  
Najmniejszego znaczenia.

- Owszem, ma. Czuję się tak, jakbym nie  
był ciebie wart.

- To nieprawda! Zrozum, chodzi tylko o  
moją matkę! I o ojca. To ludzie...

- ...którzy pomyślą, że powinienem się  
zmywać.

W głosie Santosa zabrzmiał gniew. Ton  
oskarżenia. Także pod jej adresem. Jakby w  
jakimś sensie stanowiła jedno z rodzicami, jakby,  
chcąc nie chcąc, dzieliła ich przekonania.

- Gdyby mój stary należał do tego  
waszego cholernego towarzystwa, byłbym dobry.  
Gdybym miał tak nieskazitelnie białą skórę, jak  
wy, wtedy moglibyśmy się kochać do upojenia,  
prawda? Z całym błogosławieństwem rodziców.  
Wtedy wszyscy byliby szczęśliwi.

- Tata nie jest taki - próbowała protestować. - On rozumie... ale... trzyma z nią. Zawsze z nią trzymał.

- Nie obchodzi mnie to. Mam już dość udawania, Glorio. Nie robimy nic złego, a jednak jesteśmy na cenzurowanym. - Odgarnął jej włosy z twarzy. - Zależy nam na sobie, tak? Nie mamy się czego wstydzić, prawda? Więc nie powinniśmy się ukrywać.

- Santos, proszę. Daj mi trochę czasu.

- Nie - odparł. - Chcę, żebyś spotkała się z Lily. Jutro.

Gloria знаła opowieść o kobiecie, która się nim zaopiekowała. Nie ukrywał, kim była, ale też oczekiwał, że Gloria będzie pierwszą, która rzuci kamieniem. Nie rzuciła. Niby dlaczego miałyby ją potępiać? W opowiadaniach Santosa Lily jawiła się osobą serdeczną, równie oddaną jemu, jak on był oddany jej. Bez Lily Santos by przepadł, zginął. Rozumiała to wszystko, a jednak czuła przed nią irracjonalny lęk.

Pokręciła głową. Strach, okropny strach zatykał dech w piersiach. Bała się matki, jej władzy, tego, że może stracić Santosa. Bala się Lily.

- Jeśli ją poznam... - zacisnęła powieki. - Wiem, że tego nie zrozumiesz, ale mam przeczucie, że z chwilą kiedy ktoś się o nas dowie, wszystko się skończy. Rozdzieli nas, tak właśnie będzie.

- Co za bzdury! - warknął gniewnie, stracił jej rękę z piersi i wysiadł z samochodu. Gloria wyskoczyła za nim w nocny chłód.

Stał tyłem do niej, z zaciśniętymi pięściami.

- Ja tak dłużej nie mogę, Glorio - powiedział już spokojnie, nie odwracając głowy. - Gdybyś naprawdę chciała ze mną być, gdybyś nie wstydziła się mnie, powiedziałabyś o nas rodzicom.

- Nie wstydzę się. Musisz mi ufać.

Podeszła, próbowała go objąć, ale odsunął się.

- Naprawdę nie wstydzę się ciebie - powtórzyła. - Chciałabym, żeby wszyscy o nas wiedzieli, chciałabym pokazywać się z tobą, niechby cały świat zobaczył, że jesteś mój.

- To na co czekasz? - Spojrzał na nią, a w jego wzroku było coś, co powiedziało jej, że traci Santosa. W tej chwili go traci, a jej matka triumfuje.

Nie! Nie może do tego dopuścić. Nie pozwoli, żeby matka zniszczyła jej szczęście.

Wyprostowała się, przemagając obeszładniający strach.

- Zgoda. Porozmawiam z ojcem. Przekonam go... Najpierw jednak muszę ci coś powiedzieć. O mojej matce. Chciałabym, żebyś zrozumiał, dlaczego tak się jej boję. Wysłuchasz mnie?

Kiedy Santos skinął głową, zaczęła mówić. Jąkając się, opowiedziała o incydencie w bibliotece i małym Danhym, o tym, jak strasznie matka się wściekła i w jak okrutny sposób ją ukarała.

Patrzyła na Santosa, ale przed oczami miała cały czas groteskowo wykrzywioną, przerażającą twarz Hope. Czuła na skórze ostrą szczotkę, słyszała wstrętne słowa padające z ust matki.

„Oczyszczę cię, córko. Choćbym miała zedrzeć z ciebie skórę, oczyszczę cię...”

Ciągnęła swoją opowieść, a w jej głosie narastała histeria, niczym jakaś potężna, gotowa unicestwić ją fala. Wspomnienie było tak bolesne, tak dojmujące, że nie potrafiła nad nim zapanować, zatracala się w nim, ogarniało całe jej jestestwo i wymykało się spod kontroli.

Zaczęła drzeć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że płacze. Zanosząc się szlochem, objęła ramiona dłońmi i bez sił osunęła się na ziemię.

Santos wziął ją na ręce, zaniósł do samochodu i ułożył ostrożnie na tylnym siedzeniu. Usiadł obok, położył sobie jej głowę na kolanach. Gloria płakała długo, dopóki nie zabrakło jej łez, dopóki ból wywołany wspomnieniem sprzed ośmiu laty nie ucichł i nie zapadł się na powrót w głąb duszy.

- Nigdy nie mówiłam o tym nikomu. Nawet Liz. Tak bym chciała zapomnieć o tamtym dniu.

- Przepraszam...

- Daj spokój. Cieszę się, że wyrzuciłam to z siebie. Chciałam, żebyś wiedział. - Uniosła się, położyła mu głowę na piersi, wsłuchiwała się przez chwilę w bicie jego serca. - Chciałam, żebyś wiedział... żebyś wiedział, że ona odbiera mi wszystko, co kocham. Niczym nie mogę się cieszyć, bo matka niszczy każdą radość. Zawsze tak było. - Wstrząsnęła się i przytuliła mocniej. - Nas też zniszczy, zobaczysz.

- Nie pozwolę jej - szepnął stanowczym tonem. - Przysięgam ci, Glorio, że nie dopuszczę, by stanęła między nami.

Nie uda się, pomyślała z rezygnacją Gloria. Matki nikt nie zdoła powstrzymać.

Nie podzieliła się z Santosem swoimi myślami. Wiedziała, że już wkrótce i tak przekonają się, co kryje przyszłość. Na razie powinna cieszyć się chwilą, zapomnieć o wszystkim, próbować nie myśleć o jutrze.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zło znowu ją wzywało. Słyszała wyraźnie jego głucho nawoływania. Odłożyła słuchawkę na widelki i przyłożyła dłonie do uszu. Nie chce tego słuchać. Nie ulegnie. Tym razem nie.

Jednak nawoływanie stawało się coraz głośniejsze, dudniło w głowie. Hope zgięła się wpół, osunęła na kolana, dyszała jak zaszczute zwierzę. Zawarła pakt z Ciemnością i teraz będzie musiała zapłacić.

Powtarzała w milczeniu słowa modlitwy na przemian z Psalmem Dwudziestym Trzecim. Błagania i obietnice zlewały się w jedno, a ona chwytiała się ich kurczowo, byle odepchnąć Zło jak najdalej.

- Nie... - szepnęła, zaciskając pięści. Zawsze kiedy z całych sił opierała się Bestii, nawoływanie powoli cichło, a dudniący głos w końcu milkł.

Podobnie stało się teraz.

Długo jeszcze klęczała, wyczerpana stoczoną właśnie walką. Serce przestało tłuc się w piersi, oddech uspokoił. Otarła pot z czoła. Była bezpieczna. Raz jeszcze pokonała Bestię.

Podniosła się niepewnie, podeszła do toaletki, usiadła przed lustrem i spojrzała w swoje odbicie. Tak, Bestia odeszła.

Z nikłym uśmiechem na ustach rozpuściła włosy i zaczęła je szczotkować. Dwieście pociągnięć szczotką, jak zawsze, od dzieciństwa.

Już spokojna, wróciła myślami do tego, co zdarzyło się przed chwilą. Zadzwoiła matka, utyskiwała, że ma kłopoty ze zgromadzeniem

ostatniej raty, dopytywała się, czy Hope rzeczywiście potrzebuje całej sumy. Mówiła też, że księgowy, który prowadzi jej rachunki, przestrzegał ją i radził, żeby nie pozbywała się wszystkich aktywów.

Hope zmrużyła oczy. Przez całe życie toczyła walkę z Cieniem. Przez całe życie płaciła za grzechy matki. A teraz Lily, kiedy może wyświadczyć jej przysługę, ma czelność się wahać? Jeśli już poniżyła się do tego stopnia, to po to, żeby zdobyć całą potrzebną sumę. Czy matka oczekuje, że ona, Hope, wymyśliwszy pierwszej historyjkę o starej przyjaciółce rodziny, która zgodziła się pomóc w kłopotach, pójdzie teraz do Philipa i powie: „Przykro mi, ale nie dostanę jednak tych pieniędzy”?

Nie, musi dostać ostatnią ratę. Powiedziała to matce. Prosiła ją, niemal błagała.

Szarpnęła mocno włosy i skrzywiła się z bólu. Philip kupił bez mrugnięcia okiem opowieść o starej przyjaciółce rodziny. Wręcz się jej uczepił.

- Pamiętasz - mówiła mu - dała nam w prezencie ślubnym tę okropną żardynierę, której zaraz się pozbyliśmy.

Oczywiście pamiętał.

Hope prychnęła ze wzgardą. Był tak wdzięczny, że żona ratuje go z opalów, że nie zadawał żadnych pytań.

Widziała jednak cień powątpiewania w jego oczach.

Uśmiechnęła się do własnego odbicia. Philip był głupcem, słabeuszem bez kręgosłupa, napawał ją niesmakiem.

W lustrze mignęła jej sylwetka Glorii,



która próbowała przemknąć niezauważona obok na wprost otwartych drzwi matczynej sypialni.

- Glorio, to ty?

Usłyszała westchnienie córki i ponownie się uśmiechnęła. Gloria ostatnio znów coś zmalowała. Za chwilę powie jej, że wie o jej występkach, a potem ją ukarze. Panowała nad córką z równą łatwością, jak nad mężem.

- Tak, mammo?

- Przyjdź tu, proszę.

Gloria stanęła w progu, zaplotła ręce na piersiach, przyjęła wyzywającą pozę.

- Słucham.

- Jak ci się podobała „Maska”? - Widząc skonsternowaną minę córki, Hope zmrużyła oczy.

- Pytam o film.

- Och, taki sobie. - Gloria wzruszyła ramionami. - Liz podobał się bardziej niż mnie.

- Tak? A dlaczego?

Gloria stropiła się, zaczerwieniła. Hope udała, że niczego nie zauważyła.

- Po prostu. - Rozejrzała się po pokoju. - Gdzie tata?

- W hotelu. - Hope machnęła lekceważąco ręką.

- Mammo! - Gloria otworzyła szeroko oczy. - Ty krwawisz!

Rzeczywiście, strużka krwi spływała z nadgarstka, plamiąc mankiet białego szlafroka.

- Co ci się stało?

Hope z trudem przelknęła ślinę.

- To... drobiazg. - Wyjęła chusteczkę z pudełka, starła krew i podniosła wzrok na córkę. - Pamiętaj, że w przyszłym tygodniu masz kilka spotkań? Idziesz, między innymi, na bankiet

naszego klubu.

- Pamiętam, mamo.

- Karnawał już w pełni. Obawiam się, że będziesz musiała obywać się bez swojego zwykłego towarzystwa.

Gloria pobladła.

- Bez zwykłego towarzystwa?

- Bez Liz, ma się rozumieć. - Hope spojrzała uważnie na córkę. - A jest ktoś inny?

- Nie - zapewniła Gloria pospiesznie. -  
Tylko nigdy

w ten sposób nie myślałam o Liz. „Zwykle towarzystwo”... To brzmi jakoś dziwnie.

Hope sięgnęła ponownie po szczotkę.

- Jeśli się dowiem, że mnie okłamujesz, ukarzę cię. A jeśli zgrzeszyłeś przeciwko Bogu... to tego pożałujesz.

Gloria pokręciła głową.

- Nie zrobiłam nic złego, mamó. Ja naprawdę...

- Poślę cię w takie miejsce - ciągnęła Hope, napawając się przerażeniem córki - gdzie nie będziesz wystawiona na pokusy. Gdzie wiedzą, jak postępować z krnąbrnymi pannicami.

Gloria cofnęła się o krok, blada jak płótno.

- Wyślesz mnie... z Nowego Orleanu?

- W ostateczności, ma się rozumieć. Wiem, jak bardzo tęskniłabyś za domem i za swoimi przyjaciółkami, ale jeśli będę musiała, zrobię to. Zrozumiałaś? - zapytała Hope z uśmiechem.

Gloria przytaknęła bez słowa.

- To dobrze. A teraz idź. Wyglądasz na zmęczoną, a jutro musisz wstać wcześniej na mszę. Pora spać.

Gloria zatrzymała się jeszcze w progu.

- Powiedz... tacie ode mnie dobranoc. I że chciałabym... - Zamilkła ogarnięta nagłą paniką. - Nieważne.

- Dobrze. Zamknij za sobą drzwi - rzuciła Hope, odwracając się do lustra.

Ledwie córka zniknęła, szczotka wypadła Hope z ręki, przewracając buteleczki z kosmetykami. W powietrzu rozszedł się zapach perfum, Hope spojrzała na skrwawione nadgarstki.

Krew ofiarna.

Jak Krew Chrystusa Ukrzyżowanego.

Ciemności domagają się Baranka...

Uniosła wilgotne, klejące się dłonie do  
twarzy. Zapach krwi mieszał się z zapachem  
perfum, przyprawiał o mdłości. Zerwała się od  
toaletki i pobiegła do łazienki.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Liz z każdą minutą była coraz bardziej niespokojna. Zerknęła na zegarek. Umówiła się z Glorią w toalecie Fairmont Hotel punktualnie kwadrans po dziewiątej. Teraz było już dwadzieścia pięć po. Gdzie podziewa się przyjaciółka?

Wstała i zaczęła przechadzać się nerwowo. Co ją podkusiło, żeby przystać na ten niebezpieczny plan? Pokręciła głową. Zamienić się miejscami z Glorią? Udawać ją wobec czterystu osób? Musiała chyba zwariować!

Podeszła do lustra i spojrzała na swoje odbicie. Wzdrygnęła się. Kiedy Gloria zaproponowała, żeby poszła za nią na bal maskowy, odniosła się sceptycznie do tego pomysłu, choć w głębi duszy korciło ją ryzyko. Ostatecznie uległa namowom Glorii; przyjaciółka przekonała ją, że rzecz nie będzie taka trudna, jak się zrazu wydawało. Obydwie były tego samego wzrostu i podobnej budowy, nosiły nawet ten sam rozmiar butów. Na balu zawsze pojawiał się tłum gości, sala tonęła w półmroku, matka nie sprawdzała, jak Gloria się bawi, a ojciec spędzał wieczór przy barze. Jeśli Liz nie zdejmie maski i postara się trzymać na uboczu, plan powinien się powieść.

Ostatecznie dziewczyna nie tylko dała się przekonać do pomysłu, ale była nim coraz bardziej podniecona. Zawsze marzyła, żeby wziąć udział w prawdziwym balu maskowym, takim, o jakich czytała w książkach historycznych. Chciała zobaczyć, jak się bawią ludzie naprawdę bogaci.

Być, choćby przez jeden wieczór, na miejscu Glorii.

Płonęły jej policzki. Dotknęła swojego odbicia w lustrze, trochę zawstydzona własnymi myślami. Kim ona jest? Kopciuszką? Myśli, że pantofelek dobrej wróżki odmieni jej życie? Że nagle pojawi się książę?

Akurat. Skrzywiła się i odwróciła od lustra. Na zawsze zostanie Kopciuszką.

Wyjrzała ostrożnie przez drzwi na korytarz, w kierunku wind. Ani śladu Glorii. Z ciężkim westchnieniem zamknęła na powrót drzwi, usiadła przy toalecie i oparła brodę na dłoniach.

Powinna była wiedzieć, że przyjaciółka się spóźni. Ostatnio wszędzie się spóźniała, a Liz ją nieodmiennie kryła, tak by Gloria jak najwięcej czasu mogła spędzać z Santosem. Początkowo sporadycznie odwoływała się do pomocy Liz, teraz czyniła to właściwie codziennie. Liz godziła się zrazu chętnie, w końcu Gloria była jej najlepszą przyjaciółką. Ostatnio jednak zaczynała być zmęczona ciągłymi kłamstwami.

Westchnęła ponownie. Dotąd były nierozłączne, uczyły się razem, razem biegały do kina, szły do centrum handlowego i do biblioteki, wyprawiały się na przejażdżki rowerowe do Audubon Park. Teraz to się skończyło. Cóż, człowiek musi płacić za miłosne uniesienia najlepszej przyjaciółki.

Liz zaczęła wodzić czubkiem pantofelka po orientalnym wzorze grubego dywanu. Im bardziej Gloria traciła głowę, im bardziej lekkomyślnie i nieostrożnie postępowała, tym bardziej prawdopodobne stawało się, że w końcu

cała rzecz się wyda.

Być może pani St. Germaine już coś zauważyła.

Liz przeszedł dreszcz na tę myśl. Przeraziła ją matka Glorii. Mimo że odnosiła się do niej serdecznie i zawsze miała dla niej miłe słowo, nie wierzyła ani przez moment w dobre intencje tamtej. Owszem, Hope St. Germaine uznała, że mała Sweeney ma dobry wpływ na jej córkę i zaakceptowała przyjaźń - ale do czasu. Jej stosunek do Liz mógł się zmienić w każdej chwili.

A była osobą znaczącą, posiadającą duże wpływy, przy tym zimną i bezwzględną. Czasami Liz, spoglądając w jej oczy, nie mogła powstrzymać dreszczu przerażenia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w stosownym dla siebie momencie pani St. Germaine nie zawaha się użyć swojej władzy i wpływów, by pozbyć się niewygodnej przybłedy. Ona zaś, bezradna i uzależniona od łaski innych, nie obroni się wtedy. Jeśli nadal miała otrzymywać stypendium, powinna mieć nieposzlakowaną opinię i celujące oceny. Niepokalanki oznajmiły jej wprost: jedno potknięcie i wyleci ze szkoły.

Do łazienki weszła jakaś matka z dwojgiem zmęczonych, rozmarudzonych dzieci. Liz przyglądała się rodzinnej scenie niewidzącym wzrokiem, wciąż zatopiona w myślach o Hope St. Germaine. Kiedyś próbowała podzielić się z Glorią swoimi lękami, jednak przyjaciółka stwierdziła, że niepotrzebnie się boi. Matka niczego nie podejrzewa, przekonywała, a nawet gdyby odkryła prawdę na temat romansu córki, to konsekwencje poniesie Gloria, nie Liz.

Pomimo tych zapewnień Liz nie mogła

pozbyć się złych przeczuć. Gloria opowiedziała jej o kłótni z Santosem i o swoim zamiarze porozmawiania z ojcem. Zdaniem Liz przyjaciółka straciła instynkt samozachowawczy. W jakimś sensie mogła to nawet zrozumieć, nie zmniejszyło to jednak w niczym jej obaw.

Ostatnie dwa miesiące sporo czasu spędziła z zakochaną parą - Gloria chciała, żeby poznała Santosa tak dobrze jak ona i by mogła się przekonać, że to najwspanialszy facet na świecie.

Liz nie musiała długo się przekonywać. Od razu uznała, że nigdy w życiu nie spotkała tak fantastycznego chłopaka. Był bystry, przystojny, z poczuciem humoru, doprowadzał ją do śmiechu i prowokował do myślenia. Przy nim mogłaby nawet uwierzyć, że jest ładna. I wcale nie uważała, że dziewczyna, która ma trochę oleju w głowie, musi być nudna. Podziwiał zresztą jej inteligencję, mówił jej o tym. Nawiązała się między nimi szczególna nić porozumienia, inna niż ta, która łączyła go z Glorią. Obydwoje pochodzili z biednych rodzin, obydwójce musieli sami o wszystko walczyć. Tak, mieli ze sobą wiele wspólnego.

Nic więc dziwnego, że Liz była w nim prawie zakochana.

Zafrasowana, przygryzła wargę. Wcale się jej nie podobało, że tak właśnie czuje. Było jej głupio, że czeka, kiedy Gloria i Santos zerwą ze sobą. Martwiła ją własna nielojalność, ale też wiedziała, że nigdy nie zrobiłaby świństwa przyjaciółce. Nie. Nie potrafiłaby zdradzić, zawieść, oszukać. Nigdy.

Zresztą i tak nie miała u Santosa żadnych szans. Nawet gdyby Gloria nie stała jej na drodze,



Santos nie zwróciłby na nią uwagi. Nie zainteresowałby się takim mołem książkowym jak ona.

Ściągnęła brwi w zamyśleniu. Przyszłość. Jej przyszłość. Czy pewnego dnia będzie bogatą, powszechnie szanowaną kobietą? Czy odniesie sukces? Czy wymyśli lekarstwo na raka albo uczyni coś, co zmieni oblicze świata? Jeśli tak, to wtedy przestanie się martwić, że jest brzydka.

I tak właśnie się stanie, powtarzała sobie z determinacją. Jeśli ukończy niepokalanki z dobrym świadectwem, będzie w stanie zdobyć stypendium, które pozwoli jej studiować. Będzie miała wszystko, o czym marzyła przez całe życie.

Mama z dziećmi wyszła z kabiny. Idąc do drzwi, rzuciła

Liz przyjacielskie spojrzenie. Liz uśmiechnęła się do niej i pomyślała o swojej matce. Kiedy zamykały się drzwi, usłyszała jeszcze wołanie dziewczynki:

- Popatrz, mamusiu, księżniczka!

Zaraz potem w toalecie pojawiła się Gloria. Nareszcie. Liz zerwała się z taboretu. Na widok przyjaciółki zaparło jej dech w piersiach - w sukni z delikatnej, mieniącej się materii, wielobarwnej jak pawie pióra, lamowanej złotem, Gloria rzeczywiście wyglądała jak księżniczka, jak księżniczka, którą Liz zawsze pragnęła zostać.

- Spóźniłaś się - zdołała wykrztusić, kładąc rękę na piersi.

- Czekałam na odpowiedni moment, żeby się wymknąć.

- Co z matką?

- Zachowuje się jak królowa pszczół otoczona rojem. Nawet na mnie nie spojrzała przez cały wieczór. Zobaczysz, że będziesz się świetnie bawić. Potraktuj to jak przygodę, Liz.

- Okropnie się boję.

Gloria parsknęła śmiechem, po czym przyłożyła palec do ust. Obydwie przemknęły na palcach do kabiny dla niepełnosprawnych, zamknęły się wewnątrz i szybko zamieniły ubraniami. Liz ukryła włosy, tak różniące się od włosów Glorii, pod szyfonowym turbanem, założyła maseczkę z piór. Teraz nikt jej nie rozpozna.

- Wyglądasz fantastycznie - szepnęła rozpromieniona Gloria.

- Naprawdę? - Liz spojrzała na swoją suknię, wygładziła miękkie fałdy i ponownie pomyślała o Kopciuszku. - Nigdy nie widziałam

czegoś równie pięknego. Musiała kosztować fortunę.

- Możesz ją sobie zatrzymać. Ja chcę tylko Santosa. Dzisiaj spełnią się moje sny.

Liz spojrzała uważnie na przyjaciółkę. Policzki jej pałały, oczy błyszczały. Coś się stanie, pomyślała i ponownie ogarnęły ją złe przeczucia.

- Coś przede mną ukrywasz. Mów, o co chodzi, Glorio. Gloria otworzyła usta, już miała powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Pokręciła głową.

- Przejrzyj się w lustrze. - Otworzyła drzwi kabiny, wychyliła ostrożnie głowę, upewniła się, czy teren jest czysty, i pociągnęła Liz za rękę.

Na widok swojego odbicia dziewczyna krzyknęła z niedowierzaniem.

- To naprawdę ja?

- Ty. - Gloria uśmiechnęła się. - Mówiłam ci, że wyglądasz fantastycznie.

Liz z lekko przechyloną głową wpatrywała się w lustro. Jeszcze nie wierzyła, że podstęp się uda.

- Nawet w masce nie przypominam cię ani trochę.

- Owszem, przypominasz. Nie zbliżaj się tylko do mamy i do ojca.

Na wspomnienie Hope St. Germaine Liz ponownie przeszedł zimny dreszcz.

- Nie martw się, ani myślę zbliżyć się do kogokolwiek, a szczególnie do niej.

- Bierz. - Gloria podała Liz swoją torebkę wieczorową, zrobioną z tego samego co suknia materiału. - W środku masz szminkę i chusteczkę. Jeśli ktoś do ciebie podejdzie, udaj, że masz napad kaszlu, zasłoń usta chustką i uciekaj do toalety.

Liz odebrała torebkę drżącą dłonią.

- Nie wierzę, że to robię.
- Ja też się boję.
- A co będzie, jeżeli...
- Żadnych „jeżeli”. Musi się udać.
- Uważaj na siebie. - Liz ujęła dłonie przyjaciółki. - Nikt nie może cię zobaczyć.
- Nikt mnie nie zobaczy. Trzymaj się na uboczu, ale

niech matka widzi cię od czasu do czasu.

To jej wystarczy.

- A twój ojciec?

- Cały wieczór spędzi w barze. Nie ruszy się stamtąd. Po prostu nie kręć się zbyt blisko.

Liz zachichotała nerwowo.

- Strasznie się boję. I jestem podniecona.

- Wiem, ja czuję dokładnie to samo. -

Gloria uściskała przyjaciółkę. - Kocham cię, Liz. Jesteś najwspanialszą przyjaciółką na świecie. Spotkamy się tutaj dokładnie wpół do dwunastej.

- Punktualnie co do minuty. Nie spóźnij się. Nie dzisiaj.

- Nie spóźnię się, przysięgam.

Liz wychyliła głowę przez szparę w drzwiach i już miała wymknąć się na pusty korytarz, gdy w tej samej chwili Gloria chwyciła ją za rękę i wciągnęła na powrót do łazienki.

- O co chodzi? - przeraziła się Liz.

- Jestem taka... Czy myślisz... - Gloria zamilkła, łzy napłynęły jej do oczu. - Myślisz, że Santos mnie kocha? Muszę... muszę wiedzieć, czy dobrze robię...

Pytanie Glorii, jej niepewność, uderzyły Liz jak obuchem. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Och, Glorio... jasne, że cię kocha. Jestem tego pewna. Kiedy widzę, jak na ciebie patrzy... myślę, że...

Nie była w stanie wykrztusić więcej. Kiedy widziała, jak Santos patrzy na Glorię, serce kroilo się jej z zazdrości i z żalu nad sobą. Tak bardzo, tak rozpaczliwie chciała, żeby ktoś i na nią patrzył w podobny sposób. I tak strasznie się bała, że jej marzenie nigdy się nie spełni.

Nigdy nie będzie prawdziwą księżniczką.

Nigdy nie będzie miała swojego księcia. Księżę należy do Glorii.

- Kiedy widzę, jak Santos na ciebie patrzy  
- podjęła

przerwany wątek - nie mam wątpliwości,  
co do ciebie czuje. Ten chłopak szaleje za tobą,  
Glorio.

- Dlaczego więc nigdy mi tego nie powie?  
Gdybym wiedziała, że mnie kocha, potrafiłabym  
znieść wszystko, Liz. Nawet gniew mojej matki.

Liz nie odpowiedziała, bo cóż mogła  
powiedzieć. Pożegnała się z Glorią i przemknęła  
szybko do sali balowej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Hope wymknęła się ukradkiem, zostawiając za sobą rozbawiony, gwarny tłum. Serce biło jej gwałtownie, nierównym rytmem. Pod bogato wyszywaną suknią miała staroświecki czarny gorset, pończochy - i nic ponadto. Fiszbiny piły boleśnie, lecz była wdzięczna Bogu za ten ból.

Zasługiwała na ból. Była słabą istotą. Słabą i zepsutą. Powinna dosięgnąć ją karząca ręka Pana. W głowie rozbrzmiewały jej wersety z Pisma, jakiś głos nawoływał, by się pohamowała, zawróciła.

Chciała być mu posłuszna, ale nawoływania Ciemności były silniejsze. Bestia domagała się swojej daniny, żądała satysfakcji, zadośćuczynienia.

Hope wjechała na piąte piętro i ruszyła w głąb korytarza, bez obawy zdemaskowania. Gdyby ktokolwiek ją zobaczył, zawsze mogła wyjaśnić, że wynajęła pokój, by chwilę odpocząć podczas balu. Od tygodnia opowiadała znajomym, że czuje się fatalnie.

Zbliżała się do drzwi numeru z zaschniętym gardłem i bijącym szaleńczo sercem. Suknia szeleściła cicho, a gorset z każdym krokiem zdawał się mocniej wpijać w ciało. Jednak ten ból zamiast ją otrzeźwić i pohamować, nabierał chorobliwie erotycznego uroku. Krew w skroniach dudniła głośno, ogłuszająco.



513, to tutaj. Zatrzymała się przed drzwiami i wciągnęła głęboko powietrze. Jej rajfur, mały, sprytny człowieczek, zadbał o wszystko. Od dawna świadczył jej swoje usługi.

Na klamce wisiała kartka z prośbą „Nie przeszkadzać”. Pomimo to zapukała.

Z wnętrza odpowiedział głos o nieludzkim brzmieniu. Hope przekręciła klamkę, wsunęła się do środka i w zalegających wnętrze ciemnościach usłyszała głośnie dyszenie.

Przekręciła klucz w zamku, zamocowała łańcuch, po czym odpięła ekler sukni i zdjęła ją ostrożnie, by nie pognieść. Postąpiła wolno kilka kroków. W mroku widziała już sylwetkę mężczyzny. Leżał nagi na łóżku, przywiązany do niego aksamitnymi sznurami.

Z gardłowym pomrukiem opadła na materac.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Santos stał w drzwiach pawilonu kąpielowego i spoglądał z zachwytem na basen skąpany w srebrnej poświacie księżyca. Nad wodą unosiła się lekka mgiełka nadająca otoczeniu niezwykle, magiczny charakter.

Nie chciał tu przychodzić, do domu jej rodziców, ale Gloria przekonywała, że będą zupełnie bezpieczni - rodzice na balu, służba dostała wychodne, żadnego zagrożenia.

Teraz cieszył się, że uległ namowom. Nareszcie mogli czuć się swobodnie, cieszyć się swoją bliskością. Upajał się atmosferą wieczoru, wdychał głęboko zapach Glorii, oszałamiała go myśl, że teraz jest naprawdę jego.

Kocha ją. Mocno zacisnął powieki. Dobry Boże, jak mógł do tego dopuścić?

Obejrzał się przez ramię. Drzwi od łazienki nadal były zamknięte, dobiegał zza nich cichy odgłos lejącej się wody. Gloria od dłuższej chwili nie wychodziła, zbyt długo jak na doprowadzenie do porządku włosów i makijażu.

- Cholera! - zaklął pod nosem. Zranił ją. Oczekiwała od niego deklaracji, zapewnień o miłości. Od pewnego już czasu widział to w jej oczach, słyszał w jej głosie, ilekroć mówiła mu, że go kocha.

Teraz, po wspólnie spędzonej nocy, tym bardziej liczyła na jego wyznanie.

Spędzili razem noc. Kochali się. Do tego też nie powinien był dopuścić.

Jej propozycja brzmiała jednak tak kusząco, tak namiętnie. Powtarzał sobie, że powinien się pohamować - nie mógł. Zapewniał sam siebie, że panuje nad sytuacją, ale sytuacja wymknęła mu się z ręki.

Odetchnął głęboko przez nos. Była dziewicą. Była, do dzisiejszego wieczoru. Teraz jest jego. Nigdy już nie pozwoli jej odejść. Będzie o nią walczył.

Otworzyły się drzwi łazienki, smuga światła padła na podłogę. W progu stała Gloria.

- Piękny wieczór.

- Tak. - Przyciągnął ją do siebie i objął ramionami od tyłu, brodę oparł o jej głowę. - Gdybym mieszkał w tym domu, spędzałbym wiele czasu nad basenem. Bardzo dużo czasu.

Szepnęła coś, czego nie dosłyszał, i przytuliła się do niego mocniej. Czując, że drży, Santos otoczył ją szczelniej ramionami.

- Zimno? - zapytał, pocierając policzek o jedwabiste włosy.

- Nie, teraz już nie.

Pogładził ją po głowie. Ogarnęła go nagle fala nieznanego dotąd czułości. Zrobiłby wszystko dla Glorii, gotów był zmierzyć się z najgorszymi demonami, porzucić dotychczasowe życie, zdobyć się na ustępstwa niewyobrażalne jeszcze godzinę temu.

Kochał ją tak bardzo, że go to przerażało.

Gdyby tylko mógł jej zaufać całkowicie, kompletnie, bez reszty. Gdyby tylko za każdym

razem, kiedy na nią spoglądał, nie dręczyły go wątpliwości. Gloria była taka młodziutka. Taka bogata. Za bardzo się od siebie różnili, żeby móc być razem.

Gdyby miała dość siły, by przeciwstawić się rodzicom, oddałby jej serce i niczego już by się nie bał. Pozbyłby się wątpliwości.

Po części rozumiał jej lęk. Ale tylko po części. Powinna walczyć o niego, o swoje prawo do miłości. Dumnie oznajmić całemu światu, rodziców nie wyłączając, że Santos jest tym jednym jedynym. Dopóki tego nie uczyni, on nie jest w stanie zapewniać jej o swoich uczuciach.

Chciał, ale nie potrafił. Po prostu.

Gloria westchnęła.

- Jesteś dzisiaj taka milcząca.

- Mhm.

- Żałujesz? - Wstrzymał oddech, modląc się w duchu, żeby nie powiedziała „tak”. Nie wiedziałby, co począć. Żałował już wystarczająco mocno, za nich oboje.

- Nie żałuję. - Uniosła twarz i spojrzała mu w oczy. - A ty?

- Skądże - odparł cicho, unikając jej spojrzenia. - Było cudownie... jak nigdy dotąd.

Odwróciła się w jego ramionach.

- Miałeś... dużo dziewcząt?

- Niezbyt - starannie ważył słowa. - Trochę. Zacisnęła mu palce na koszuli.

- Zależało ci na nich? Na którejś z nich... szczególnie?

- Nie... - wykrztusił z trudem. - Na żadnej z nich tak jak na tobie.

Wpatrywała się przez chwilę w jego twarz, po czym zadarła brodę.

- Nie mam ci tego za złe - oznajmiła. - Ani trochę.

Santos poczuł, że kręci mu się w głowie, że musi opanować się za wszelką cenę, jeśli nie

chce, by emocje zawładnęły nim do końca. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że jest już na to za późno, o wiele za późno.

- To dobrze - mruknął. - Nie chciałbym, żebyś była smutna.

Przez długą chwilę milczeli, ciesząc się wzajemną zgodą i porozumieniem. Santos nigdy wcześniej nie przypuszczał, że tak może się dziać między dwojgiem ludzi. Że może ich łączyć tak silne uczucie, tak gorące i jednocześnie trwałe. Nic podobnego nie istniało między jego matką i ojcem, między parami, które znał, czy z którymi stykał się przelotnie.

Gdyby tylko była trochę starsza. Mogliby się pobrać, uciec nawet, gdyby było trzeba.

- O czym myślisz? - zapytała, odsuwając się trochę.

- Dlaczego pytasz?

- Westchnąłeś.

- Tak? - Nie zdawał sobie sprawy, że wydał jakikolwiek dźwięk. - Myślałem o tym, co by było gdyby.

- Nie rozumiem.

Uśmiechnął się.

- Pewna kobieta z opieki społecznej lubiła powtarzać: „Gdyby z piasku były ryby, ciasteczka i grzyby, wszyscy mielibyśmy Gwiazdkę, Wielkanoc i Paschę. Dorośnij, Victorze”. Baba była wyjątkowo antypatyczna.

Gloria objęła Santosa w pól.

- Gdybym tam była, powiedziałabym jej coś do słuchu.

- Daj spokój. W swoim czasie dopiekłem jej za nas oboje.

- Ale... - zawahała się, jakby nie do końca

pewna swojego pytania. - Jak twoje gdybania mają się do dzisiejszego wieczoru?

- Myślę, że wiesz.

Wiedziała. Łzy napłynęły jej do oczu, odwróciła wzrok.

- Nie martw się, Glorio.

- Nie?

- Nie. Widocznie tak musi być. O której powinnaś być z powrotem?

- O wpół do dwunastej. - W jej głosie zabrzmiał żal, westchnęła. - Przyrzekłam Liz, że wrócę punktualnie co do minuty.

- Już czas.

- No to jedźmy. Będzie się denerwowała.

Żadne z nich się nie ruszyło. Santos zatopił palce we włosach Glorii i nachylił usta do jej warg. Całował ją długo, zaborczo, jakby chciał jej powiedzieć tym pocałunkiem, że należy wyłącznie do niego.

A potem ruszyli ramię w ramię do samochodu.

- Jesteś pewna, że nikt cię nie widział? - zapytał po chwili milczenia. - Masz gwarancję, że twoja matka nic nie podejrzewa?

- Nikt mnie nie widział, matka nic nie podejrzewa. W ogóle nie zwracała na mnie uwagi. I dzięki Bogu.

Santos zatrzymał się.

- Musimy porozmawiać o twoich rodzicach, Glorio. W odpowiedzi położyła mu palec na ustach.

- Nie dzisiaj, proszę, Santosie. Niepsuj tego wieczoru. Skinął głową, chociaż był tak spięty, że z trudem oddychał. Tak bardzo pragnął uwolnić się od podejrzeń, pozbyć się wątpliwości, zaufać całkowicie zapewnieniom Glorii.

Nie potrafił. Przeklinał siebie, swoją przeszłość, ale nie potrafił. Twarde życie pozbawiło go złudzeń, oduczyło ufności.

- W porządku - mruknął w końcu. - Porozmawiamy po karnawale.

Otworzył drzwiczki od strony pasażera, a kiedy Gloria chciała wsiąść, chwycił jeszcze jej dłoń, podniósł do ust i ucałował.



- Jeśli będziemy wierzyć w siebie  
wystarczająco mocno, nikt nas nie rozłączy,  
Glorio. Obiecuję ci.

**ROZDZIAŁ                      TRZYDZIESTY**  
**PIERWSZY**

- Pani St. Germaine, jakaś panienka chce się z panią widzieć. Nazywa się Bebe Charbonnet. Powiada, że jest szkolną koleżanką Glorii.

Hope zmarszczyła czoło, zerknęła na zegarek.

- O tej porze? Dziwne. Proś ją.

Od balu maskowego minęły dwa dni i od dwóch dni Gloria zachowywała się dziwnie. Była podniecona, nerwowa. Rozradowana, a jednocześnie niepewna swego. A teraz ta wizyta.

Kiedy pani Hillcrest wprowadziła nastolatkę, Hope zmierzyła ją ciekawym wzrokiem. Panna w mundurku niepokalanek miała minę kota, któremu podsunęto talerzyk pełen śmietanki.

- Witaj, Bebe - powitała ją, podnosząc się z uśmiechem z fotela.

Dziewczyna stanęła na wprost gospodyni z wypiekami na policzkach, złożyła dłonie.

- Dzień dobry, pani St. Germaine.

- Jak się miewa mama?

- Dziękuję, dobrze.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Nie omieszkam.

Hope usiadła, ale nie zaproponowała Bebe, by uczyniła to samo. Upiła łyk herbaty, otarła usta serwetką.

- Co cię do nas sprowadza tak rano?

- Ja... - Bebe odchrząknęła niepewnie. -

Nie wiem, jak mam to powiedzieć... Nie przyszląbym, gdybym nie martwiła się o Glorię. To okropne, że ona zadaje się z takim chłopakiem.

Hope zesztyniała. A więc o to chodzi - jest jakiś chłopak. No cóż, w końcu w żyłach Glorii płynie krew kobiet z rodziny Pierron. Ona też nosi w sobie Ciemność.

- Mów dalej.

- Byłam na sobotnim balu i widziałam... -

Bebe głęboko wciągnęła powietrze. - Widziałam, jak wymyka się z hotelu na spotkanie z chłopakiem. Około dziewiątej. Odjechali jego samochodem.

- O dziewiątej? - Hope zmarszczyła brwi.

- To niemożliwe, kochanie. Widziałam ją kwadrans po dziewiątej i... potem także.

- To nie była ona! To... - dziewczyna ugryzła się w język, nagle pomna, że powinna hamować emocje. - To... była chyba Liz Sweeney. Widziałam Liz w hotelu, a przecież nie miała zaproszenia na bal. I na pewno też widziałam, jak Gloria wychodziła z hotelu w niebieskich dżinsach, a zaraz potem znowu pojawiła się na sali, w każdym razie był tam ktoś w jej sukni.

Przebieranka? Czemu nie? Gloria i jej przyjaciółka zaaranżowały małą przebieranę, myśląc, że ją przechytrzą. Hope uśmiechnęła się zimno. Zepsute, podstępne dziewczyny. Taki postępek nie może ująć bezkarnie.

- Sporo zdążyłaś zauważyć w sobotni wieczór, kochanie.

Policzki Bebe pokraśniały.

- Tak jak powiedziałam, nie przyszląbym

do pani, gdyby nie to, że martwię się o Glorię.

- Zapewne - mruknęła Hope. Nie  
podołała jej się ta chytra, pewna siebie pannica,  
ale z nią postanowiła policzyć się później.

Trzęsąc się z gniewu, podeszła do okna.

- Znasz tego chłopca? Chodzi do jezuitów czy do salezjanów?

Bebe pokręciła głową.

- Nie znam go w ogóle... On jest chyba starszy. Prawdę mówiąc... - Bebe rozejrzała się po pokoju, zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu - nie wygląda na takiego, który chodziłby do takich szkół. To zupełnie inny typ.

- Rozumiem. Możesz go opisać?

- Wysoki, brunet, bardzo przystojny. Taki... jakiś nieokrzesany. Dziki.

Hope przypomniała sobie, co kilka tygodni wcześniej mówiła jej sekretarka Philipa: że Gloria pytała o łapserdaka, którego przysłała Lily, Vincenta czy Victora jakiegoś tam. Wypytywała, czy dziewczyna go widziała, czy wie kto zacz. Sekretarka powiedziała naturalnie, że nie ma pojęcia, o kogo chodzi, ale Gloria mogła go przecież odnaleźć na własną rękę.

Hope zmrużyła oczy. O kogokolwiek chodzi, powinna niezwłocznie zająć się sprawą. Najwyraźniej była zbyt pobłażliwa dla córki, lecz teraz czas ukrócić amory.

- Bebe, kochanie, powinnaś chyba wracać do szkoły. Dziękuję ci za informację. Bardzo mi pomogłaś.

- Cieszę się, że mogłam się na coś przydać. - Dziewczyna nie potrafiła ukryć satysfakcji. Omal nie zacierała rąk, taka zdawała się zadowolona z siebie. - Nie chciałabym, żeby Gloria i Liz miały z tego powodu kłopoty, rozumie pani. Byłoby mi przykro, gdyby przeze mnie...

- Nawet o tym nie myśl. - Hope

odprowadziła ją do drzwi. - Zajmę się wszystkim.

- Spojrzała Bebe prosto w oczy. - I wszystkimi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Dwa dni po balu maskowym ziściły się najbardziej koszarne przeczucia Liz. Trwał właśnie wykład siostry Mary Catherine o „Poskromieniu złoŃnicy” Szekspira, kiedy dyrektorka przez dyżurną wywołała ją z lekcji i kazała przyjść do swojego gabinetu. A tam czekała już na nią Hope St. Germaine.

Wszystko się wydało.

Liz spojrzała z przerażeniem na nieoczekiwanego gościa, potem na siostrę Margueritę. Wyciągnęła drżącą dłoń, w której trzymała zieloną kartkę oznaczającą wezwanie na dywanik, wręczoną jej przed chwilą przez dyżurną.

- Siostra chciała mnie widzieć?

Dyrektorka wyszła zza biurka z nie zwiastującą nic dobrego miną.

- Zamknij za sobą drzwi i podejdź bliżej.

Liz ledwie mogła oddychać, tak była przerażona. Rozpaczliwie szukała w myślach innych niż sobotni bal powodów, które mogły sprowadzać matkę Glorii do przełożonej.

Nic nie przychodziło jej do głowy.

Zamknęła drzwi i stanęła przed obydwojma kobietami, spoglądając to na jedną, to na drugą.

- Siadaj, kochanie. - Siostra wskazała jej krzesło, po czym zasiadła za biurkiem. - Czy domyślasz się, z jakiego powodu cię wezwałam?

Liz pokręciła głową i zacisnęła dłonie na podółku.

- Nie, siostrze.

- Otóż pani St. Germaine ma bardzo

poważne zarzuty wobec ciebie.

- Wobec mnie? - powtórzyła Liz wysokim, nieswoim głosem.

- Tak jest. - Siostra spojrzała na matkę Glorii, po czym znowu na ledwie żywą Liz. - Czy wiesz, o co może chodzić?

Pokręciła głową.

- Nie, siostro.

Hope St. Germaine odchrząknęła i przystąpiła do rzeczy:

- Mogę, siostro?

Przełożona przystała po chwili wahania i Hope zwróciła się wprost do Liz:

- Koniec z gierkami i oszustwami, moja panno. Wiem o wszystkim. Wiem, że pomagasz mojej córce zwodzić mnie i oszukiwać. Kryjesz ją, zachęcasz do kłamstw.

A więc jednak. Tak jak Liz się obawiała, Hope przejrzała ich intrygę. Znalazły się w opalach. W strasznych opalach.

Spojrzała bezradnie na dyrektorkę, ale wnosząc po jej zaciętej minie, z tej strony nie mogła oczekiwać pomocy. Łzy napłynęły jej do oczu, schyliła głowę.

Dlaczego zgodziła się pomóc Glorii? Dlaczego uległa jej namowom, skoro od początku wiedziała, że plan jest niebezpieczny, niedorzeczny i lekkomyślny?

- Moja córka zadaje się zupełnie nieodpowiednim dla niej chłopcem, a ty jej to ułatwiasz. Czy tak, Liz? - Hope zawiesiła pytanie w powietrzu, po czym zadała ostateczny cios. - Może nawet zachęcałaś ją do tego? Może to ty ją namawiałaś, żeby mnie okłamywała?

- Nie! - Liz poderwała głowę. - To



nieprawda! To nie tak!

Pani St. Germaine postąpiła krok, wpijając w nią lodowate spojrzenie.

- Nie?

- Nie - powtórzyła słabo. - Przysięgam.

- Powiedz nam zatem, jak było, Liz - zachęciła Hope z zimnym uśmiechem. - Nie chcemy rzucać nieusprawiedliwionych oskarżeń pod twoim adresem.

Liz poczuła, że robi się jej niedobrze. Gorzko żałowała, że zgodziła się pomóc Glorii. Wolałaby o niczym nie wiedzieć, nie mieć pojęcia, co Gloria i Santos robili tamtej nocy. Zaprzeczyć swojemu udziałowi w całej sprawie. Skłamać.

Gzuła jednak, że Hope St. Germaine i tak wie o wszystkim. Jeśli przyłapie ją na kłamstwie, Liz pogorszy swoją i tak już niewesołą sytuację.

- Słucham - przynagliła Hope niecierpliwie. - Pomagałaś mojej córce?

Liz skinęła głową, ale nie śmiała podnieść wzroku.

- Czy to ma oznaczać „tak”?

- Tak, proszę pani.

- W sobotę wieczorem, kiedy odbywał się bał maskowy Towarzystwa Onkologicznego, zamieniłaś się z moją córką ubraniami, żeby mogła wymknąć się na spotkanie z tym chłopcem?

- Tak, proszę pani.

- Tak świetnie się zapowiadałaś, Elizabeth - zaczęła siostra Marguerita, przyjmując ton osoby głęboko rozczarowanej. - Wierzyłyśmy w ciebie. Jak mogłaś zawieść nas tak okrutnie?

Liz spojrzała na przełożoną oczami pełnymi łez.

- Przepraszam, siostrze. Ja... ja nie chciałam zrobić nic złego.

- Warunki twojego stypendium są jasne. Nie możemy tolerować żadnych występków.

Liz poderwała się, ogarnięta nagłą paniką.

- Aleja nie wiedziałam! Ja nie zrobiłam nic...

- Uspokój się, Liz - wtrąciła matka Glorii.

- Jeśli powiesz nam wszystko, postaram się przekonać siostrę Margueritę, by obeszła się z tobą łagodnie.

Poczuła ulgę. Wszystko będzie dobrze, wszystko się jakoś ułoży, musi tylko powiedzieć prawdę. Nie zdradzi przecież Glorii; matka i tak już wie, co zaszło.

Usiadła na powrót.

- Dobrze. Co mam powiedzieć?

- Zaczynij od początku. Opowiedz, jak Gloria poznała tego chłopca.

I Liz zaczęła opowiadać. Zrelacjonowała wszystko, co pamiętała, począwszy od tego ranka, kiedy Gloria czekała na nią na przystanku tramwajowym, by podzielić się wiadomością o poznanym poprzedniego dnia chłopaku, a skończywszy na balu maskowym i na tym, co wówczas zaszło między Głorią i Santosem.

Kiedy skończyła, Hope położyła rękę na sercu.

- Chcesz powiedzieć, że moja córka... że ona i ten chłopiec... że oni...

Widząc, jak płacze się w słowach, siostra Marguerita pospieszyła z odsieczą:

- Elizabeth Sweeney, czy chcesz powiedzieć, że Gloria i ten mężczyzna obcowali ze sobą jak mąż z żoną?

A więc matka Glorii nie wiedziała. Dobry Boże, co ona zrobiła?

- Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

- Tak - szepnęła.

Siostra Marguerita przeżegnała się, matka

Glorii opadła na krzesło blada jak płótno.

- O niczym nie wiedziałam - chlipała Liz.

- Dopiero później... Gloria mi powiedziała...

Gdybym domyślała się... co zamierza... nigdy nie zgodziłabym się pomóc. - Otarła łyzy z policzków.

- Musi mi pani uwierzyć.

- Niby dlaczego? - zapytała Hope sztywno. - Dowiodłaś, że potrafisz kłamać. - Przesunęła dłonią po czole.

- I pomyśleć, że moja córka i ten... ten męt...

- Santos nie jest żadnym męttem, pani St. Germaine! Naprawdę nie! To dobry chłopak. Inteligentny. Studiuje na uniwersytecie, a jak skończy dwadzieścia jeden lat, zamierza się przenieść na akademię policyjną.

- Dostyc, Elizabeth - ucięła siostra twardym głosem.

- Myślę, że powinnyśmy...

- Ale musicie mi uwierzyć! On kocha Glorię! - Załamując dłonie, Liz wpatrywała się błagalnie w Hope. - On chciał powiedzieć o wszystkim pani i panu St. Germaine, skończyć z ukrywaniem się. On też uważa, że to nie w porządku...

- A jednak nie przyszedł do nas.

- Bo Gloria go ubłagała, żeby tego nie robił. Pokłócili się nawet... - Liz pociągnęła nosem. - Próbowałam z nią rozmawiać, namawiałam, żeby powiedziała pani o wszystkim.

- Ale ona nie posłuchała. - Matka Glorii wstała, sięgnęła po torebkę. - Bardzo wygodna sytuacja.

- Gloria się bała, proszę pani. Mówiła, że pani będzie przeciwna, że każe jej zerwać z

Santosem.

- Oczywiście, że kazałabym zerwać -  
prychnęła Hope.

- Victor Santos to zero. Gorzej: zero, które  
wykorzystuje naiwne smarkule. To ohydne,  
haniebne.

- On... nie jest taki. On... - Liz  
rozszołała się na dobre, jej ciałem wstrząsały  
gwałtowne łkania. - Gdyby go pani poznała...  
porozmawiała z nim...

- Nie muszę. Wiem, kto zaczął. - Hope  
zdecydowanym ruchem włożyła rękawiczki. - I o  
tobie też już swoje wiem. Czy choćby raz przyszło  
ci do głowy, żeby porozumieć się z siostrą  
Margueritą albo ze mną? Czy pomyślałaś, że  
Gloria rujnuje sobie życie? Że potrzebuje  
wsparcia i rady?

Liz podniosła moką od łez twarz.

- Ona jest moją przyjaciółką. Nie mogłam... Musiałam jej pomagać. Ona tak bardzo go kocha.

- Kocha? - Hope spojrzała na Liz z zawziętą wrogością. Nachyliła twarz ku dziewczynie i wysyczała: - Nie pozwolę Glorii zejść na złą drogę. Zrozumiałaś? Gloria jest inna, łatwo ulega pokusom. Przypilnuję, żeby nie miała tych pokus. Zrobię wszystko, jeśli będzie trzeba.

Liz zadrżała, jakby dotknęła ją lodowata ręka śmierci. Biedna Gloria, pomyślała ze współczuciem. Mieć za matkę kogoś takiego jak Hope St. Germaine. Nie do wyobrażenia.

Tymczasem Hope wyprostowała się i ze spokojną już twarzą odwróciła się do siostry Marguerity.

- Trudno mi wyrazić, jak bardzo jestem rozczarowana. Posłaliśmy Glorię do niepokalanek, by uchronić ją od tego rodzaju wpływów. Philip i ja przekazujemy duże sumy na utrzymanie szkoły i zapewnienie jej odpowiedniego standardu. Oczekuję, że siostra zajmie się... sytuacją. Natychmiast. Czy wyrażam się jasno?

Siostra Marguerita westchnęła.

- Jest kilka rozwiązań. Powinnyśmy się nad nimi zastanowić. Nie chcę podejmować pochopnych decyzji...

- Pochopnych? - powtórzyła Hope, unosząc brwi w dobrze obliczonym oburzeniu. - Nie sądzę, byśmy podejmowały pochopne decyzje. W każdym razie ja nie chciałabym decydować „pochopnie”, kiedy przyjdzie czas kolejnej dotacji na rzecz szkoły.

Siostra Marguerita pochyliła głowę.

- Zajmę się tą sprawą, pani St. Germaine.

Liz w osłupieniu przysłuchiwała się rozmowie obu kobiet. Matka Glorii obiecywała, że wstawi się za nią u siostry przełożonej, tymczasem teraz wyraźnie żądała usunięcia jej ze szkoły. Hope St. Germaine podeszła ją. Sprytnie, z zimnym wyrachowaniem zmusiła do zdradzenia przyjaciółki.



Zerwała się na równe nogi.

- Proszę pani, proszę tego nie robić!  
Gloria jest moją najlepszą przyjaciółką! Ja tylko chciałam pomóc! Nigdy nie zrobiłabym nic, co mogłoby jej zaszkodzić!

- Za późno na takie zapewnienia.  
Uczyłaś już wystarczająco dużo, żeby jej zaszkodzić. Zrujnowałaś jej życie.

- Ale ja potrzebuję tego stypendium... -  
jęknęła Liz.

- Błagam panią, niech pani nie pozwoli,  
żeby usunięto mnie ze szkoły.

- Powinnaś była wcześniej o tym  
pomyśleć. – Hope zmierzyła ją pełnym jadu  
spojrzeniem i odwróciła się do dyrektorki: -  
Siostro?

Zakonnica skinęła głową na pożegnanie i  
matka Glorii wyszła z gabinetu.

Liz widziała po minie siostry, że incydent  
wytrącił ją z równowagi i napełnił niesmakiem.  
Tyle że nie do Hope

- co powinno zdawać się oczywiste - a do  
niej. Zdawała sobie sprawę, że nic nie wskóra, ale  
nie chciała kapitulować tak łatwo.

- Proszę, siostro - skamlała, zamiast  
wyjść, trzaskając drzwiami. - Ja naprawdę  
potrzebuję tego stypendium. Przyrzekam, że nie  
będę już przysparzać żadnych kłopotów. Mogę  
trzy razy dłużej pracować w sekretariacie, a resztę  
czasu poświęcę na naukę...

- Dosyć, Elizabeth. Przykro mi, ale nie  
mogę ci pomóc w żaden sposób.

- Ale ja nie zrobiłam nic złego! Siostra  
jest tutaj przełożoną i sama chyba widzi...

- Warunki twojego stypendium były

określone wyraźnie. Wiedziałaś, że musisz mieć nieskazitelną opinię.

- Ale...

- Zawiodłaś, Liz. Trudno. Musimy prosić, byś opuściła szkołę. Wezwę twoich rodziców.

Liz ukryła twarz w dłoniach i ponownie zaniósła się płaczem. A więc straciła wszystko. Stypendium, szansę na pójście do dobrego college'u, nadzieję na przyszłość. Wszystko. Straciła absolutnie wszystko. Siostra podała jej chusteczkę.

- Przykro mi, Liz. Jesteś bardzo zdolna i na pewno poradzisz sobie w życiu mimo tego niepowodzenia. Mam nadzieję, że czegoś cię ono nauczy.

Liz wydmuchała nos.

- A co... z Glorią?

- To już nie twoja sprawa.

Kiedy siostra chciała wrócić za biurko, Liz chwyciła ją za rękaw.

- Moja. Co się z nią stanie? Czy i ona zostanie wyrzucona?

Siostra milczała przez chwilę, po czym stwierdziła pozbawionym wyrazu głosem:

- Jej matka i Nasz Pan zadbają, by więcej nie błędziła.

Liz patrzyła na siostrę w osłupieniu. Nie wierzyła własnym uszom. Ją usuwano ze szkoły za to, że kryła Glorię, tymczasem sama Gloria miała pozostać u niepokalanek. Jak siostra mogła zrobić coś takiego? To niesprawiedliwe.

Wreszcie zrozumiała. Gdyby jej rodzice przekazywali równie hojne dotacje na szkołę jak St. Germaine'owie i jej wszystko uszłoby na sucho. Hope St. Germaine chciała się jej pozbyć,

usunąć ją z życia Glorii. I dysponowała odpowiednimi argumentami, żeby jej życzenie zostało przyjęte jako rozkaz.

W Liz obudził się gniew. I gorycz. I to ma być chrześcijańska szkoła! W której obowiązują chrześcijańskie zasady moralne!

Spojrzała na przełożoną wzrokiem, w którym było wyraźne, wreszcie wolne od pokory i strachu oskarżenie. Ta poruszyła się niespokojnie.

- Przykro mi, Elizabeth - powtórzyła. -  
Musisz

zrozumieć. Prowadzę szkołę i muszę dbać o dobro wszystkich uczennic.

- Rozumiem, siostró. - Liz podniosła się, wyprostowała. - Pieniądz liczy się najbardziej, to on ostatecznie rządzi, prawda?

- Zadbam, byś odeszła z dobrym świadectwem. To wszystko, co mogę zrobić.

Liz zacisnęła pięści. Właśnie otrzymała surową lekcję, lekcję, którą jej ojciec - niewykształcony robotnik - dawno już pojął.

Nie ma równości. Nie ma sprawiedliwości. Nie ma zasad. Pieniądze to władza, za pieniądze kupić można wszystko. Nawet pobożne serce pokornej zakonnicy.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI**

Santos czekał na windę w Hotelu St. Charles. W dłoni obracał kolejną przesyłkę od Lily, a palce świerzbiły go, żeby otworzyć kopertę i zobaczyć, co jest w środku. Nawet nie próbował specjalnie walczyć z pokusą. Musiał wiedzieć, co Lily ma do przekazania Hope. Musiał wiedzieć, co łączy te kobiety.

Tylko wtedy będzie wiedział, jak dalej postępować.

Przyjechała winda, wszedł do kabiny, nacisnął guzik i wsunął kopertę do kieszeni. Tego ranka niemal błagał Lily, żeby odpowiedziała na jego pytania. Odmówiła. Powiedziała tylko, że to ostatni raz, kiedy będzie musiał dostarczyć przesyłkę Hope St. Germaine.

To też wydało mu się dziwne. W całej tej historii były same niejasności. Dzisiaj zamierzał dowiedzieć się wreszcie, o co chodzi.

Dzisiaj też powie być może Hope St. Germaine, że kocha jej córkę.

Być może...

Targały nim sprzeczne uczucia. Przyrzekł Glorii, że nie będzie próbował rozmawiać z jej rodzicami, obiecał, że da jej trochę czasu, że poczeka, aż skończy się karnawał. A jednak po tym, co zdarzyło się dwa dni wcześniej, czuł, że nie mogą dłużej czekać. Źle to czy dobrze, przekroczyli kolejną barierę i powinni postawić sprawę uczciwie.

Powinni zdobyć się na szczerłość i powiedzieć całemu światu, że się kochają.

O ile Gloria rzeczywiście go kocha.

Winda zatrzymała się, Santos wysiadł i wyminął czekających. Zachowuje się jak ostatni egoista, tak mu spieszno odkryć karty, żeby wreszcie pozbyć się nęających go wątpliwości.

Serce zabiło mu mocniej, dłonie zwilgotniały. Bał się. Rozpoznawał dobrze symptomy strachu. Nie bał się Hope St. Germaine, ale jej władzy nad Glorią.

Odetchnął i ruszył śmiało w kierunku biura Hope. Spotykał już gorsze niż ona i jakoś potrafił sobie z nimi radzić. Poradzi sobie i z matką Glorii.

Czekała już na niego, siedziała za biurkiem. Coś w jej wyrazie twarzy, coś zimnego i przewrotnego, sprawiło, że poczuł ciarki na grzbiecie.

Wyszła zza biurka i zapytała:

- Masz przesyłkę?
- Tak. - Wyjął list z kieszeni.

Jak zawsze Hope sprawdziła zawartość i wyjęła z szuflady odpowiedź dla Lily.

Santos odebrał kopertę i wpatrywał się w nią pełen niezdecydowania. Czy powinien złamać obietnicę daną Glorii? Przypomniwał sobie wszystko, co opowiadała mu o matce. Zastanawiał nad konsekwencjami, na które może ją narazić jednym nieprzemyślanym krokiem.

Gloria miała prawo się bać. Powinien uszanować jej obawy.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytała Hope z nieznacznym uśmiechem.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie.

Schował kopertę i ruszył w stronę drzwi.

- Ja wiem - powiedziała cicho.

Zamarł z dłonią na klamce, usłyszał jej śmiech.

-Tak, Victorze Santos. Wiem wszystko.

Spojrzał na nią przez ramię, nie do końca pewny, czy się nie przesłyszał.

- Słucham?

- Wiem o nieposłuszeństwie mojej córki. I nie jestem zachwycona.

Santos odczuł niedowierzenie, potem zaskoczenie, wreszcie ulgę. Wszystkie te uczucia oładnęły nim w jednej chwili. Powoli odwrócił się do Hope.

- Nie próbuj udawać głupiego ani zaprzeczać. Mam dowody.

- Nie zamierzam zaprzeczać - odparł. - Cieszę się, że pani wie.

- Doprawdy? - Uniosła lekko brwi. - Chcesz się ze mną zmierzyć?

- Być może.

Zaśmiała się ponownie.

- Biedny chłopiec. Zdrowo zawróciła ci w głowie, prawda? Skądinąd wcale się nie dziwię.

Santos zacisnął pięści. Nie chciał pytać, co to ma oznaczać.

- Jak się pani dowiedziała?

- Od Glorii, ma się rozumieć. Ona w końcu zawsze wszystko mi mówi. Myśli, że wyprowadzi mnie z równowagi. Kiedy się ze mną kłóci, potrafi wykrzyknąć wszystkie swoje sprawy. Wczoraj wieczorem było tak samo.

Santos poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go w głowę.

- Nie wierzę. Ja i Gloria...

- Kochacie się - rzuciła z kpiną w głosie. - Zależy wam na sobie, tak?

- Tak.

Pokiwiała głową z politowaniem.



- Nic nie znaczysz dla mojej córki, Victorze. Nic. Myślę, że w głębi duszy świetnie o tym wiesz.

Ogarnęła go furia, przestał się bać, zapomniał o ostrożności. Nagle zrozumiał, że nie ma nic do stracenia. Postąpił krok w kierunku Hope.

- Chciałabyś, żeby to była prawda. Przykro mi, mamuśka, ale przegrałaś. Kochamy się i zamierzamy być razem. Na zawsze, niezależnie ci się to podoba, czy nie.

Na twarzy Hope pojawiły się wypieki, zmrużyła oczy.

- Nie pozwalaj sobie, pętaku. Jesteś żaloszny, naiwny. Gloria wykorzystwała cię, żeby pokazać, jaka jest dorosła. Chciała nam dokuczyć. Dlaczego? Bo za bardzo o nią dbamy, bo dostaje zbyt wiele. Jak się najprościej zbuntować przeciwko rodzicom? To proste, zadać się z kimś zupełnie nieodpowiednim, z jakąś łajzą, z mętem, którego nigdy nie zaakceptujemy. Ona świetnie o tym wie, więc kłamie, oszukuje, prosi koleżanki, żeby ją osłaniały... Zawsze taka była. Uparta, nieznośna, samolubna. Nigdy się zastanawia, że ktoś może skrzywdzić swoim lekkomyślnym postępowaniem...

Santos słuchał tego z kamienną twarzą, choć słowa Hope raniły go do żywego. W tym, co mówiła, odnajdywał własne myśli, własne obawy.

Nie, to niemożliwe. Gloria nie może być taka. Wierzył w jej szczerą, w ich wzajemną miłość.

- To pani krzywdzi ludzi, nie Gloria – odpowiedział spokojnie. - Wydaje się pani, że jest lepsza od innych. Szlachetna i pełna zasad. -

Wykrzywił się z obrzydzeniem. - Gloria opowiadała mi, co jej pani zrobiła. Jak wyszorowała ją pani twardą szczotką. Małe dziecko! Słuchałem tego i zbierało mi się na wymioty.

Hope milczała przez chwilę, zaskoczona i zaszokowana, co zdawało się najlepszym dowodem, że Gloria mówiła prawdę.

- I cóż jeszcze ci powiedziała? - odezwała się wreszcie z politowaniem. - Że ma niedobrą mamusię? Świetny sposób, żebyś nie zadawał zbyt wielu pytań, nie nalegał na wizytę w naszym domu. Założę się, że lała krokodyle łzy

i w końcu cię przekonała, że jestem prawdziwym potworem.

Tym razem cios był skuteczny. Santos drgnął, jego twarz nagle się zmieniła.

- Powiedziała mi prawdę - upierał się jeszcze, acz bez przekonania. - Wierzę jej.

- I naprawdę myślisz, że moja córka mogłaby kochać kogoś takiego, jak ty? Że chciałaby przeżyć z tobą całe życie? - Każde słowo było niczym dźgnięcie nożem. - Uważasz, że pozwolilibyśmy jej być z kimś takim? Wybacz - rzuciła z kpina - ona nazywa się St. Germaine. A ty kim jesteś? Nikim.

Wszystko, co mówiła, dotykało jego lęków, uprzedzeń, odwiecznych kompleksów. Chociaż usiłował zachować spokój, Hope udało się zniszczyć jego wiarę w Głorię, ale za nic nie dałby jej tego odczuć. Prędzej umrze, niż okaże tej aroganckiej kobiecie, jak głęboko ubodły go jej słowa.

- Mocno się pani zdziwi - zaczął - ale ja i Gloria naprawdę się kochamy. I będziemy razem, przekona się pani.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Jeszcze raz spróbujesz się z nią zobaczyć, a postaram się, żebyś trafił za kratki.

Zatrzymał się nagle, odwrócił.

- Słyszałeś kiedyś o uwodzeniu nieletnich? Z twojej miny widzę, że tak. Cóż, wcale mnie to nie dziwi.

- Oskarżenie może być trochę trudne, bo my nigdy...

- Mam dowód, że wy owszem - przerwała mu spokojnie. - Załatwię cię.

Santos spojrzął jej prosto w oczy.

- Spróbuj.

- Myślisz, że dostaniesz się po czymś takim do akademii policyjnej? Z wyrokiem? A dostaniesz wyrok, Victorze. Rodzina St. Germaine ma duże wpływy w tym mieście.

W to nie wątpił. Wiele razy miał do czynienia z wpływowymi ludźmi i wiedział, jak potrafią być bezwzględni.

- Możesz mnie straszyć, ale Gloria nigdy...

- Gloria robi, co jej każe. Będzie słuchać mnie i mojego męża. Może być trochę uparta, ale nie na darmo nazywa się St. Germaine. Koniec końców wybierze lojalność wobec rodziny. Zapamiętaj to sobie.

- To wszystko? Bo ja nie mam pani nic więcej do powiedzenia. - Ponownie ruszył ku drzwiom.

- Tak jest! - zawołała za nim. - Wracaj do tej swojej starej dziwki! Zapytaj ją, kim jestem, a potem niech ci powie, czy ktoś taki, jak ty, mógłby zadawać się z Gloria!

Odwrócił się gwałtownie.

- Powtórz, coś powiedziała!

- Co mianowicie? - zaśmiała się. - Że Lily jest starą dziwką? Czy że nie jesteś dość dobry dla Glorii? Doskonale wiesz, że nie. Jesteś tak samo nędzny, jak dziwka, z którą mieszkasz.

Zacisnął pięści. Mógłby ją teraz zabić gołymi rękami. Nigdy w życiu do nikogo nie czuł takiej nienawiści, jak w tej chwili do tej kobiety. Dopiero teraz zrozumiał, do jakich ostateczności może posunąć się człowiek powodowany wściekłością.

Podszedł do Hope, stanął na wprost niej.

- O mnie możesz mówić, co ci się podoba – wycedził cicho - ale Lily zostaw w spokoju, bo pożałujesz.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Gloria czekała przy szkolnej szafce, którą dzieliła z Liz. Po raz trzeci spojrzała na zegarek. Dwadzieścia po dwunastej. Gdzie się podziewa Liz? Czekala na przyjaciółkę po drugiej lekcji, po trzeciej... Prawda, przerwy trwały krótko i bywało, że Liz nie miała czasu na chwilę rozmowy, szczególnie jeśli któraś z nauczycielek dawała jej jakieś polecenia, co zdarzało się dosyć często. Ale żeby nie pojawiła się w porze lunchu?

Gloria rozejrzała się niespokojnie po korytarzu. To niepodobne do Liz, zazwyczaj punktualnej aż do przesady. Zwykle to ona się spóźniała. Co się stało?

Obok przeszła dziewczyna, z którą Liz chodziła na trzecią lekcję. Gloria pobiegła za nią.

- Widziałaś Liz? - rzuciła niespokojnie.

- Liz Sweeney? - Kiedy Gloria przytaknęła, tamta pokręciła głową. - Nie, nie widziałam. Nie było jej w klasie.

Gloria wróciła na swoje miejsce koło szafki. Musiało stać się coś złego.

Matka już wie.

Nie, to głupota, próbowała się uspokajać. Gdyby tak było, ona dowiedziałyby się o tym pierwsza, nie Liz.

Liz widocznie źle się poczuła i poszła wcześniej do domu. Albo zachorowało któreś z rodzeństwa i matka potrzebowała jej pomocy. Kilka razy tak się już zdarzyło.

Zamknęła szafkę i postanowiła zajrzeć do sekretariatu. Zapyta, czy czegoś nie wiedzą i jeśli Liz rzeczywiście poszła już do domu, po prostu zadzwoni do niej.

- Dzień dobry, pani Anderson - przywitała sekretarkę, która siedząc za biurkiem, zjadła jogurt.

Kobieta podniosła głowę, zrobiła dziwną minę.

- Dzień dobry, Glorio. Co cię tu sprowadza?

- Szukam Liz Sweeney. Widziała ją pani?

- Rano. Potem już nie - bąknęła czerwona jak burak sekretarka.

- Poszła wcześniej do domu? Żle się poczuła?

- Nie... to znaczy... - Kobieta zakasłała, upiła łyk dietetycznej coli, ponownie zakasłała. - Sądzę, że...

W tej samej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu przełożonej.

- Joyce, czy mogłabyś... - Na widok Glorii umilkła. - Dzień dobry, Glorio. O co chodzi?

- Dzień dobry, sestro. - Gloria przygarnęła książki do piersi. - Szukam Liz Sweeney. Czy zwolniła się dzisiaj z lekcji?

Przełożona zmarszczyła czoło.

- Powinnaś chyba być teraz na lunchu?

- Tak, ale...

- Więc idź jeść.

Przerażenie zaparło Glorii dech w piersiach.

- Dlaczego siostra nie chce powiedzieć? Gdzie jest Liz? Dlaczego nie ma jej w szkole? Coś

się stało?

Siostrę Margueritę wyraźnie zniecierpliwiał ten grad pytań.

- Wkrótce sama się dowiesz. Elizabeth Sweeney nie wróci już do szkoły. A teraz proszę, żebyś...

- Jak to? Nie wróci do szkoły? - Gloria miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod nóg.

- Ale dlaczego? Nie rozumiem.



- Nie musisz. A jeśli zaraz nie pójdziesz na lunch, będę musiała zawiesić cię i wezwać matkę do szkoły.

Liz została wyrzucona.

Gloria podniosła drżącą dłoń do ust. Dlaczego? Co takiego zrobiła? Co takiego poza tym... poza tym, że pomogła jej w sobotniej maskaradzie?

Odwróciła się na pięcie i wybiegła z sekretariatu, ale zamiast na lunch, jak poleciła jej przełożona, skierowała się prosto do wyjścia. Siostra Marguerita coś jeszcze za nią wołała, lecz Gloria nie odwróciła się nawet. Musi zobaczyć Liz. Musi sprawdzić, co dzieje się z przyjaciółką. Dowiedzieć się, co zaszło w szkole.

Matka... Boże, wszystko tylko nie to!

Ale cóż by innego?

Dopadła samochodu, usadowiła się za kierownicą i dopiero wtedy zerknęła przez tylną szybę, jakby oczekując, że ujrzy pogoń. Na parkingu nikogo jednak nie było.

Uruchomiła silnik i wyjechała pełnym gazem na ulicę, nie zważając na głośne klaksony gwałtownie hamujących aut. Zdawała sobie sprawę, jak ważne dla Liz było stypendium u niepokalanek. Usunięcie ze szkoły to dla niej koniec marzeń o lepszej przyszłości.

Zacisnęła palce na kierownicy. Czuła się zupełnie bezradna i kompletnie osamotniona. Jej najlepsza przyjaciółka. Boże, co pocnie bez Liz?

Przekraczając szybkość, pędziła w stronę mieszkania Liz. Dotarła na miejsce w rekordowym czasie. Była tutaj wcześniej zaledwie dwa razy; zazwyczaj, kiedy się umawiały, czekała na Liz w samochodzie przed domem. Ojciec Liz

nie lubił Glorii i nie próbował nawet ukrywać swojej antypatii. Ona też za nim nie przepadała, wolała więc unikać wizyt.

Wysiadła z wozu i wbiegła na odrapaną klatkę schodową.

Już pod drzwiami Sweeneyów usłyszała odgłosy awantury - to kłócili się rodzice Liz. Usłyszała swoje imię. I imię Liz. Potem płacz.

Wzięła głęboki oddech i zapukała.

Kłótnia urwała się raptownie, drzwi uchylły i w szparze pojawiła się zapłakana twarz przyjaciółki.

- To ja - szepnęła Gloria.

Liz wyslizgnęła się na korytarz, zamykając drzwi za sobą. Padły sobie w ramiona i objęły się mocno. Dopiero po tym smutnym powitaniu Gloria spojrzała w znękaną twarz przyjaciółki: zaczerwienione, zapuchnięte od płaczu oczy, czerwona pręga na policzku.

Ojciec ją uderzył.

Ze ściśniętym gardłem ujęła jej dłonie.

- Kiedy nie przyszedł na lunch, poszłam do sekretariatu. Siostra Marguerita powiedziała mi, że cię wyrzucili. Nie mogłam uwierzyć. Co się stało?

- To było okropne. - Liz zaczęła płakać. - Co ja teraz zrobię? Nigdy jeszcze nie widziałam ojca tak wściekłego. Mama dostała histerii. Nie chcę wracać do swojej starej szkoły.

Gloria też się rozplakała.

- Jak mogli cię wyrzucić? Miałaś najlepsze stopnie. Liz otarła wierzchem dłoni łzy spływające po policzkach.

- Nie wiesz?

- Nie. - Gloria wpatrywała się w twarz przyjaciółki z bijącym sercem.

- Nie? - Z gardła Liz wydobył się ni to śmiech, ni to szloch. - To zasługa twojej matki. Dyra wywołała mnie z drugiej lekcji, a ona już tam czekała.

- Moja matka? - powtórzyła Gloria. -  
Moja matka była w szkole?

- To było straszne. Po prostu straszne.  
Ona wie o wszystkim. O wszystkim.

A więc matka wie. Gloria mimo woli cofnęła się o krok. Jezu, co teraz będzie?

- Ona wie wszystko... - powtarzała Liz jak w malignie.

- O Santosie, o balu maskowym, o tym, że cię kryłam... Dlatego mnie wyrzucili. Siostra chciała dać mi szansę, ale twoja matka się nie zgodziła.

Gloria zaczęła drzeć, osunęła się na schody. Matka zrobi wszystko, by oddzielić ją od Santosa.

- Glorio, słyszysz mnie? - Liz przysiadła obok niej.

- To wina twojej matki, ona chciała, żebym odeszła.

- Jak się zachowywała? - Gloria chwyciła dłoń przyjaciółki. - Co mówiła o Santosie?

- O Santosie? - powtórzyła Liz z niedowierzaniem.

- Tak. Czy mówiła coś o nim? O tym co zamierza? Skąd wie, jak się nazywa?

Liz pokręciła głową.

- Nie wiem. Mówiłam jej, że Santos to porządny chłopak. Mówiłam, jak bardzo się kochacie, ale nie chciała mnie słuchać. Obrażała go... Mnie też. Nazwała mnie kłamczucha i...

- Tak się boję, Liz. Ona zniszczy naszą miłość. Nigdy już nie zobaczę Santosa. Kiedyś powiedziała, że wyśle mnie z Nowego Orleanu, jeśli...

- O czym ty mówisz? Nie rozumiesz, że to ze mnie zrobiła winną, że mnie ukarała? Twierdziłaś, że mnie nie ruszy. Przekonywałaś, że nie będzie się na mnie mściła. Próbowałam ci tłumaczyć, że to niebezpieczne, ale ty nie chciałaś

słuchać. Zapewniałaś, że nie będzie mnie obwiniać, tymczasem to ja... Chciała mi nawet wmówić, że to przeze mnie... wy, no wiesz... Mówiłam jej, że o niczym nie wiedziałam, ale... ale nie uwierzyła.

- Boże!

Gloria była przerażona. Nie mogła oddychać, nie była w stanie myśleć. Matka wysłała ją z Nowego Orleanu. Teraz już na pewno. Zacisnęła dłonie, zaczęła się kołysać w tył i w przód.

- O tym też wie?

- Myślałam, że wiedziała. Że oboje wiedzieli, ona i siostra...

- Ale to ty jej powiedziałaś? Liz, jak mogłaś?

- Jak mogłam! - Liz miała wypieki na policzkach.

- Nie byłaś tam! Nie wiesz, jak to wyglądało! Nie masz pojęcia, co one...

- Wiem, że ja bym nie powiedziała słowa, gdyby to chodziło o ciebie! Nigdy!

- Dziękuję ci! - Liz zerwała się na równe nogi. - Co ty możesz w ogóle wiedzieć? Właśnie wyrzucili mnie ze szkoły! Straciłam stypendium, swoją przyszłość! A ciebie obchodzi tylko twój Santos!

- Nieprawda! Przejmuję się tobą! Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, ale nie zdajesz sobie sprawy, do czego jest zdolna moja matka! - Spuściła głowę. - Nie wiesz nawet, na co ją stać.

- Nie wiem? - Liz uśmiechnęła się szyderczo. - Właśnie się przekonałam. Właśnie sprawiła, że wyleciałam ze szkoły tylko za to, że zaprzyjaźniłam się z tobą! Ty zrobiłaś to, co

zrobiłaś, i nawet nie zostałam wezwana do przełożonej! - W głosie Liz narastał szloch, ból, gorycz.

- Mój ojciec ma rację! Wy umiecie myśleć tylko o sobie! O sobie i swoich pieniądzach! To wszystko twoja wina! Nienawidzę cię!

Odwróciła się na pięcie i zamierzała wrócić do mieszkania, ale Gloria chwyciła ją za rękę.

- Nie mów tak, Liz. Proszę... musisz mnie zrozumieć.

- Rozumiem. - Liz strząsnęła rękę Glorii. - Nigdy nie byłam twoją przyjaciółką. Wykorzystałaś mnie.

- Nieprawda! Nie widzisz, że to wszystko przez nią? Zawsze pozbawia mnie wszystkiego, co ma dla mnie jakieś znaczenie. Chce mnie poróżnić z tobą, z Santosem.

Dlatego nie chciałam, żeby się dowiedziała, że mam chłopaka. Dlatego tak się bałam...

- To nie do wiary! Ciagle tylko ty, ty, ty! Jesteś prawie taka sama, jak Bebe, Missy i cała ta reszta. Samolubna! Zajęta wyłącznie sobą! Nie obchodzi cię nikt poza własną osobą. Byłam głupia, że uwierzyłam w twoją przyjaźń.

Gloria przycisnęła ręce do brzucha, jakby za chwilę miała zwymiotować.

- Jestem twoją przyjaciółką, Liz - jęknęła.

- Uwierz mi, błagam.

- Nie wiesz nawet, co znaczy przyjaźń. Posłużyłaś się mną. Byłam ci wygodna. A ja, idiotka... - Nie kończąc zdania, Liz odwróciła się ku drzwiom. - Straciłam wszystko. Szanse na dobry college, na życie inne... niż tutaj. Wiesz, jak wyglądają szkoły publiczne w naszej dzielnicy? Nie wiesz. Skąd niby miałybyś wiedzieć, ty... ty rozpuszczona bogaczko. Niepokalanki to była moja jedyna nadzieja.

- Proszę, Liz - szepnęła Gloria ze łzami w oczach. - Nie mów tak. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

- A ja myślałam, że ty moją. Żegnaj, Glorio.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Zgodnie z szyderczą radą Hope, Santos poszedł porozmawiać z Lily. Opowiedział jej o Glorii, o tym, jak się w niej zakochał, zrelacjonował rozmowę z jej matką i powtórzył plugastwa, które od niej usłyszał. Mówił o swojej wściekłości, o obawach, w końcu zadał Lily pytanie rzucone przez Hope.

Błada i wstrząśnięta pochyliła nisko głowę. Santos usiadł obok niej na kanapie.

- Kim ona jest? - zapytał cicho, ujmując dłoń starszej pani.

Lily długo nie odpowiadała, a kiedy w końcu podniosła wzrok, Santosa zdjęło przerażenia.

- Ona... jest moją córką.

Oniemiał, zdumiony i zaszokowany. Hope córką Lily?

Wpatrywał się w twarz przyjaciółki, szukając rodzinnego podobieństwa między obiema kobietami. Teraz, kiedy znał już prawdę, odnajdywał pewne rysy wspólne - powierzchowne i nic nieznaczące wobec głębokich różnic dusz i charakterów. Jakże bowiem pokrewieństwo mogło łączyć osobę dobrą, świetlistą i serdeczną z istotą o mrocznym, okrutnym, z gruntu złym sercu?

Dreszcz przebiegł mu po plecach. W uszach dźwięczała mu jeszcze smutna opowieść Lily. Jakiego pokroju

człowiekiem trzeba być, żeby odwrócić się plecami do własnej matki?

A więc zakochał się we wnuczce Lily.

Nic dziwnego, że tak łatwo, tak szybko zrodziło się to uczucie. Gloria miała w sobie coś z babki, dlatego była mu tak bliska. Od pierwszej niemal chwili.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytał, ocknąwszy się z zadumy. - Nie ufałaś mi?

- Nie w tym rzecz. Ufam ci całym sercem, Victorze, ale przyrzekłam dochować tajemnicy. Prosiła mnie, żebym nikomu nie zdradziła... nie chciała, by ktokolwiek wiedział...

- Że jesteś jej matką - dokończył Santos. - I nie oburzało cię to, nie widziałaś w tym nic złego?

- Nie zrozumiesz. - W głosie Lily zabrzmiał gromadzony przez lata ból. - Ona weszła w inny świat. Zerwała z przeszłością, z grzechem, który ciążył nad całym moim życiem. Uwolniła się od mrocznego legatu kobiet z naszej rodziny.

- Opowiadałem Glorii o tobie, o moim dobrym aniele... - Santos uśmiechnął się ciepło. - Mogłabyś poznać swoją wnuczkę. Tęskniłaś za nią, pragnęłaś stać się częścią jej życia. Teraz masz szansę. - Czując, że Lily drży, Santos mocniej uściskał jej dłoń. - Ona już cię lubi, uważa, że jesteś wspaniała. Kiedy cię pozna, pokocha równie mocno jak ja.

- Nie. - Lily odwróciła głowę. - Nie chcę się z nią spotykać. Nigdy.

- Dlaczego? Ona jest zupełnie inna niż matka. Pełna ciepła... miłości. Zupełnie jak ty.

- Cofnij te słowa. Nie mów tak. Nie wolno

ci tak mówić, rozumiesz?

Santos nie wierzył własnym uszom. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, że Lily ma tyle pogardy wobec samej siebie, że czuje się aż tak mało warta. Czy po trosze nie za sprawą Hope?

- To jakieś szaleństwo, Lily. Chcesz ją przecież poznać, być z nią. Czemu sobie tego odmawiasz?

- Nie - znów pokręciła głową. - Gloria nie może się dowiedzieć, kim była jej babka. Nie dopuszczę do tego.

Santos na tyle dobrze znał Lily, by wiedzieć, że skoro raz coś postanowiła, nic nie zmieni jej decyzji. Ale on też potrafił być uparty.

- Zapomnij wreszcie o przeszłości, teraz liczy się tylko twoje dobre serce. - Wstał z kanapy, ukląkł przed Lily, ujął jej dłonie, zmuszając, żeby spojrzała mu w oczy. - Potrafię odróżnić dobro od zła. Ty jesteś dobra, Lily. Przyjęłaś mnie pod swój dach, zaopiekowałaś się mną. Dałaś mi dom. Miłość. A przecież byłem dla ciebie nikim. Twoja córka postąpiła źle, ale to nie znaczy, że masz zapomnieć o Glorii. Nie wolno ci rezygnować.

Lily drżały usta od powstrzymanego płaczu. Kiedy wreszcie się odezwała, ledwie dobywała słowa.

- Nie zniosłabym tego, gdyby... i ona odwróciła się ode mnie. Gdyby miała patrzeć na mnie ze wstrętem. Nie chcę, żeby wiedziała. Obiecuj, że nic jej nie powiesz.

- Nie mogę ci tego obiecać, Lily. Nie mogę składać obietnic, których nie dotrzymam.

Po policzku Lily spłynęła jedna samotna łza.

- Kochaj ją, Santosie, bądźcie szczęśliwi, ale mnie zostaw w spokoju. Może nie dzisiaj, nie jutro, ale przyjdzie taki dzień, kiedy się okaże, że nie możesz dzielić swojego życia między mnie i Glorię. Będziesz musiał wybierać.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Gloria długo jeszcze siedziała na schodach pod drzwiami Liz. Była przerażona, zrozpaczona, niezdolna się ruszyć. Nie wiedziała, co ze sobą począć, nie potrafiła myśleć, nie umiała podjąć żadnej decyzji.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy grzmotów, lecz w mieszkaniu Liz zaległa nareszcie cisza.

Wsparała głowę na dłoniach. Matka wie wszystko. Wszystko. Gdyby posłuchała Santosa... I Liz. Zlekceważyła ich ostrzeżenia, straciła przyjaciółkę, a teraz mogła stracić ukochanego. Nie wyobrażała sobie życia bez nich. Czuli się taka samotna i opuszczona.

Musi być jakiś sposób, żeby wszystko naprawić. Musi być ktoś, kto potrafiłby jej pomóc, kto stanąłby po jej stronie.

Ojciec. Tylko on.

Gloria uniosła głowę, otarła łzy z policzków. Z jego wsparciem mogłaby stawić czoło matce. Musi go tylko przekonać, że ona i Santos naprawdę się kochają i że chcą być ze sobą.

Tak. Ojciec jej pomoże.

Musi tylko porozmawiać z nim, zanim matka opowie mu swoją wersję.

Dłużej się nie zastanawiając, pobiegła do samochodu. Ledwie usiadła za kierownicą, zaczęło padać. Popołudniowe niebo zasnuły ciężkie chmury, zrobiło się ciemno jak o zmroku. Gałęzie starych dębów rosnących wzdłuż ulicy pochylały się pod uderzeniami wiatru, gwałtowne podmuchy zamiatały z chodników zeschnięte

liście i kurz.

Gloria ruszyła w stronę hotelu, układając sobie w głowie, co ma powiedzieć ojcu i jak go przekonać. Kiedy będzie go już miała po swojej stronie, zadzwoni do Santosa. Żałowała teraz, że nie usłuchała jego nalegań i nie zwróciła się do ojca wcześniej.

To nic. Wszystko jeszcze będzie dobrze. Ojciec na pewno im pomoże. Przekona matkę, by przywrócono Liz stypendium.

Do hotelu dotarła w strugach ulewy. Szybko przebiegła do drzwi wejściowych, bez słowa minęła portiera i nie czekając na windę, popędziła schodami do biura ojca.

Pchnęła z impetem drzwi i znieruchomiała.

Matka ją uprzedziła.

Stała w progu, łykając łzy rozczarowania. Matka ją uprzedziła, nie traciła czasu. Najwyraźniej opowiedziała już wszystko, bowiem ojciec wyglądał tak, jakby raptem postarzał się o dziesięć lat.

- Witaj, Glorio Aleksandro - usłyszała twardy głos Hope. - Właśnie rozmawialiśmy o tobie.

Spojrzała na nią, potem na ojca. Ciągle jeszcze nie traciła nadziei.

- Musisz mi pomóc, tato.

- W czym? - zapytała Hope. - W okłamywaniu nas? W oszukiwaniu? Ojciec wie o twoich wybrykach. Wie, jakiego wstydu nam narobiłaś.

Glorii łzy napłynęły do oczu.

- Tato, wysłuchaj mnie, proszę.

- Zawiodłaś nas - ciągnęła matka. - Oczekiwaliśmy od ciebie czegoś więcej, a ty

zachowałaś się jak... dziwka!

- Nieprawda! To ty chcesz, żebym taka była! Cieszysz się, prawda? Jesteś po prostu szczęśliwa!

- Słyszysz, Philipie, jak ona się do nas odzywa? Boże drogi, co się stało z naszą córką?

Hope podniosła rękę do piersi, jakby nagle serce odmówiło jej posłuszeństwa, ale Gloria nie dała się nabrać na jej teatralne gesty. Spojrzała ponownie na ojca.

- Nie słuchaj jej, tato. Ona mnie nienawidzi, zawsze mnie nienawidziła. Ona chce mi dokuczyć, chce odsunąć ode mnie ludzi, których kocham. Proszę, tato, wysłuchaj mnie tym razem.

Przez moment miała nadzieję, że ojciec weźmie jej stronę. Kiedy się jednak odezwał, cała nadzieja prysła.

- Jak mogłaś to zrobić, Glorio? - zapytał cicho. - Jak mogłaś tak nas okłamywać? Jesteśmy twoimi rodzicami, chcemy twojego dobra. A ty odplacasz się nam... - pokręcił głową - idąc do łóżka z pierwszym lepszym.

Łzy ją dławiły. Nie mogła uwierzyć, że ojciec mówi do niej w ten sposób, że patrzy na nią takim wzrokiem.

- Nie poszłam do łóżka z pierwszym lepszym! Kocham Santosa! Kocham go tak bardzo, że...

- Glorio - ojciec przerwał jej z wyrazem niesmaku na twarzy. - Nie wspominaj o nim. To śmieć. Człowiek bez zasad. Marny typ, który wykorzystuje niewinne dziewczęta.

- Jak możesz tak mówić? Nie znasz go, na oczy go nie widziałeś. Powtarzasz to, co ona ci powiedziała. - Gloria czuła, jak w jej głosie narasta histeria, ale nie panowała już nad sobą. - On niejest śmieciem, tato! To uczciwy, mądry chłopak! Kocham go! Jemu też na mnie zależy!



Hope stanęła naprzeciwko córki i spojrzała jej prosto w oczy.

- Zależało mu tylko na jednym. I dostał, czego chciał - wycedziła jadowitym głosem.

- Nieprawda! On...

Zawahała się. Dlaczego Santos nigdy nie powiedział wprost, że ją kocha? Miałyby teraz oparcie w jego słowach. Rzuciłaby je rodzicom w twarz.

- Kocham go - dokończyła cicho. - Z całego serca.

Hope chwyciła ją za ramię i potrząsnęła.

- Opamiętaj się, Glorio! Byłaś dla niego jedną z wielu, kolejną przygodą, epizodem. Miał dziesiątki dziewcząt. Sprawdziłam.

- Nie wierzę ci - szlochała Gloria. - Były inne, ale jemu zależy tylko na mnie.

Ojciec podszedł do Glorii z ciężkim westchnieniem, objął ją.

- Rozumiem cię, córeczko - zaczął tonem pocieszenia. - Uwierzyłaś, że go kochasz. Jest starszy od ciebie, bardziej doświadczony. W twoim wieku żyje się złudzeniami. To moja wina, wiem. Powiniennem był ci powiedzieć, jacy potrafią być mężczyźni, jak potrafią zwodzić, żeby tylko dostać, co chcą. Chłopak jest w stanie zrobić wszystko, byle tylko... Och, tak mi przykro, kruszynko. Wiem, jak musisz cierpieć...

- Nie mów tak do mnie! - Gloria wyrwała się z ojcowskich objęć. - Dawno temu straciłeś prawo, żeby tak mnie nazywać!

Cofnął się o krok, wyraźnie dotknięty.

- Glorio, ja...

- Nic nie wiesz o Santosie! Nie wiesz i go obrażasz! On jest dobry, serdeczny... Kocha mnie, wiem, że kocha! Możecie sobie mówić, co chcecie, a ja i tak z nim będę!

- Ostrzegłam go, że jeśli jeszcze raz spróbuje się z tobą spotkać, trafi za kratki za uwiedzenie nieletniej.

Gloria podniosła dłoń do ust. Matka widziała się z Santosem. Groziła mu.

- Tak, Glorio Aleksandro. Ciągle jeszcze jesteś niepełnoletnia. Wykorzystał cię, ale istnieje

prawo, które...

- Tato, proszę! - Gloria chwyciła go błagalnie za rękę. - Nie widzisz, co ona robi? To wszystko z nienawiści!

Philip westchnął z rezygnacją.

- Nie, dziecko. W przeszłości mieliśmy z mamą różne

poglądy na twoje wychowanie, ale tym razem jesteśmy zgodni. Mama chce twojego dobra, a ten chłopak... - Odetchnął. Jemu również było ciężko. - Teraz może w to nie wierzysz, ale któregoś dnia podziękujesz nam i zrozumiesz, że mieliśmy rację.

Gloria wyrwała dłoń z ręki ojca histerycznym gestem.

- Nienawidzę cię! Zawsze trzymałeś jej stronę! Cokolwiek powiedziała czy zrobiła!

Widząc, jak pobladł, przez moment pożałowała swoich słów, ale nie mogła się pohamować. Gniew, rozczarowanie i gorycz były silniejsze. Zraniona, chciała odpłacić tym samym. Nie potrafiła mu wybaczyć, że zawsze, w każdej sytuacji milcząco stał po stronie matki.

- Gdybyś mnie kochał, gdybyś miał choć trochę siły, trochę odwagi, zdobyłbyś się chociaż raz w życiu na własne zdanie. Ale nie. Wiesz, co teraz czuję? Żal mi ciebie. Jesteś pożałowania godny. Słyszysz? Żałuję, że jesteś moim ojcem!

Hope chwyciła córkę, wpijając palce w jej ramiona.

- Nie zobaczysz więcej tego chłopaka. Nigdy. - Potrząsnęła nią gwałtownie, aż Gloria zatoczyła się i straciła równowagę. - Nigdy więcej nie będziesz się nurzać w rozpuście z jakimś satyrem!

- Hope! - Philip oderwał żonę od córki. - Na litość boską! Może powinniśmy jej posłuchać. Nigdy wcześniej nas nie okłamała. Może on rzeczywiście...

Twarz Hope wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

- Nic nie wiesz. Jesteś ślepy, zawsze

byłeś, gdy o nią chodziło. Pozwolisz więc, że ja się zajmę tą sprawą. Wyślę ją do szkoły, gdzie nie będą tolerowali tego rodzaju zachowań.

- Nie. Nigdzie nie pojedę. Nie zmusisz mnie! - Gloria pchnęła matkę, odwróciła się i wybiegła.

Słyszała za sobą wołanie ojca, tupot jego nóg, krzyk matki, żeby sekretarka wezwała ochronę. W holu na parterze potknęła się, minęła zaszokowanego portiera i wypadła na ulicę zalaną strugami deszczu.

Padło tak strasznie, że w jednej chwili deszcz przemoczył ją do suchej nitki. Obejrzała się przez ramię. Ojciec biegł za nią.

- Glorio! - krzyczał - Zaczekaj, wysłuchaj mnie! Jakoś to rozwiążemy! Obiecuję!

Po chwili wahania pokręciła głową. Nie chciała mieć już z nimi nic wspólnego. Nie pozwoli im wtrącać się w swoje życie, nie pozwoli się zamknąć w jakiejś strasznej szkole z internatem, nie zgodzi się, żeby Hope rozdzieliła ją z Santosem. Nie bacząc na wołanie ojca, przebiegła przez jezdnię.

Była na wysepce przy przystanku tramwajowym, kiedy usłyszała ryk klaksonu i przeraźliwy pisk opon. Odwróciła głowę, by zobaczyć ojca wyrzuconego w górę siłą uderzenia jakiegoś samochodu.

Jak przez mgłę doszedł ją własny krzyk, potem wołanie portiera, bezładny bełkot kierowcy. Dobiegła do ojca i opadła na kolana przy jego ciele.

Leżał bez ruchu, z dziwnie przekrzywioną głową.

- Tato... - szepnęła, odgarniając kosmyk

włosów z jego czoła. - Tatusiu... nic ci nie jest?

Poczuła coś lepkiego na palcach i cofnęła gwałtownie dłoń. Krew. Pełno jej było wokół, mieszała się z deszczem i rozlewała na asfalcie. Wpatrywała się w różowe stróżki z niedowierzaniem, a rozpaczliwy krzyk podchodził jej do gardła.

Pochyliła się, otoczyła go ramionami i przytuliła policzek do jego piersi.

- Ja tak nie myślałam. Nie chciałam... nie chciałam tego powiedzieć. Kocham cię, tatusiu...

W wieczornym powietrzu rozległo się zawodzenie syren. Gloria mocniej objęła ciało ojca.

- Nie umieraj... tatusiu, proszę... nie umieraj... - szlochała coraz bardziej. - Tak bardzo cię kocham... Nie zostawiaj mnie... Nie możesz umrzeć...

Obok nich pojawiła się matka. Gloria podniosła oczy, spojrzała w opanowaną, pozbawioną wyrazu twarz.

- Jesteś teraz szczęśliwa, Glorio Aleksandro? Widzisz, do czego doprowadziłaś? To przez ciebie. To twojawina.

Gloria z trudem chwytła powietrze.

- Nie, mammo... nie...

- Tak. Wybiegł za tobą. Gonił cię.

Uklękła obok Glorii, oderwała córkę od znieruchomiałego ciała. Chwyciła ją za ramiona, potem uniosła jej brodę.

- Tak - powtórzyła spokojnie. - Zabiłaś swojego ojca.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Pomimo ulewnego deszczu na pogrzebie pojawił się tłum - przyjaciele, krewni, pracownicy hotelu, stali klienci, wszyscy przyszli pożegnać powszechnie szanowanego i lubianego Philipa St. Germaine.

Odrętwiała z rozpaczy Gloria sama czuła się jak martwa. Ojciec, jedyny człowiek, który kochał ją bezwarunkowo i bezinteresownie, umarł przekonany, że go znienawidziła. Matka miała rację, kiedy powtarzała, że pewnego dnia jej zuchwałe postępowanie obróci się przeciwko niej samej lub jej bliskim, że doprowadzi do tragedii. Tak właśnie się stało - straciła ojca, straciła Liz.

I Santosa.

Zacisnęła powieki, przytłoczona poczuciem winy. Gdyby słuchała matki... Gdyby nie była tak harda i samolubna... Nie powinna była zbliżać się do Santosa, uganiać się za nim.

Ta miłość była błędem.

Z przedsionka kaplicy pogrzebowej doszły ją odgłosy jakiegoś zamieszania - podniesione głosy, potem przekleństwo, łoskot przedmiotu upadającego na podłogę. Odwróciła się i serce podeszło jej do gardła. W progu Santos szarpał się z dwoma mężczyznami, którzy usiłowali go powstrzymać.

- Glorio!

Niezdolna dobyć słowa, patrzyła z otwartymi ustami, jak Santos powala jednego z żałobników i uwalnia się z uchwytu drugiego. Jakaś kobieta krzyknęła, szef domu pogrzebowego zawołał, że wzywa policję. Tymczasem Santos przedzierał się już przez tłum w jej kierunku.

Przemoczony do suchej nitki, nieogolony, z nieprzytomnym wzrokiem, wyglądał jak szaleniec, dziki człowiek pośród cywilizowanych dam w jedwabiach i panów w czarnych garniturach.

Wszystkie oczy zwróciły się na Glorię. Szeptano, wymieniano domysły. Gloria zaś ogarnęła ramiona dłońmi i skuliła się w sobie, jakby miała ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię. Wszyscy wiedzą, myślała. Obwiniają ją.

Nagle u jej boku pojawiła się matka i przygarnęła ją do siebie. Gloria przywarła do niej kurczowo, pełna wdzięczności za ten gest wsparcia.

Kiedy Santos stanął przed nią, spojrzała na niego niepewna swoich uczuć, rozdarta. Z jednej strony chciała paść mu w ramiona, znaleźć w nich pocieszenie; z drugiej widok jego twarzy na zawsze miał się jej kojarzyć ze śmiercią ojca.

Przecież ojciec zginął przez nią. Przez jej nieobliczalną, nieodpowiedzialną, chorą miłość do Santosa.

- Myślałaś, że nie przyjdę? - zapytał cicho. - Nie wiedziałaś, że pokonałbym całą armię, poruszyłbym niebo i ziemię, byle być z tobą? - Dotknął jej policzka. - Tak mi przykro, kochanie. Wiem, jak bardzo go kochałaś.

- Jest pan tutaj osobą niepożądaną -



syknęła Hope, mocniej przygarniając córkę. - Gloria nie chce pana tutaj.

Santos nie zwracał na nią uwagi. Patrzył tylko na Glorię.

- Kochanie, powiedz jej. Powiedz jej, co czujesz. Powiedz jej, co czujemy do siebie.

- Ty draniu! - Głos Hope zabrzmiał piskliwie, histerycznie. - To twoja wina! Ty jesteś winien... śmierci jej ojca!

Gloria rozszlochała się.

- Przestań, Glorio - próbował ją uspokoić. - To nie my go zabiliśmy. To był wypadek. - Wyciągnął rękę. - Podaj mi dłoń, teraz, zaraz. Pokaż im, co czujemy do siebie. Zaraz sobie pójde, ale najpierw chcę wiedzieć...

Patrzyła na wyciągniętą rękę i widziała twarz ojca w momencie, kiedy wykrzyczała, że go nienawidzi. I w parę minut później - martwą, w kałuży krwi.

- Jeśli mnie kochasz, podaj mi dłoń - mówił Santos. - Zaufaj mi, Glorio. Pokaż, że jestem twój. Wystarczy, żebyś podała dłoń.

Zbolała, zagubiona we własnych uczuciach, nagle usłyszała głos ojca, łagodny i cierpliwy, pełen miłości: „Najważniejsza jest rodzina, tradycja rodzinna. To ona stanowi, kim jesteś i kim będziesz. Obiecuj mi, skarbie, że nigdy o tym nie zapomnisz...”

Zapomniała. Zapomniała, ale więcej nie popełni tego błędu. Jej miejsce jest przy matce, wśród rodziny. Winna była lojalność nazwisku St. Germaine.

Wstrząsana łkaniem, pokręciła głową, odwróciła się i wtuliła twarz w ramię matki.

Santos wyszedł.

## CZEŚĆ VI

Zakazany owoc

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

*Nowy Orlean, Luizjana, 1995*

Snów White Killer znowu zaatakował. Santos dostał informację o 2:57 nad ranem, a dwadzieścia sześć minut później parkował swój samochód przed Katedrą św. Ludwika. Teren został już ogrodzony przez policję, na miejscu zabójstwa był koroner i ekipa dochodzeniowa. W chwili kiedy Santos miał wysiadać z wozu, na parking wjechał minibus stacji telewizyjnej Channel Four, z którego wyskoczyła Hoda Kotb.

Santos odczekał, aż dziewczyna zniknie mu z oczu, i dopiero wysiadł. Na placyku przed rzeźnicie oświetloną katedrą, przy taśmach policyjnych cisnął się tłum gapiów: ludzie, którzy pracowali w Dzielnicy, mieszkańcy pobliskich kwartałów i - tych była większość - zapóźnieni balowicze, często mocno nietrzeźwi. Dostępu na miejsce zbrodni pilnowało kilkunastu mundurowych.

W ciągu dziesięciu lat pracy w policji Santos setki razy widział podobne sceny, więc nie robiły już na nim większego wrażenia. Tym razem było inaczej. Do tej sprawy miał stosunek osobisty. Od lat polował na tego sukinsyna.

Na razie nic nie wskórał. Drań mu się wymykał. Był szczwany, przewidujący, czujny jak drapieżne zwierzę.

Santos mignął odznaką i przeszedł pod żółtą taśmą. W tej samej chwili stojący w pobliżu turysta zrobił mu zdjęcie, oślepiając niemal fleszem swojego aparatu. Santos obrócił się ku jednemu z mundurowych:

- Zajmij się nim. Chryste, nie mogliby fotografować statków na rzece?

Mundurowy wzruszył ramionami.

- Przyjeżdża taki do miasta grzechu, to chce mieć fotę z miejsca zbrodni.

- Właśnie. - Santos pokręcił głową. - A nam się wydaje, że przestępcy to świry.

- Detektywie Santos? - Podszedł do niego oficer, którego spotkał już kilka razy wcześniej.

- A, Grady. Co macie?

- Znowu dziewczyna z ulicy. Wygląda na to, że to ten sam gość, co zawsze. Czwarta ofiara w tym miesiącu.

- Umiem liczyć - osadził chłopaka Santos.  
- Co jeszcze?

- Znalazło ją dwoje pijanych turystów. Omal nie przewrócili się o ciało. Facet robił w portki ze strachu. Żałosne.

- Turyści, szlag ich... Burmistrz dobierze się nam do tyłków.

- Podobno już tu jedzie.

Santos zaklął ponownie.

- Gdzie oni są? - zapytał, a oficer wskazał na parę kulącą się pod kocem na ławce przed katedrą. - Chcę z nimi porozmawiać.

- Zrobione.

- Ciało?

- Zostawił ją w samych drzwiach katedry.  
Zero szacunku.

Santos skinął głową i ruszył z Gradym w stronę portalu, słuchając jednym uchem relacji oficera. Dziewczyna leżała podobno na stopniach katedry, tuż koło wejścia, śliczna jak malowanie. Większość morderców tego pokroju zostawia ciała zmasakrowane albo w poniżających pozach.

Ten nie. Wszystkie jego ofiary leżały wyprostowane, z dłońmi złożonymi na piersiach, zamkniętymi oczami. Były świeżo umyte, włosy miały starannie rozłożone wokół głowy. Wszystkie wyglądały jak pogrążona we śnie i złożona w szklanej trumnie Królowa Śnieżka - stąd prasa zaczęła nazywać mordercę Snów White Killer, czyli Śnieżkobójca albo zdrobniale: Śnieżynka.

Santos nachylił się nad ciałem. Koroner, jasnowłosa piegowata pani w średnim wieku o twarzy cherubina, stanęła obok.

- Witam, detektywie. Nasz Śnieżynka nie próżnuje.

- Widzę. - Santos naciągnął gumową rękawiczkę. - Co wiemy?

- Kobieta rasy białej. Brunetka. Osiemnaście, dwadzieścia lat.

- Z ulicy?

- Najpewniej, jeśli to ten sam człowiek. Rozpoznaje ją pan?

Santos pokręcił głową. Zanim przed trzema laty przeszedł do wydziału zabójstw, pracował w obyczajówce, ale dziewczyny w Dzielnicy zmieniały się bardzo często, szczególnie jeśli były ładne i młode. Poza tym Śnieżynka kąpał swoje ofiary po zamordowaniu, mył im włosy, usuwał makijaż, wreszcie odziewał je w dziewczęce, białe suknie, trudno więc było je rozpoznać.

Santos podniósł wzrok na Grady'ego.

- Przy taśmie stoi kilka dziewczyn, zawołaj je, może któraś nam pomoże.

Grady skinął głową i odszedł spiesznie, a Santos ponownie pochylił się nad ciałem.

- Przyczyna śmierci?

- Prawdopodobnie uduszenie. Będziemy wiedzieli po autopsji. Żadnych śladów walki, najmniejszych obrażeń.

- Jeszcze ciepła.

- Musiała zginąć niedawno. Naszego chłopca zaczyna ponosić, skoro ułożył ją tutaj.

- Bawi się z nami. - Santos spojrział na panią doktor. - Jabłko?

- Już zabezpieczone. Tak jak w poprzednich przypadkach: nadgryzione z dwóch stron, ale tym razem brak kęsa w ustach ofiary. Proszę spojrzeć na to.

Odgięła ostrożnie dłonie dziewczyny - na obydwu wypalony był znak krzyża. Jak u trzech pozostałych. Jeden z elementów rytuału mordercy, o którym policja nie wspomniała dotąd dziennikarzom.

- Jakaś szansa, że to inny facet?

- Nie dla mnie, ale testy wykażą. Santos podniósł się z westchnieniem.

- Zadzwońię do pani jutro.

- Byle nie z rana - mruknęła. - Mam jeszcze kilka takich jak ona do obsłużenia.

Santos nie odpowiedział, myślami był już przy turystach i pytaniach, które powinien im zadać.

Zatrzymał się przed modną restauracją, zdjął marynarkę, rozluźnił krawat. Słońce przypiekało mimo późno popołudniowej, marcowej pory. Santos był zgrzany, zmęczony, zniechęcony. Ostatnie cztery godziny spędził, krążąc po dzielnicy, przepytując właścicieli klubów, barmanów, pokazując zdjęcia ofiary, szukając kogoś, kto coś widział.

Na razie nic nie wskórał.

A teraz jeszcze to: Ogród ziemskich rozkoszy - Restauracja wegetariańska. Niech to szlag! Jego partner znowu zrobił mu numer. Uparł się truć go zdrową żywnością.

Wszedł do środka i rozejrzał się z niechęcią. Japisońskie wnętrze zalecało się esami-floresami na ścianach i nadmiarem roślin. Wyostrzył wzrok i bez trudu wypatrzył przyjaciela - oprócz barmana ten wielki, łysy jak kolano i czarny jak smoła facet był jedyną osobą na sali. Santos usiadł naprzeciwko niego, potoczył wokół przesadnie nieufnym wzrokiem, po czym oznajmił:

- Okropne miejsce. Jackson parsknął śmiechem.

- Niedawno otwarte. Słyszałem, że dobre.

- Lepsze od Strasznej Helgi, ani chybi.

- Nie prowokuj, przyjacielu. Mówisz o mojej żonie.

- Miła osoba, ale z fatalnym gustem w kwestii knajp.

- Odpieprz się.

Santos ze śmiechem otworzył kartę.

- Mam nadzieję, że dają tu coś poza sałatą dla królików.

Santos i jego partner, Andrew Jackson, różnili się od siebie jak ogień i woda. Jackson, żonaty, dzieciaty, był w każdym tego słowa znaczeniu domatorem, człowiekiem na wskroś rodzinnym. Trzeźwy, praktyczny, z dystansem traktował swoją pracę. Choć glina doskonała, sprawy zawodowe zostawiał za progiem domu.

Santos natomiast był pracoholikiem i samotnikiem. Za całą rodzinę starczała mu Lily, innej nie szukał. Do pracy podchodził z pasją,



która, bywało, przeradzała się w obsesję. Gdyby jego organizm nie informował go, że potrzebuje jedzenia i odpoczynku, pracowałby dwadzieścia cztery godziny na dobę. U przełożonych, od których nieraz brał po głowie, miał opinię niebezpiecznego i nieobliczalnego wariata. Na domiar złego był jednym z najczęściej odznaczanych za zasługi.

Pomimo tych różnic stanowili z Jacksonem zgrany tandem. Pracowali razem od sześciu lat i nie zliczyliby, ile razy jeden drugiemu ratował tyłek. Obok Lily Jackson był jedyną osobą, której Santos na tyle ufał, by darzyć ją przyjaźnią.

Wszystko to nie zmieniało faktu, że nie trawił zdrowej zieleniny, którą żył tamten.

Przestudiował menu, wybrał najmniej odrażające danie i odłożył kartę.

- Jesteś pewien, że dzisiaj wypadła twoja kolej?

- Aha. - W kącikach ust Jacksona pojawił się uśmiech.

- Ostatnim razem byliśmy w Naszej Przystani. Przez tydzień odbijało mi się to tłuste żarcie.

- Taki duży, a taki delikatny.

Jackson ze śmiechem odchylił się na krześle, ręce założył na piersi.

- Delikatni żyją dłużej.

Kelnerka przyjęła zamówienia i odpłynęła bezszelestnie. Santos patrzył za nią, z przyjemnością obserwując rozkołysane ruchy jej bioder, po czym wrócił do rozmowy:

- Trafiłeś na coś?

- Kilka dziewczyn rozpoznało ofiarę. Niejaka Kathi. Od niedawna na ulicy. Nie miała alfonsa, nie miała chłopaka, nie brała drągów.

- Facet zaczyna grać mi na nerwach. - Santos zasepił się, przebiegając w myślach szczegóły sprawy. - Czegoś tu nie łapiemy, nie sądzisz?

- Co by to miało być? - Jackson przechylił się do przodu, tak że nogi krzesła stuknęły o drewnianą podłogę.

- Mamy cztery ofiary. Wszystkie to dziewczyny z ulicy. Wszystkie młode, brunetki, rasy białej. Wszystkie z Dzielnicy Francuskiej. Zamordowane w identyczny sposób. Przy każdej zostawiał jabłko nadgryzione z dwóch stron. I

zawsze jedno nadgryzienie to ślad zębów ofiary, a drugie, najpewniej, mordercy.

- No i każda z dziewczyn miała wypalony znak krzyża - dokończył Santos, pocierając nos. - Wiem, pamiętam. Ale musi być coś jeszcze. Jakiś trop, który przeoczyliśmy.

Uśmiechnięta kelnerka postawiła przed nim mrożoną herbatę. Odwzajemnił uśmiech, ale myślami był całe lata świetlne od ładnej blondyneczki. Przed oczami miał jeszcze jedną zamordowaną dziewczynę. I piętnastolatka, który wraz z jej śmiercią stracił wszystko i który sam też chciał umrzeć.

- Dostaniemy go - mruknął Jackson, zdając się czytać w myślach Santosa. - W końcu popełni błąd, wtedy go przyszpilimy.

Santos podniósł wzrok.

- A do tej pory, ile jeszcze dziewczyn zginie?

W telewizorze zawieszonym nad barem leciał właśnie jakiś talk-show. Program przerwano, by nadać gorącą informację. Spikerka zakomunikowała, że Snów White Killer znowu zaatakował, po czym na ekranie pojawił się krótki materiał z porannej konferencji prasowej burmistrza, który w pełnych oburzenia słowach skrytykował nowoorleańską policję i obiecał oczyścić miasto ze zbrodni.

- Dupek - skwitował krótko Santos.

Jackson pokiwał głową.

- W mieście przynajmniej jedno morderstwo dziennie, jesteśmy nie dofinansowani, brakuje ludzi, a ten pyta, dlaczego nie mamy jeszcze mordercy? Rzygać się chce.

- Rzygać się chce, że w wydziale leją na

sprawę. Zginęła kolejna dziwka. Co z tego, no nie? Dopiero jacyś turyści musieli się potknąć o ciało, żeby zrobiło się wielkie halo.

- Wiem, o czy myślisz - odezwał się Jackson po chwili milczenia. - Ale to nie ma nic wspólnego z twoją matką. To nie ten sam facet.

- Skąd wiesz, że nie?

- Nie zgadzają się żadne okoliczności. Dusi, zamiast używać noża. Seks po, nie przed morderstwem. Poza tym ile czasu minęło? Dwadzieścia lat?

- Szesnaście. - Santos zmrużył oczy. - Mamy jabłko, stary. Przy matce też znaleźli jabłko.

- Przypadek. Może facet był głodny.

- Może był, ale... - Pojawiła się kelnerka z zamówieniami i Santos urwał. Nie spojrzawszy nawet na swój talerz, podjął watek, ledwie odeszła od stolika: - Czuję to w kościach, Jackson. Pamiętasz sprawę Ledeta? Pamiętasz, jak było tuż przedtem, nim dorwaliśmy tego skurwysyna?

Jackson skinął głową i zabrał się za swoją sałatkę.

- Pamiętam, pamiętam.

Santos nieufnie spróbował swojego „wegetariańskiego hamburgera”, uznał, że nie jest najgorszy, i mówił dalej:

- Nie wiem, stary, ale... po prostu teraz czuję to samo.

- Pobożne życzenia.

- Może. Pewnie masz rację... - Otarł usta serwetką i rzucił ją na stół. - Nie, żadne „może”. Żadne pobożne życzenia.

- Santos...

- Posłuchaj: obydwaj wiemy, że seryjni mordercy nie od razu zaczynają z pełnym rytuałem. Zbrodnia się rozwija, facet powoli chwyta, co sprawia mu przyjemność. Obydwaj też wiemy, że seryjni przenoszą się z miejsca na miejsce. Zabija raz, potem zmienia miasto, czasami wraca, czasem robi przerwę.

- Szesnaście lat?

- Henry Lee Lucas mordował przez trzynaście lat. John Wayne Gacy przez dziesięć. Pełno jest takich przypadków.

- Jeszcze chwila, a przestaniesz trzeźwo podchodzić do sprawy.

- Tak myślisz?

- Tak myślę.

- To się pieprz.

- Ty też.

Spojrzeni na siebie wrogo... i po chwili  
wybuchnęli tłumionym śmiechem.

Przez resztę lunchu rozmawiali o rodzinie Jacksona i o zdrowiu Lily. Santos nie wracał już do sprawy Śnieżynki, ale myślał, że ten sam człowiek mógł zabić jego matkę, nie dawała mu spokoju.

Kiedy po zapłaceniu rachunku ruszyli do wyjścia, Jackson wskazał głową toalety.

- Poczekaj. Idę się odlać.

- Będę na zewnątrz - odparł Santos i już otwierał drzwi, gdy ktoś zawołał go po imieniu.

Odwrócił się. Ku niemu szła kobieta o spokojnej, nie narzucającej się, lecz miłej dla oka urodzie. Ciemna blondynka o szczupłej sylwetce. Musiała pracować w restauracji, bo mignęła mu, kiedy wchodził, ale jej nie rozpoznał.

Uśmiechnęła się.

- Santos? To ty?

- No... ja - odpowiedział z uśmiechem. - Przepraszam za niezręczność, ale czy my się znamy?

- Liz. Liz Sweeney...

Dopiero po chwili sobie przypomniał. Potrząsnął głową, nie wierząc własnym oczom.

- Liz Sweeney? - Zaśmiał się. - Ale wyrosłaś.

- Ty też - odpowiedziała mu uśmiechem i wyciągnęła dłoń. - Dobrze cię znowu widzieć.

Natychmiast poczuł sympatię do tej młodej kobiety, w którą przeistoczyła się Liz.

- Co u ciebie słychać? - zapytał.

- Świetnie. - Zatoczyła wokół ręką. - To moja knajpa.

- Poważnie? - Santos gwizdnął cicho. - Jestem pod wrażeniem. I bardzo się cieszę.

Uświadomił sobie raptem, że nadal trzyma

jej dłoń. Cofnął swoją z niejakim ociąganiem. Ten dotyk był taki... miły.

Liz odchrząknęła.

- Tak się ucieszyłam, że zobaczyłam wreszcie jakichś



facetów. Już zaczynałam się bać, że będą tu przychodziły same baby. Mam nadzieję, że smakował ci lunch.

- Wspaniały. Więc ty jesteś...?

- Prawdę mówią - wtrącił się Jackson, który dosłyszał ostatnie zdanie. - Jedzenie pierwsza klasa. Tylko powinna pani dodać do menu trochę martwej krowy dla mojego przyjaciela. - Wyciągnął dłoń na powitanie. - Andrew Jackson, kumpel Victora, ten z nas dwóch, który szczerze odpowie na pani pytania.

- Nie zwracaj na niego uwagi - usprawiedliwił się Santos, wywracając oczami. - Lubi tak mówić, czuje się wtedy ważniejszy. A tak poważnie to mój partner, detektyw Andrew Jackson albo po prostu Jackson. A to Liz Sweeney, stara znajoma.

- Ach, stara znajoma - Jackson spojrzał na nich wymownie. - Miło cię poznać, Liz.

- Wzajemnie, Jackson.

- Skąd się znacie?

- Chodziłem kiedyś z przyjaciółką Liz. Właśnie, co u Glorii? - Ledwie zadał to pytanie, pożałował własnej słabości. Po co pytał, do cholery?

Z twarzy Liz znikł uśmiech.

- Nie wiem. Nie widziałam jej od lat.

Od dziesięciu lat, dodał w myślach. Gotów był się założyć.

Zdawało mu się, że w głosie Liz usłyszał wrogość, tę samą wrogość, którą i on czuł do Glorii. Poczł się dziwnie. Wolałby nie wracać pamięcią do tamtych czasów.

Liz milczała przez chwilę, jakby i ją opadły wspomnienia.

- A więc jesteście partnerami - odezwała się wreszcie, znów przywołując uśmiech na twarz.

- To znaczy że osiągnąłeś, co zamierzałeś, Santos. Jesteś gliną. Marzenie się spełniło.

- To ci marzenie - prychnął Jackson. -  
Praca po

nocach, pieniądze żadne, ani krzty poważania. Za czymś ty tęsknił, stary?

Santos puścił utyskiwania przyjaciela mimo uszu.

- Tak - odparł - detektyw Santos we własnej osobie, wydział zabójstw. Do usług.

Rozmawiali jeszcze chwilę, dopóki Jackson im nie przerwał:

- No dobra, wiem, że moglibyście tak do nocy, ale robota czeka. - Uśmiechnął się do Liz. - Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Liz zerknęła na Santosa, potem na Jacksona.

- I ja mam taką nadzieję, detektywie.

- To ja już chyba... - Santos zakasłał znacząco. - Naprawdę cieszę się, że cię spotkałem, Liz - dodał poważnie i popatrzył jej w oczy. - I że tak dobrze ci się wiedzie.

Pożegnała się i ruszyła w kierunku kuchni. Santos obejrzał się jeszcze od drzwi, Liz też odwróciła głowę, ich spojrzenia się spotkały.

- Poczekaj, Jackson - rzucił, puszcżając klamkę. - Zaraz wracam.

Przeszedł szybko przez salę, stanął przed Liz.

- Nie wybrałabyś się któregoś wieczoru na kolację?

- Z tobą?

- Ze mną - uśmiechnął się lekko. - Jackson, niestety, już zajęty.

- Jak z tobą, to chętnie. Zawsze.

Podobała mu się jej otwartość i pewność siebie.

- To może dzisiaj wieczorem?

- Świetnie, ale dopiero późnym wieczorem. Kuchnię zamykam o dziewiątej.

- No to jesteśmy umówieni. Do zobaczenia o dziewiątej, Liz.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Do mieszkania, które zajmowali we dwójkę z Lily, wrócił przed północą. Uśmiechnięty i rozmarzony, myślami wciąż jeszcze był przy Liz. Wspominał ich pożegnalny pocałunek, czułe szept. Właściwie już tej nocy mogli zostać kochankami. Wystarczyło, żeby zrobił pierwszy ruch.

Zamknął drzwi za sobą i ruszył w głąb mieszkania, wyłączając po drodze światła. Podobała mu się dorosła Liz. Dobrze się z nią czuł, dobrze mu się rozmawiało. Żadnego niezręcznego milczenia, jak bywa na pierwszej randce. I ten pocałunek, podniecający, niosący zupełnie nowe doznania. Tak, miał ochotę kochać się z nią.

Postanowił jednak zaczekać.

Ze względu na przeszłość, ze względu na Głorię. Zbyt mocno odczuwał jej obecność dzisiejszego wieczoru.

Skrzywił się na tę myśl. Gloria stała między nim i Liz - zjawą z przeszłości, złe wspomnienie. Gdyby poszli dzisiaj do łóżka, Gloria nadal byłaby z nimi.

Nie szkodzi. Mieli czas. Nie musieli się spieszyć. I tak zostaną kiedyś kochankami, był tego pewien. Ale dopiero wtedy, kiedy pozbędą się Głorii.

W sypialni Lily paliło się jeszcze światło, chociaż Santos wątpił, by nie spała o tej porze. Zatrzymał się pod jej drzwiami i zajrzał do środka. Tak jak myślał, zasnęła nad książką. Niekiedy

zasypiała, siedząc, czasami nawet zdarzało się jej zdrzemnąć podczas mszy.

Patrzył na nią ze ściśniętym gardłem. W ostatnich latach bardzo się postarzała. Zdrowie jej nie dopisywało, straciła energię i chęć do życia.

Czuł, że zżerają ją złe wspomnienia, żal i wstyd. I tęsknota za córką, za wnuczką. Wściekał się, widząc, jak zawzięcie wertuje kroniki towarzyskie we wszystkich gazetach. Ilekroć natrafiła na jakąś wzmiankę o Hope albo o Glorii, wycinała ją i wklejała do specjalnego zeszytu. Bywały dni, kiedy całymi godzinami potrafiła przeglądać te swoje wycinki, rozpamiętując, co utraciła i czego nigdy nie zaznała. Jeśli zdarzało się, że brał ją gdzieś na kolację, wpatrywała się w siedzące przy innych stolikach rodziny z taką żalością, że Santosowi kroilo się serce.

To samo serce pełne było nienawiści do Hope. Za krzywdę, którą wyrządziła matce. Za jej okrucieństwo, za świętoszkowatość, za obłudę, z jaką ferowała wyroki nad innymi, za jej uprzedzenia.

Równie mocno nienawidził Glorię za to, jak się z nim obeszła. Ona i jej matka nie były godne czyścić butów Lily, jego własnych zresztą też.

Podszedł do łóżka, ostrożnie wyjął książkę z dłoni śpiącej. Gdy nachylił się, żeby poprawić poduszkę, otworzyła powieki.

- Santos? - Zamrugła jeszcze nieprzytomna, ale szybko się ocknęła. - Znowu przysnęłam, tak?

Uśmiechnął się łagodnie.

- W tym tempie nigdy nie skończysz tej książki.

- Okropna rzecz, starość. - Zerknęła na zegarek. - Która to godzina?  
- Północ.  
- Jak randka?  
- Udana - powiedział miękko. - Bardzo udana.

Przesunęła się trochę, żeby zrobić mu miejsce na brzegu łóżka.

- Opowiedz mi.

Usiadł posłusznie, gotując się do egzaminu. To był ich domowy rytuał.

- Jest bardzo miła. Inteligentna. Ma małą restauracyjkę w Dzielnicy Francuskiej.

- Ładna?

- Jeszcze jak. - Rozbawiony potarł palcem czubek nosa. - Poznałem ją kiedyś, dawno temu...

Lily chwilę pomilczała, pokiwała głową. Był jej wdzięczny, że nie pyta o więcej.

- Z tego mogłoby coś być - stwierdziła wreszcie.

- Zamierzasz spotkać się z nią jeszcze?

- Chyba tak. Na pewno.

- To dobrze. - Położyła dłonie płasko na kołdrze. - Za dużo pracujesz. Powinieneś mieć kogoś.

- Mam ciebie.

- Ja jestem stara i chora. Potrzebujesz partnerki. Santos skrzywił się komicznie.

- Wolę mojego partnera.

- Dziewczyny, towarzyszki - najeżyła się, widząc jego rozbawienie. - Chcę, żebyś był szczęśliwy. - Odwróciła szybko głowę, by ukryć napływające do oczu łzy.

- Bóg nie stworzył nas do samotnego życia. Pamiętaj, że na początku byli Adam i Ewa. Dwoje.

Santos nachylił się i pocałował staruszkę w czoło.

- Nie martw się o mnie. Całkiem nieźle mi się żyje. Jestem szczęśliwy.

- Naprawdę? Naprawdę jesteś szczęśliwy?



- zapytała z naciskiem.

Zrozumiał jej pytanie. Podobnie jak on, nie zapomniała, że kiedyś był pewien swego szczęścia: znalazł ukochaną, znalazł miłość. Czuł od dawna, że Lily obwinia siebie o tamten jego zawód.

-Tak, jestem szczęśliwy. - Otulił Lily starannie kołdrą i pochylił się, żeby zgasić nocną lampkę. - A teraz śpij

- szepnął - bo nie wstaniesz jutro na poranną mszę.

- Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach. - Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

- Santos?

- Tak?

- Słyszałam, że ten człowiek zabił następną dziewczynę.

- Dostanę go, to tylko kwestia czasu.

- Wiem - mruknęła, zapadając w sen. - Wiem, że go dostaniesz. Wierzę w ciebie... absolutnie.

Santos przez chwilę stał jeszcze w progu, patrząc z czułością na Lily. Mieszkał z nią, bo go potrzebowała. Bo jej obecność w domu dawała mu poczucie bezpieczeństwa, działała kojąco.

Jednak niedługo Lily zabraknie. Choćby najtroskliwiej się nią opiekował, choćby czuwał nad nią dzień i noc - odejdzie.

Wiedział, że powinien się przygotować na ten bolesny moment, ale nie miał pojęcia, jak miałby się niby przygotować na coś, co przekraczało wyobraźnię? Jak zdoła pogodzić się z druzgocącą perspektywą życia bez Lily?

Zostanie sam. Znowu.

Pogrążony w przygnębiających myślach, trwał tak w drzwiach bez ruchu. Wiedział, że już nie zaśnie i że nie warto nawet próbować. Pojedzie do wydziału i zobaczy, czy nie ma nowych śladów w sprawie ostatniego morderstwa. Coś musiał przeoczyć. Na pewno.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Telefon obudził ją z głębokiego snu bez marzeń. Siadając gwałtownie na łóżku, sięgnęła po słuchawkę.

- Słucham, mówi Gloria St. Germaine.

Dzwonił zastępca menedżera hotelu, sensat i nerwus. Tak trajkotał w podnieceniu, że Gloria nie mogła nic zrozumieć.

- Co? - Potarła twarz dłonią. - Powoli, Vincent. Nie wiem, o co chodzi... - Nagle dotarło do niej znaczenie chaotycznych słów i zeszywniała.

Śnieżynka znowu zaatakował.

Tym razem ułożył ciało na hotelowym parkingu.

Gloria natychmiast wyskoczyła z łóżka.

- Uspokój się, Vincent. I za nic, ale to za nic nie rozmawiaj z prasą, jasne? Zaraz tam będę. Zawiadomię tylko ludzi z public relations i naszego adwokata.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź menedżera, i sięgnęła po adresownik. Hotel nie może sobie pozwolić na następny skandal. Zaledwie tydzień wcześniej napadnięto o kilka kroków od wejścia do St. Charles małżeństwo z Indiany, zresztą hotelowych gości. Dwa miesiące wcześniej na rogu ulicy zabito człowieka. Ten co prawda, Bogu dzięki, nie był gościem St. Charles, ale wtoczył się do holu, brocząc krwią, i tutaj upadł. Po tym zdarzeniu „News Eight” przygotowało specjalne wydanie dziennika: „Przestępczość w śródmieściu. Czy tzw dobre dzielnice są jeszcze bezpieczne?”

Gloria była pewna, że tym razem nie opędzi się od dziennikarzy. Zważywszy, że chodziło o Śnieżynkę, St Charles mógł pojawić się na antenie ogólnokrajowej.

Do diabła, znowu spadnie frekwencja.

Klnąc pod nosem, wystukała numer specjalisty od kontaktów z prasą, potem adwokata. Wyciągnęła obydwu z łóżek i kazała stawić się w hotelu NATYCHMIAST. Potem pobiegła pod prysznic.

Pół godziny później podjeżdżała pod główne wejście St. Charles - opanowana, elegancka, wytworna. Patrząc na nią, nikt by nie odgadł, że zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej została zerwana z łóżka, tak jak nikt nie byłby się w stanie domyślić szalejącej burzy pod chłodną maską spokoju. Wytrawna kobieta interesu. Profesjonalistka, która doskonale zna swój fach i potrafi umiejętnie stosować nabytą wiedzę. Dzisiaj potrzebowała każdej uncji owej wiedzy i doświadczenia.

Pomyślała o Santosie i na moment straciła pewność siebie. Z „Times Picayune” i wiadomości telewizyjnych wiedziała, że to on prowadzi sprawę Śnieżynki. W czasie dwóch miesięcy, jakie minęły od chwili znalezienia ostatniej ofiary, był pod silnym ostrzałem i magistratu, i prasy. Pokazał się nawet kilka razy w telewizji, budząc w Glorii niechciane, spychane w niepamięć wspomnienia.

Przystojny, bardzo męski, był typem mężczyzny, dla którego kobieta mogła się całkowicie zapomnieć.

Ale nie ona. Ona nigdy się nie zapominała i była dumna, że w każdej sytuacji potrafi nad

sobą panować. Cóż, nauczyła się trzymać emocje na wodzy. Jeśli na widok Santosa czuła ukłucie tęsknoty, to tylko dlatego, że nie da się całkiem zapomnieć przeszłości i w pełni panować nad pamięcią.

Do samochodu podbiegł roztrzęsiony parkingowy.

- Pani St. Germaine, słyszała pani? Pete ją znalazł i policja teraz...

- Słyszałam, Jim. - Posłała chłopcu spokojny, trochę posępny uśmiech. - Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Rób, co do ciebie należy, a jeśli ktoś będzie cię o coś pytał, odeślij go do mnie, rozumiesz?

Na twarzy chłopaka odmalowała się taka ulga, że przez moment wyglądał wręcz komicznie.

- Policja już mnie wypytywała o różne takie. Jakbym to ja coś zrobił.

Gloria zmrużyła lekko oczy.

- A o co cię pytali?

- Kto wjeżdżał na parking, kto wyjeżdżał... Czy widziałem coś podejrzanego. Wie pani, czy ktoś był zdenerwowany albo się spieszył. - Nachylił się do niej i dopiero teraz zauważyła, jak bardzo jest wystraszony. - Potem pytali, co robiłem przez cały czas i czy mogłem, na przykład, odejść gdzieś tak, żeby nikt nie widział. Czemu tak mnie wypytywali, jak pani myśli, jestem podejrzany?

Pokręciła głową i poklepała go uspokajająco po ramieniu.

- To rutynowe pytania. Nie przejmuj się, Jim. Zajmę się wszystkim. Gdzie Pete?

- Z policjantami, w hotelu. Kurczę, podobno zdrowo go wymaglowali.

- Pojawił się już ktoś z prasy? Chłopak pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

- To dobrze. Jeśli przyjadą, zawiadom mnie. Nawet jeśli będę bardzo zajęta. Nie chcę mieć ich w hotelu. Jasne?

- Tak, psze pani. Natychmiast. Gloria

uśmiechnęła się.

- Jak dotąd dobrze się spisałeś, Jim. Moje uznanie. W hotelu, tak jak się spodziewała, panowało absolutne pandemonium. Zaraz po wejściu zorientowała się, że John i Pete nie są jedynymi, którzy byli przesłuchiwanymi. Policja rozmawiała też z recepcjonistką i bagażowym. Wyciągnięto nawet z łóżek dwójkę gości, którzy wrócili do hotelu na krótko przed znalezieniem ciała. Gloria kipiała.

W chwilę po wejściu dopadł ją rozhisteryzowany menedżer.

- Policja chce przepytac wszystkich gości! Upierają się przy swoim, a ja nie wiem, co mam robić!

- Po moim trupie - mruknęła. - Nie martw się, Vincent, zajmę się...

W drzwiach pojawił się parkingowy.

- Pani St.Germaine, są tutaj! - wołał, machając ręką.

Dała mu znać, że słyszy, i zwróciła się ponownie do menedżera:

- Muszę tam iść, Vincent. Nie pozwól im budzić gości. Zaraz wracam.

Na zewnątrz czekały już ekipy lokalnych stacji telewizyjnych afiliowanych przy sieciach Wielkiej Trójki - ABC, CNN i NBC. Na widok Glorii reporterzy zaczęli przekrzykiwać się pytaniami. Z miłym uśmiechem uniosła do góry rękę.

- Po kolei, bardzo proszę. Hoda, może ty zaczniesz?

- Czy to prawda, że Śnieżynka znowu zaatakował i że zostawił ciało w St. Charles? Co pani o tym myśli?

- Myślę, że wolałabym, gdyby wybrał sobie parking konkurencji, Le Meridian albo Windor Court. - W grupce dziennikarzy gruchnęło śmiechem. - Podobno zostawił tu ciało, ale nie rozmawiałam jeszcze z policją, więc na razie wiem tyle, co wy. Niedługo zapewne wydadzą oficjalne oświadczenie.

- Gdzie dokładnie znaleziono ciało? Czy morderca może być jeszcze na terenie hotelu?

- To wykluczone - odpowiedziała Gloria z przekonaniem. - Hotel jest pod pełną i czujną, choć dyskretną



ochroną. Jak zapewne wiecie, morderca podrzucił ofiary w różnych miejscach. Tym razem wybrał, niestety, nasz parking. Ta zbrodnia nie ma jednak nic wspólnego z naszym hotelem. Absolutnie nic.

- Pani St. Germaine - odezwała się reporterka z Channel Eight - czy pani goście będą mogli czuć się bezpieczni po tym zdarzeniu? Przecież morderca działał w pobliżu hotelu.

Gloria pokręciła głową z nieznacznym uśmiechem na ustach.

- Ujmijmy to tak: poprzednia ofiara została znaleziona na stopniach Katedry św. Ludwika. Byłam tam na mszy w ostatnią niedzielę i mogę was zapewnić, że czułam się absolutnie bezpieczna. Wygląda na to, że morderca wybiera najlepsze adresy w Nowym Orleanie.

Zobaczyła, że na miejsce dotarł już rzecznik prasowy hotelu i zmierza właśnie w jej stronę. Uśmiechnęła się do reporterów.

- Proszę wybaczyć, czekają na mnie w środku, ale jest tutaj Gordon Mackenzie, nasz rzecznik. Chętnie opowie państwu o naszym systemie ochrony i odpowie na wszystkie pytania.

Wyjaśniwszy Gordonowi w kilku słowach, ile już przeciekło do prasy, Gloria wróciła do hotelu, by ratować Vincenta. Jak się okazało - w samą porę. Stał między dwoma mundurowymi z niepewną miną i jeszcze moment, a uległby naleganiom policjantów.

- W czym mogę pomóc, panowie? - Wyciągnęła dłoń na powitanie. - Gloria St. Germaine, właścicielka Hotelu St. Charles.

Tak jak podejrzewała, chodziło o przesłuchanie gości. Uśmiechnęła się ujmująco i

odparła:

- Proszę wybaczyć, ale to niemożliwe.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Mamy rozkaz, proszę pani.

- Ach tak? - Ponownie posłała im rozkoszny uśmiech. - Rozmawiałam ze swoim prawnikiem. Nie macie prawa wykonywać w hotelu żadnych czynności dochodzeniowych bez mojego pozwolenia bądź nakazu prokuratury. Ja pozwolenia nie dam, a nakaz chętnie obejrzę. A teraz słucham, kto jest odpowiedzialny za to zamieszanie?

- Detektyw Santos - bąknął młodszy z policjantów.

Na dźwięk tego imienia Gloria odruchowo zacisnęła dłoń.

- Gdzie go mogę znaleźć?

- W garażu. Z naszym lekarzem. Oglądają zwłoki. Obawiam się, że będzie pani musiała poczekać tutaj, aż skończą.

- To mój hotel, panie władzo, i mogę chodzić, gdzie mi się podoba.

Nie zamierzając prowadzić sprzeczki z policjantami, odwróciła się na pięcie i ruszyła do wind. Wjechała na drugie piętro, skąd przechodziło się przeszkloną kładką do hotelowego garażu. W porównaniu z zamieszaniami w hotelu panował tu spokój i porządek. Grupa osób otaczała coś, co leżało na ziemi.

Nie coś, tylko kogoś. Gloria wzdrygnęła się i przeżegnała. Biedna dziewczyna, pomyślała.

- Przepraszam, tutaj nie wolno wchodzić – zatrzymał ją najbliższy ze stojących wokół policjantów.

- Muszę rozmawiać z detektywem Santosem.

Chciała go wyminąć, lecz policjant chwycił jej rękę.

- Przykro mi - oznajmił głosem wykluczającym wszelką dyskusję. - Detektyw Santos jest w tej chwili zajęty. Musi pani poczekać w hotelu.

Gloria wyszarpnęła rękę.

- Nazywam się Gloria St. Germanie. To mój hotel i muszę się widzieć z detektywem Santosem. Zaraz.

Przez moment policjant miał taką minę, jakby zamierzał spierać się z Glorią, w końcu wzruszył ramionami.

- Jak pani chce.

Podszedł do stojącej nad ciałem grupki i po chwili Gloria zobaczyła twarz Santosa.

Jej Santos.

Serce zaczęło bić jej mocniej, poczuła dziwną suchość w ustach. Idiotka, zbesztła się w myślach. Jesteś tutaj, żeby bronić swojego hotelu, swoich gości i pracowników. Za każdą cenę.

Kiedy przed nią stanął, kiedy spojrzała mu w oczy, po raz pierwszy od dziesięciu lat, napomnienia, których sobie udzielała, poszły w kąt. Przez ułamek sekundy poczuła się znowu zakochaną bez pamięci szesnastolatką.

- No proszę, małolata dorosła i zaczęła rządzić. Nauczyła się rozkazywać i stawiać na swoim - przywitał ją, przeciągając słowa. - Czym mogę służyć, proszę pani? Tylko szybko, proszę. Jestem zajęty.

Gloria puściła mimo uszu złośliwy komentarz i przeszła od razu do rzeczy.

- Nie pozwolę bez potrzeby nękać pracowników i gości. Ze wszystkim proszę zwracać się do mnie albo do prawnika. Poza tym jesteśmy do waszej dyspozycji.

- Tak? - Zmierzył ją od stóp do głów. -  
Do mojej dyspozycji też?

- Proszę nie przeciągać struny,  
detektywie. Jeśli zamieni pan słowo z kimkolwiek  
bez mojej zgody, pożegna się pan z pracą.

- Aż tak? - Santos był wyraźnie  
rozbawiony. - To już po mnie. A do kogo pani  
pójdzie? Do burmistrza?

Poczuła, że wypieki występują jej na  
policzki. Była wściekła, że daje się wyprowadzać  
z równowagi.

- Tak się składa, że dobrze się znamy. Tak  
się też składa, że gubernator jest przyjacielem  
mojej rodziny.

Santos podszedł o krok bliżej, nachylił się  
ku niej.

- Posłuchaj, księżniczko. Mogę pożegnać  
się z pracą, ale dopóki ją mam, będę robił, co do  
mnie należy. Przygotuje mi pani listę gości i listę  
pracowników, a ja ich przesłucham. I radziłbym  
współpracować z nami, bo inaczej będzie pani  
odpowiadać za utrudnianie dochodzenia. Czy to  
jasne?

- Niech pan spróbuje.

Santos zmrużył oczy.

- Jeśli będę musiał... - Patrzył na nią przez  
chwilę, wreszcie uśmiechnął się i zakończył: -  
Cóż, Glorio, jesteś taka, jaką chciała cię mieć  
matka. Musi być z ciebie dumna.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak celnie  
ją ugodził. Już miała mu posłać równie celną i  
bolesną ripostę, ale niestety nie zoczył na  
odpowiedź. Odwrócił się i odszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Przez pół nocy, do godzin porannych, Gloria udzielała wywiadów prasie i telewizji. Nie było chyba na całym Południu gazety i stacji, która nie przysłałaby swojego reportera do St. Charles. Odbyła też dosyć nerwowe rozmowy z dwoma organizatorami konferencji korporacyjnych, które miały się odbyć w jej hotelu; pierwszego zdołała przekonać, by nie odwoływał zaplanowanego na jesień seminarium, drugiego ubłagała, by raz jeszcze rozważył swoją rezygnację. Żeby ich zmiękczyć, musiała zaproponować dodatkowe zniżki, na które z trudem mogła sobie pozwolić.

O dziewiątej wreszcie odetchnęła. Była kompletnie wyczerpana, ale najgorsze miała za sobą. Zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że to, czego dokonała wspólnie z reprezentującą ją firmą public relations, jest niczym opaska uciskowa chwilowo powstrzymująca krwotok.

St. Charles popadał w kłopoty.

Opadła na fotel za biurkiem, za którym urzędował jeszcze jej ojciec, oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy. W niedługim czasie powinna podjąć radykalne decyzje. Decyzje, przed którymi się wzdragała i których ojciec najpewniej nigdy by nie zaaprobował, a o których matka nie będzie chciała słyszeć.

Trudno. Coś za coś. Jeśli frekwencja nie wzrośnie, a z nią zyski, część personelu będzie musiała odejść. To z kolei wpłynie na dalsze zmniejszenie frekwencji, pociągając kolejne

zwolnienia. Wkrótce utrzymanie hotelu przekroczy możliwości finansowe Glorii, nie remontowany budynek zacznie niszczyć. Efekt domina, jak z koszmarnych snów.

Nie, nie może do tego dopuścić. Nie dopuści.

Wstała z fotela i podeszła do panoramicznego okna wychodzącego na St. Charles Avenue. Odjechały już wozy policyjne i minibusy stacji telewizyjnych, rozeszli się gapie. Zaczął się normalny dzień pracy. Dla niej. Dla hotelu. Dla nowoorleańczyków.

Normalny dzień pracy. Gloria przesunęła dłonią po gładkiej i chłodnej powierzchni szyby. Niezupełnie normalny. Całkiem inny.

Santos.

Spotkanie z nim wytrąciło ją z równowagi. Od dawna nie czuła się tak rozbita. Myślała, że nie odczuje tego aż tak silnie, w końcu minęło dziesięć lat, była teraz kobietą interesu, odpowiadała za ogromny hotel. Była dorosła. A jednak mur ochronny, który zbudowała wokół siebie, nie potrafił uchronić jej przed pogardą w oczach Santosa. Boleśnie odczuła tę pogardę.

Cóż, Glorio, jesteś taka, jaką chciała cię mieć matka.

Spojrzała na swoje dłonie: drżały. Zacisnęła je pośpiesznie, klnąc cicho. Czy rzeczywiście stała się córką swojej matki?

I tak, i nie.

Powiedział to z taką dezaprobatą. Jak śmiał? Co w niej było aż tak odpychającego? Była osobą poważaną, liczącą się w mieście. Dojrzałą i odpowiedzialną. Czy mógłby powiedzieć to samo o sobie? Uganiał się po ulicach z pistoletem w

ręku, bawił w złodziei i policjantów, udając macho, superglinę. Miał reputację wariata i fatalną opinię u przełożonych.



A jednak pozostał wierny swoim marzeniom, przekonaniom.

Czy ona mogłaby powiedzieć to samo o sobie?

Skrzywiła się lekceważąco. Santos pozostał wierny sobie, ale to nie znaczy nic innego niż to, że pozostał wiecznym chłopcem. Nie dojrzał, nie wydoroślał...

Odwróciła się od okna i wróciła na fotel za biurkiem. To prawda, że nigdy o nim nie zapomniała, ale co z tego? Co z tego, że dotąd pamiętała, jak szczęśliwa czuła się w jego ramionach? Co z tego, że nigdy w życiu, ani przedtem, ani potem, nie zaznała nic podobnego?

Wszystko to dziecinne iluzje. Fakt, że człowiek czuje się szczęśliwy, nic jeszcze nie znaczy. Zapłaciła straszliwą cenę za zrozumienie tej prawdy, tak straszliwą, że nigdy nie miała jej sobie wybaczyć. Dostała od życia lekcję, której nigdy nie zapomni.

Mimo upływu lat wciąż dotkliwie odczuwała brak ojca. Lukę, która powstała po jego śmierci, próbowała wypełnić na różne sposoby. Szukała zapomnienia w pracy, w alkoholu, w zabawie. I nadal czuła się jak człowiek po amputacji.

Zmęczonym gestem przesunęła dłonią po twarzy. Czuła się wyczerpana fizycznie i emocjonalnie. Powinna odpocząć, przespać się. Może coś zjeść. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nic nie jadła od wczoraj, wypła natomiast przynajmniej dziesięć filiżanek kawy. Nic dziwnego, że czuje się wykończona i rozstrojona.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś, Glorio Aleksandro?

Głos matki podziałał na nią niczym zgrzyt metalu o metal. Sztywno odwróciła się ku Hope. Stała w progu niczym uosobienie damy z towarzystwa. Zza jej pleców wychyliła się sekretarka, unosząc dłonie w przeproszającym geście. Gloria mogła prosić i powtarzać w nieskończoność, ale nic nie pomagało - za każdym razem Hope z uporem wdzierала się do jej gabinetu, nie zapowiedziana i bez pukania.

- Witaj, mamó. Wejdz, proszę.

- Pytam raz jeszcze, dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

- Mówisz o...?

- O tej nieszczęsnej aferze z policją, ma się rozumieć.

- Wzdrygnąwszy się, usiadła. - To upiorne. Zostawić trupa akurat tutaj. Coś podobnego.

Wiecznie te same uprzedzenia, pomyślała Gloria z niechęcią i głębiej wtuliła się w fotel, szukając w nim, po dziecinnemu, azylu bezpieczeństwa.

- Ta biedna dziewczyna była jednym z Bożych dzieci, jak ty i ja - odparła. - Żal mi jej i serdecznie współczuję jej rodzinie.

Hope przez chwilę milczała, po czym uniosła dłoń i westchnęła.

- Tak, oczywiście, ta biedaczka niczym nie zasłużyła sobie na śmierć. Ale żeby porzucić... przepraszam za słowo... dziwkę właśnie tutaj, na St. Charles? Okropne, po prostu okropne.

Gloria poddała się. Sprzeczki z matką prowadziły donikąd. Hope widziała świat po swojemu i nic nie było w stanie zmienić jej zapatrywań.

- Nie było sensu, żebym do ciebie

dzwoniła, mamó

- postanowiła zmienić temat. - Nie mogłaś nic pomóc. Po co miałam cię budzić w środku nocy?

Hope nachyliła się do przodu, gotowa do kolejnego starcia.

- Jestem współwłaścicielką tego hotelu, pamiętaj o tym. Co więcej, chciałam ci przypomnieć, że to moje pieniądze, należące do mojej rodziny, uratowały Philipa od ruiny. To dzięki mnie - uderzyła się pięścią w pierś - dzięki mnie zachowaliśmy St. Charles.

Powtarzała te słowa niezmordowanie od pięciu lat, od

chwili kiedy córka przejęła zarządzanie hotelem. Gloria była już tym zmęczona. Z irytacją podniosła się zza biurka, dłonie oparła na blacie.

- Wybacz, mammo, ale póki co ja prowadzę hotel. Jeśli chcesz przejąć moje obowiązki, możemy porozmawiać na ten temat. Tymczasem jednak pozwolisz, że sama będę podejmować decyzje. Nie było powodu, żebyś przyjeżdżała i nadal nie ma. Wszystko zostało już załatwione.

Zadzwoniła sekretarka. Miała na linii reporterkę z „Times Picayune”, która prosiła o krótką wypowiedź. Kiedy Gloria przyjęła rozmowę, matka wstała, podeszła do biurka i wzięła w dłoń jedno ze stojących na blacie zdjęć - fotografię ojca zrobioną na krótko przed wypadkiem. Delikatnie przesunęła po niej palcami. Glorii na ten widok ścisnęło się gardło.

Po śmierci Philipa wokół matki zaczęli pojawiać się liczni mężczyźni, ale wszystkich odprawiała z kwitkiem, twierdząc, że nikt nie jest godzien zająć miejsca jej ukochanego męża. Przez wiele lat Gloria czekała, że matka zmieni w końcu zdanie i że samotność Hope przestanie wreszcie ciążyć jej na sumieniu. W końcu pogodziła się z tym, że Hope z nikim się nie zwiąże, nie umniejszało to jednak ani trochę jej poczucia winy.

- Tak... - mówiła do słuchawki, skupiając na powrót uwagę na pytaniach reporterki. - Może pani napisać, że tak właśnie powiedziałam. Jeśli będą potrzebne dodatkowe informacje, proszę dzwonić.

Kiedy skończyła rozmowę, matka odstawiła zdjęcie i posłała jej uważne spojrzenie.

- Domyślam się, że widziałas go dzisiaj w

nocy...

Gloria poczuła suchość w ustach.

- Jeśli masz na myśli Santosa, to owszem, widziałam. Prowadzi tę sprawę.

- Słyszałam. Wiem, że jest policjantem. - Hope wymówiła to słowo tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, iż bycie gliną utożsamia się w jej pojęciu z wpadnięciem do kloaki.

Glorii krew uderzyła do głowy.

- Podobno bardzo dobrym detektywem. Jednym z najlepszych w Nowym Orleanie. Cieszę się, że to on prowadzi sprawę. - Zerknęła na zegarek. - Jeśli to już wszystko, pozwolisz, że wrócę do pracy.

- Oczywiście. Masz swoje sprawy. - Hope zatrzymała się jeszcze przy drzwiach. - Byłabym zapomniała. Wydaję małą kolację w sobotę, w Sali Renesansowej, o ósmej. Może przyprowadziłabyś tego miłego chirurga plastycznego, z którym się spotykasz? Jak on ma na imię?

- William. - Gloria pokręciła głową. - Jaka małą kolację, mam?

- Ledwie na dwadzieścia osób. O nic nie musisz się martwić. Wszystko już ustaliłam z kierownikiem restauracji i szefem kuchni. Ty tylko musisz przyjść.

I zapłacić.

- Rozmawialiśmy już na ten temat, mam. Nie możesz proponować ludziom pokoi za darmo, urządzać przyjęć. Hotelu na to nie stać.

- Robię, na co mam ochotę, Glorio Aleksandro - odparła spokojnie Hope. - To mój hotel.

- Nie rozumiesz. Jeśli dalej będziesz...

- Rozumiem bardzo dobrze. Powiedz, co nam po hotelu, skoro nie możemy mieć z niego żadnej przyjemności?

- Hotel to biznes, ma nam zapewnić utrzymanie. To także...

- No co? - Hope przerwała jej w pół zdania. - Nasza spuścizna? To chciałaś powiedzieć? Część rodzinnej tradycji? Daj spokój, dziecko. Bez tych drobnych dodatków byłby tylko ciężarem.

- Ciężarem? - powtórzyła Gloria. - Po co go w takim razie ratowałaś? Po co wydawałaś te swoje rodzinne pieniądze?

- Bo ojciec chciał sprzedać nasze aktywa, żeby spłacić dług. Zamierzał obciążyć hipotekę domu, pozbyć się samochodu, letniej rezydencji, mojej biżuterii, obrazów... Niedopuszczalna rzecz! Ludzie zaczęliby gadać, wyśmiewać się z nas za naszymi plecami. Nie mogłam na to pozwolić, chyba się zgodzisz.

Gloria z trudem zносиła te słowa. Ojciec kochał hotel, przekazał jej tę miłość, nauczył ją o niego dbać i pilnować jego dobra, poświęcać się dla ratowania rodzinnej tradycji. A matka? Traktowała St. Charles tak... instrumentalnie.

- A co będzie teraz, mamó? - zapytała. - Co będzie, jeśli teraz zaczną gadać? Przecież może tak się zdarzyć.

Hope spojrzała na Glorię lodowatym, pełnym determinacji wzrokiem.

- Nie obawiaj się. Zrobię wszystko, żeby przestali.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Liz leżała na środku skotłowanego łóżka i patrzyła w sufit. W głowie miała zupełny zamęt. Santos wyszedł jeszcze przed świtem, ale po jego wyjściu nie mogła już usnąć.

Być może właśnie teraz rozmawia z Glorią, patrzy jej w oczy. Wspomina i na nowo zaczyna jej pragnąć.

Jęknęła i przykryła twarz poduszką, przeklinając własne wątpliwości, zdradzieckie myśli. Próbowwała przekonać samą siebie, że to niemożliwe, by Santos zatęsknił do Glorii. Nienawidził jej, sam o tym mówił.

Wciągnęła głęboko powietrze. Poduszka pachniała jeszcze jego skórą. Mocniej wtuliła w nią twarz.

Boże, tak bardzo go kochała.

Bez wzajemności.

Jęknęła ponownie i usiadła z poduszką w ramionach. Lubił ją, bardzo lubił. Powiedział jej to nawet. Dobrze czuł się w jej towarzystwie, dobrze im było razem w łóżku. Ale nie chciał się wiązać ani składać żadnych obietnic. Stawiał sprawę uczciwie, lecz tym samym odgradzał się od niej, wznosił wokół siebie mur. Nie chciał dzielić się swoimi uczuciami, nadziejami i marzeniami.

To wina Glorii, myślała Liz. Dawna przyjaciółka ją pozbawiła przyszłości, a Santosa zdolności kochania, ufności, wiary w miłość. Ukradła jego serce, znieczuliła je i zamroziła.



Byli kochankami od dwóch miesięcy. To ona zrobiła pierwszy krok. Tak bardzo go pragnęła, że nie potrafiła już dłużej czekać. Zdawało się jej, że czeka na Santosa od niepamiętnych czasów, że kocha go od zawsze. Mówiła sobie, że nie wolno go naciskać ani przynaglać. Że Santos z czasem zrozumie, jak dobrze jest im razem i jak bardzo do siebie pasują.

I rozumiałby, gdyby wcześniej Gloria nie skradła jego serca.

Powróciła myślami do sceny, która rozegrała się dwie godziny wcześniej. Usiłowała przypomnieć sobie każde wypowiedziane słowo, każdą zmianę w wyrazie jego twarzy. W środku nocy zadzwonił telefon. Nie słyszała dzwonka i dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że jest w łóżku sama.

Kiedy otworzyła oczy, Santos pospiesznie wciągał dzinsy. Miał napięte rysy, był wyraźnie zły. Ogarnęły ją niedobre przeczucia.

- Co się stało? - spytała.

Spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok.

- Muszę jechać. - Przysiadł na brzegu łóżka i zaczął wzuwać buty. - Znaleźli kolejną ofiarę.

Usiadła, odgarniając włosy z oczu.

- Śnieżynka?

- Tak.

- Jezu - szepnęła, głaszcząc go po udzie.

Santos otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale rozmyślił się, wstał i założył kaburę. - Zrobię ci kawę

- zaproponowała.

- Nie mam czasu. - Pochylił się i pocałował ją szybko.

- Postaraj się zasnąć.
- Wrócisz? - zapytała, moszcząc się na powrót w łóżku. Pokręcił głową.
- Wpadnę później do restauracji.
- Gdzie... gdzie tym razem zostawił ciało?

Zawahał się przez moment, jakby nie miał ochoty odpowiedzieć. Liz dojrzała znajomy błysk w jego oczach i zrozumiała wówczas, że nadal myśli o Glorii.

Na wspomnienie tamtej sceny wyskoczyła z łóżka. Musi się czymś zająć, inaczej zwariuje. Co prawda zwykle to Darryl, jej barman, otwierał rano restaurację, ale postanowiła, nie czekając na niego, pojechać do Dzielnicy. Posprzątać, ułożyć nowe menu, zrobić cokolwiek, byle tylko nie dręczyć się głupimi myślami.

Santos zajrzy do niej później. Wystarczy, żeby spojrzała mu w oczy, i zapomni o swoich strachach. Wszystko będzie dobrze. Na pewno.

Już trochę spokojniejsza, weszła pod prysznic.

Santos dotarł do Ogrodu ziemskich rozkoszy dopiero około trzeciej. Liz zaczynała już powątpiewać, czy w ogóle się pokaże. Przez cały dzień zadreślała się pytaniami bez odpowiedzi, na niczym nie mogła się skupić.

- Witaj! - Znienacka zaszedł ją od tyłu i objął w pół. - Stęskniłem się za tobą.

- Naprawdę? - zapytała, obracając się w jego ramionach.

- Nie mówiłbym tak, gdyby było inaczej.

- Jasne, że nie. Facet z zasadami nie kłamie.

- O co chodzi, Liz? - Zmarszczył brwi, spostrzegłszy, że jest spięta i zdenerwowana.

- O nic. - Wzruszyła obojętnie ramionami.

- Cieszę się, że znalazłeś dla mnie chwilę czasu w nawale pracy.

Santos zmrużył oczy.

- Żebyś wiedziała. Prowadzę sprawę,

wiesz, co to znaczy.

- Ale ta sprawa jest wyjątkowa, prawda? -  
spytała cierpko.

Pożałowała własnych słów, ledwie je  
wypowiedziała. Zachowywała się jak płaczliwa,  
zazdrosna kochanka.

Obrzydliwość. Nie jest przecież taka, a i Santos nie szuka takiej kobiety. Potrzebuje swobody, przestrzeni...

- Posłuchaj, Liz... - Przeczesał włosy zmęczonym gestem. - Mam za sobą nieprzespaną noc. Jestem skonany, głodny i mam dość wszystkiego. Przestań dąsać się jak małe dziecko i mów, o co chodzi.

- Widziałeś się z nią, prawda?

- Jeśli pytasz o Glorię, to widziałem wyniosłą królową St. Charles i nieszczęśliwie przypadł mi do gustu jej sposób bycia.

- Naprawdę? Chciałam powiedzieć, że... - zamilkła. Czuła się jak kompletna idiotka. Sama nie wiedziała, co chciała powiedzieć.

Santos ujął jej twarz w dłoń.

- Daj spokój, proszę. Jest jak jest, i niech tak zostanie. Nie wracajmy do przeszłości.

- Bardzo bym chciała, Santos, ale nie potrafię - odparła drżącym głosem. - Pamiętam... co było między wami. I wiem, jaka ona jest. Egoistka, cały świat kręci się wokół niej. Nie zastanawiałyby się ani chwili, gdyby... Boże, może nie powinnam tego mówić, ale... aleja tak strasznie jej nienawidzę. Zniszczyła moją przyszłość. Gdyby nie ona, kto wie, kim byłabym teraz.

- Masz przecież restaurację, dużo osiągnęłaś. - Spojrzał na nią uważnie. - Nie lubisz swojej pracy?

Liz przez chwilę szukała właściwych słów.

- Lubię. Ale marzyłam o czymś innym. Chciałam coś osiągnąć, czegoś dokonać. Być naukowcem albo chirurgiem. Zmieniać świat. A ona nawet przez moment nie pomyślała, ile przez

nią straciłam. Zawsze myślała tylko o sobie. Wyłącznie o sobie. Myślałam, że jest moją przyjaciółką. Zrobiłabym dla niej... wszystko, Santos. Wydawało mi się, że ona czuje podobnie. Przysięgała, że tak jest. Kłamała. - Westchnęła ciężko i ujęła dłońe Santosa. - Rozumiesz, dlaczego jej nie ufam?

- Rozumiem - powiedział, nachylając czoło do jej czoła. - Mnie też zraniła, zawiodła podobnie jak ciebie. Jej możesz nie ufać, ale zaufaj mnie. Nie obchodzi mnie Gloria St. Geimaine. To, co nas łączyło, było jednym wielkim kłamstwem. Błędem. Pomyliłem się i srogo za to zapłaciłem.

- Ale zostały wspomnienia...

- Wyłącznie złe. Ona nie stanie między nami, nie przeszkodzi mi pokochać ciebie.

Liz spojrzała na niego ze smutkiem.

- O ile sam zechcesz mnie pokochać, tak?

Zawahał się.

- Wybacz, Liz. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Ale zabrzmiało. - Odsunęła się od niego.

- Przepraszam cię. Muszę wracać do pracy.

Chciała odejść, lecz zatrzymał ją, chwycił za rękę.

- Nie kłóćmy się. Nie pozwólmy, żeby Gloria nas poróżniła. Jest między nami coś dobrego, naprawdę dobrego. Szkoda, żebyśmy mieli to popsuć. Nie chcę cię stracić, Liz.

Coś dobrego. Ale nic wielkiego. Łzy napłynęły jej do oczu. Santos nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Muszę już iść.

- Zostań, zjedz najpierw. Dorzuciłam do menu krowę, specjalnie dla ciebie - powiedziała ze smutnym uśmiechem.

- Dzięki. Chciałbym, ale nie mogę.

- Zobaczymy się później?

- Postaram się.

Pocałował ją raz jeszcze, ale już się od niej odsuwał, jak ktoś chycony w potrzask. Widziała

to w jego oczach, czytała w jego twarzy.  
Przeklinała własną niepewność i przeklinała  
Glorię St. Germaine.

- Zadzwoń do mnie.

- Na pewno.

Wyszedł, a ona patrzyła za nim z takim  
uczuciem, jakby traciła go na zawsze.



**ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY**  
**TRZECI**

Santos i Jackson siedzieli naprzeciwko siebie przy odrapanym, zawalonym stertami papierów biurku. Wokół panowało zwykłe zamieszanie. Pracowali w tym zamęcie od tylu lat, że przestali zwracać nań uwagę.

Santos zrobił trochę miejsca i położył na środku blatu zdjęcia sześciu ofiar Śnieżynki. Podał Jacksonowi to, na którym była ostatnia.

- Mamy już wyniki sekcji.

Jackson przez chwilę oglądał zdjęcie, potem podniósł głowę.

- Jakie wyniki?

- Walczyła przed śmiercią. - Santos wręczył przyjacielowi kolejne zdjęcia dokumentujące siniaki na rękach, na plecach i ramionach. - Musiała się zorientować, co jej grozi.

- A jabłko?

- Dwie ostatnie dziewczyny nie chciały ugryźć. Musiał to zrobić za nie. Wcisnął im potem odgryzione kęsy do gardła.

- Troskliwy.

Santos zacisnął usta.

- Musiało mu się to bardzo nie podobać. Podobnie jak to, że ostatnia dziewczyna zaczęła się z nim szamotać. Lubi, żeby jego ofiary były czyste, niepokalane. Niepokalane... - powtórzył z namysłem. - A wybiera prostytutki.

- Oczyszcza je. - Jackson zaczął bębnić palcami po blacie biurka. - Przygotowuje na spotkanie z Bogiem.

- Ale kiedy już zamorduje, uprawia z nimi seks. Już po wysłaniu ich do Boga. Nic z tego nie rozumiem. Ten kawałek układanki nigdzie mi nie pasuje.

- Może sam uważa się za Boga? Wypala im znak krzyża, Jego znak. Jego czyli swój. Ma to jakiś sens?

Santosowi ciarki przeszły po plecach.

- Boja wiem? Jabłko, owoc zakazany...

- No właśnie.

- Wąż skusił Ewę, ona nadgryzła jabłko i podała je Adamowi.

- Zegnaj Raju, pojawia się grzech pierworodny.

- I te dziewczyny grzeszą - mówił Santos. Podniósł się i chodził teraz nerwowo koło biurka.

- Sięgają po zakazany owoc, więc muszą zostać oczyszczone z grzechu. Dlatego je morduje. Żeby oczyścić. Uważa, że je zbawia. Tylko po co je potem... - pokręcił głową. - Jakiś chory sukinsyn. - Zatrzymał się nagle przed Jacksonem. - A sperma? Gdzie biologiczne dowody gwałtu?

- Myślisz, że czymś się posługuje?

- Cholera go wie. - Santos zastanawiał się chwilę. - Chyba że nasz facet... jest kobietą.

Zapadła głucha cisza. Jackson pokręcił głową.

- Nie przypuszczam. Nie, to wykluczone.

- Ale istnieje takie prawdopodobieństwo.

- Poruszamy się wśród samych prawdopodobieństw.

Jackson miał rację. Nie dysponowali

żadnymi konkretami. Z wyjątkiem martwych ciał.  
Już sześciu. Niech to szlag.

- Dziewczęta zaczynają się bać. Znają  
jego sposób działania. Będą ostrożne. Jeśli facet  
nie dostanie, czego chce, zacznie szukać gdzie  
indziej.

- I już go nie dorwiemy.

- Musimy! Czuję, że mamy go pod  
nosem. - Santos

zamilkł na moment. - Jest bywalcem w Dzielnicy, to pewne. To ktoś, kogo dziewczyny muszą świetnie znać, ufają mu. Inaczej na ciałach ofiar, nie licząc ostatniej, znajdowalibyśmy ślady walki.

Jackson założył ręce na piersi i zaczął kołysać się na krześle.

- Może spójrzmy jeszcze raz na te krzyżyki?

Santos obszedł biurko, wyjął z szuflady sześć pudełek na biżuterię. W każdym znajdował się tandetny krzyżyk, z gatunku tych, jakie można było kupić w Dzielnicy. Santos wyjął jeden z nich.

- Ten kupiłem od sprzedawcy Biblii na rogu Royal i St. Peter. - Pokazał następny. - A ten w sklepiku z pamiątkami, ten znowu na Bourbon... - Przesunął ostatni między palcami i włożył z powrotem do pudełka. - Żadnych świadków, żadnych śladów. Nic.

- A co z tym dzieciakiem z St. Charles? - zapytał Jackson, raz jeszcze sięgając po zdjęcia. - Jakoś nie wierzę w jego alibi. Coś mi tu śmierdzi. Chłopak miał okazję. Chodzi do dziewczyn, często kręci się po Dzielnicy.

- Nie - skrzywił się Santos. - Pamiętasz, jak wymiękł w czasie przesłuchania? To nie on. Był tak przerażony, że przyznałby się natychmiast, gdyby tylko miał coś na sumieniu.

- Nie wiem. Ciągle uważam, że powi... - urwał w pół słowa. - Oho, nie oglądaj się, partnerze. Nadciągają kłopoty. Twoje kłopoty.

Wbrew ostrzeżeniu Santos odwrócił się gwałtownie i ujrzał zbliżającą się ku nim Glorię. Na jej twarzy malowała się taka zaciętość, jakby przyszła żądać głowy - nie miał najmniejszych

wątpliwości czyjej. Uśmiechnął się rozbawiony, ona zaś zatrzymała się przy jego biurku z wściekłym błyskiem w oku.

- Jak śmiałeś? - zaczęła bez wstępów. - Jak śmiałeś przesłuchiwać moich pracowników w ten sposób?

- Dzień dobry, pani St. Germaine. - Santos nie przestawał się uśmiechać. - Czemu zawdzięczamy przyjemność goszczenia pani?

- Przestań się wygłupiać. - Oparła dłonie na biurku i nachyliła się ku niemu. - Zabroniłam ci rozmawiać z ludźmi z hotelu bez mojego pozwolenia. Dlaczego nie zastosowałeś się do moich instrukcji?

- Pani mi zabroniła? Ja miałem się stosować do pani instrukcji?

- Odsunę się trochę - mruknął Jackson. - Nie chciałbym oberwać.

Santos posłał mu mordercze spojrzenie i wrócił do kłótni z Glorią. Jak ona oparł dłonie o blat biurka i również się nachylił, tak że teraz prawie stykali się nosami.

- Po pierwsze, pani St. Germaine, nie ma pani prawa dawać mi żadnych instrukcji. Robię to, co uważam za konieczne, bo to ja prowadzę sprawę. Po drugie, rozmawialiśmy z Pete'em poza jego godzinami pracy w hotelu. To tyle.

Gloria miała wypieki na twarzy.

- To, że nie może pan znaleźć mordercy, nie oznacza, że wolno panu gnębić moich ludzi. Może zamiast prześladować Boga ducha winnego chłopca, niech się pan ruszy z za biurka i znajdzie tego rzeźnika.

W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Santos wstał z za biurka, podszedł do Glorii, stanął centymetr przed nią, lecz ona nie cofnęła się ani o krok.

- A skąd bierze pani pewność, że ten chłopak nie jest naszym mordercą? Może rzeźnik, jak go pani określa, pracuje w pani hotelu?

Wzruszyła ramionami z lekceważeniem.

- To śmieszne. Pete to dzieciak.  
Odpowiedzialny, wzorowy pracownik.

- I oczywiście goście bardzo go lubią i mają do niego pełne zaufanie. Szczególnie kobiety, prawda?

Gloria pobladła, ale pokręciła głową, jakby chciała zignorować słowa Santosa.

- Przesłuchiwaliście go przez cztery godziny. Bez adwokata, bez poinformowania go o prawie do milczenia. Po prostu oskarżyliście go o morderstwo.

- Dlaczego mieliśmy mu odczytywać jego prawa?

- zdziwił się Santos. - Nie postawiliśmy mu żadnych zarzutów. Przesłuchialiśmy go tylko, to wszystko. Prawda, Jackson?

- Prawda.

- Sama pani widzi. Poza tym nie prosił o prawnika.

- Ponieważ daliście mu do zrozumienia, że to tylko pogorszyłoby jego położenie. Prosi o prawnika, znaczy, że potrzebuje pomocy, czuje się winny. Tymczasem obydwójce doskonale wiemy, że to niewinny, bezbronny dzieciak.

- Dawaliśmy mu coś do zrozumienia, Jackson?

- Nie pamiętam. Może on ma na myśli jakieś inne przesłuchanie, a może jakiś serial telewizyjny.

- Tak - zgodził się Santos. - To może być to. Ogląda za dużo telewizji.

- Mam dość tych kretyńskich kpin! - Gloria fuknęła niczym rozwścieczona kocica. - Następnym razem pójdę prosto do waszego szefa!

- Powoli, księżniczko. Czy pani pracownik czuje się winny? Dlaczego tak nerwowo reaguje?

- Nie reaguje nerwowo. Po prostu nie mógł się pozbierać po waszych oskarżeniach.

- Przepraszam - wtrącił Jackson



stanowczym tonem

- nie wysuwaliśmy żadnych oskarżeń. Przesłuchialiśmy świadka. Na tym polega nasza praca.

- A poza tym skąd bierze pani tę niezłomną pewność, że to nie on? - natarł Santos.

- Czy pani wie, kim jest Śnieżynka? Myśli pani, że to potwór, że wystarczy wyjść na ulicę, żeby rozpoznać go w tłumie? Otóż nie. Ten chory człowiek ukrywa się pod maską. Zdaje się miły, może być wzorowym pracownikiem, ot, choćby uroczym, bezbronnym chłopcem.

Gloria zbladła jak płótno.

- Santos... - Jackson próbował pohamować przyjaciela, ale ten tylko podniósł rękę na znak, żeby milczał.

- Ten pani Pete miał okazję, wiele okazji. Mieszka w Dzielnicy. Zadaje się z dziewczynami z ulicy. Przez całą noc jest w ruchu. Parkuje samochody, może wziąć, jaki zechce, wie, że nikt nie będzie z nich korzystał przez wiele godzin.

- Co chcesz powiedzieć? Sugerujesz, że Pete... że on...

- zwilżyła wysuszone wargi.

- Chcę powiedzieć, żeby nie przychodziła tu pani więcej i nie dyktowała mi, co mam robić. Znam swoją pracę. Czy to już wszystko? W takim razie księżniczka wybaczy, ale morderca czeka.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Dlaczego? - zdziwił się. - Woli pani „Wasza Wysokość”?

- Idź do diabła! - syknęła i odwróciła się na pięcie.

W tej samej chwili jej wzrok padł na leżące na biurku zdjęcia. Wstrząśnięta zrobiła

krok do tyłu i chwyciła się za gardło.

- Pani St. Germaine? - Jackson przyskoczył do niej i ujął ją pod łokieć. - Proszę usiąść.

Gloria natychmiast się opanowała. Znikła złość, znikło przerażenie, wróciła wyniosłość i lodowaty spokój.

- Dziękuję, detektywie - rzuciła, uwalniając łokieć.

- Wszystko w porządku. A teraz panowie wybaczają...

Wyszła wyprostowana, z wysoko podniesioną głową. Mimo jej dumnej postawy Santos nie przypuszczał, by spała spokojnie tej nocy. Będą ją nawiedzać obrazy ze zdjęć. Prawdę mówiąc, jego też prześladowały we śnie twarze zamordowanych dziewcząt.

- Pani St. Germaine! - zawołał za nią. -  
Jeśli chodzi o pani pracownika...

Zatrzymała się i spojrzała na niego z  
niechęcią.

- Tak?

- Jest czysty. Ma murowane alibi. -  
Uśmiechnął się kącikiem ust. Czuł, że wygrał tę  
rundę. - Pomyślałem, że chciałaby to pani  
usłyszeć.

- Ty sukinsynu.

- Do usług.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Lily obudziła się przy wtórze ptasich świergotów. Sądząc po łagodnym świetle, musiało być jeszcze bardzo wcześnie.

Wstała nie bez trudu i wyszła na balkon, by napawać się pięknem Bożego dzieła. Z przechyloną lekko głową wsłuchiwała się w śpiew ptaków, gdy nagle poczuła przejmujący chłód, jak w styczniu.

Nie, na świecie czerwiec, a jej jest zimno?  
Roztarła ramiona.

Ptaki śpiewają, wstał piękny dzień.

Tymczasem ona umiera.

Nie potrafiła powiedzieć, skąd ta pewność. Jasna, nieodparta. Rozejrzała się w poszukiwaniu ptaków. Słyszała je, ale dojrzeć ich nie mogła. To dobrze, pomyślała i ogarnął ją spokój. Może On jednak weźmie ją do siebie. Może wybaczył jej grzechy. Tak wiele, wiele grzechów...

Zeszła z balkonu. Boso, w samej koszuli i bez szlafroka wyszła z sypialni. Santos już wstał. Czowała zapach kawy, dochodził ją szelest przewracanych stron gazety. Santos sypiał niewiele. Kładł się późno, wcześnie wstawał. Nawiedzające go koszmary skradły mu radość głębokiego, długiego snu.

Przeszła powoli do kuchni. Przenikający ciało chłód stawał się nie do zniesienia. Bardzo chciała, żeby Santos pokochał kogoś, znalazł kogoś bliskiego, z kim mógłby przeżyć życie, z kim nigdy nie czułby się samotny i opuszczony.

Jak ona.

Zycie jest takie krótkie, myślała. Trzeba chwycić je garściami, korzystać z niego póki czas.

Santos siedział przy stole kuchennym nad gazetą i poranną kawą. Widok jego pochylonej sylwetki nappełnił ją taką miłością i dumą, że na moment ustąpiło przejmujące zimno.

Nie urodziła go, ale kochała z całego serca, jakby był jej synem, jakby wykarmiła go własną piersią. Kiedy stąd odejdzie, odszuka jego matkę, opowie jej o chłopcu.

Chociaż Lucia zapewne wszystko o nim wie.

- Santos?

Uniósł głowę i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Dzień dobry. Wczesnie dzisiaj wstałaś.

- Coś muszę ci powiedzieć, a ty musisz zrobić coś dla mnie.

Santos spochmurniał, raptem zdał sobie sprawę, że dzieje się coś złego.

- Lily... nic ci nie jest?

Lewa ręka zaczęła drętwieć. Nieprzyjemne, niepokojące uczucie. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Muszę ci to powiedzieć... gdybym... nie mogła później.

Podniósł się zza stołu, coraz bardziej zaniepokojony.

Dotknął czoła Lily i szybko cofnął dłoń.

- Dzwonię po karetkę.

- Zaczekaj - chwyciła go za rękę. - Chciałabym... żebyś zadzwonił do Hope. Muszę ją zobaczyć... zanim...

Straszny, gwałtowny ból w piersi. Mocniej ścisnęła rękę Santosa i wyszeptwała:

- Obiecaj... przyrzeknij... zadzwonić do niej.

Przyrzekł i nie czekając, wystukał numer pogotowia.

Kiedy skończył rozmowę, wziął Lily na rękę i zniósł na dół, by czekać przed wejściem do budynku na przyjazd karetki. Patrzyła z miłością w jego twarz, zamkniętą, pozbawioną emocji. Ale nie dała się zwieść, doskonale wiedziała, ile uczuć się kłębi pod tą maską, ile głębokich doznań kryje się w pozornie kamiennym sercu.

- Każdy musi kiedyś odejść - powiedziała.

- Jeśli przyszedł mój czas, jestem gotowa.

- Nie umrzesz, Lily. Nie pozwolę ci.

- Głuptasie - szepnęła. Miała ochotę pogłaskać go po policzku, ale nie znalazła dość siły. - Chcę, żebyś wiedział, że... Kocham cię bardzo, Santosie.

- Wiem, Lily. Ja...

Pokręciła głową, a właściwie raczej próbowała pokręcić.

- Jesteś mi bliski jak syn. Rodzony syn. Bez ciebie... moje życie...

Walczyła z bólem, z trudem łąpała powietrze, ale musiała mu powiedzieć tych kilka najważniejszych słów.

- Zanim się pojawiłeś w moim życiu, byłam jak martwa. Ty dałeś mi coś... już myślałam, że nigdy nie będę... miała. Dałeś mi miłość, Victorze. Jesteś dobrym chłopcem... chcę, żebyś usłyszał wszystko, zanim... zanim umrę.

- Dość tego, Lily. - Wtulił twarz w jej włosy. - Nie strasz mnie.

- Zaslugujesz na... wszystko, co najlepsze. Nie wiesz nawet o tym. Przyrzeknij mi... bądź

dobry dla siebie. Nie oszukuj się... jak ja. -  
Położyła dłoń na sercu. Straszliwy, przejmujący  
ból uniemożliwił mówienie i nie pozwalał  
myśleć. Lily zamknęła oczy.

- Nie, Lily, poczekaj! - Usłyszała  
przerażenie w jego głosie. - Ty mi też dałaś tak  
wiele. Dom, rodzinę, miłość. Nie rób tego,  
proszę... Nie umieraj. Nie możesz mnie zostawić.  
Potrzebuję cię.

- Hope - szepnęła Lily bez tchu, zaciskając palce na jego koszulce. - Muszę... muszę ją zobaczyć. Pogodzić się. To moje dziecko. Ja...

Nie mogła dłużej mówić. Słyszała jeszcze syrenę ambulansu, ciche, gorączkowe zaklęcia Santosa, płacz dziecka sąsiadów. I ptaki. Ich słodki, nawołujący śpiew.

A potem już nic.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Następne dwie godziny pozostawiły w umyśle Santosa jedynie mgliste wspomnienie. Pamiętał głównie narastające z każdą chwilą uczucie paniki - i właściwie niewiele więcej. Oczywiście wiedział, że Lily przeszła zawał. W pierwszej chwili nikt nie potrafił powiedzieć, jak rozległy. Lekarz zaaplikował morfinę dla uśmierzenia bólu, a kiedy już miał wstępne rozpoznanie, zaczął podawać leki swoiste.

Chociaż Santos nigdy nie uważał się za szczególnie uduchowionego, nie przestawał się modlić do Boga, by zachował Lily przy życiu. Jego modlitwy zostały wysłuchane, chociaż lekarz nie czynił zrazu wielkich nadziei. Lily była starym człowiekiem, miała słaby organizm, a zawał wyglądał na ciężki. Istniało duże prawdopodobieństwo, że po pierwszym przyjście następny.

A jednak żyła. Santos był tak wdzięczny Bogu, że zbierało mu się na płacz. Lily, uwolniona wreszcie od bólu, odpoczywała i na razie nie musiał bać się o jej życie. Lekarz powiedział, że będzie spała około dwunastu godzin; radził Santosowi, żeby i on poszedł do domu i zdrzemnął się trochę, zwłaszcza że najbliższe dni, jeśli chciałby odwiedzać Lily, miały być dla niego bardzo męczące.

Pocałował więc staruszkę w czoło, szepnął, że niedługo wróci, po czym z najbliższego automatu zadzwonił do pracy, potem do Liz, wreszcie do Hope.

- Słucham, z czym pan dzwoni, detektywie Santos?

Wzdrygnął się na dźwięk suchego, odpychającego głosu, tyle w nim było wyniosłości, pogardy, lekceważenia.

- Mam dla pani złą wiadomość.

- A cóż by to mogło być? Kolejne morderstwo w hotelu?

- Chodzi o pani matkę - powiedział spokojnie, acz nie bez wyraźnej niechęci, której nie próbował nawet ukrywać. - Miała...

- Pan wybacz - przerwała mu natychmiast. - Ktoś musiał wprowadzić pana w błąd. Ja nie mam matki. Umarła przed wielu laty, za granicą.

Nie odłożył słuchawki. Przemógł się ze względu na Lily, na obietnicę, którą jej złożył.

- Proszę sobie darować te bajeczki, pani St. Germaine. Wiem, kim pani jest. Osobiście uważam, że nie jest pani godna lizać butów Lily, ale obiecałem jej, więc dzwonię.

Hope zaczęła się śmiać.

- Tak pan uważa? Proszę, proszę, niech pan mówi dalej.

- Lily miała zawał... stan jest ciężki. - Z trudem wypowiadał kolejne słowa. - Istnieje duże prawdopodobieństwo, że... nie przeżyje.

Hope przez chwilę milczała, wreszcie zapytała zniecierpliwionym tonem:

- W jakiej mierze ma mnie to dotyczyć?

- Słyszała pani, co powiedziałem? Pani matka umiera.

- Owszem, słyszałam, ale ciągle nie rozumiem, dlaczego pan do mnie dzwoni.

W głosie Hope nie było śladu żalu,

smutku, współczucia. Najwyraźniej bawiła się sytuacją, jakby zależało jej tylko na tym, żeby zakpić sobie z Santosa. Opanował się całym wysiłkiem woli. Dla Lily... musisz to zrobić dla Lily, powtarzał sobie, zaciskając zęby. Dla Lily gotów był choćby i błagać.

- Ona chce panią zobaczyć. Pogodzić się z panią.

- Przykro mi, to niemożliwe.

- Czy to ma oznaczać...?

- Dokładnie to, co powiedziałam.

- Na litość boską, ona umiera! To jej ostatnie życzenie!

- Być może, ale zaryczęm panu, że ono mnie nie dotyczy.

- Proszę... Błagam, niech jej pani tego nie odmawia. Niech umrze szczęśliwa.

- Do widzenia.

Hope rozłączyła się. Przez chwilę wpatrywał się w telefon, po czym trzasnął słuchawką z taką siłą, że pękła plastikowa obudowa. Nie pozwoli traktować Lily w ten sposób! Znajdzie sposób na tę łajdaczkę! Znał jej słaby punkt. Dopnie swego, choćby miało go to drogo kosztować.

Zamienił jeszcze kilka słów z lekarzem, zostawił pielęgniarce numer swojego pagera i prosto ze szpitala z włączonym policyjnym kogutem pojechał do domu Glorii. Zaparkował na jej podjeździe tak gwałtownie, strzelił drzwiami przy wysiadaniu tak bezceremonialnie, że siedząca w ogródku sąsiadka wypuściła z rąk gazetę, po czym szybko weszła do domu. Zapewne zaraz zacznie obdzwaniać swoje kumy i opowiadać, że pani St. Germaine ma jakieś kłopoty, pomyślał z mściwym rozbawieniem.

Gloria otworzyła prawie natychmiast.

- Santos? - Spojrzała na niego zaniepokojona. - Co się stało?

- Pojedziesz ze mną - powiedział, starając się mówić spokojnie.

- Jak to... pojedę? Czy to znaczy, że  
jestem aresztowana?

- Nie. Jedziemy do mnie, do wydziału.  
Musimy cię przesłuchać.

Gloria zmartwiała.

- Następne morderstwo? Znowu w hotelu? A może chodzi o Pete'a?

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać, przykro mi.

- Santos odchrząknął, popatrzył na nią beznamiętnie.

- Zechcesz pojechać ze mną?

- Tak. Zaraz będę gotowa.

Zniknęła w głębi domu, on zaś zaczął rozglądać się po eleganckim, lecz bezpretensjonalnie urządzonej wnętrzu. Prawdę mówiąc, spodziewał się czegoś innego; ostentacyjnego bogactwa, przepychu i nadmiaru. Nic z tych rzeczy - dom był stary, wygodny, ale pozbawiony wszelkich pretensji.

- Wyglądasz na zaskoczonego. Pewnie nie oczekiwałeś, że tak właśnie mieszka księżniczka? - zagadnęła, wracając z torebką.

Zerknął na nią zły, że z taką łatwością odgadła jego myśli.

- Muszę cię rozczarować, St. Germanie, ale nie mam wobec ciebie żadnych oczekiwań.

- A ja niewiele dbam, czy je masz, czy nie.

- Świetnie. Jedźmy więc, jeśli jesteś gotowa.

Po chwili jechali już St. Charles Avenue. Jednak zamiast kierować się aleją w kierunku Lee Circle, Santos skręcił na międzystanową, w kierunku zachodnim.

- Wydawało mi się, że jedziemy na policję - zdziwiła się Gloria.

- Skłamałem.

Zerknął na szybkościomierz. Pędzili sto trzydzieści na godzinę.

- Jak to skłamałeś?

- Tak to - odparł, z satysfakcją zerkając na jej przerażoną minę.

- Zatrzymaj natychmiast. Wsiadam.  
Wypuść mnie z tego wozu, słyszysz, Santos?

- Przykro mi, Glorio, ale nie mogę. Ktoś cię potrzebuje. Ktoś bardzo dla mnie ważny. Nie mogę go zawieść.

- To śmieszne - prychnęła. - Zatrzymaj albo oskarżę cię o uprowadzenie.

Santos zignorował jej pogrożki.

- Najpierw coś ci opowiem. Coś, czego inaczej na pewno nie chciałabyś wysłuchać. Jeśli potem nadal będziesz się upierała, żeby wysiąść, droga wolna.

- Mów. Co to za historia?

- O matce i córce. - Znów zerknął w stronę Glorii. Odwróciła głowę, manifestując brak zainteresowania.

- Matka kochała swoją córkę z całego serca - zaczął.

- Chciała, żeby dziewczyna miała udane życie, bardziej udane niż ona. I nic dziwnego, jeśli wiemy, że ta matka była prostytutką, właścicielką burdelu, mówiąc ściśle. Burdelmama. Podobnie zresztą jak jej własna matka, jak babka, z pokolenia na pokolenie wszystkie zajmowały się tą samą profesją.

Gloria zwróciła ku niemu twarz i zaczęła słuchać opowieści.

- Matka postarała się - ciągnął - o nowe nazwisko dla córki. Wysłała ją do szkoły, gdzie nikt nie wiedział, kim dziewczyna jest i skąd pochodzi. Córka miała jednak własne plany. Skorzystała z okazji i postanowiła na zawsze zerwać z przeszłością. Zwiodła wszystkich, okłamała nawet człowieka, za którego potem wyszła za męż. Nigdy więcej nie zobaczyła się z matką. Nie chciała nawet zobaczyć jej na łożu śmierci, chociaż było to ostatnie i jedyne życzenie



umierającej.

Przez chwilę obydwójce milczeli.

- Intrygująca historia - Gloria odezwała się pierwsza. - Ale dlaczego mi ją opowiadasz? Co ona ma ze mną wspólnego?

- Poczekaj, jeszcze trochę szczegółów - Santos zignorował jej pytanie. - Nie powiedziałem ci jeszcze, że córka bardzo dobrze wyszła za mąż. Doczekała się własnej córki. I nikt nigdy nie poznał o niej prawdy. Nikt nie dociekał, jak wygląda przeszłość tej kobiety, nikt nie kwestionował jej opowieści o dawno temu zmarłych rodzicach.

- Santos, proszę... Za dwie godziny muszę być w hotelu. - Gloria zerknęła z niezadowoleniem na zegarek.

- Spróbuj skrócić tę barwną powieść i powiedz wprost, co masz mi do powiedzenia.

- W porządku. Córka ukończyła dobrą szkołę w Memphis. Opowiadała wszystkim, że jej rodzice zginęli w wypadku. Za granicą...

Gloria gwałtownie uniosła głowę.

- Co powiedziałeś? Chyba nie sugerujesz...

- Owszem.

- Zwariowałeś. Mam rozumieć, że moja matka...

- Kłamała przez całe życie. - Zacisnął mocniej palce na kierownicy. - A moja Lily jest matką z tej opowieści.

- Spojrzał na Glorię. - Lily to twoja babcia.

- Ale... - Gloria uniosła dłoń do skroni. - Ale... tyle lat? Tyle lat milczała? Wiedziała przecież, jak się ze mną skontaktować. Dlaczego nigdy nie próbowała? Dlaczego nie chciała mnie

poznać?

- Bo wstydziła się tego, kim jest. A właściwie kim była przez większość swojego życia. Bała się, że nie będziesz chciała jej znać, podobnie jak rodzona córka. Uwierzyła, że zrujnuje ci życie, jeśli się do ciebie zbliży. Ona cię teraz potrzebuje, Glorio. Tęskni za tobą. Jest umierająca.

- Umierająca? - wyszeptała Gloria.

- Tak. Twoja matka poinformowała mnie właśnie, że nie chce jej widzieć. Nic jej nie obchodzi, że to ostatnie życzenie Lily.

Gloria jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała, ale widział, że zaczyna się wahać, powątpiewać.

- Dlaczego miałabym ci wierzyć? -  
zapytała. - Twoja opowieść brzmi zupełnie  
nieprawdopodobnie.

- Dowiodę ci, że jest prawdziwa.

- Ile czasu ci to zabierze?

- Dużo.

Już otworzyła usta, żeby zaprotestować,  
ale nie dał jej dokończyć.

- Zastanów się dobrze, Glorio. Co zrobisz,  
jeśli okaże się, że mówiłem prawdę? Jak będziesz  
się czuła, wiedząc, że pozwoliłaś umrzeć jej  
samotnie?

- Jeśli mówiłeś prawdę, wszystko, co  
wiem o mojej matce, jest kłamstwem.

- Owszem. Ale chyba lepiej znać prawdę,  
nawet bolesną, niż wierzyć w kłamstwa.

Gloria przygryzła wargę. Milczała. W  
końcu, po długiej chwili, skinęła głową.

- Dobrze, jedźmy tam - zdecydowała.

Santos zawiózł ją do domu przy River  
Road. W czasie jazdy Gloria prawie się nie  
odzywała. Zatopiona we własnych myślach,  
przygotowywała się na spotkanie przeszłości.  
Wiedział, że będzie to trudne spotkanie, ale gotów  
był zrobić wszystko dla Lily. A Lily bardzo  
potrzebowała wnuczki.

- Jesteś gotowa? - zapytał, kiedy dotarli  
na miejsce.

- Czy ma to jakieś znaczenie?

- Nie - przyznał i wysiadł, by otworzyć  
bramę z kutego żelaza. Wsiadł z powrotem do  
auta i ruszył powoli dębową aleją, mówiąc przy  
tym jak przewodnik, który obwozi wycieczkę: -  
To była rezydencja Lily Pierron. Jej dom, a  
zarazem burdel. Jak już mówiłem, wcześniej

należał do jej matki, przedtem do babki...

- To Pierron House - szepnęła Gloria. -  
Poznaję, czytałam o nim. Kiedyś pokazywała mi  
go koleżanka podczas szkolnej wycieczki na  
plantację Oak Alley.

- Myślę, że większość Luizjańczyków o nim słyszała. O paniach Pierron wiele się mówiło swego czasu - przytaknął, parkując samochód przed głównym wejściem. - Jesteśmy na miejscu.

Szli przez wymarłe pokoje, pośród mebli przykrytych białymi pokrowcami. Przenosząc się do Nowego Orleanu, Lily nie wzięła prawie nic z River Road. Nie chciała.

Gloria od czasu do czasu przystawała, rozglądała się uważnie. Santos nigdy nie widział takiej mieszaniny uczuć na jej twarzy: zdziwienie, lęk, powątpiewanie i pewność walczyły ze sobą o lepsze.

Zatrzymała się na dłużej przed wiszącym nad kominkiem portretem.

- Mój Boże, ona wygląda zupełnie jak...

- Wiem - przytaknął Santos, stając obok Glorii. - To babka Lily, Camellia Pierron. Pierwsza madame w rodzinie. Camellia, Rosę i Lily.

- Kamelia, Róża, Lilia - same kwiaty.

- Z wyjątkiem twojej matki. Lily chciała przerwać ten łańcuch. Chciała, żeby jej córka była kimś innym, żeby wyrwała się z tego domu, uwolniła od hańbiącej tradycji. Mówiła, że to klątwa.

- I dlatego dała jej imię Hope, Nadzieja...

- w głosie Glorii brzmiało zarazem rozbawienie i przygnębienie. - Widzę, że pochodzę z długiej i świetnej linii.

- W pewnym sensie tak właśnie jest - uśmiechnął się Santos. - Były mądre, piękne. Po swojemu samodzielne i odważne. Ich dom stał się modny.

- Samodzielne i odważne? - zapytała

Gloria z powątpiewaniem. - Tkwiły w pułapce, same się w niej zamknęły. A co z synami?

- Nie było synów. Same córki. Jedyńaczki. Chodź, pokażę ci coś jeszcze, coś bardzo ważnego, jeśli przyjazd tutaj ma mieć jakiś sens.

Przed wielu laty odkrył na strychu pudło, a w nim listy, które Lily słała do Hope. Listy pełne miłości, zaklęć, błagań o wybaczenie, rozpaczliwe i tragiczne. Hope czytała je, po czym odsyłała z powrotem matce bez odpowiedzi. Santos miał osiemnaście lat, kiedy znalazł tę bolesną, jednostronną korespondencję. Uważał się za twardziela, a płakał nad nimi jak bóbr. Nigdy nie zdradził Lily, że o nich wie. Teraz zaprowadził na strych Glorię.

Wiedział, że dziewczyna boi się zetknięcia z prawdą, rozumiał ją. Wiedział też, że ona nigdy nie potraktowałaby swojej matki tak, jak Hope potraktowała Lily.

- Zostawię cię tu samą. - Odchrząknął. - Gdybyś mnie potrzebowała, będę na dole.

Wrócił po trzech kwadransach. Gloria siedziała na podłodze w plamach światła, jej ramionami wstrząsało łkanie.

- Jak ona mogła? - wykrztusiła zdławionym głosem. - Jak mogła czytać te listy i ciągle być taka zawzięta?

- Nie wiem.

- Od jak dawna znasz prawdę?

- Lily powiedziała mi tego dnia, kiedy zginął twój ojciec.

- A ja... przez wszystkie te lata... - Glorii zatrzęsła się broda. - Matka opowiadała mi o dziadkach... o ich śmierci. Tymczasem ja cały

czas... miałam babcię.

- Która cię teraz potrzebuje. - Santos przykucnął obok niej, ujął jej twarz w obie dłonie.

- Tęskniła za wami, zawsze tęskniła za tobą i twoją matką. O niczym innym nie myślała. Zadzwoń do Hope dzisiaj rano. Powiedziała, że nie zobaczy się z Lily. Błagałem ją, Glorio, naprawdę. Odstawiłem dumę na bok i błagałem.

Gloria spojrzała mu badawczo w oczy.

- Czy z Lily... jest bardzo źle?

- Miała atak serca. Bardzo ciężki. Nie ma jeszcze dokładnych wyników badań, ale lekarz nie robił mi wielkich nadziei. Pojedziesz ze mną? Zobaczysz się z nią, ze swoją babką?

Gloria położyła dłonie na jego dłoniach i przez chwilę trwała w milczeniu.

- Zawieź mnie do Lily - poprosiła.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Gloria spoglądała w otępieniu na drobną sylwetkę na szpitalnym łóżku, tak, zdawało się, kruchą i bezbronną, że mógłby ją zdmuchnąć lada podmuch wiatru. Staruszka leżała podłączona do kroplówki, otoczona aparaturą kardiologiczną. Jej włosy były siwe, oczy zamknięte.

Ta obca kobieta jest jej babką.

Gloria przysunęła krzesło do łóżka. Z wahaniem, powoli dotknęła pomarszczonej, niemal przezroczystej skóry, delikatnie zacisnęła palce wokół dłoni Lily.

Wciąż była oszołomiona. Tak nieoczekiwanie dowiedziała się, że ma rodzinę. Czula zawrót w głowie jak ktoś, kto wypił o jeden kieliszek za dużo albo znalazł się raptownie na wysokościach, gdzie zaczyna brakować tlenu. Nie docierało jeszcze do niej, co usłyszała od Santosa, nie do końca rozumiała, co się wokół niej dzieje.

Prostytutki... Jej babka, prababka. Kobiety, które sypiały z mężczyznami dla pieniędzy. Wracała wspomnieniami do okresu, kiedy mogła mieć dwanaście, może trzynaście lat. Pamiętała, jak chichocząc, szeptała z koleżankami o Pierron House. O jego mieszkankach.

O swoich najbliższych. O rodzinie. Ona była jedną z nich. W pewnym sensie też tam mieszkała, należała do tego miejsca.

Tymczasem matka cały czas kłamała. Jej opowieści o zmyślonych dziadkach, o rezydencji w Meridian, o sobotnich wyprawach na lody w dzieciństwie, o rodzinnych Wigiliach z choinką i



kolędami - żadna z nich nie była prawdą. Żadna.

Przy River Road Gloria od razu poczuła się u siebie. Jeszcze zanim Santos pokazał jej zdjęcia matki, a później dał do przeczytania listy Lily adresowane do Hope, miała wrażenie, że znalazła się w domu. Odkrywała nieznany dotąd, a przecież tkwiący w niej głęboko obszar własnej przeszłości.

Do szpitalnej sali wszedł Santos. Wiedziała, że to on, nie musiała się oglądać. Wyczuwała jego obecność. Jak kiedyś. Jak przed dziesięciu laty.

Wzdrygnęła się. Znał prawdę od dziesięciu lat, a ona przez cały ten czas o niczym nie wiedziała. Żyła w zupełnej nieświadomości.

Nagle wrócił tamten czas, tamte uczucia, jakby to było wczoraj. Ale Santos niczego już od niej nie oczekiwał. Był przekonany, że jest taka sama jak matka.

Jak matka...

Gloria poczuła bolesny ucisk w gardle. Jak matka mogła być tak bezwzględna, tak okrutna? Jak mogła czytać pełne rozpacz listy i odsyłać je bez odpowiedzi?

- Trudno uwierzyć, że ją urodziła i wychowała. Tak bardzo są różne - szepnął Santos, jakby czytał w jej myślach.

- Co mówi lekarz? - zapytała, uciekając od usłyszanych właśnie słów.

- Niewiele. Przez ten czas, kiedy nie było mnie przy niej, nic się nie zmieniło. Odpoczywa, lecz w każdej chwili może się obudzić. W każdym razie stan jest stabilny.

- Wiesz, Santos... - zaczęła niepewnie - może mi nie uwierzysz, ale bardzo bym chciała

zapewnić cię, że wszystko będzie dobrze.

Widziała lęk na jego twarzy. Lęk i bezgraniczną miłość. Domyślała się, co będzie dla niego oznaczała utrata Lily. I jeszcze bardziej ścisnęło się jej serce.

- Nikt nie może mi dać takiego zapewnienia.

Już miała wyciągnąć dłoń, dotknąć go, wesprzeć, pocieszyć. Zdawał się bliski jak kiedyś. Bliższy niż ktokolwiek.

- Muszę zadzwonić do wydziału - powiedział sucho, cofając się o krok. - Jeśli się obudzi, mogłabyś...

- Oczywiście, natychmiast cię zawołam.

Ale Lily się nie obudziła. Ani po wyjściu Santosa, ani przez następnych sześć godzin. Przez cały ten czas Gloria nie odchodziła od jej łóżka, tyle tylko, żeby zadzwonić do hotelu i kupić sobie coś do picia w automacie na korytarzu. Nie darowałyby sobie, gdyby babcia się obudziła, a jej by przy niej nie było. Santos właściwie też nie opuszczał szpitalnej sali. Trwali razem, jeszcze niedawno wrodzy sobie, a teraz skazani na siebie we wzajemnym wspieraniu się na duchu.

W pewnym momencie Lily poruszyła się wreszcie, stęknęła. Santos natychmiast zerwał się z krzesła.

- Lily? Lily... - Ujął jej dłoń. - To ja, Santos.

Otworzyła powieki, chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie.

Gloria patrzyła na nią w napięciu. Bała się. Bała się, że ta kobieta, którą tak bardzo chciała teraz poznać, odrzuci ją. Jak kiedyś odrzuciła ją matka.

- Lily... - Santos przemówił łagodnie. -  
Przyszedeł ktoś do ciebie. Masz gościa.

Gloria podeszła do wezłowania łóżka.  
Dojrzała w oczach babki nadzieję, przebłysk  
świadomości.

- Glo... ria?

- Tak, to ja. - Nachyliła się bliżej. - Witaj,  
babciu.

Lily spojrzeła na Santosa, jakby szukała w  
jego oczach potwierdzenia. Uśmiechnął się na  
znak, że tak, że wzrok jej nie myli.

- Tak... długo... czekałam.

- Ja też, babciu. I cieszę się, że tu jestem.

Lily otworzyła usta, znów chciała coś powiedzieć i znów nie zdołała wydobyć słowa. Santos podał jej szklanekę z wodą, przełknęła odrobinę.

- Twoja... matka? - wyszeptała z trudem.

Gloria zerknęła bezradnie na Santosa.

- Nie mogła przyjść - zaczął bez chwili wahania. - Ma ważne spotkanie... nie była... po prostu nie była... - Wzruszył wreszcie ramionami i dał spokój. Lily nie można, było oszukać.

Staruszka zamknęła oczy i odwróciła głowę. Po jej policzkach popłynęły łzy.

- Ja jestem zamiast niej, babciu - odezwała się Gloria.

Serce jej pękało, a jednocześnie rosła w niej furia na myśl o bezlitosnej i nieczulej matce. - Musimy się poznać, nadrobić stracony czas. - Przytuliła dłoń Lily do policzka. - Tak cię kocham. Dobrze, że wreszcie możemy być razem.

Usiadła obok babki i cicho opowiadała o drobiazgach, sprawach pozbawionych wielkiego znaczenia, takich, które mogły przynieść ukojenie. Santos tymczasem krążył po pokoju albo stał bez ruchu, skupiony i czujny. Gloria była świadoma każdego jego ruchu, każdego spojrzenia. Wyczerpywała ją ta świadomość, wyczerpywała jego obecność.

W końcu pojawiła się pielęgniarka, żądając, by obydwójce wyszli i pozwolili chorej odpocząć. Mogą przyjść później, przyzwoliła łaskawie, ale teraz wystarczy.

- Wrócisz tutaj, czy też wypełniłeś już swój obowiązek? - zagadnął Santos, kiedy czekali

na winę.

Pełne lekceważenia słowa spadły na nią i dotknęły ją boleśnie. Wydawało się już, że między nimi zaczyna nawiązywać się nić porozumienia, że zawarli rozejm, nawet jeśli kruchy. Pomyliła się.

- Jak możesz o to pytać? - Starła się nie pokazać, jak bardzo ją zranił. - Uważasz, że gram? Że mogłabym ją oszukiwać? Miałabym mówić, że ją Kocham i więcej się u niej nie pokazać?

- Przeszło mi to przez myśl.

Gloria zacisnęła wargi.

- Nie jestem moją matką, cokolwiek o mnie myślisz. Wróć tutaj.

- To dobrze. Twoje odwiedziny dużo dla niej znaczą. Nie spraw jej zawodu.

- Wyobraź sobie, że dla mnie też - syknęła z ledwie powstrzymanym gniewem. - Nawet zamierzałam ci podziękować, gdybyś nie okazał się takim... takim dupkiem.

- Naprawdę? Za co?

- Za Lily, oczywiście - wyjaśniła urażona.

- Czuję się tak, jakbym otrzymała od ciebie ogromny dar.

- Bo Lily jest darem. - Santos był równie rozjątrzony jak Gloria. - Ale chcę ci uświadomić, księżniczko, że nie zrobiłem tego dla ciebie.

Nie dając jej czasu na odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Hope siedziała w białym wiklinowym fotelu z ulubionym egzemplarzem Biblii na kolanach. Z zewnątrz dobiegały odgłosy letniego wieczoru, brzęczenie owadów, czasem kumkanie żab, śmiech bawiących się dzieci i ujadanie psów. Zawieszony pod sufitem wentylator mełł gorące, wilgotne powietrze.

Oparła głowę o wysoki zagłówek fotela. Przymknęła oczy. Im była starsza, tym Zło stawało się coraz bardziej nieustępliwe. Choć walczyła desperacko, była coraz bardziej znużona i wyczerpana z sił, coraz mocniej zaciskały się szpony wokół jej szyi.

Jedynie, gdy ulegała Bestii, ta dawała jej chwilę wytchnienia.

Teraz, uśpiona, nie odzywała się od ponad tygodnia. Hope uśmiechnęła się na tę myśl. W podobnych chwilach odzywała. Udręki znikwały jak senne majaki. W podobnych chwilach nabierała pewności, że Bestia została pokonana.

Błogi spokój przysł nagle, gdy do pokoju wtargnęła z impetem Gloria.

- Niedobrze mi się robi, gdy o tobie myślę!  
Jak mogłaś tak postąpić?

Hope spojrzała na córkę oniemiała. Nigdy jeszcze taką jej nie widziała. Te pałające oczy, oczy z nocnych koszmarów...

Serce podeszło jej do gardła. Ciemności sposobią się do następnego starcia. Tym razem chcą posłużyć się Glorią.

Splotła dłonie na podolku, żeby powstrzymać ich drzenie.

- Glorio Aleksandro... - zaczęła cierpko, starając się ukryć narastającą panikę - Wiesz przecież, że nie znoszę, by ktokolwiek przerywał mi wieczorne czytanie Pisma. Pod żadnym pozorem.

Gloria prychnęła z niedowierzaniem.

- Czytanie Pisma! Pomyśleć, jaka dobra z ciebie chrześcijanka! Świecisz przykładem, co? Przykładem miłosierdzia! W każdym razie bardzo chcesz, żeby ludzie w to uwierzyli, prawda?

A jednak się stało. Stało się coś strasznego.

Hope zaczęło mocniej bić serce. Tego się obawiała

- zbyt upojne było poczucie oswobodzenia się z grzechu, by mogło trwać długo. Opuściła wzrok na Biblię, otwartą na Psalmie XXIII: „Choćbym chodził ciemną doliną, Zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną...”

Usiłowała skupić się na świętych słowach, szukała w nich ulgi i pokrzepienia. Po chwili zamknęła Biblię, po czym ponownie splotła dłonie na brzuchu.

- Co to ma znaczyć, Glorio? Coś cię gnębi?

- Gnębi? Owszem! - Gloria postąpiła parę kroków do przodu, dłonie zacisnęła w pięści. - Powiedz mi, co Biblia mówi na temat wybaczenia? Albo na temat grzechu sądenia bliźnich?



Hope poczuła pełznące po plecach zimno, przejmujące jak sama śmierć.

- Dobrze wiesz, co mówi. Znasz na pamięć całe wersety.

- O tak, zadbałaś o to. Znam Biblię od deski do deski, chowałaś mnie przecież na aniołka... - głos jej się załamał.

- A kiedy wymknęłam ci się spod kontroli, postarałaś się, żebym została ukarana za swoje grzechy. I żebym zawsze o nich pamiętała.

- Jestem twoją matką. Robiłam to dla twojego dobra.

- A czy dla swojego dobra zrobiłaś równie wiele? Dla dobrej swojej duszy? „I odpuść nam nasze winy, jako i my wybaczymy...” Znasz te słowa? No, powiedz, znasz? Modlisz się tak codziennie? I co? I co, ty... - znów urwała, odgarnęła włosy opadające jej na twarz. - Poznałam dzisiaj Lily Pierron. Moją babkę. Widziałam dom, w którym się wychowałam. Wiem, czego się dopuściłaś. Teraz już wiem.

Hope zabrakło tchu. Wpatrywała się w córkę, a w głowie rozbrzmiewały echem jej słowa.

Gloria wie.

Dobry Boże, ona wie!

Z trudem zapanowała nad sobą. Modliła się całe życie, żeby dzień taki jak ten nigdy nie nadszedł. Skoro jednak nadszedł, musiała stawić czoło Złu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Z moją matką łączyły mnie serdeczne więzy. Byłam zrozpaczona, gdy Bóg zabrał ją tak wcześnie.

- Przestań! Przestań wreszcie kłamać! - Gloria stłumiła łkanie. - Twoja matka żyje. Chociaż dzisiaj była bliska śmierci. Jak mogłaś...

jak mogłaś... - słowa uwięzły jej w gardle.  
Odwróciła się od Hope i ukryła twarz w dłoniach.  
- Nie wiem nawet, co mam ci powiedzieć. Nie  
wiem... kim ty jesteś. - Opuściła ręce i spojrzała  
na matkę. - Nie wiem, kim ja jestem. Ponieważ  
kłamiesz. Ponieważ ukrywasz przede mną  
prawdę. Całe życie...

- Jesteś Glorią St. Germaine - oznajmiła  
Hope. - Z nowoorleańskiej rodziny St.  
Germaine'ów. A ja jestem twoją matką.

- A ona twoją! Opuściłaś ją!

- Nic nie wiesz!

- Wiem! Santos zawiózł mnie do domu  
przy River

Road! Oglądałam zdjęcia, miałam w ręku listy, które babcia pisała do ciebie. Błagała cię o wybaczenie. Błagała! A ty czytałaś je i odsyłałaś z powrotem! Hope zerwała się na równe nogi.

- Ona była kurwą! Nie rozumiesz tego? Sprzedawała swoje ciało tym, którzy dawali najwięcej!

- Milcz! - Gloria odwróciła się do niej gwałtownie.

- Ona jest moją babką! Potrzebuje mnie! I nie zostawię jej, jak ty to zrobiłaś! Nigdy!

- Łatwo ci mówić! - krzyczała Hope. - Oskarżasz mnie, że niesprawiedliwie osądziłam moją matkę, a co ty robisz teraz? Nie wiesz, przez co musiałam przejść, ale wydajesz sąd!

- Skąd mam wiedzieć, przez co przeszłaś? Znam tylko twoje kłamstwa. - Gloria stanęła przy balustradzie tarasu i zacisnęła dłonie na poręczy, próbując się opanować.

- Okłamywałaś mnie przez cały czas - powiedziała po chwili stłumionym głosem. - Okłamywałaś nas wszystkich. Santos dzwonił dzisiaj do ciebie. Twoja matka umiera, jej ostatnim życzeniem jest zobaczyć ciebie, ale ty nie potrafisz wybaczyć. Odmówiłaś spotkania z matką, choć to tak niewiele. - Pokręciła głową, ocierając cieknące po policzkach łzy. - Naprawdę nie wiem, kim jesteś. Teraz zdajesz się kimś obcym. Kiedy pomyślę o tym, jak opowiadałaś o swoim ojcu, moim jakoby dziadku, robi mi się niedobrze. Wymyślony człowiek. Prawdziwego ojca przecież nie znałaś. Santos powiedział mi, że byłaś dzieckiem przypadku, jak wszystkie panny Pierron. Wszystkie poza mną.

Hope poczuła tępy skurcz w żołądku.

Wysiłkiem woli powstrzymała nudności.

- To prawda, wszystkie z wyjątkiem ciebie.  
Ochroniłam cię. Nie dopuściłam, byś jak tamte skończyła w rynsztoku. - Dumnie wyprostowała głowę. - Dzięki mnie nazywasz się St. Germaine, nie Pierron. Tamta przeszłość dla ciebie nie istnieje. Nie ist-nie-je.

- Istnieje. Nie rozumiesz tego? Nie przestała istnieć tylko dlatego, że tak postanowiłaś. Poza tym wcale nie chcę odcinać się od tamtej przeszłości. Przeszłość rodu Pierron to także mój los, czy tego chcesz, czy nie.

- Możesz się od niej odciąć. - Hope schwyciła Glorię za rękę. - Musisz. Tak jak ja.

- Nie! - Gloria wyzwoliła się z uścisku i odsunęła z wyrazem niesmaku na twarzy. - Ja tego nie zrobię. Jestem inna niż ty.

Nie. Ciemności nie odbiorą jej córki. Ten podły człowiek nie może tego uczynić. Raz już próbował i pokonała go wówczas. Pokona go i teraz.

Uczyni wszystko, co w jej mocy, ale go pokona.

Hope uniosła rękę do twarzy, próbując wywołać łzy, modląc się o właściwe słowa, o właściwe zaklęcia. Musi uratować córkę. Musi uratować siebie samą.

- Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie - zaczęła cicho, opuszczając dłonie, gdy poczuła łzy w oczach - przez co przeszłam. Nie wyobrażasz sobie, co znaczy dorastać w... takim miejscu. Widziałam i słyszałam straszne rzeczy. To było podłe, nędzne, upokarzające życie. Dorastałam wśród kurew, Glorio. Między prostytutkami.

- Wiem o tym, mamó, ale...

- Nic nie wiesz! Wszyscy mną pogardzali. Obrzucali plugawymi przezwiskami. Dlatego że urodziłam się w Pierron House. - Łzy, tym razem szczere, spływały po twarzy Hope obficie. Wracały gorzkie i wyraziste wspomnienia wszystkiego, co musiała znosić przez lata. - Nie miałam przyjaciółek. Zawsze byłam sama. W

szkole, w kościele, na boisku, w szkolnym autobusie. Nigdy nie zapraszano mnie na urodziny ani na dziecięce przyjęcia. Dziewczynki urągały mi, a chłopcy gonili. Kiedy mnie złapali, obalali na ziemię i zaczęli obmacywać. Bo byłam tym, kim byłam.

Pochyliła głowę.

- Nie sypiałam całymi nocami, prześladowana przez odgłosy tego domu plugastwa. Pomruki dziwek, dyszenie mężczyzn... parzyli się jak zwierzęta. Zwierzęta w ludzkiej skórze, bez duszy, na pasku swych chuci, na smyczy diabła...

Przeżona Gloria zasłoniła sobie dłonią usta.

- Rozumiesz teraz, dlaczego uciekłam? Dlaczego nie wracałam? Gdybym tam została, umarłabym. Moja dusza by... szczyła.

- Ale twoja matka... kochała cię. Starła się chronić. Wysłała do szkoły...

- Tak, kochała mnie - przytaknęła Hope z odrazą w głosie. - I ja ją kochałam. Ale to przez nią cierpiałam, to ona skazała mnie na to ohydne, nędzne życie. Chciałam uciec. Zapomnieć. Stać się kimś innym. Niczego bardziej nie pragnęłam. - Spojrzała błagalnie na córkę. - I gdy nadarzyła się sposobność, uciekłam. - Westchnęła głęboko. - Spróbuj mnie zrozumieć. Spróbuj mi... wybaczyć, Glorio. Nie mam już sił.

Gloria przytuliła matkę.

- Nie stracisz mnie. Przeszłaś straszne rzeczy. Rozumiem, że chciałaś uciec i o wszystkim zapomnieć. Ale dlaczego okłamywałaś mnie i ojca? A ją? Czy musiałaś odrzucić ją tak bezwzględnie, tak bez litości? Czy to

okrucieństwo było naprawdę konieczne?

Hope wtuliła twarz w ramię córki.

- Bałam się o siebie. A później o ciebie. –

Uniosła wzrok. - Twój ojciec przecież nie ożeniłby się ze mną, gdyby znał moją przeszłość.

Wyobraź sobie reakcję babki St. Germaine na wieść o tym, że jestem córką Lily Pierron. Każdy, kto wychował się w Nowym Orleanie, słyszał o tych kobietach.

Pochyliła twarz i zaczęła szlochać suchym szlochem bez łez.

- Bardzo się bałam. Nadal się boję. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział. Straciłabym wszystko, Glorio.

- Już dobrze, mam. - Gloria pogłaskała ją po głowie. - Rozumiem. Jeżeli o to ci chodzi, nic nikomu nie powiem.

- Dziękuję - wyszeptała Hope.

- Nikomu nie powiem, ale jej też nie opuszczę. Ona mnie potrzebuje. A ja... jej. Chcę poznać swoją babkę.

Hope patrzyła na córkę przerażona, czując, jak kruszy się mur bezpieczeństwa, który wznosiła przez lata. Odezwały się Ciemności. Wyciągają szpony po jej córkę..

Ujęła dłoń Glorii.

- Skoro tyle o niej wiesz, skoro wiesz, kim i czym jest, jak możesz jeszcze...

- To przeszłość. Rozumiem cię. Nie pochwalam twojego postępowania, ale je wybaczam. Nie mam prawa cię osądzać. - Poszukała wzrokiem spojrzenia matki. - Nawet nie chcę próbować.

Hope mocniej zacisnęła dłoń wokół rąk Glorii.

- Wiem, że byłam dla ciebie bardziej surowa niż inne matki. - Głos zadrżał jej nieznacznie. - Widziałam, jak nisko może upaść kobieta, i bałam się o ciebie. Pragnęłam, żebyś żyła normalnym życiem. Zgodnie z Bożym prawem. Teraz zaś cię proszę, błagam, daj temu spokój. Twoja babka jest niebezpiecznym człowiekiem. To wszystko jest takie niebezpieczne. Obawiam się, że ty... obawiam się jej wpływu na ciebie. Ona gotowa wyrządzić ci krzywdę.



- Jestem dorosła, mam. - Gloria uśmiechnęła się i delikatnie uwolniła dłonie. - Nie mam zamiaru zamienić się w zepsutą kobietę. A Lily jest stara i chora. Nie sprowadzi mnie na złą drogę.

Bestia się nie starzeje, pomyślała Hope. Nie choruje i nie umiera. Gloria o tym nie wie, bo nie zna jej dróg. Nie domyśla się, że przyczajony w niej potwór czeka na swój czas, że nieprzyjaciel krąży jak lew, gotów ją pożreć...

Gdyby Hope powiedziała jej o tym, gdyby powiedziała jej o Ciemności, o Złu, które zagłada w oczy, nie uwierzyłaby. Pomyślałaby, że matka zwariowała.

Na razie nie powie nic. Ale będzie czuwać. I wyrwie ją z tych szponów.

Pożegnała Głorię i z duszą na ramieniu patrzyła, jak jej bezbronna córka zanurza się w noc. Bestia kroczyła w ślad za nią. Widziała to. Czują.

Potem, sama w swojej sypialni, kuliła się w ciemnościach, obłana potem. Bestia nie odeszła, nie usnęła. Pokazywała kły. Tym razem chciała je obie: Hope i Głorię, Nadzieję i Chwałę.

Wbiła paznokcie w dłonie. By wygrać tę walkę, potrzebowała zarówno całej swojej przebiegłości, jak i wytrzymałości. Poprzez Santosa Ciemności zdołały dotrzeć do Glorii. Ta walka będzie próbą ognia. Ostateczną i najtrudniejszą z walk, jakie stoczyła.

Musi zwyciężyć. Ze względu na samą siebie i ze względu na Głorię. Nie da się wyprowadzić w pole. Nie po to przecież całe życie chroniła córkę, wskazywała jej drogę, by teraz ją oddać.

Nienawiść do Santosa paliła jej trzewia. Zapłaci jej za to. Pewnego dnia znajdzie na niego sposób.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Dni miały jeden za drugim, Lily powoli nabierała sił. Santos był przekonany, że sprawiła to Gloria, która prawie nie odstępowała babki. Przychodziła we dnie, przesiadywała przy jej łóżku nocami, trwała przy niej niezmiennie. Trzymała za rękę, przemawiała do niej cicho, czasem słuchała Lily jak zaczarowana albo po prostu wpatrywała się w twarz śpiącej babki.

Santos, niemy świadek tych spotkań, zrazu nie dowierzał Glorii, ale była tak dobra dla Lily, tak wyzuta z wszelkiego egoizmu, tak hojna w ofiarowywaniu siebie i swojego czasu, że powoli zmieniał o niej zdanie. To prawda, w niczym nie przypominała swojej matki. Nie była ani zimna ani, jak tamta, pryncypialna i odpychająca. Nie była zła.

Niekiedy, słuchając jej, wspominał dziewczynę, którą znał wiele lat temu, a wtedy wydawało mu się, że nadal ją kocha.

Wspomnienia te niepokoiły go i pozbawiały chłodnego spojrzenia na świat. Musiał wówczas przywoływać się do porządku. Powtarzał sobie, że nie lubi Glorii i nie interesują go kobiety jej pokroju. Że nic ich nie łączy. Nic poza Lily.

Mieli ze sobą tak niewiele wspólnego, że ich rozmowy ograniczały się do krótkiej wymiany zadań: „Jak ona się czuje?”, „Był już lekarz?”, „Co nowego?”. Pomimo że wspólnie obejrzeni nie najlepszy angiokardiogram Lily - podczas zawału jej serce straciło dwadzieścia pięć procent wydolności, a prawdopodobieństwo powtórzenia się było znaczne - w ogóle o tym nie rozmawiali.

Nie próbowali się też wzajemnie pocieszać. Nie wchodzili sobie w drogę i nie patrzyli na siebie, z wyjątkiem sytuacji gdy Santos po dłuższej nieobecności wracał do pokoju Lily. Wówczas Gloria odruchowo unosiła głowę i posyłała mu uśmiech. Czuł się wtedy tak, jakby sięgała wzrokiem w głąb jego duszy.

Pełen posępnych myśli zaparkował na pierwszym wolnym miejscu, zatrzasnął drzwiczki i szybkim krokiem ruszył w kierunku głównego wejścia do szpitala. Całą noc i rano pracował nad sprawą Śnieżynki i z każdą godziną narastał w nim dziwny niepokój. Bał się, że coś się stało, że stan Lily uległ pogorszeniu. Dzwonił kilka razy do pielęgniarek - Lily albo spała, albo nikt nie odbierał.

Przecież jest z nią Gloria, tłumaczył sobie, idąc do windy. Na pewno dałaby znać, gdyby stan się pogorszył. Na pewno by zadzwoniła. Mimo to ogarniało go irracjonalne uczucie, że stracił Lily.

Dotarł do windy. Gęsto wypełniona, zatrzymywała się na każdym piętrze między pierwszym a szóstym. Wreszcie wydostał się z kabiny i już po chwili stanął przed pokojem Lily.

Z bijącym sercem pchnął uchylone drzwi i zatrzymał się zdumiony. Oczekiwał najgorszego - że na przykład przeszła następny atak i ponownie otarła się o śmierć - tymczasem jego Lily siedziała w pościeli i śmiała się w najlepsze. Chichotała niczym pensjonarka, słuchając opowieści Glorii o którymś z jej szkolnych wyczynów.

Santos odetchnął z ulgą. Nigdy nie widział Lily tak uszczęśliwionej. Od dawna nie słyszał, żeby zaśmiewała się tak radośnie. Potrząsnął głową. Dopiero co przeszła poważny atak serca, a

tu cała promienieje.

Dostrzegła go i posłała mu cudowny, zapierający dech w piersiach uśmiech. Poruszony do głębi, poczuł nieznaną dotąd lekkość. Dawno temu poprzysiągł sobie, że będzie się opiekował Lily, że będzie ją chronił bardziej niż własną matkę. Dotrzymał przysięgi.

- Victor - zawołała, wyciągając do niego dłoń. - Przyszedłeś w samą porę, żeby posłuchać o pierwszym recitalu pianistycznym Glorii.

Podszedł i wziął ją za rękę.

- Nie mogę się doczekać. - Z uśmiechem pocałował ją w policzek. - Wyglądasz cudownie.

- I czuję się cudownie. Doktor powiedział, że niedługo będę mogła wrócić do domu. Może nawet jutro.

- Jutro? - zerknął na Glorię, a ta skinęła głową. - To wspaniale.

- Jestem starym, twardym ptaszyskiem.

- Zgadza się - przytaknął, śmiejąc się. - Nigdy nie popuszczalaś mi cugli.

- Ty łobuzie! - Lily roześmiała się i poklepała go po ręku. - Tak ci popuszczalam cugli, że mało brakowało, a zszedłbyś na złą drogę. - Odwróciła się do Glorii i zaczęła opowiadać, jak to odkrywszy, że Santos wymyka się nocą do dziewczyny, pozamykała wszystkie okna i drzwi, zmuszając go o trzeciej nad ranem do użycia dzwonka. - Był okropnie zdziwiony - mówiła - a ja tylko słuchałam, jak chodzi od okna do okna, sprawdzając wszystkie po kolei. Wreszcie z nietęgą miną stanął przed drzwiami frontowymi.

- Uważałem się za sprytnego - odrzekł wesoło. - Nie miałem pojęcia, że Lily jest

sprytniejsza. Cały czas myślałem, że pomyliłem okna.

Posypały się kolejne anegdoty, żartobliwe wspomnienia, dowcipy. Wreszcie Lily oczy same zaczęły się zamykać.

- Jeżeli chcesz odpocząć - powiedział Santos do Glorii - ja tu posiedzę.

Pokręciła głową.

- Zostanę jeszcze trochę. W hotelu nic się nie dzieje, a gdyby co, mój menedżer wie, gdzie mnie szukać.

- Chciałbym to samo powiedzieć o swoim wydziale - mruknął zniechęcony i zasepił się na moment. Od ostatniego ataku Śnieżynki minęło dziewięć tygodni. Obawiał się, że morderca zniknął z miasta. Nawet media zaczęły spekulować, że gra skończona, przynajmniej w Nowym Orleanie.

Niedoczekanie. Musi dostać tego człowieka, powstrzymać go.

Musi dowiedzieć się, czy to on zamordował jego matkę. Gloria spostrzegła jego ponurą minę.

- Coś się stało? Coś niedobrego?

- Nic się nie stało. I w tym rzecz. Nie rozumiała, o czym mówi.

- Jeżeli musisz iść, powiem Lily...

- Nie, mam trochę czasu. - Podeszedł do drzwi. - Zadzwoń tylko do Jacksona i przyniosę kawę z automatu. Chcesz coś?

- Dzięki. Potem sobie kupię.

- Daj znać, jeżeli Lily się obudzi.

- Dobrze.

Wyszedł na korytarz, uśmiechając się na wspomnienie opowiedzianej przez Lily historyjki.

Tak go rozbawiła, tak serdecznie zaśmiewali się całą trójką, że na chwilę zapomniał o swoim braku zaufania i dystansie do Glorii. O tym, że są wrogami.

- Santos!

Obejrzał się. Korytarzem szła Liz z bukietem kwiatów. Ruszył jej naprzeciw.

- Liz? - Pochylił się i pocałował ją lekko. -  
Co tutaj robisz?

- Przyszłam odwiedzić Lily. - Pokazała na bukiet. - Nie w porę?

- Skądże - uśmiechnął się z przymusem. Nie mówił jej dotąd o Glorii ani o tym, co ją łączy z Lily. Odgadując ewentualną reakcję, postanowił nie poruszać tematu. Powinien był jednak przewidzieć, że Liz przyjdzie do szpitala.

- Jest nieprzytomna? - spytała. - Słyszałam, że już...

- Śpi - przerwał jej i znów się uśmiechnął.

- Och... - Liz wyglądała na rozczarowaną. Zerknęła ponad jego ramieniem na drzwi, z których wyszedł, potem znowu na niego. - Rzadko ostatnio cię widuję.

Santos wsunął ręce do kieszeni.

- Mam urwanie głowy. Choroba Lily, sprawa Śnieżynki, wszystko równocześnie. - Przeprosiny wypadły blado, nawet w jego własnych uszach. Niezależnie od tego, jakie kierowały nim powody, od zawału Lily nie czuł naglącej potrzeby zobaczenia Liz.

- W porządku. Rozumiem. Pamiętam, jak to było, kiedy mój ojciec znalazł się w szpitalu. Nie gniewaj się. Po prostu stęskniłam się za tobą, to wszystko.

Czuł się podle, nie potrafił odwzajemnić jej pragnień, jej czułości i troski. Za bardzo lgnęła do niego, by mógł ją pokochać. Czuł się także w jakiś sposób za nią odpowiedzialny i tego nienawidził jeszcze bardziej.

Wziął ją za rękę.

- Lily wróci do domu i wszystko się uspokoi.

- Jak z nią?

- Dobrzeje. W zadziwiającym tempie.



Zdaniem lekarza jest już na tyle silna, że niedługo ją wypiszą. Być może nawet jutro.

- Żartujesz? To cudownie!

- Niewiarygodne, prawda? A już myślałem, że po niej.

- Cieszę się twoim szczęściem. - Liz uśmiechnęła się, chociaż Santos wyczuwał sztywność w jej zachowaniu.

Podawała mu kwiaty. - Podeślę jej trochę jedzenia. Odezwij się, jak będziesz miał chwilę.

- Jasne. Dziękuję.

- Jeżeli mogę zrobić coś jeszcze... wystarczy, żebyś powiedział.

- Dzięki - powtórzył i skinął głową.

- No nic, muszę wracać do pracy. Interes zaczął się rozkręcać.

- Poważnie? - Santos uśmiechnął się tym razem szczerze. - No i jak się sprzedaje mój tradycyjny hamburger z krowy?

- Tak dobrze, że brakuje rąk. Obawiam się tylko o zdrowie amerykańskich mężczyzn.

Znów się roześmiał - i znów szczerze.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Liz. Powiem Lily, że tu byłaś.

Pocałował ją, tym razem nieco dłużej, delektując się jej zapachem.

- Santos? Ona... obudziła się.

Poderwał głowę i spojrzął przez ramię. W drzwiach szpitalnej sali stała czerwona jak burak Gloria.

- Przepraszam - bąknęła. - Nie wiedziałam, że jesteś zajęty. To znaczy... nie wiedziałam, że nie jesteś sam.

- W porządku. - Santos odsunął się od Liz. - Obudziła się?

- Tak. - Gloria pokręciła głową. - Boże, Liz? Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty.

- Ja - Liz zmrużyła oczy.

- I... co u ciebie?

- Świetnie - odparła. Santos widział, że drży z hamowanej złości. - Ale nie dzięki tobie.

Gloria pobladła. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zamknęła je bez słowa. Santos był za nią całym sercem, chociaż rozumiał, że zasłużyła sobie na takie traktowanie. Wykorzystała i skrzywdziła Liz, niestety.

- Ja... powiem może Lily, że...  
Przepraszam was, zdaje się, że nie powinnam była wychodzić.

Zniknęła w pokoju, a kiedy zamknęły się za nią drzwi, Liz natarła na Santosa:

- Jak mogłeś? - szepnęła. - Myślałam, że nie masz dla mnie czasu ze względu na Lily, lecz chodzi o nią, prawda?

- Nie, Liz. Może tak to wygląda, ale tak nie jest. Pozwól sobie wytłumaczyć...

- Twierdziłeś, że ona cię nie interesuje. Że jej nienawidzisz.

- Bo nie interesuje. Jest tu ze względu na Lily, nie dla mnie.

Prychnęła z niedowierzaniem.

- Oczywiście. Jeżeli mnie pamięć nie myli, nawet jej nie znała.

- Tak było. Do zeszłego tygodnia. - Odetchnął głęboko. - Lily jest babką Glorii.

Liz wpatrywała się w niego przez pełne dziesięć sekund, potem pokręciła powoli głową.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Jak najbardziej poważnie. Lily jest babką Glorii ze strony matki. Dotąd o tym nie wiedziała. Nikt nie wiedział. Jej matka ukrywała to przed nią.

- Nie rozumiem. Jak to? Nic nie wiedziała?

Opowiedział Liz, gdzie i kiedy poznał prawdę o związku łączącym Lily z Glorią, o tym, jak bardzo Lily tęskniła do córki i wnuczki, wreszcie o swojej roli w tym smutnym rodzinnym melodramacie.

- Teraz rozumiem. - Liz spojrzała na drzwi, za którymi zniknęła Gloria, potem

ponownie na Santosa. - A więc ostatnio spędziłeś z nią sporo czasu?

- Z Glorią? Skąd! Przebywaliśmy w tym samym pomieszczeniu, tak należałoby to ująć. Prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiamy.

- A jednak mi o niej nie powiedziałaś. -  
Zniżyła głos.

- Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego?

- Dlatego - rzucił zniechęcony. - Dlatego  
że wiedziałem, jak na to zareagujesz.

- Bałeś się mojej irytacji? Przypuszczałaś,  
że zacznę cię dręczyć podejrzeniami, że będę  
zazdrosna?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak.

Krew napłynęła jej do twarzy. Uniosła  
wyżej głowę.

- Masz mi to za złe, prawda? Pół prawdy  
to tyle, co całe kłamstwo, a okłamywać kogoś to  
tyle, co mówić komuś: „jestem winny”.  
Powinieneś o tym wiedzieć, detektywie.

- Liz, to nie tak...

- Mów prawdę, Santos. Mam powody być  
zazdrosna, podejrzliwa?

- Nie - odrzekł szybko. Za szybko. Choć  
sam nie chciał się do tego przyznać, czuł, że Liz  
ma rację. I że naprawdę ma powody do zazdrości.

- Nie mam?

- Nie masz!

- Twoje usta mówią mi jedno, a oczy  
drugie. - Podniosła rękę, powstrzymując jego  
zaprzeczenia. - Kocham cię, Santos. Wiesz o tym.  
Nie chciałabym cię stracić, ale...

- zaczerpnęła głęboko powietrza. - Ale tak  
dalej być nie może.

- O czym ty mówisz?

- Zdeklaruj się wreszcie. Muszę wiedzieć,  
że jesteś mój. Muszę wiedzieć, że mamy wspólną  
przyszłość.

- Postąpiła krok w jego stronę. - Chcę mieć

dzieci, rodzinę, naszą rodzinę...

Nie było mu łatwo tego słuchać. Z jednej strony chciał spełnić jej pragnienia, nawet obiecać więcej, niż mógł. Czuł się z nią dobrze. Bardzo dobrze. Cenił ją, szanował, podziwiał.

Ale nie kochał. I nie chciał skrzywdzić.  
Odkasznął.

- Sam nie wiem, czego chcę, Liz. Nie jestem pewien, czy... czy tego samego co ty.

Zobaczył łzy w jej oczach i przez moment pożałował swoich słów.

- Dobrze, Santos. Rozumiem. I proszę cię tylko o jedno... Musisz podjąć decyzję. Niekoniecznie teraz. Wiem, że nie jest ci lekko, ale chciałabym, żebyś wziął to pod uwagę. Santos... pomyśl o nas... - Położyła dłonie na jego ramionach. - Myślę, że moglibyśmy być szczęśliwi, ułożyć sobie życie, we dwoje. Nie od razu, ale muszę wiedzieć, że kiedyś tak będzie... Kocham cię – powtórzyła i pogłaskała go delikatnie po policzku. - Wiem, że twoje uczucia nie są aż tak głębokie, ale myślę, że to się zmieni. Nie walcz z uczuciami, Santos. Obiecuję, że cię nie skrzywdzę. I że zawsze będę twoja. Na pewno wszystko się ułoży i będziemy... szczęśliwą rodziną.

Szczęśliwa rodzina. Zawsze chciał mieć szczęśliwą rodzinę. Dlaczego więc nie idzie za nią jak w dym? Położył swoją dłoń na jej dłoni.

- Chciałbym powiedzieć ci to, co chcesz usłyszeć. Ale nie mogę. Nie teraz.

- Rozumiem, ale ja tak nie potrafię. Nie umiem żyć w niepewności, nie chcę karmić się nadzieją. Teraz twój ruch - zakończyła.

Santos skinął głową.

- Dobrze, Liz. Zastanowię się.

Wspięła się na palce, pocałowała go na pożegnanie. Santos patrzył za nią przez chwilę, ale zamiast zastanawiać się nad tym, co właśnie usłyszał, myślał o Glorii. O tym, co czuł, kiedy ją

kochał.

Chmurny wrócił do pokoju Lily. Gloria wyglądała przez okno, odwrócona do niego profilem. Była blada i roztrzęsiona. Spojrzał na Lily. Spała.



- Na długo się obudziła? - zapytał.

- Na kilka minut - odrzekła cicho, nie odrywając oczu od okna. - Pytała o ciebie. Powiedziałam, że zaraz wrócisz.

- Dzięki.

- Santos? - Zerknęła na niego i szybko odwróciła wzrok. - Przepraszam cię... za to przed chwilą. Nie chciałam się wtrącać.

- Wiem. Zapomnijmy o tym.

Znowu zapadła cisza.

- Ty i Liz... jesteście razem? - zapytała po chwili Gloria.

- Spotykamy się czasem. Przygryzła wargę.

- Liz bardzo dobrze wygląda... Wydoroślała, dojrzała.

- Jak my wszyscy.

W jej oczach zalśniły łzy.

- Nie miałam zamiaru jej krzywdzić. Nikogo nie chciałam krzywdzić.

Nie wiedział, czy powinien czuć złość, czy raczej uwierzyć w jej żal i wzruszyć się skruchą?

To iluzja, mówił sobie. Gloria St. Germaine jest twarda, nieczuła, samolubna.

- Nie wątpię - rzucił. - Co jednak nie zmienia faktu, że potrafisz... ranić ludzi.

- Tak jak ciebie?

- Jak mnie.

Irytowała go. Podszedł do niej tak blisko, że musiała odchylić głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- I co? To właśnie chciałaś usłyszeć? Że mnie zraniłaś? Lepiej się teraz czujesz?

- Nie - odpowiedziała z trudem. - Czuję się... jak gównno.

- I dobrze.

Chciał się odwrócić, ale złapała go za  
ramię.

-Ja też wiele straciłam. Płacę cenę...  
ogromną.

Stracił jej rękę.

- Nadal udajesz skrzywdzoną  
dziewczynkę? Serce mi krwawi, och, jak  
krwawi...

- Kawał drania z ciebie. Ty też potrafisz  
być bezwzględny.

- Tak mówią. - Podszedł do drzwi. Zanim  
wyszedł, odwrócił się jeszcze. - Posłuchaj, Glorio.  
Możesz być pewna, że doskonale wiem, jaką cenę  
płacisz. Ja też swego czasu słono zapłaciłem.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Tego dnia Lily znowu obudził słodki śpiew ptaków. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się ze wzruszeniem. Kochana Gloria drzemała na krześle obok łóżka. Te dwa tygodnie, w trakcie których zaprzyjaźniła się z wnuczką, należały do najpiękniejszych w jej życiu. Pragnęła z całego serca, żeby i córka była przy niej, żeby jej wybaczyła, ale rozumiała, dlaczego tak się nie stało. Cóż, przecież już dawno pogodziła się z losem.

Spoglądając na Glorię, uprzytamniała sobie, że już nie boi się śmierci. Jej życie dopełniło się. Dzięki Santosowi, dzięki Glorii, zaznała miłości. Nic innego nie miało znaczenia.

Ból przyszedł nagle. Przeszywający, nie do zniesienia. Podniosła ręce do serca - i nic więcej zrobić już nie mogła.

Ustał tak nagle, jak przyszedł, pozostawiając po sobie cudowne uczucie lekkości i młodości. Naprawdę cudowne uczucie. Zniosła się radosnym dziewczęcym śmiechem. Kiedyś, dawno temu, czuła się dokładnie tak samo, ale nie mogła przypomnieć sobie, kiedy i gdzie to było.

Ptaki nawoływały. Ich śpiew narastał, aż zagłuszył wszystko, wraz z resztkami wspomnień. Lily pojęła, co się dzieje. Odchodzi. Zakończyła życie - by zacząć je od nowa.

Pozostawiła swoje ciało bez żalu. Nie ma żadnego żalu, myślała. Ani lęku, ani smutku, ani bólu. Zawsze zastanawiała się, jak to będzie - unosić się wraz z ptakami, ku niebu, w słońce.

Zaśmiała się znowu, wniebowzięta; szczęśliwa i spokojna.

Jeszcze chwila. Musi się jeszcze pożegnać.

Wyciągnęła dłoń i położyła ją na dłoni Glorii. Pragnęła, by gest ten trwał w nieskończoność, lecz wiedziała, że musi odejść. Gloria poruszyła się, przez jej twarz przemknął uśmiech, ale nie obudziła się.

Kocham cię. Bądź szczęśliwa.

Noc dobiegła końca, rozpoczął się nowy dzień. Wpadające przez okno światło wypełniało pokój oślepiającym blaskiem.

Ptaki wzywały słodko i nieustępliwie.

Jeszcze nie. Musi pożegnać się z Santosem.

Odnalazła go, sama nie wiedząc jak. Wystarczyło, że pomyślała o nim, i już była przy nim. Jakie to niezwykle, pomyślała.

Za życia nie znosiła pożegnań. Przeważnie oznaczały, że coś się kończy, zamyka, odchodzi bezpowrotnie. To pożegnanie wypełnione było słodyczą obietnicy, wiecznym zawsze.

Nie płacz. Nie smuć się.

Tak jest dobrze. Tak jest bardzo dobrze. Najlepiej.

Puściła jego dłoń i spojrzała w Światłość.

Pozwoliła, by ptaki uniosły ją ze sobą.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Pogrzeb był skromny. Zmarłą żegnali Gloria, Santos, Liz, Jackson oraz garstka sąsiadów. Na darmo córka błagała matkę, by i ona przyszła, choćby ukradkiem. Odmowa zaboląła, ale Gloria przyjęła ją z rezygnacją. Pragnęła już tylko jednego: by Hope zdołała wybaczyć Lily.

Podczas ceremonii oczy miała suche - już wcześniej wyplakała wszystkie łzy. Czowała się pusta, zdruzgotana, nie wiedziała, jak ma się podnieść i stawić czoło nadchodzącym dniom, życiu.

Wyczerpana, podniosła rękę do czoła. Czas po przebudzeniu się obok ciała Lily zbił się w jedno bolesne doznanie. Razem z Santosem dopełniła koniecznych formalności. Właściwie tylko mu towarzyszyła, bo to Santos załatwiał wszystko, to on był związany z Lily, to on był najbliższym jej człowiekiem, nie Gloria.

Zrezygnowana, opuściła rękę. Nie potrafiła poradzić sobie ze stratą i dręczącymi wspomnieniami. Przypominała sobie pogrzeb ojca, to, co czuła, stojąc u boku matki nad jego grobem. Słyszała echo słów księdza i swój szloch nad ojcowską trumną. Teraz czuła się podobnie - osierocona, opuszczona, samotna.

Może dlatego, że Lily, podobnie jak ojciec, kochała ją bezwarunkowo.

Z westchnieniem spojrzała na Santosa. On także starał się nie okazywać bólu, widziała jednak jego rozpacz, nieukozone cierpienie. Rozumiała go i była z nim całym sercem.

Oboje kochali Lily.

Po ceremonii Santos zaprosił żałobników na poczęstunek. Skromną stypę urządziła Liz, zdejmując z Santosa obowiązek zadbania o drobiazgi. W czasie spotkania nie odstępowała go na krok, tak jakby należał do niej. Chociaż ani razu nie spojrzała w jej stronę, Gloria wyraźnie czuła niechęć dawnej przyjaciółki.

A później goście, jedni po drugich, zaczęli zbierać się do wyjścia i było już po wszystkim. Liz musiała wracać do restauracji, Jacksona wzywano do biura, sąsiedzi nie chcieli się narzucać.

Gloria, wyczerpana i bliska łez, zabrała się do zbierania talerzy i szklanek.

- Zostaw - poprosił Santos. - Później się tym zajmę. Spojrzała na niego przez ramię. Stał w drzwiach kuchni, wyraźnie wzburzony.

- Dlaczego?

- Później się tym zajmę - powtórzył z niechęcią. – Nie potrzebuję twojej pomocy.

Te słowa zaboląły ją bardziej, niż powinny.

- Żaden kłopot.

Podszedł do niej energicznym krokiem.

- Niby dlaczego, Glorio? Dlaczego chcesz mi pomóc?

- Dlaczego? - spytała bezradnie. - Dlatego, że ją kochałam.

Milczał chwilę ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, wreszcie spojrzał jej prosto w oczy. W jego wzroku było tyle wrogości, że wstrzymała oddech.

- Co, u diabła, ma wspólnego pomoc w zmywaniu naczyń z uczuciami do Lily? Nie mieszkałaś z nią... prawie jej nie znałaś.

Uniosła hardo głowę, choć drżała na całym ciele.

- Wydawało mi się... że ona... mimo wszystko... stała się częścią mojego życia, kimś bardzo ważnym. Chciałam coś zrobić. W jakiś sposób...

Straciła wątek. Zabrakło jej słów. On nie rozumie. Nie chce zrozumieć, nie obchodzą go jej uczucia. Skontaktował się z nią z powodu Lily, nie dla niej samej. Zrobiła swoje i teraz powinna zniknąć z jego życia.

A czego się spodziewała? Że zbliży ich wspólna żaloba? Że będzie ją teraz wspierał i okazywał współczucie? Oczekując wzajemności z jej strony?

Niewiele brakowało, a wybuchnęłyby histerycznym śmiechem. Jakże zmyliła ją uprzejmość, nawet serdeczność, którą jej okazywał. A przecież to nie o nią chodziło. Wszystko robił dla Lily.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Co ma wspólnego pomoc w zmywaniu naczyń z uczuciami do Lily? Uważasz, że tych kilka talerzy bardziej cię do niej zbliży? Ze zmyjesz swoje winy?

- W porządku - odparła zmęczonym głosem. - Chcesz sam sprzątać ten bałagan, bardzo proszę.

Zakręciła wodę, wytarła ręce i ominęła go, by wyjść z kuchni. Poszedł jednak za nią i przy drzwiach chwycił za ramię.

- Do cholery, czekam na odpowiedź, Glorio!

Wytrzymała jego spojrzenie. Była tak wyczerpana, że zobojętniała już na wszystko.



- Nie mam ochoty kłócić się z tobą, przez  
wzgląd na Lily. Puść mnie.

Zamiast usłuchać, ścisnął ją mocniej.

- Nie wymażesz bólu i cierpień Lily. Nie  
zwrócisz jej lat samotności. Już za późno. I to ty  
się spóźniłaś.

Mówił prawdę. Zdawał się czytać w jej  
myślach. Tego właśnie rozpaczliwie pragnęła:  
naprawić błędy, odzyskać stracone lata. Po co  
jednak tak brutalnie uświadamiał jej, że chce  
niemożliwego?

Uwolniła rękę.

- Nie mam powodu czuć się winna. Nie wyobrażaj sobie, że uda ci się tak mnie ustawić. Nie ja zgrzeszyłam, ale moja matka. Ja nigdy tak bym się nie zachowała...

- Twoja matka? Takaś pewna? - Przymrużył oczy.

- Skąd wiesz, że nie jesteś taka jak ona?

Gloria nie wytrzymała. Puściły ostatnie hamulce. Zaczęła okładać Santosa pięściami.

- Ty draniu! Nie wiedziałam, że mam babkę! Byłam okłamywana! Nigdy nie miałam jej poznać!. Nie wiesz nawet, jak to boli! Nie rozumiesz, co czuję, teraz, kiedy straciłam...

Napływające do oczu łzy nie pozwoliły jej dokończyć. Odwróciła się gwałtownie, próbując się opanować. To, czego ona i Santos dopuszczali się teraz względem siebie, było niebezpieczne. Powinni się opanować, odzyskać kontrolę nad emocjami, zanim uczynią coś, czego będą potem żałować. Coś, czego Lily na pewno by nie ścierpiała.

- Nie możemy tak, Santos. - Odsunęła się o kilka kroków i odwróciła twarz. - Wiem, że cierpisz. Bardzo ją kochałeś i brak ci jej teraz - mówiła ze łzami w oczach.

- Ja też ją kochałam. I też mi jej brak. Tak bardzo, że...

- Przestań! - przerwał jej. - Nie wiesz nic o tym, jak się czuję! To, co mówisz, to tylko puste słowa. - Postąpił w jej kierunku, dygocąc z gniewu i bólu. - Ty masz matkę. Rodzinę. Ja miałem tylko Lily. Ona była dla mnie jak matka. Teraz nie mam nikogo. - Pochylił się do Glorii.

- Wracaj, skąd przyszedłeś. I zostaw mnie samego.

Santos potrzebował ofiary. Widziała w jego oczach, że najchętniej, za karę, rozdarłby ją na strzępy. Nie zamierzała sprawić mu tej przyjemności.

- Lily była moją babcią, kochała mnie. - Wbiła w jego pierś wskazujący palec. - Nikomu nie pozwolę tego lekceważyć. A tobie w szczególności nie pozwolę decydować o tym, czy jestem...

- Nie jesteś. - Chwyił ją za rękę i przytrzymał w uścisku. - Nie porównuj szesnastu dni z szesnastoma latami.

- Ty sukinsynu. - Zaciśnęła wolną dłoń na klapie jego marynarki, powstrzymując się od wymierzenia mu policzka. - Nic nie rozumiesz, bo nie chcesz rozumieć. Nie możesz uwierzyć, że naprawdę ją kochałam, bo z nikim nie chcesz dzielić wspomnień o niej. To ty jesteś egoistą. To ty jesteś jak moja matka. Tak jak ona chcesz, bym całe życie czuła się winna. Owszem, popełniłam błędy, ale akurat nie w stosunku do Lily!

- Jesteś pewna, księżniczko? - Pochwycił jej drugą rękę i przyciągnął do siebie. - A może za dobrze cię znam? Zimna, obłudna, kłamliwa suka, oto jaka jesteś! Jak twoja matka. Niezdolna do miłości.

Zawrzała w niej niepohamowana złość. Gloria wydała nieartykułowany dźwięk idący gdzieś z samych trzewi.

- Milcz! - Uwolniła ręce i zaczęła cofać się, ciężko dysząc. - To nieprawda! Nieprawda!

Santos napierał na nią, rozjuszony do ostateczności.

- Prawda. Węszysz wokoło, licząc na swój kawałek tortu. Świetnie, Wasza Wysokość,

oszczędzę ci czasu: nic nie dostaniesz, bo nic nie zostało.

Z bolesnym wyciem rzuciła się na niego tak niespodziewanie, że potknął się i zachwiał. Ona tymczasem kopała go i drapała, waliła łokciami, tłukła pięścią.

- Nieprawda! Kochałam ją! Ale ty tego nie widzisz, bo zaślepia cię gniew, myślisz tylko o sobie! - Trafiła go pięścią w brodę. - Ciebie też kochałam, ty skurwysynu!

Klnąc, złapał ją wreszcie za rękę.

- Nie... nigdy nikogo nie kochałaś.

- Kochałam! Ciebie kochałam! I przez to także cierpię! - Szarpnęła się tak gwałtownie, że obydwójce stracili równowagę. Spleceni, zawadzili o brzeg kanapy i runęli z impetem na podłogę. Santos w jednej chwili przekręcił się, docisnął ją do ziemi i chwycił za włosy.

- Przyznaj się, że nigdy mnie nie kochałaś. Byłem łatwy, co? Miła zabawka dla bogatej, zblazowanej panienki. Potrafiłaś pięknie mówić, to wszystko.

- A czego się spodziewałaś? - krzyknęła. Mocnym szarpnięciem uwolniła nogę i kopnęła go prosto w krocze. Puścił ją, jęcząc z bólu, lecz kiedy usiłowała wstać, ponownie przygniótł ją do ziemi.

- Spodziewałem się, że mi zaufasz - wydyszał. - Że będziesz po mojej stronie.

Przestała się szamotać, zaczęła płakać.

- Miałam szesnaście lat. Straciłam ojca. Straciłam wszystko. Byłam samotna, zupełnie, zupełnie... sama.

- Miałaś mnie. - Ścisnął jej rękę mocniej, jakby chciał ją tym uściskiem ukarać. - Ale to ci nie wystarczało. Dla panienki, która miała wszystko, to za mało.

Kręciła głową, szlochała. Po policzkach ciekły jej łzy.

- Nigdy cię nie miałam. Nigdy mi nie ufałaś. Nigdy mnie nie kochałaś. Nie pragnęłam niczego więcej, tylko żebyś mnie...

Nie dokończyła. Poczowała na wargach smak jego gniewu, rozgoryczenia i żalu. Jego język wdarł się w jej usta. Santos przyciskał ją mocno do ziemi, jakby chciał wymierzyć jej karę, jakby wymuszonym pocałunkiem odbierał zapłatę za przeszłość, za to, że kiedyś go skrzywdziła.

Oswobodził jej rękę i uniósł się na łokciach. Gloria, zamiast wykorzystać tę chwilę, odepchnąć go i uciec, zanurzyła dłonie w jego włosach. Pojęła, że go pragnie, ale nie miało to nic wspólnego z kochaniem się, z namiętnością, z

romansem. Chciała po prostu, żeby ją wziął, żeby wszedł w nią, zaspokoił swój głód.

Mamrocząc przekleństwa, oderwał się od niej zdyszany.

- Do diabła, Glorio, ja...

- Chodź... - Przyciągnęła jego głowę z powrotem. - Chodź - powtórzyła, szukając jego ust, spragniona bliskości po dziesięciu długich, jałowych latach postu.

Wczepiła się w niego kurczowo, w jego ubranie. Zaczął ją rozbierać, choć nie było to łatwe. Miała na sobie sukienkę, rajstopy, bieliznę, wszystko. On zaś był w garniturze, spodniach, koszuli... Guziki trzaskały, szwy puszczały, w końcu zdarł z niej rajstopy i zaraz potem wypełnił ją sobą brutalnie.

Krzyknęła. I po chwili oplotła go nogami.

Kochali się krótko, szorstko, brzydko. Bez pocałunków i pieszczot. W milczeniu. Po dziesięciu latach tęsknoty i nienawiści, po dziesięciu latach nienasyconego pragnienia. Powiedzieli sobie wszystko, co do siebie czuli, nie wypowiadając ani słowa.

Bolało to znacznie bardziej niż słowa. Słowa Gloria mogłaby znieść, ale to?

Gdy było już po wszystkim, odwróciła się na bok. Nie umiała spojrzeć mu w oczy. Zaczęli w gniewie, dali się ponieść namiętności, skończyli z poczuciem żalu. Czują niesmak. Była zawstydzona i upokorzona. Zachowała się jak dziwka, jak suka w rui.

Z całych sił zacisnęła powieki. Jak spojrzeć mu teraz w oczy? Jak spojrzeć we własne odbicie w lustrze?

Santos zaklął pod nosem.

- Przepraszam - powiedział ze skrucłą w głosie.

- Nie przepraszaj - rzuciła szorstko.

- Dlaczego? Zachowałem się jak... - nie dokończył i znowu zaklął. - Zdarzyło mi się to pierwszy raz.

- Nie chciałeś... to ja... - słowa nie chciały przejść przez zdławione płaczem gardło. Gloria odwróciła się na plecy i zakryła ramieniem oczy. -

Bardzo mi... wstyd.

Nic nie odpowiedział. Milczeli przez chwilę, w końcu Santos odkaszlnął:

- Jeszcze raz przepraszam.

Odsłoniła oczy i spojrzała na niego niepewnie.

- Przestań z tym przepraszaniem. Raz przeprosiłeś i wystarczy.



Podniosła się, chcąc wstać, lecz przytrzymał delikatnie jej ramię.

- Nie rozumiałaś mnie. Miałem na myśli... nie tylko to, co się teraz stało. Przepraszam cię za to, co mówiłem wcześniej. Przykro mi, nie chciałem.

Odwróciła szybko wzrok, nadal wzburzona.

- Zapomnijmy o tym - powiedziała.

- Nie.

W oczach Santosa nie było ani usprawiedliwiania się, ani potępienia, ani gniewu. Przypominał jej teraz chłopca, którego знаła kiedyś.

- Powiedziałas wcześniej, że nie chcę cię wysłuchać. Że nie wierzę ci, bo zaślepiła mnie złość i poczucie krzywdy - mówił, szukając jej wzroku. - Teraz cię wysłucham. - Zawahał się, usiłując starannie dobierać słowa. - Powiedz, dlaczego kochałaś Lily? Naprawdę chciałbym wiedzieć, dlaczego.

Zaniemówiła z wrażenia i dopiero po chwili udało się jej odzyskać głos.

- Ponieważ ona mnie kochała. Potrzebowała mnie. - Spojrzała mu w oczy. - Potrafisz to zrozumieć?

Skinął głową.

- Gdy dałeś mi Lily, a z nią część mojej przeszłości, miałam wrażenie, że przywracasz mi część mnie samej. Część, której istnienia nie podejrzewałam. Z chwilą, kiedy po raz pierwszy ujrzałam swoją babkę, poczułam, jak bardzo jesteśmy ze sobą związane. A kiedy zobaczyłam dom, poczułam, że to moje miejsce.

- Może tylko chcesz tak czuć.

Pokręciła głową.

- Nie, to uczucie było zbyt silne, pojawiło się zbyt nagle. - Wzruszyła ramionami. - Kiedy ją poznałam, poczułam się w jakiś sposób... spełniona, jakby pojednana ze sobą. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie jest.

Bezwiednie, jak się Glorii zdawało, zaczął wodzić palcami po jej udzie. Nie zwróciła mu uwagi, nie chciała, żeby przestał.

- To, że byłeś z nią do końca, było dla niej bardzo ważne. Odeszła szczęśliwa i to ty dałeś jej szczęście.

W głosie Santosa usłyszała podejrzenie bolesny ton.

- Nie, Santos, ty byłeś jej szczęściem.

Uniosła się i dotknęła jego policzka, po czym położyła na nim całą dłoń. Przesunęła palcem wskazującym po silnie wystającej kości policzkowej, z pewnym zdumieniem uświadamiając sobie, jak żywe nadal są w jej pamięci wspomnienia sprzed lat.

Opuściła dłoń z ociąganiem.

- Miałeś rację. Nie można porównywać szesnastu dni do szesnastu lat. Dałeś jej znacznie więcej niż ja.

- Byłem wściekły, kiedy to mówiłem.

- Wiem - uśmiechnęła się.

Jego błądzące po jej udzie palce przesunęły się wyżej. Zrobiła się wilgotna i ciepła. Zapragnęła go ponownie, mocno, aż do bólu, ale tym razem nie chodziło już tylko o seks. Pragnęła ciepła, wspólnoty i miłości.

Na wpół podniecona, na wpół spłoszona, stłumiła jęk. Usiadła i sięgnęła po sukienkę.

Popatrzył na nią.

- Co się stało?

- Nic. - Policzki paliły ją ze wstydu. -  
Przed chwilą... po prostu... nic takiego.

- A jednak. - Ujął ją pod brodę i  
przybliżył do swojej twarzy. - Po tym, co między  
nami zaszło, nie powinnaś przejmować się tym, co  
myślę.

Policzki piekły ją niemiłosiernie.

- W porządku. Mogę cię o coś zapytać?

- Pytaj, chociaż nie obiecuję, że  
odpowiem.

- Możemy spróbować jeszcze raz? -  
Zrobiła niespokojny gest. - Jeszcze raz, od  
początku?

- Co jeszcze raz? - Zmarszczył brwi.

-No, wiesz... - Czuła się idiotycznie. - Zresztą, nie ma o czym mówić. - Wciągnęła sukienkę przez głowę i przeczesła włosy palcami. - Chyba powinnam już iść. W hotelu na mnie czekają.

Chwycił ją za rękę i szarpnął. Zatoczyła się na niego i popatrzyła zdziwiona w jego oczy.

- Miałaś na myśli... to?

Pocałował ją namiętnie, zagarniając jej usta już bez gniewu. Kiedy zaś uniósł głowę, z trudem wykrztusiła jedno słowo:

- Tak.

Santos wpatrywał się w nią z gorzkim uśmiechem.

- Nie da się cofnąć czasu, Glorio. Bardzo bym chciał, ale to niemożliwe. Nie widzę przed nami żadnej przyszłości.

- Wiem - odrzekła cicho, chociaż poczuła się podle. - Przeszłość jest nie do odzyskania, wspólna przyszłość nie istnieje. Ale nie chciałabym, żeby tak się skończyło nasze spotkanie. Przytul mnie. Ty przecież też tego chcesz.

Objął ją, przygarnął do siebie, głaskał i całował. Zdjął z niej sukienkę, pieścił każdy centymetr jej ciała, każde wgłębienie i wypukłość. Przeszłość, smutne wspomnienia, oczekiwania co do przyszłości - wszystko to na ten czas zniknęło. Byli tylko oni - Santos i Gloria, ciało, dotyk, rozkosz i spełnienie.

Gdy leżała później na plecach, wpatrując się w sufit, pomyślała ze smutkiem, że jednak nie jest im tak jak przed laty. Kiedyś właśnie miłość przynosiła im zaspokojenie. Nie seks. Tym razem po akcie pozostała pustka. Smutne i bolesne.

Zacisnęła powieki. Dlaczego to zrobiła?  
Dlaczego pozwoliła sobie na taką popędliwość?  
Zdawało się, że ostatni raz takie szalone pomysły  
miała dziesięć lat temu...

Dziesięć lat temu. W przeddzień śmierci  
ojca.

Poczuła nagle wyrzuty sumienia. W  
oczach stanęły jej łzy. Tak nisko upadła.  
Zbeczczyła pamięć ojca, ale nie dlatego, że była  
z Santosem, lecz dlatego że postąpiła  
nieobliczalnie, dała się ponieść emocjom.

Wyciągnęła rękę po leżącą obok sukienkę.  
Dobry Jezu, nawet się nie zabezpieczyli! Aż tak z  
nią źle?

Niechciane wspomnienia dławiły gardło -  
słodczych ich pierwszej wspólnej nocy, tamte  
pragnienia, oczekiwania wobec przyszłości.

Tak bardzo go wtedy kochała. Nie  
wyobrażała sobie życia bez niego, nie mówiła o  
niczym innym, tylko o nich dwojgu. Była  
młodziutka, samowolna i uparta, niczego się nie  
bala, o nic nie musiała się martwić.

I za swoją lekkomyślność zapłaciła  
straszłą cenę.

Westchnęła. Santos drgnął i poczuła na  
sobie jego wzrok.

- Coś nie tak? - spytał.
- Co masz na myśli?
- Westchnęłaś.

Co mogła mu odpowiedzieć? Ze wolałaby  
być wszędzie, tylko nie tutaj?

- Było wspaniale, Santos - stwierdziła  
krótko. - Nie martw się o swoją reputację.
- Dlaczego miałbym się martwić?
- Typowe. Ty niczym się nie martwisz.

- Fakt.

- Powinam była wiedzieć. Uniósł się na łokciu.

- Szukasz zwady? - zapytał z ponurym uśmiechem.

- Nie przerzucaj na mnie swoich żalów. Mam własne problemy.

- Zapewne. - Usiadła, zmuszając go do odsunięcia się.

- Muszę już iść.

- Idź.

Zacisnęła dłonie. Znowu ją zranił.

- Wiesz co? Myślę, że jednak cię nienawidzę. Przez chwilę nie odpowiadał, wreszcie usłyszała:

- Ja ciebie też.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Po wyjściu Glorii Santos długo leżał na podłodze, rozmyślając o tym, co powinien był zrobić, a co zrobił źle. Czuł niesmak do samego siebie. Usiadł w końcu i przesunął rękami po włosach. Co mu się stało? Nie wystarczyła mu lekcja, jaką mu ta kobieta dała dziesięć lat temu? Jeszcze było mu mało?

Najwidoczniej.

Jęknął. I co teraz? Co z resztą dnia, co z jutrem, z następnymi dziesięcioma latami? Cholera. Myślał, że nienawidzi Glorii, ale chyba jeszcze bardziej nienawidził samego siebie.

A Liz? Co z Liz?

Przesunął dłonią po twarzy. Co jej powie? „Nienawidzę Glorii, ale musiałem ją przelecieć”? A może: „Lubię cię i szanuję, ale z nią przespałem się dwa razy, no i - cholera - było mi dobrze. Nawet bardzo”?

Nie podobał się sobie. Czuł do siebie wstręt. Dupek pieprzony. Tym razem naprawdę przesadził.

Opadł z powrotem na dywan. Poczul zapach perfum Glorii i wściekł się, że intensywna woń uderza mu do głowy niczym mocne wino. Prawda była taka, że czy chciał, czy nie, z Liz nie mieli przed sobą żadnej przyszłości. Ona oczekiwała od niego czegoś, do czego nie był zdolny. Gotowa była mu ofiarować coś, za czym nie tęsknił.

Czego więc chciał? Tego, co dawała mu Gloria?

Jezu, nie.

Może gdyby jej nie poznał, gdyby nie wiedział, jak silna i głęboka może być namiętność do kobiety, Liz miałyby jakieś szanse? Gdyby nie przeżył z Głorią tej seksualnej ekstazy, wówczas „dobre i miłe” doznania z Liz byłyby wystarczające?

Stało się jednak inaczej i nie mógł już tego cofnąć. Nie podobało mu się to. Nie podobało mu się, że porządna, uczciwa, zakochana w nim kobieta będzie cierpieć z jego powodu. Nienawidził siebie zwłaszcza za to, że nie potrafił poprzestać na tym, co na pewno było dla niego dobre.

Ale Liz zasługiwała na więcej, niż mógł jej dać. Zasługiwała na wszystko, co najlepsze.

Dzwonek telefonu wybawił go od dalszych rozmyślań. Pełen wdzięczności podniósł słuchawkę. Dzwonił Jackson.

- Rusz dupsko, stary, i przyjeżdżaj. Mamy trupa.

- Śnieżynka?

- A któż by?

- A więc ten sukinsyn ciągle tu jest. - Przytrzymując słuchawkę brodą i ramieniem, Santos zbierał ubranie. - Byłem pewien, że prysł z miasta.

- No to trzymaj się, partnerze, bo jest jeszcze lepiej. Tym razem mamy świadka.

Santos zjawił się w biurze w rekordowym tempie. Wpadł do wydziału napompowany adrenaliną niczym pies gończy na tropie. Każdym nerwem czuł specyficzny zapach polowania, był



gotów ruszyć na łowy. Dopadnie drania. Ma go już. Czuł prawie smak zwycięstwa.

Podobnie jak jego koledzy. Powietrze naładowane było energią, jak za każdym razem, gdy w sprawie szykował się przełom. Tym bardziej w takiej jak ta, w której dotąd ponosili same porażki.

Kilku kolegów podniosło głowy na jego widok. Nie

musieli nic mówić, wszystko mieli wypisane na twarzach: „Nie daj dupy, Santos. Tym razem złap gościa. Czas go przywoździć.” Rozumiał ich, byli zależni od jego decyzji. Nie raz wcześniej był na ich miejscu. Odszukał Jacksona i zapytał bez wstępów:

- Gdzie ten świadek?
- Przesłuchania, dwójka.

Po drodze Jackson opowiedział mu detale.

- To Tia, prostytutka. Sama się zgłosiła. Mówi, że zna ofiarę i widziała ją ostatniej nocy, jak rwała klienta, około drugiej. Przyjrzała się facetowi.

- Dawać ją. - Santos zatarł ręce. - Coś jeszcze?

- Tak. Jest nieźle, posłuchaj. Ta Tia, jakieś dwie, a może dwie i pół godziny temu wraca do domu. Przechodzi obok starej mennicy. Tam gdzie znaleźliśmy ciało, rozumiesz? Przechodzi i widzi coś dziwnego. Facet w głębi dziedzińca. Coś wlecze...

- Albo kogoś.

- Albo kogoś. Mamy przybliżony rysopis. Wzrost średni, średnia waga, biały. Na pewno biały.

- Nie przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić?

- Myśl realnie. - Weszli do środka i Jackson rzucił na biurko plik papierów. - Nie była pewna, co widzi. Ale przyszła, kiedy dowiedziała się, że znaleźliśmy jej kumpelkę. Denatka nazywa się... - rzucił okiem w papiery Billie.

- Jesteś pewien, że to robota naszego faceta?

- Nie mam wątpliwości. - Jackson podał

Santosowi teczkę. - Czytaj.

Santos przeglądał kartkę po kartce, każdy szczegół, szukając czegoś nieoczekiwanego, co nie pasowałoby do pozostałych zabójstw. Niczego nie znalazł.

- Jest tylko jeden problem... - odezwał się Jackson.

- No? - Santos spojrzał partnerowi w oczy.

- Zorientowała się, że chodzi o Śnieżynkę, i zamknęła dziób. Odwołała wszystko. Twierdzi, że nic nie widziała.

- Zorientowała się? - Santos zaklął. - Kto puścił farbę?

- Patterson, nasz kochany szef.

- Przypomnij mi, żebym mu dokopał.

- Z przyjemnością. - Jackson wyciągnął rękę po teczkę. - Ona coś nie lubi glin. Ale może tobie się uda? Musisz trochę poczarować.

- W porządku. - Santos skinął głową.

Weszli do pokoju przesłuchań. Dziewczyna stała w głębi, pod ścianą, nerwowo zaciskając palce. Z wyglądu miała jakieś czterdzieści lat, w rzeczywistości prawdopodobnie była młodsza. Ulica dodaje dziewczynom lat. Santos widywał szesnastki, które wyglądały na trzydzieści.

Sprawiła wrażenie wystraszonej. Popatrzyła mu w oczy i maskując strach wyzywającym zachowaniem, zaczęła pierwsza:

- Masz papierosa? Muszę zapalić. Santos skinął i spojrzał na Jacksona.

- Przynieś paczkę dla Tii. Po drodze weź dwie cole. Jackson wyszedł bez słowa. Nie przeszkadzało mu, że przyjaciel potraktował go jak posłańca, to należało do rutyny. Santos znany był z tego, że dokonywał cudów z opornymi świadkami, szczególnie z pracującymi dziewczynami. Ufały mu, ponieważ nie osądzał ich i nie lekcewał. Inni policjanci traktowali je przeważnie jak kogoś gorszego lub oczekiwali darmowych usług. Takich dziewczyny nienawidziły.

- Cześć, Tia - uśmiechnął się i wskazał krzesło. - Siadaj.

Sam przysunął sobie drugie krzesło, okręcił dookoła i usiadł na nim okrakiem. Tia nie

ruszała się spod ściany.

- Jestem detektyw Santos. Facet, który poszedł po fajki, to detektyw Jackson.

Kobieta zmrużyła oczy.

- Santos?

- Zgadza się. - Ponownie się uśmiechnął. -

Victor Santos.

- Pieprz się, Santos.

Uniósł brwi, zdziwiony nieco jadem w jej głosie. Nie żartowała, naprawdę źle mu życzyła. Popatrzył jej w oczy.

- Zaczęliśmy od złej strony, Tia? Może czymś cię obraziłem?

- Powiedzmy. - Popatrzyła na niego z wyraźną wrogością. - Chcę wyjść.

- Jasne, wiem. Zadam ci tylko kilka pytań.

- Odpowiadałam już na wasze pytania. Nic nie wiem.

- Nic? - Otworzył teczkę i rzucił okiem w papiery. - Tu jest napisane, że widziałaś całkiem sporo. Na przykład klienta zbierającego z ulicy twoją kumpelkę, Billie, około drugiej w nocy. Mniej więcej dwie godziny później widzisz w pobliżu mennicy dziwnego faceta...

- Nie widziałam.

Wrócił Jackson z papierosami i colą. Położył na stole otwartą paczkę. Tia spojrzała łakomie, po czym podeszła i schwyciła pudełko. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że dopiero przy trzeciej próbie wreszcie zapaliła i zaciągnęła się głęboko.

Santos obserwował ją przez chwilę, czekając, aż nikotyna uspokoi ją trochę.

- Dlaczego oficer, który spisywał twoje zeznania, miałby kłamać? - zapytał.

- Skąd mam wiedzieć? - Zmierzyła Santosa pełnym obrzydzenia wzrokiem. - Wszystkie gliny kłamią, nie wiedziałeś?

Santos szybko wymienił spojrzenie z

partnerem. Ten także zauważył, że dziewczyna traktuje przesłuchującego wyjątkowo wrogo. O co mogło jej chodzić? Czy akurat do niego ma jakiś żal? O co?

- Bierzesz, Tia? - spytał Santos.

- Odpięprz się. Jestem czysta. Nie możesz mnie zatrzymać. - Zaciągnęła się. - I nic nie widziałam.

- Kłamiesz. Nie wiem tylko dlaczego. Boisz się? Zgniotła papierosa w metalowej popielniczce.

- Mogę już iść?

- Chcemy ci pomóc. Dziewczyna nie żyje. Była twoją przyjaciółką. Możesz nam pomóc przyskrzynić tego gościa.

Tia uciekła wzrokiem, lecz i tak zdążył dojrzeć w jej oczach śmiertelne przerażenie.

- Powiedziałam już wam, że nic nie widziałam. - Objęła ramiona dłońmi. - Znam prawo, nie możecie mnie aresztować.

- Nie rozumiesz, że możesz być następna?

- Santosa zaczynał irytować jej upór. - Facet skuma, że coś wiesz, i po tobie. Będziesz bezpieczniejsza, jeśli nam pomożesz. Uspokój się i...

- A co? Dacie mi ochronę? - Zerwała się z krzesła. - Policyjną ochronę dziwce? Jasne. Chcecie, żebym mówiła, a potem mnie zostawicie. Gównu was będę obchodzić.

- Nieprawda. - Santos wstał. - Nie chcę, żeby zginęła jeszcze jedna dziewczyna. Nie chcę, żebyś ty zginęła, Tia. Posłuchaj... - zaczął, włożywszy ręce do kieszeni z udaną nonszalancją - Porozmawiajmy... o czymkolwiek. Poznajmy się lepiej. Jeżeli potrzeba ci czegoś...

- Nie pamiętasz mnie, prawda? - Nieleddie plunęła w niego tymi słowami. - Nawet się nie domyślasz! - Była tak wzburzona, że jej oczy zdawały się miotać iskry. Machnęła ręką. - No pewnie, niby skąd? Poszedłeś sobie i o mnie



zapomniałeś.

- Gdzieś się spotkaliśmy? - Santos  
pokręcił głową. - Wybacz, Tia, ale nie pamiętam.  
Znam mnóstwo dziewczyn z Dzielnicy...

Parsknęła nerwowym, bezradnym  
śmiechem.

- Wtedy nie byłam dziewczyną z  
Dzielnicy. A ty nie byłeś... świnią!

Przechyliwszy lekko głowę, przyglądał się jej uważnie, ale nikogo mu nie przypominała.

- Nie wiem, spróbuj odświeżyć mi pamięć.

- Mam na imię Tina. Dotarło? Tina - powtórzyła i zarzuciła na ramię torebkę, ruszając do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymała się i jeszcze raz spojrzała mu w oczy. - Złóż to sobie do kupy, detektywie.

Przez chwilę miał w głowie pustkę, nagle jednak zupełnie nieoczekiwanie powróciło wspomnienie nocy, kiedy zginęła jego matka. Przypomniawszy sobie dziewczynę, którą poznał w opuszczonej szkole na Esplanadzie.

Tina? Nie mógł uwierzyć. Mała, przerażona uciekinierka. Czy to możliwe? Przypomniawszy sobie tamtą dziewczynę, wystraszoną i bezbronną. Jej łzy i ich pocałunek. Z całych sił Ignęła do niego, tak strasznie się bała, że zostawi ją samą...

Przypomniawszy sobie, co jej obiecał: „Wrócę po ciebie, Tino. Jutro, obiecuję. Wrócę jutro...”

Nie było jutra. Dwadzieścia minut później cały jego świat legł w gruzach. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o doznanej stracie.

Teraz spojrzał na nią, przytłoczony wspomnieniami, zasmucony odmianą jej losu. Przepraszał ją wzrokiem. Jemu powiodło się znacznie lepiej.

- No i co? - powiedziała cicho. - Nigdy już, gnojku, nie wróciłeś. A ja czekałam. Czekałam długo... - zamilkła, szarpnęła za klamkę i wyszła.

- Zatrzymam ją. - Jackson poderwał się z krzesła.

- Nie. - Santos przytrzymał go za ramię. -  
Niech idzie. W razie czego wiemy, jak ją znaleźć.

Zawiedziony Jackson pokręcił głową.

- Szkoda. Miła dziewczyna.

- Była miła - odparł ponuro Santos. -  
Kiedyś to była naprawdę miła dziewczyna.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Oficer dyżurna skierowała Liz na trzecie piętro, do wydziału zabójstw. Liz uśmiechnęła się do niej i wymieniła z nią kilka uprzejmych uwag.

Biurko Santosa stało na samym końcu wielkiej hali. Mijała kolejne stanowiska, ci, co ją poznawali, uśmiechali się do niej i kiwali głowami. Odpowiadała na pozdrowienia, z trudem opanowując wewnętrzne drzenie. Czuła, że stało się coś złego.

Ostatni raz widziała się z nim na pogrzebie Lily. Trzy dni temu. Dzwoniła do niego kilkakrotnie, za każdym razem wyczuwając dystans w jego głosie, a nawet pewną niechęć. Oczywiście tłumaczył jej, że to nic, że nie ma powodu do zmartwień. Usprawiedliwiał się nadmiarem zajęć i brakiem czasu.

Za bardzo się tłumaczył.

Czyżby chciał się z nią rozstać? Pokręciła głową. To nie to. Po prostu w sprawie Śnieżynki nastąpił przełom. Santos pracował prawie na okrągło.

Albo tylko tak twierdził.

Skarciła się za takie myślenie. Przecież Santos przeżywał trudny okres. Lily była jedyną bliską osobą w jego życiu, jedynym oparciem. Po jej śmierci musi się czuć opuszczony i zagubiony. Nic dziwnego, że szuka ucieczki w pracy. Jego stan na pewno nie ma nic wspólnego z nimi, z tym, co ich łączyło.

W przypiływie paniki mocniej ścisnęła pasek torby. Santos nie rozumiał, że właśnie ona jest w stanie wypełnić pustkę po Lily. Nie

pojmował, że mogą stworzyć rodzinę, w której znajdzie oparcie podobne temu, jakie miał w Lily. Nie rozumiał, że tego właśnie mu trzeba. Że potrzebuje jej - Liz.

Minęła przepierzenia i wreszcie go zobaczyła. Siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon. Obok z ponurym wyrazem twarzy stał Jackson.

Zatrzymała się, zachłanna, zaborcza i niepewna. Już sam widok Santosa poruszał ją do głębi. Tak bardzo go kochała.

Gdyby go straciła, co by się z nią stało?

Pierwszy dostrzegł ją Jackson. Uśmiechnął się na powitanie i kiwnął głową do Santosa. Santos podniósł wzrok. Przez mgnienie oka wyglądał jak człowiek, który wpadł w potrzask. Jak zwierzę z nagła oślepienie reflektorami nadjeżdżającego auta. Serce podeszło jej do gardła, ale przemogła narastającą obawę. Wszystko będzie dobrze, musi być dobrze.

- Cześć - z pogodnym, choć wymuszonym uśmiechem podeszła do biurka i pokazała koszyk.

- Pomyślałam, chłopcy, że jesteście głodni.

Santos wstał na powitanie, jednak nie pocałował jej. Unikał także jej wzroku, jakby czuł się winny.

- Bardzo miło z twojej strony, Liz. Dzięki.

Z bijącym sercem postawiła koszyk na skraju biurka. Dlaczego na nią nie patrzy? Odwróciła się zdesperowana do Jacksona.

- Wiem, jak to jest, kiedy prowadzi się taką sprawę.

- I kiedy pracuje się z maniakiem - dodał ze śmiechem Jackson. - Nie da odetchnąć. Ten świr ciągle myśli, że ma dwadzieścia lat i

pociągnie na samej kawie.

- Rzeczywiście jesteśmy mocno zajęci - mruknął Santos, ignorując dowcipy przyjaciela. - Szkoda, że nie za dzwoniłaś, Liz. To nie jest... najlepsza pora.

Stało się. Ciężkie, bolesne słowa zostały wypowiedziane i nikt nie miał wątpliwości, co naprawdę znaczą. Jackson spojrzał zdziwiony na Santosa, po czym odchrząknął.

- Muszę zadzwonić. Dzięki za żarcie, Liz. Pogadamy później.

Na pewno. Jeżeli go jeszcze zobaczy. Bąknęła Jacksonowi coś na do widzenia i odwróciła się do Santosa.

- Co się dzieje?

Westchnął. Wciąż unikał jej wzroku.

- Chciałem do ciebie zadzwonić. Musimy porozmawiać, ale... nie teraz i nie tutaj.

Wpatrywała się w niego z napięciem, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Prawda spadła na nią niespodziewanie i boleśnie: to Gloria. Chodzi o Głorię. Znowu.

- Spałeś z nią, tak? - wydusiła przez ściśnięte gardło.

Wyglądał tak komicznie, jakby został złapany na gorącym uczynku. Gdyby nie czuła się tak podle, parsknęłaby śmiechem.

Wziął ją pod ramię.

- Chodźmy stąd gdzieś i porozmawiajmy na osobności.

Wyszarpnęła rękę. Łzy zakręciły się w jej oczach.

- Spałeś z nią? - Podniosła głos. - Powiedz, że to nieprawda. Powiedz, że nie zrobiłeś tego.

- Nie mogę - odrzekł cicho. - Przykro mi.

Nie chciałem cię skrzywdzić, Liz.

- Boże... Po tym wszystkim? Po tym, co nam zrobiła... poszedłeś z nią do łóżka?

- Nie chciałem. Nie planowałem tego -  
zniżył głos. - Po prostu... stało się.



- I co teraz? Mam się poczuć lepiej po takiej informacji? - zapytała ze Izami w oczach. - Podziękować ci za szczerość? Po prostu... - zaśmiała się przez łzy - po prostu cię poniosło, tak? Wcale mi nie jest lepiej!

Santos próbował ponownie wziąć ją pod ramię, lecz uchyliła się przed jego dotykiem.

- Liz, naprawdę jest mi przykro.

- Przykro! - powtórzyła głosem pełnym goryczy.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? - Podniosła głowę.

- A może chciałeś sypiać z nami dwiema?

Santos rozejrzał się z zakłopotaniem.

- Chryste, to nie miejsce na takie rozmowy. Liz, proszę, chodźmy gdzieś, gdzie naprawdę będziemy mogli porozmawiać.

- Po co? O czym mielibyśmy rozmawiać?

- Nie chciałem cię skrzywdzić. To ostatnia rzecz, jakiej mógłbym chcieć. - Na moment odwrócił wzrok.

- Powiedziałem prawdę. Stało się, już tego nie zmienię.

- I pewnie zaraz powiesz, że to była pomyłka, błąd, żebym o wszystkim zapomniała? Że chcesz, żebyśmy dalej byli razem, tak? - Nie potrafiła ukryć, że ma jeszcze wątplą nadzieję, że Santos przytaknie. Jeśli nadal jej pragnął, jeśli chciał z nią być, gotowa była mu wybaczyć nawet zdradę.

Nie odpowiedział. Jego milczenie było jednoznaczne. Liz poczuła się jak kretynka. Niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie otworzyła się przed nim.

- Nie powinnam była ci ufać. Nie

powinna była wierzyć, kiedy zapewniałeś, że ona cię nie obchodzi.

- Bo mnie nie obchodzi. Zrozumiałem tylko, że nam się nie uda.

- Nam?

- Nam, tobie i mnie. Wcześniej czy później odszedłbym od ciebie. A przecież... nie chcę cię krzywdzić, Liz, naprawdę.

Liz coraz bardziej nienawidziła tej kobiety. Gloria St. Germain odebrała jej szansę zdobycia wykształcenia, przekreśliła jej przyszłość. A teraz ukradła mężczyznę, którego Liz kochała nad życie. Jaki łup jeszcze weźmie? Restaurację? Powietrze, którym oddycha?

Jakby czytając w jej myślach, Santos ujął ją za ramię i delikatnie odwrócił do siebie.

- Uwierz, Liz, ona nie ma tu nic do rzeczy. To tylko nasza sprawa, wyłącznie nasza. W naszym związku Cze goś brakuje. Gloria nie ma z tym nic wspólnego.

Walczyła ze łzami, walczyła z całych sił, by nie dać się upokorzyć jeszcze dotkliwiej. Gdyby wiedziała, że przekona go błaganiami, klęczałaby przed nim teraz. Ale i to byłoby na nic.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- I co teraz, detektywie?

- Cholernie mi przykro, Liz. Tak strasznie głupio. Nawet nie wiesz jak. Chciałbym... chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- Santos, o czym ty mówisz? Ja chcę być z tobą na zawsze, oddaję ci swoje życie, a ty proponujesz... - urwała.

- Przepraszam. - Wyciągnął rękę, odtrąciła ją.

- Gdybyś naprawdę nie chciał mnie skrzywdzić, nigdy więcej byś się z nią nie zadał. Opowiadałeś, jak bardzo jej nienawidzisz, ile bólu ci sprawiła... Kłamałeś. Wszystko, co mówiłeś, było kłamstwem.

- Nie - pokręcił głową. - Nigdy cię nie okłamałem, Liz. Nigdy.

- Mnie nie. Okłamywałeś samego siebie. - Otarła łzy kantem dłoni. - Nie chcę dłużej z tobą

rozmawiać. Nie chcę cię widzieć. I nigdy nie  
wybaczę tego... co mnie spotkało. Ani tobie, ani  
jej.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

W ostatnim dniu życia Lily zmieniła testament. Jak na ironię, River Road House zapisała Glorii, zaś resztę majątku pozostawiła Santosowi. Dla niego był to cios - nie dlatego, by uważał, że zasłużył sobie na ten dom. On ten dom kochał.

Myślał o nim jak o swoim domu.

Wpatrywał się ze zdumieniem w adwokata, choć wiedział, że dobrze usłyszał. Mimo to nie wierzył własnym uszom.

River Road House należy teraz do Glorii. Nie będzie już mógł tam przyjeżdżać w poszukiwaniu spokoju.

Popatrzył na Glorię. Była zaskoczona nie mniej niż on. W pewnym sensie nawet przytłoczona nieoczekiwaną schedą. Poczula na sobie jego wzrok, podniosła głowę i posłała mu przepaszające spojrzenie.

Nie potrzebował jej współczucia. Już i tak się przed nią odsłonił w dniu pogrzebu, kiedy poszli razem do łóżka. Od tamtego czasu pragnął jej jeszcze bardziej. Pragnął beznadziejnie i nic nie mógł z tym zrobić. Gloria St. Germain była poza jego zasięgiem.

Dwadzieścia minut później opuścili elegancką kancelarię adwokacką w centrum miasta i ruszyli do wind.

- Gratuluję - mruknął Santos.

- Dziękuję. - Gloria splótła palce nerwowym gestem. - Nie spodziewałam się tego. Ty chyba też. Przykro mi.

- Nie ma o czym mówić. - Wsiedli do kabiny, Santos nacisnął guzik parteru. - I tak nie wiedziałbym, co zrobić z takim spadkiem.

- Mógłbyś sprzedać dom.

- Nie, tego na pewno bym nie zrobił. Ale też nie stać by mnie było na utrzymanie takiej rezydencji. Z pensji gliniarza? Lepiej się stało, że przypadł tobie.

Dotknęła jego rękawa i zaraz, zmieszana, cofnęła rękę.

- Wiem, jak bardzo był ci drogi. Wiem, że... chciałeś go dostać.

- Skąd wiesz? Czyżbyś czytała w ludzkich myślach?

- Nie muszę. - Odwróciła na moment oczy. - Tego dnia, kiedy zawiozłeś mnie na River Road, widziałam to w twojej twarzy. Widziałam też, z jaką miną wysłuchałeś dzisiaj testamentu.

Za dużo widziała. O wiele za dużo. Jak zawsze. Z trudem przełknął ślinę. Wzruszył ramionami, udając obojętność.

- Ty lepiej zadbasz o ten dom, więc wszystko w porządku.

Winda zatrzymała się na parterze. Przeszli przez wyłożony zielonym marmurem hol i stanęli na chodniku przed wejściem.

- Coś mnie jednak w tym zastanawia... - odezwała się Gloria, bardziej do siebie niż do Santosa.

- O co chodzi?

- Wiele lat temu moja matka spłaciła długi hotelu z jakichś rodzinnych zasobów. Wtedy nic nie wiedziałam o zadłużeniu. Dowiedziałam się dopiero, kiedy zaczęłam prowadzić St. Charles. Chodziło o dużą sumę. Nie poddawałam w

wątpliwość wersji matki, w końcu pochodzę z zamożnej rodziny, ale...

- Ale jedyną rodziną Hope była Lily.

- Właśnie. - Pochyliła głowę w zamyśleniu. - Skąd zatem matka wzięła te pieniądze?

Santos zmarszczył brwi.

- Ile dokładnie wynosiła ta suma?

- Mogę to sprawdzić. - Gloria zmarszczyła brwi, starając się przypomnieć sobie szczegóły. - Na pewno kilkaset tysięcy dolarów. Cztery... Nie, raczej pięćset.

Pięćset tysięcy dolarów. Suma, która pozwala całkiem wygodnie żyć z samych odsetek.

- Kiedy to było? - zapytał. - Pamiętasz?

- Dziesięć, prawie jedenaście lat temu. Tego roku, kiedy... - Zarumieniła się i odwróciła głowę. - Tego roku, kiedy zginął ojciec.

A więc w 1984. Poznał wtedy Glorię. Dowiedział się, że Lily była matką Hope. Tego też roku Lily ni stąd, ni zowąd zaczęła mieć kłopoty finansowe.

Zmarszczył czoło. Aż do końca sama zajmowała się swoimi finansami. Nie zadawał jej żadnych pytań, nie próbował wnikać, ile ma na koncie. To były jej sprawy.

A jednak dziwne mu się zdawało, że aż do tamtego roku Lily sprawiała wrażenie więcej niż zamożnej. Nie martwiła się o budżet i pozwalała sobie na wszelkie zachcianki. I oto raptem, właśnie w osiemdziesiątym czwartym, wszystko uległo radykalnej zmianie. Zauważył to kilka miesięcy po zerwaniu z Glorią. Lily zaczęła obliczać starannie swoje wydatki, przestała przekazywać pieniądze na cele dobroczynne, zrezygnowała z luksusów, jak jadać poza domem czy najlepsza kosmetyczka w mieście.

Powoli zaczynał rozumieć. Lily kosztem własnego dostatku wspomogła córkę. Przecież on sam dostarczał tajemnicze przesyłki Hope St. Germaine. Po zdradzie Glorii zapomniał o



wszystkim, ale też był niemal pewien, że przekazywał wówczas pieniądze. Jeżeli tak, to w jaki sposób rewanżowała się Hope? Czym? Kartką z podziękowaniem? A może czymś więcej?

- Co ci jest, Santos? Dziwnie wyglądasz?

Ocknął się z zadumy, rzucił Glorii krótkie spojrzenie i pokręcił głową.

- Zamyśliłem się. - Zmusił się do obojętnego uśmiechu. - To był bardzo długi poranek.

Pchnął jedno skrzydło szklanych drzwi i przepuścił ją przed sobą. Zaczęło mżyć. Santos podniósł kołnierz marynarki.

- Gdzie zaparkowałaś?

- Za skrzyżowaniem.

- Ja tutaj. Podwieźć cię?

Po chwili wahania pokręciła głową.

- Dzięki, to niedaleko.

- Skoro tak, pożegnam cię.

- Oczywiście.

Odwrócił się jeszcze, słysząc, że go woła.

- Jak myślisz - spytała - skąd moja matka miała pieniądze?

Uśmiechnął się w duchu. Właśnie zamierzał to wyjaśnić. Wzruszył ramionami, nie dając poznać, o czym myśli.

- Nie mam pojęcia, Glorio. Dlaczego nie zapytasz jej wprost?

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Hope przypatrywała się Santosowi z narastającą odrazą. Lustrowała go z zimnym uśmiechem, nie próbując nawet ukrywać uczuć, jakie do niego żywi.

- Czym mogę służyć, detektywie? - zapytała. - Rozumiem, że jest pan tutaj służbowo?

Uniósł brwi, kąćki warg zadrżały mu z rozbawienia.

- Tak zaanonsowała mnie gospodyni? Nie mam pojęcia, jak na to wpadła. Z przykrością muszę powiedzieć, że nie. Moja wizyta ma charakter całkowicie prywatny.

Zesztywniała. Ten ton przewagi w jego głosie, to widoczne rozbawienie... Nie namyślając się długo, wskazała mu drzwi.

- W takim razie proszę wyjść.

- Nie wydaje mi się, żeby naprawdę pani tego chciała.

- Nieproszony, postąpił kilka kroków i rozejrzał się z ciekawością. - Miła chatka.

Hope zacisnęła dłoń. Pomyśleć, że musi go znosić tylko dlatego, że jest oficerem policji. W przeciwnym razie mogłaby go...

- Nie mam panu nic do powiedzenia - wycedziła.

- Zobaczymy. - Zajrzał jej w oczy, spoważniał.

- Wiem o czymś, co na pewno panią zainteresuje.

- Wątpię, czy cokolwiek, co pan ma do powiedzenia, może mnie zainteresować. - Splotła

ręce na piersiach.

- Ale skoro pan nalega, daję panu minutę.

- Rzeczywiście, nalegam - uśmiechnął się krzywo.

- Słyszała pani, że Lily umarła?

- Owszem - powiedziała tonem, który miał nie pozostawiać wątpliwości, jak mało ją to obchodzi.

Santos zacisnął wargi.

- Zostawiła Glorii w spadku dom. Dom, w którym się wychowałaś, Hope St. Germaine. O tym też już wiesz?

Wiedziała. Gdy Gloria powiedziała jej o tym, pomyślała, że najchętniej zabiłaby Victora Santosa za wszystko, co przeciw niej zrobił. Nadal zresztą miała ochotę go zabić. Opanowała ją bezradna wściekłość. Całe życie chroniła córkę przed grzesznym dziedzictwem Pierron, a teraz przez tego śmiecia, przez to, że wtykał nos w nie swoje sprawy, Gloria została właścicielką gniazda grzechu!

- Ja otrzymałem całą resztę.

- Słyszałam - prychnęła. - Żadna nowina. Jeżeli to już wszystko... - Spojrzała niecierpliwie na zegarek. - Z przyjemnością stwierdzam, że pana czas się skończył.

Ruszyła do wyjścia, złapała za klamkę i gwałtownie otworzyła drzwi. Santos nadal stał bez ruchu.

- Żegnam. Miłego dnia, detektywie - rzuciła ostro.

- Jeszcze sekunda, jeśli pani pozwoli. Czy ma pani

- zniżył głos - wolne pięćset tysięcy dolarów, droga pani St. Germaine?

Hope zamarła, Santos zaśmiał się ponuro.

Jak diabeł, pomyślała. Zło wciela się w różne postaci.

- Zgadza się - pokiwał głową. - Przyszedł cię nawiedzić zły duch. Duch przeszłości.

Serce podeszło jej do gardła. Z trudem zachowała spokój.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie? - Postąpił krok w jej stronę. Poczowała paniczną chęć ucieczki przed tym opętanym człowiekiem, który jak

Waż, powoli, lecz nieomylnie zmierzał do celu. - A co pani powie na zobowiązanie spłacenia na żądanie pięciuset tysięcy dolarów? Teraz już pani pamięta, droga St. Germaine?

Postąpił jeszcze krok, Hope cofnęła się, serce biło jej coraz mocniej.

- W 1984 roku Lily pomogła pani wydobyć się z kłopotów finansowych, tak? Hotel tonął w długach. Wyzbyła się wszystkiego, co miała, ale pożyczyła pani te pieniądze. Przywoziłem je w trzech ratach, a pani za każdym razem wydawała pisemne zobowiązanie spłaty. - Zmrużył oczy. - Dobrze wiedziałaś, że nie będzie żądać zwrotu. Wiedziałaś, że pragnęła tylko jednego: zobaczyć się z tobą. Na samą myśl o tym, jak bardzo cię kochała i co otrzymywała w zamian, robi mi się niedobrze.

- Zgadza się. - Hope podniosła głowę wyzywającym gestem. - Nie żądała zwrotu długu, a zatem sprawa jest zamknięta. Zwłaszcza że Lily nie żyje.

- Przykro mi, ale jest inaczej. Zobowiązania są jak akcje, obligacje i inne formy aktywów. Nie podlegają przedawnieniu.

Hope oblała się potem. W skroniach pulsowała jej krew. W końcu zdobyła się na kilka pełnych nienawiści słów.

- Niczego nie oddam. Zwróciłam wszystkie długi.

- Niczego nie zwróciłaś. Twoja matka umarła, tęskniąc za córką i błagając ją o wybaczenie, ale nawet tego jej nie dałaś. A teraz posłuchaj: ja mam te zobowiązania. Odziedziczyłem je po niej.

Hope sięgnęła ręką do gardła.

- Czego ode mnie chcesz?

Uniósł brwi w udawanym zdziwieniu.

- Nie domyślasz się, droga Hope? Chcę zwrotu moich pieniędzy.

Cofnęła się jeszcze o krok, aż oślepiło ją światło.

- Ty sukinsynu.

Roześmiał się.

- Ostatnio ciągle to słyszę, i zawsze od St. Germaine.

Hope zrobiło się duszno, nie mogła już dłużej znieść piekącego słońca. Przeszła szybko obok Santosa, szukając schronienia w chłodnym holu. Z trudem łapała oddech. Nie miała pięciuset tysięcy dolarów. Nie miała.

- Skąd mogę wiedzieć, że zobowiązania nie są fałszywe? Że w ogóle je masz?

- Są w porządku. - Włożył rękę do kieszeni spodni.

- Ma je mój adwokat. - Uśmiechnął się ponuro, widząc, jakie to zrobiło na niej wrażenie.

- Jak widzisz, tym razem odrobiłem lekcje. Na pewno słyszałaś o kancelarii Hawthorne & Steele, prawda? Skontaktuj się z mecenasem Steele'em. To najlepszy prawnik od praw własności w całym mieście, może nawet na całym Południu.

Hope zaczęła się trząść. Słyszała o Steele'u. Rzeczywiście był najlepszy.

- To bez znaczenia - odpowiedziała. - I tak nie mam pieniędzy.

- Ale możesz je mieć. - Zatoczył ręką dookoła. - Lily nie mieszkała w takich luksusach. Jestem pewien, że ten dom jest wart znacznie więcej niż pół miliona. Dodaj do tego twoje udziały w St. Charles, a okaże się, że masz aż nadto. - Ponownie wsunął rękę do kieszeni, szczerząc zęby w diabelskim uśmiechu. - I pomyśleć, że ja, nędznie urodzony Victor Santos, zostanę twoim partnerem w interesach, prawda? Jeszcze lepiej, zamieszkam w rezydencji St. Germaine...

- Nigdy! - krzyknęła, trzęsąc się z



wściekłości. - Nigdy taka kreatura jak ty nie zostanie moim partnerem! Prędeż spalę to wszystko, niż dam ci choć jedną cegłę!

Popatrzył na nią z politowaniem.

- Po co ten krzyk? Nikt cię nie uczył savoir-vivre'u?

- Potrząsnął głową i skrzywił się z niesmakiem. – Może uważasz, że skoro jesteś bogata, to nie musisz troszczyć

się o podobne głupstwa? Może wyobrażasz sobie, że nie spotka cię zasłużona kara? Nie musisz spłacać długów, tak właśnie myślisz, prawda? Nie obowiązuje cię ludzka przyzwoitość?

Roześmiał się szyderczo, a ona znów w jego śmiechu usłyszała głos Ciemności.

- Nadszedł czas pokuty, Hope St. Germanie. Czas rozliczenia. Jesteś coś winna Lily i musisz zapłacić.

Odwróciła się na pięcie i uciekła szybko przez hol. Przystanęła dopiero przed lustrem. Wpatrywała się w swoje odbicie, rozmyślając gorączkowo nad sposobem wybrnięcia z sytuacji. Hotel wart jest ledwie marną część tego, co niegdyś. Miała trochę pieniędzy na prywatnym koncie, ale to, plus wpływy z St. Charles, zaledwie wystarczało na życie. Życie na określonym poziomie, ma się rozumieć. Musiała mieć na zaspokojenie swoich potrzeb - zwłaszcza że niektóre jej potrzeby okazały się wyjątkowo kosztowne.

Jak domek z kart, myślała. Ruszysz jeden element i rozpada się wszystko. Co robić?

- Jest jeszcze inne wyjście... - odezwał się Santos za jej plecami. Teraz mówił cicho, ledwie go usłyszała.

Oszołomiona, spojrzała na niego w lustrze.

- Jakie?

- Prawdę mówiąc, nie zależy mi na pieniądzach. Nie interesuje mnie ani ten luksusowy dom, ani hotel...

Powoli odwróciła ku niemu twarz, niepewna, czy aby znowu z niej nie kpi. Nie. Był śmiertelnie poważny.

- Nie wierzę ci.

- Interesuje mnie wyłącznie Lily.
- Przecież ona nie żyje.
- Żyje pamięć o niej. Żyją moje do niej uczucia. Chciałem dać jej coś, co było dla niej najważniejsze na świecie. Ale nie udało mi się.
- O czym mówisz?

- Ojej córce.

Patrzyła na niego zdezorientowana.

- Nie rozumiem.

- Mam zamiar ofiarować jej ciebie.

Będziesz musiała złożyć publiczne oświadczenie, że Lily była twoją matką. Powiesz wszystkim, kim jesteś.

Hope cofnęła się o krok. Poczowała, że uginają się pod nią nogi.

- Nie... To jakiś żart.

- Bynajmniej. - Zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Może powinnaś usiąść?

Powoli podeszła do krzesła stojącego przy lustrze. Osunęła się na nie, rozdygotane dłonie zamknęła na podolku.

- Mów.

- Jeżeli się zgodzisz, będziesz musiała postąpić według moich wskazówek.

Skinęła głową, więc kontynuował:

- Po pierwsze, wykupisz dwa pełnostronicowe ogłoszenia. W obu zamieścisz dokładnie to, co powiedziałem. Jedno w niedzielnym „Times Picayune”, drugie w magazynie „New Orlean”, na wewnętrznej stronie okładki.

- Włożył ręce do kieszeni i zaczął kiwać się na obcasach. - Jak już mówiłem, wyznasz całą prawdę o sobie, opowiesz o własnym zakłamaniu i wyrazisz skruchę z powodu wyparcia się własnej matki.

- Co jeszcze? - spytała w napięciu, wciąż zaciskając dłonie.

Santos uśmiechał się.

- Wydasz wielkie przyjęcie na cześć Lily.

Zaprosisz wszystkich swoich przyjaciół i tuzów, szefa policji, a nawet gubernatora Edwardsa. Oczywiście jeszcze raz, publicznie, uznasz Lily za swoją matkę.

- A ty, oczywiście - dodała cierpko - pojawisz się, żeby sprawdzić, czy wypełniłam twoje polecenia.

- Nie czepiaj się. Płacę za to pięćset tysięcy. Wszystko musi być tak, jak mówię.

- A jeżeli rzeczywiście to zrobię... co do joty?

- Otrzymasz weksle z powrotem. Będziesz czysta i wolna.

Hope przyglądała mu się w zdumieniu.

- To jakaś chora nedorzeczność. O co ci chodzi naprawdę?

Przyglądał się jej, wykrzywając wargi. Zdaje się, że chciał powiedzieć tą swoją miną, że czuje odrazę dla wyrodnej córki, że jego szlachetne serce nie może pojąć takiego braku miłosierdzia. Hope jednak dobrze wiedziała, że to czyste Zło wygląda z jego twarzy. Zło w przebraniu Dobra, fałsz, który podszywa się pod prawdę. Tak, fałsz, fałszywy prorok, antychryst...

- Nie możesz pojąć, że kochałem Lily aż tak bardzo? - odezwał się po chwili. - Że zawdzięczam jej wszystko, łącznie z życiem? Nie mieści ci się w głowie, że chcę ofiarować jej to, co uważała za najcenniejsze, bez względu na koszty? To prawda, nie kieruję się wyłącznie miłością bliźniego. Bawi mnie fakt, że zostaniesz zmuszona do ludzkich odruchów, chociaż raz w życiu.

Hope milczała. Wściekłość wzbierała w niej z coraz większą siłą. Gdyby mogła, gdyby miała dość siły, zabiłaby go.

Są inne sposoby, żeby mu odpłacić. Nawet jeżeli będzie to ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu, znajdzie na niego sposób.

Spojrzała mu w oczy, nie kryjąc złych zamiarów.

- Jesteś bardzo głupi, młody człowieku.

- Próbujesz mi grozić?

Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko. Ciemność wciela się w różne postacie, lecz Bóg nie pozostawi jej samej. Nie pozostawi winy bez kary.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Dom przy River Road nęcił Glorię. Przywoływał ją do siebie cicho, niczym kochanek. Stała przy końcu wysadzonej dębami alei, patrząc nań w zachwycie. Potrząsała głową, przejęta nabożną niemal czcią. Minęły trzy tygodnie od dnia otwarcia testamentu, a ona ciągle nie mogła uwierzyć, że dawny Pierron House należy do niej.

Od tamtej chwili odwiedzała go tak często, jak tylko mogła. Czasami, jak choćby ubiegłej nocy, śniła o nim, a czasami wykradała z codziennych zajęć kilka godzin, by tu przyjechać.

Pochyliła się, zerwała źdźbło trawy i zaczęła je wachać. W Pierron House czuła się szczęśliwa, rozluźniona, spokojna.

Ruszyła bez pośpiechu w kierunku wejścia. Dzisiaj nie miała już żadnych obowiązków; hotel mógł funkcjonować bez niej. Minione tygodnie spędziła na przeglądaniu pudeł z pamiątkami i fotografiami, a także dokumentami finansowymi. Jej przodkinie prowadziły tu dobrze prosperujący interes, przynoszący zaskakująco wysokie dochody. Dziwiło ją, że Lily zmarła, posiadając tak niewiele.

Ziewnęła i przesunęła dłonią po włosach. Poprzedniego dnia natknęła się na mały kuferek z dziennikami. Niektóre należały do jej krewnych i sięgały czasów pierwszej Madame Pierron,

Kamelii. Inne wyszły spod pióra mieszkających w domu dziewcząt, które w oczekiwaniu na nocną pracę wypełniały zapiskami puste dni. Zawarte w dziennikach opisy fascynowały i podniecały Glorię. Czytała do późna w nocy, aż szumiało jej w głowie i piekły ją oczy. W końcu zmęczenie zmuszało ją do odłożenia lektury na następny dzień.

Tuż nad jej głową zaśpiewał ptak ukryty wśród konarów starego dębu. Uniosła twarz i poczuła muśnięcie lekkiego wiatru znad rzeki. Z dala doszedł ją szum silnika nadjeżdżającego auta.

Serce zabiło jej mocniej, odwróciła się.

Santos.

Obserwowała go z poczuciem fatalizmu. Jechał powoli, wznosząc za sobą niewielki obłok kurzu. Zawsze miała go za swoją drugą połowę. Był dla niej wzorcem, według którego oceniała innych mężczyzn. W tym, że pojawiał się akurat teraz, było coś magicznego i zarazem naturalnego. Tak samo pojawił się w jej życiu po raz pierwszy.

Zatrzymał samochód obok niej. Jego ciemne włosy były zmierzwione przez pęd wiatru. Chciała ich dotknąć, pogłaskać. Zamiast tego wsunęła ręce do kieszeni.

- Cześć.

- Powinniśmy porozmawiać. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Dobrze. Chodź, usiądziemy na galerii. – Wskazała długi balkon obiegający elewację.

Skinał głową i zaparkował auto przy domu. Przeszli na pierwsze piętro wewnętrznymi schodami, Santos rozejrzał się dokoła z niewesołym wyrazem twarzy.

- Jestem tu po raz pierwszy od czasu jej



śmierci.

- Wracają wspomnienia?

- Tak - poszukał jej oczu - dobre wspomnienia.

- Rozumiem to uczucie, chociaż nie powinnam. Nic mnie nie wiąże z tym miejscem.

- Wiąże cię. Bardziej niż mnie, ale to inna historia.

Myśl o Lily i pamiątkach ścisnęła ją za gardło. Odchrząknęła.

- Napijesz się czegoś? Pokręcił głową.

- Nic nie chcę. Dzięki za wszystko.

Nic nie chce. Po co zatem przyjechał, czego od niej oczekuje?

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Przeczucie. - Uśmiech zadrgał w kącikach jego ust. - Informacja zdobyta od twojego menedżera. To zabawne, jak policyjna odznaka otwiera wszystkie drzwi.

- Vincent jest dość strachliwy, to prawda, ale się stara. A skąd to przeczucie?

- Wyraz twoich oczu, gdy dowiedziałeś się, że Lily zostawiła ci dom.

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Wciąż mi głupio z tego powodu. Wiem, że spodziewałeś się...

- Niech ci nie będzie głupio. Mnie nie jest.

- Kłamca - powiedziała cicho. - Widzę prawdę w twoich oczach.

Pochylił głowę, w duchu przyznając jej rację. Podeszedł do balustrady i popatrzył w zadumie na wał przeciwpowodziowy po drugiej stronie szosy.

- Nie czuję się z tym źle, Glorio, naprawdę.

- Ale trochę ci smutno.

- Tak, trochę smutno. - Spojrzał na nią przez ramię.

- Teraz wszystko jest twoje. Co o tym myślisz?

- Pokochałam to miejsce. Przynależę tutaj.

- Stanęła obok niego i tak jak on ogarnęła

spojrzeniem widnokrąg.

- Nie rozumiem, dlaczego ten dom, okolica robią na mnie tak duże wrażenie. Wręcz przytłaczające. To mnie... niepokoi.

Ich spojrzenia spotkały się. Patrzyli sobie w oczy jedną chwilę, drugą. Wreszcie Santos pierwszy odwrócił wzrok i ponownie spojrzął na rzekę.

Nie wiedzieć dlaczego, Gloria poczuła się nagle tak, jakby ją opuścił. Santos miał na nią ogromny wpływ, na jej życie i uczucia. Nawet teraz, po tylu latach od chwili, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Nie rozumiała tego, podobnie jak nie rozumiała swojego związku z Pierron House.

Westchnęła. Dawno temu wyznała Liz, że Santos jest jej przeznaczeniem; głupie i naiwne zwierzenie dorastającej pannicy. A jednak w jakiś sposób była to prawda. Nie potrafiła wykreślić Santosa ze swojego życia. Odkąd zaś spotkała go ponownie, dręczyło ją pragnienie bycia z nim na powrót.

Nagle odwrócił do niej głowę, szukając jej spojrzenia. Potrafił odgadnąć jej myśli po wyrazie twarzy i oczu, ale nie próbowała nawet się maskować. Chciała, żeby zobaczył, jak bardzo go pragnie, jak... płonie. Czowała, jak wzbiera w niej odwaga, energia, żywiołowy śmiech. Może to za sprawą domu, może pod wpływem nocnej lektury dzienników bezwstydných, wyuzdanych kobiet, które zarabiała na życie ciałem? Tak czy inaczej, poczuła się nagle zuchwała, pełna życia, zdolna uwieść go i rozkochać.

Podniosła dłoń i zaczęła pieścić najpierw jego policzki, potem usta.

- Pragnę cię. Powstrzymał jej palce.

- Glorio, ja...

- Nie mów nic. - Od dziesięciu lat nie czuła się tak w obecności mężczyzny, żadnego tak bardzo nie pragnęła. Wtedy niczego nie rozumiała. Była młoda, niedoświadczona, nie wiedziała, czego chce. Teraz wiedziała. - Ty też tego chcesz - szepnęła. - Wiem o tym.

- Tak - głos mu stężał, oczy pociemniały.

- Tak - powtórzył - chcę, ale...

- Ciii... - pokręciła głową. - Żadnych ale.  
Chodź.

Pociągnęła go do domu, do sypialni z ogromnym, miękkim łóżem. Bryza znad Missisipi poruszała koronkowymi firankami w otwartych oknach. Plamy światła tańczyły po podłodze i ścianach, kładły się na łóżku.

Razem zanurzyli się w pościeli. Opromienione słonecznym blaskiem chwile rozciągały się w czasie, aż sam czas stanął w miejscu. Santos spełniał szeptane namiętne życzenia Glorii. Odwzajemniała mu się tym samym. Zaspokajali się w sposób niezwykle i doskonale, na przemian czule i szorstko, pospiesznie i leniwie. Dopiero teraz Gloria zrozumiała, ostatecznie i do końca, co to znaczy naprawdę być kobietą.

Zlani potem, zdyszani, spleceni w uścisku, odpoczywali potem w milczeniu. Santos nie odsunął się od niej, chociaż nie miała złudzeń co do jego uczuć. Przesuwała palcami po jego piersi, rozkoszując się mocnym, muskularnym ciałem.

- Jesteś rozczarowany? - spytała cicho.

- Nie. - Uniósł głowę, spojrzał jej w oczy.

- A ty? Potrząsnęła głową.

- Było cudownie.

Uśmiechnął się, mile polectany i zajął się oglądaniem sufitu ozdobionego kunsztownym plafonem. Gloria poszła za jego wzrokiem.

- To szczególne miejsce, prawda?

- Mhm. - Objął ją mocniej. - Wiesz już, co z nim zrobisz?

- Nie. Nie mam żadnych planów. -  
Przytuliła policzek do jego piersi, myśląc na

przemian o nim i o sobie, o chwili obecnej i o przyszłości. - To miejsce nasycone jest historią. Jest fragmentem historii Luizjany. Jest w nim coś niezwykłego, magicznego. Jedyne w swoim rodzaju i cudownego. Nie powinnam tu nic zmieniać.

Wzięła głęboki oddech.

- Poza tym kobiety, które tu mieszkały, zasługują na to, by o nich pamiętać. Może nie są moralnymi wzorami, ale należą do historii.

- Ty możesz tu zamieszkać.

Pokręciła głową.

- Chciałabym, ale za daleko do hotelu.

Poza tym czułabym się samotna.

Chyba żebyś ty ze mną zamieszkał.

Ta myśl przyszła jej do głowy niespodziewanie, lecz szybko ją odrzuciła. Nie powinna myśleć o wiązaniu się z Santosem. Ani o miłości. Nie zanosilo się na to, by podobne nadzieje miały się kiedykolwiek spełnić. Po co narażać się na ból? Zbyt wiele przeszli, żeby myśleć o wspólnej przyszłości.

- Na czym stanęliśmy? - zapytał, przerywając jej rozmyślenia.

- Muszę podjąć decyzje dotyczące hotelu. Wprowadzić pewne zmiany - westchnęła. - Mój ojciec z pewnością nie pochwaliby tych pomysłów.

- Czasy się zmieniają, Glorio.

- Wiem. - Przycisnęła usta do jego barku, czując napływające do oczu łzy. - Chciałabym prowadzić hotel sprawniej, dostosować się do zmian, jakie zachodzą w mieście i na świecie. Chciałabym prowadzić go tak dobrze, jak robił to on. Wiem, że głupio myślę...

- Dlaczego głupio? - mruknął Santos. - Niepotrzebnie się obwiniasz. Nie łudź się, gdyby żył twój ojciec, także musiałby dokonywać zmian, nadażać za czasem.

- Dzięki - odrzekła, odchylając na bok głowę, żeby popatrzeć mu w oczy. - Już mi lżej. Bardzo go kochałam.

- Wiem. - Przestał ją głaskać. - Muszę ci o czymś powiedzieć.

Uniosła się na łokciu i zmarszczyła czoło.

- Coś ważnego?

- To zależy, jak na to spojrzysz.
- Nie rozumiem.
- Wiem, skąd twoja matka miała pieniądze na pokrycie długów hotelu, wtedy, dziesięć lat temu.
- Wiesz? - zdziwiła się. - Skąd?



- Od Lily.

Wyjaśnił jej, jak po odczytaniu testamentu jej uwagi zmusiły go do myślenia. Opowiedział, jak pośredniczył między Lily i Hope, i o tym, jak zmienił się później styl życia tej pierwszej. Na koniec powiedział, że przeszukując rzeczy po Lily, odnalazł trzy oświadczenia podpisane ręką jej córki, w których ta zobowiązała się do zwrotu pięciuset tysięcy dolarów.

- Nie wierzę - szepnęła Gloria. - Chcesz powiedzieć, że moja matka jest ci teraz winna... pół miliona?

- I tak, i nie. - Widząc jej zafrasowaną minę, dodał: - Zaproponowałem jej pewien układ.

- Układ - powtórzyła. - To znaczy, że już z nią rozmawiałeś?

- Tak, ale najpierw porozumiałem się ze swoim prawnikiem.

- Rozumiem. - Usiadła i przeczesała ręką zmierzwione włosy. - Powiedz, jak dawno znalazłeś te dokumenty?

- Dwa tygodnie temu.

- I mówisz mi o tym dopiero teraz? Bardzo miło z twojej strony. Dzięki serdeczne za okazane mi zaufanie.

- Nie miałem powodu mówić ci wcześniej.

Zabolały ją te słowa. Oto pokazał, ile ich łączy. Spali ze sobą parę razy - to wszystko. Czy liczyła na coś więcej? Naiwna...

Cóż, seks to nie miłość.

Przygryzła wargi, powstrzymując się od płaczu.

- Nie wydaje ci się, że twoim moralnym obowiązkiem było powiedzieć mi wcześniej, zanim...

- Nie widzę różnicy.

Opadła na poduszkę, wzrok wbiła w sufit.

- To dlatego tu dzisiaj przyjechałeś? -  
zapytała, modląc się, żeby zaprzeczył. Tak bardzo  
chciała, by powiedział, że przyjechał dla niej, bo  
chciał ją zobaczyć, być z nią.

- Tak.

Zerwała się z łóżka.

- Jestem głupia.

- Przestań.

Usiadł i wyciągnął do niej rękę. Gloria odsunęła się i owinęła szczelnie prześcieradłem.

- Jaki „układ” zaproponowałeś mojej matce? Sześćdziesiąt centów za dolar, czy czterdzieści?

Zmrużył oczy.

- Niby dlaczego miałbym jej darować, Glorio? Ona pożyczyła pieniądze od Lily, prawie ją zrujnowała. Obiecała zwrócić dług i nigdy nie zwróciła. Lily zostawiła mi te dokumenty. Chciała, żebym je miał.

Gloria zeszywniała.

- Oczywiście - powiedziała chłodno - masz prawo do swojej części spadku. - Podniosła koszulkę i schyliła się po szorty. Napotkała jego wzrok i ze wzgardą uniosła podbródek. - Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, więc lepiej będzie, jeśli sobie już pójdziesz.

- O co chodzi, księżniczko? - zezłościł się.

- Dotknęło cię to? Mam zapomnieć o długach twojej matki, dlatego że jesteś świetna w łóżku?

- Idź do diabła, słyszysz!?

Odwróciła się i poszła do łazienki. Dogonił ją i przytrzymał drzwi kantem dłoni, zanim zdążyła zamknąć mu je przed nosem.

- Wynoś się, Santos.

- Jasne. Ale najpierw coś ci powiem - wycedził w odpowiedzi. - W przeciwieństwie do ciebie i twojej matki, pieniądze nie mają dla mnie wielkiego znaczenia. Powiedziałem jej, że anuluję dług, jeżeli publicznie uzna Lily za swoją matkę.

Taki układ zaproponowałem.

Gloria wpatrywała się weń w milczeniu.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Anulujesz dług, jeśli...

- Tak. - Roześmiał się ostro i gniewnie. - Nie chcę hotelu, nie chcę waszej forsy. Twoja matka potraktowała Lily paskudnie. Skrzywdziła ją. Musi to naprawić, nawet jeśli ma mnie to kosztować pół miliona baksów.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł. Gloria patrzyła za nim z bijącym sercem.

- Przepraszam.

Zatrzymał się, ale nie obejrzał do tyłu.

- Za co?

- Źle cię oceniłam. Byłam wściekła. Miałam żal, że nie okazałeś mi zaufania i nie powiedziałeś o wszystkim wtedy, kiedy dowiedziałeś się prawdy.

- A powinienem, Glorio? - Popatrzył na nią przez ramię. - Powinienem być ci zaufać?

- Tak.

- A czy ty wierzyłaś we mnie, ufałaś mi?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz Santos był szybszy.

- Nie, nigdy nie wierzyłaś. W przeciwnym razie... - przerwał nagle. - No dobrze, dajmy temu spokój.

- Jak mam ci udowodnić, że się mylisz? - Podeszła do niego niepewnie. - Chcę cię przekonać.

Spokojnie popatrzył jej w oczy.

- Nie wiem, czy to możliwe, Glorio. Może jest już za późno.

Czuła bolesny ucisk w gardle, nie mogła mówić, ale przecież nie była już szesnastoletnią dziewczynką, tylko dorosłą kobietą. Wiedziała, czego pragnie.

- Chciałabym znowu być z tobą, Santos. Bardzo. Czy... czy myślisz, że to możliwe?

- To zależy.
- Od czego?
- Od ciebie. Od tego, co zechcesz przyjąć.
- Pochylił się ku niej i pocałował ją krótko w usta.
- Moje uczucia się nie zmieniają. Do zobaczenia, księżniczko.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Hope szła długim, ciemnym, śmierdzącym korytarzem. Wstrzymała oddech, lecz na niewiele się to zdało. Raptem uprzytomniła sobie ze zgrozą, że czuje swój własny zapach.

Zacisnęła powieki. Przez głowę przemykały obłe obrazy: oto wije się na łożku spleciona w uścisku z jakąś grzeszną kreaturą, jak wąż z wężem. Najpierw oddaje się występnej rozkoszy, poddaje dłoniom i ustom mężczyzny, by po chwili z pejczem w dłoni karać go za grzechy.

Bestii ciągle nie było dość. Hope zdusiła ręką cisnący jej się na usta krzyk przerażenia. Nienasycony potwór żądał więcej i więcej, nieważne jak wielką okazywała mu uległość.

A wszystko przez tego chłopaka, przez Santosa.

Poprzez zaciemnione okna i ciężkie, zamknięte na zasuwę, metalowe drzwi przedostawała się do środka światłość. Dobro zmagало się ze Złem. Hope otoczyła się ciasno świetlistą opończą. Dobro zwycięży, wierzyła w to, musiała wierzyć.

Jeżeli nie uwierzy, będzie zgubiona.

Jeszcze kilka kroków i wydostanie się z tego zapomnianego przez Boga miejsca, Bestia może się uspokoi, nasyci. Otworzyła drzwi, wymknęła się na zewnątrz i pobiegła do samochodu, modląc się, by nikt jej nie zauważył.

Dopiero w samochodzie odetchnęła z ulgą. Tak jak przypuszczała, Światło pokonało Ciemności. Czowała teraz błogi spokój. Położyła głowę na kierownicy i odpoczywała. Oddychała coraz wolniej, coraz spokojniej. Zamknęła oczy.

Odkąd kilka tygodni wcześniej pojawił się u niej Victor Santos, żyła jak w jakimś koszmarze. Zasięgnawszy porady adwokata, zrobiła tak, jak żądał detektyw - wypełniła dokładnie wszystkie jego instrukcje. Odegrała rolę kochającej córki, tragicznej ofiary, która uciekła od matki dla ratowania samej siebie.

Ku jej zdziwieniu wszyscy przyjaciele i znajomi dali się nabrać. Dodawali jej odwagi, okazywali zrozumienie, sympatię, współczucie, a nawet litość. Jednak nie miała złudzeń, że w salonach Nowego Orleanu aż huczy od plotek.

Widziała, że jej osoba budzi odrazę.

Nic nie było już takie samo - nawet Ojciec Rapier patrzył na nią innymi oczami. Oto córka dziwki, brudna i pospolita, napiętnowana grzechem.

Zacisnęła palce na kierownicy. Ciemności naigrawały się z niej, szydziły swoim urągliwym śmiechem. Zasłona czystości opadła i odtąd Bestia, silniejsza teraz niż kiedykolwiek, nie dawała jej chwili wytchnienia. Opanowanie i wstrzemięźliwość, którymi tak się kiedyś szczyciła, które były jej tarczą, zawodziły ją coraz częściej.

Została napiętnowana przez Cień. Teraz widzieli to wszyscy.

Otworzyła oczy. Na moment oślepił ją słoneczny blask. Rozwarła prawą dłoń i patrzyła na czerwone ślady pejcza. Żałowała z całej duszy,



że krzyki bólu rozbrzmiewające jeszcze w jej uszach, nie należały do Victora Santosa. Nienawidziła go, nienawidziła gorąco, zaciekle, wbrew rozumowi i logice. Spalała się w tej nienawiści.

Myślał, że wygrał. Myślał, że ją pobił. Słyszała jego rozbawienie, w głowie dźwięczał jej jeszcze jego śmiech. Spotykał się z Glorią; córka oznajmiła jej to hardym, wyzywającym tonem. Ale Gloria nic nie rozumiała, nie dostrzegła Bestii ukrytej pod piękną powłoką. Jak zawsze, to ona musi pokazać córce prawdę, by ją ratować.

Zadrzała, czując lodowaty dreszcz pełznący po plecach. Victor Santos jeszcze za wszystko zapłaci. Ona ma przyjaciół, ludzi, którzy za pieniądze chętnie jej pomogą. Zawsze pomagali.

O tak, Victor Santos będzie błagał o wybaczenie. Pożałuje, że ośmielił się stanąć jej na drodze.

CZEŚĆ

VII Raj

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

*Nowy Orlean, Luizjana, 1996*

Chop Robichaux był jedną z tych atrakcji Dzielnicy Francuskiej, która pozostaje ukryta przed oczami turystów jako lokalna osobliwość, nieznana nawet mniej wtajemniczonym mieszkańcom. Chyba że ci obracali się w mrocznym podziemiu płatnego seksu, gdzie szukali najrozmaitszych podniet i perwersji. Owi amatorzy występku oczywiście znali Chopa - sprytnego, obrotnego człowieka interesu, o którym powiadano, że zawsze spada na cztery łapy i że za pieniądze zaspokoi najbardziej nawet chorobliwą fantazję.

Teraz Chop gotów był dostarczyć informacji o Śnieżynce.

Santos odłożył słuchawkę i popadł w zamyślenie. Chop powiedział mu, że jeśli chce schwytać mordercę, powinien przyjść natychmiast do jego klubu przy Bourbon Street. Oczywiście Santos wiedział, jak mętną postacią jest Robichaux i nie ufał mu ani trochę. Jeśli jednak ktokolwiek w Dzielnicy mógł wiedzieć na temat Śnieżynki więcej, niż wiedział sam Santos, był nim nie kto inny, tylko właśnie Chop. W końcu młode prostytutki to jego działka.

- Kto dzwonił?

Santos popatrzył przez ramię na Głorię, rozłożoną w poprzek łóżka, na wpół przykrytą zmiętym prześcieradłem. Uśmiechała się. Była tak piękna, że jej uroda zapierała dech w piersiach. Miłość z nią wymykała się wszelkim opisom. Wszystko blakło wobec tego, jak się czuł, kiedy

złączony z nią wznosił się na szczyty uniesienia.

- Wybierzesz się na przejażdżkę? -  
zapytał, z trudem opanowując podniecenie.

- Jasne. Dokąd?

- Do Dzielnicy Francuskiej. Na spotkanie  
ze starym przyjacielem.

Podniosła się, wyczuwając, że coś jest nie  
tak.

- Stary przyjaciel? - zapytała i odgarnęła z  
twarzy potargane włosy. - Co za jeden?

Pochylił się i pocałował ją, mocno, po  
czym niechętnie oderwał się od niej.

- Opowiem ci w samochodzie.

- Znam miejsce na Burgundy, gdzie dają  
zabójczą margeritę. Do tego wspaniałe chipsy i  
salsa. Co ty na to?

- Świetnie. - Pocałował ją znowu. -  
Chodź, musimy się spieszyć.

Szybko wzięli prysznic i ubrali się, nie  
tracąc czasu na rozmowę. Lubił to u niej - sposób,  
w jaki dostosowywała się do ograniczeń  
czasowych, jakie narzucała jego praca. Lubił też  
chwile nie zagłuszanego paplaniną milczenia.

Lubił, lecz jednocześnie go niepokoiły,  
ponieważ nigdy nie były puste, wymuszone. Gdy  
się nie kochali, milczenie powinno wydawać się  
kłopotliwe, niezręczne, tymczasem z Glorią  
milczało mu się wspaniale.

Po dwudziestu minutach wjeżdżali już do  
Dzielnicy.

- No więc kim jest ten stary przyjaciel?

- Znam go z czasów, kiedy byłem podoficerem. - Zerknął na nią przelotnie. - Chop Robichaux.

- Chop Robichaux? - powtórzyła. - Znam skądś to nazwisko.

Santos zaśmiał się niewesoło.

- Nic dziwnego. Sześć lat temu pełno go było na pierwszych stronach gazet. Pamiętasz skandal w policji nowoorleańskiej, który prasa nazwała Aferą Czterech?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Jak przez mgłę.

- Przypomnę ci. Czterech podoficerów zostało oskarżonych o branie łapówek za przemykanie oczu na działalność pewnego klubu na obrzeżach Dzielnicy Francuskiej. Zostali skazani. Klub był rodzajem sex shopu, ale nie takiego zwyczajnego. To było twarde porno, prawdziwe gównno z udziałem nieletnich. Wykorzystywali przeważnie dzieciaki, które uciekły z domu. Klub nazywał się Chop Shop, od imienia właściciela. Właśnie do niego jedziemy.

- Dziecięca pornografia? - oburzyła się Gloria. - Boże, to wstrętne.

- Wszyscy tak reagowali. A Chop robił swoje. Wysoko postawieni ludzie we władzach miasta brali ciężkie pieniądze za przemykanie oczu na sprawę. Dlatego się za nich zabrałem.

- Zabrałeś się? - Gloria nachmurzyła się. - Co masz na myśli?

- Byłem wtedy podoficerem. Wiedziałem, że niektórzy oficerowie są opłacani przez Chopa. Zawarłem z nim układ, potem poszedłem do wydziału spraw wewnętrznych.

- Nie przysporzyło ci to przyjaciół.

- Nieszczególnie. Na szczęście wkrótce przeniesiono mnie do zabójstw. - Santos skrzył w Bourbon. - Wydział spraw wewnętrznych był bardziej zainteresowany przekupnymi gliniarzami niż Chopem. Za to, że zgodził się świadczyć w sprawie, nie wysunięto przeciwko niemu oskarżenia.

- Nie poszedł siedzieć?

- Tak to działa. Standardowa procedura operacyjna. Klub oczywiście zamknięto. Dopiero niedawno otworzył drugi. Teraz facet jest prawdopodobnie czysty, ale tacy jak on nie potrafią trzymać się prawa. Tylko że to już nie moja działka.

- I co, koniec historii?

- Niezupełnie. - Skrzył na parking naprzeciw Chopa. - Jeden z Czwórki próbował zrobić mnie w sprawę. Miałem jakoby wiedzieć, że wydział wewnętrzny coś węszy i poświęciłem kumpli, żeby ratować własną skórę. Oczywiście nic nie wiedziałem, prześwietlili mnie i nic nie znaleźli.

- Uwierzyli jemu, nie tobie?

- Niepotrzebnie namotałem, źle to wyglądało. - Zgasił silnik. - Powiniennem być z moimi podejrzeniami od razu pójść do spraw wewnętrznych i pozwolić im działać. Ale ja potrzebowałem dowodu, chciałem mieć pewność, że Chop potwierdzi moje słowa.

- Ponieważ zaproponowałeś mu układ, uważa, że jest ci coś winien?

Santos zaśmiał się.

- Niezupełnie. Nienawidzi mnie. W końcu to ja rozwalilem jego interes.

Zapadło milczenie.

- Nie rozumiesz? - zapytał, orientując się, że Gloria się pogubiła.

Przez chwilę nie odpowiadała, po czym pokręciła głową.

- Nie rozumiem. Skoro cię nienawidzi, dlaczego chce ci przekazać informację?

- Dobre pytanie. Też mnie to zastanawia. Prowadzę sprawę Śnieżynki, Chop mnie zna... Możliwe, że ma coś za uszami i chce zawrzeć układ.

- Może powinieneś zadzwonić do Jacksona i poprosić o wsparcie?

- Wsparcie? - powtórzył ze śmiechem. - Obejrzałaś za dużo filmów policyjnych. Rozmowa z informatorem to naprawdę nie to samo co bezpośrednie zagrożenie życia.

Gloria zerknęła niepewnie na wejście do klubu. Na ulicy roiło się od ludzi, jak zwykle w sobotę. Co jakiś czas ktoś wchodził do lokalu lub z niego wychodził, co dawało możliwość zerknięcia do środka, gdzie panował spory ścisk.

- Pójdę tam, zaczekaj w samochodzie. Za dziesięć minut będę z powrotem. - Pochylił się, pocałował Glorię i otworzył drzwiczki. - Potem idziemy na margeritę.

Wyskoczył z auta i przeszedł przez jezdnię. W klubie rzeczywiście było tłoczno. Na scenie skąpo odziana kobieta podrygiwała w takt ogłuszającej muzyki. Cuchnęło piwem, papierosami i potem. Santos przypomniał sobie lata przepracowane w Dzielnicy.

Dojrawszy Chopa za barem, jął przeciskać się przez tłum. Jakiś facet w koszulce z napisem Dixie Beer zderzył się z nim, oblewając piwem.

- Uważaj, człowieku. - Santos zatoczył się do tyłu, ktoś znowu go trącił, poczuł czyjąś rękę na plecach. - Uważaj, kurwa...

Facet wyszczerzył garnitur zepsutych zębów.

- Sorry - powiedział, chwiejąc się na nogach, lecz nie wyglądał na specjalnie zakłopotanego. - Moja wina.

Santos błysnął odznaką.

- Zdaje się, że masz już dość. Spadaj stąd.

Mężczyzna postąpił krok do tyłu, nie przestając się szczerzyć.



- Jak pan każe, szefie.

Santos dotarł wreszcie do baru. Chop obsługiwał akurat klienta na drugim końcu długiej lady. Był niski, gruby, z rzadkimi, jasno farbowanymi włosami. Tłusta cera, krosty i blizny na policzkach. Jakby dla dopełnienia odstręczającego wyglądu Chop Robichaux posiadał równie plugawą duszę.

Uniósł głowę, uśmiechnął się nieznacznie i w chwilę potem powoli podszedł do Santosa.

- Sie masz, dupku. Kopę lat.

- Masz coś dla mnie?

- A czego szukasz?

- Nie rób ze mnie wała, Robichaux. - Santos zmrużył oczy. - Masz cynk czy nie?

Mężczyzna uśmiechnął się znowu, tym samym, nieznacznym uśmieszkiem, nieprzyjemnie krzywiąc usta.

- Nie mam. Chciałem tylko popatrzeć na twoją buźkę.

- To dobiore ci się do dupy, zobaczysz.

- Spróbuj - roześmiał się Chop. - Nie zahaczysz mnie. Jestem czysty.

- Jak niemowlę. - Santos omiół spojrzeniem paskudną postać. - Coś się znajdzie, Chop. Mogę strzelać w ciemno, na pewno trafię.

- Prędeż wleziesz w psie gównno - Chop zaniósł się chichotem. - Zawsze był z ciebie harcerzyk. Ale wiesz co? Nawet harcerzyki mają czasami swoje dni. No dobra, a teraz spadaj.

- Chętnie. Rzygać mi się chce od tego smrodu.

Santos odszedł od baru. Nie rozumiał, dlaczego Chop najpierw do niego zadzwonił, a teraz rżnie głupa. Czyżby w ostatniej chwili zląkł

się czegoś? Może w pobliżu kręci się morderca? A może po prostu zabawił się jego kosztem?

Żadna z tych ewentualności nie brzmiała zbyt przekonująco. Żadna też go nie uspokoiła. Dlaczego Robichaux wezwał oficera dochodzeniówki w sobotę wieczorem i gra z nim w ciuciubabkę?

Sprawa śmierdzi. Chop coś knuje.

Wyszedł z klubu bez żadnych przeszkód. Gloria siedziała w samochodzie, jak ją zostawił. Uśmiechnął się i pomachał do niej ręką.

- Detektyw Santos?

Otoczyło go nagle czterech mężczyzn, gliniarzy, jak się domyślał na podstawie tanich garniturów i charakterystycznie przyciętych włosów. Santos spojrzał na nich czujnie.

- Zgadza się.

Jeden z mężczyzn pokazał odznakę.

- Porucznik Brown, sprawy wewnętrzne.

To oficerowie Patrick, Tompson i White.

Santos odwzajemnił otwarcie nieprzychylnie spojrzenia, czując, że zaczyna coś rozumieć. Aha, o to chodzi, został wystawiony. Ale przez kogo? I dlaczego?

- O co chodzi, poruczniku? - zapytał.

- Myślę, że pan wie, detektywie. Łapy na ścianę.

Zrobił, co mu kazali. Patrick obszukał go, zabierając rewolwer i odznakę.

- Co to jest? - Wyciągnął mu z kieszeni marynarki kopertę i podał porucznikowi, który otworzył ją i popatrzył Santosowi w oczy.

- Wygląda na równe dwadzieścia jeden stówek, detektywie. W znaczonych banknotach, jeśli się nie mylę. Powiesz, skąd masz te

pieniądze?

- Z rozkoszą, jeśli się dowiem, skąd się tu wzięły. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. - Santos przypomniał sobie gościa z zepsutymi zębami. - Ktoś mi je podrzucił.

- Ot i niespodzianka. - Oficer Patrick wykręcił mu prawą rękę na plecy, zakuł ją i to samo zrobił z lewą. - Chyba gdzieś już to słyszałem.

Santos zaklął.

- Nie wątpię, ale tym razem to prawda.

- Powiesz to swojemu adwokatowi -  
odburknął porucznik. - Dobra, niech ktoś  
przeczyta mu jego prawa.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Liz posłała barmanowi zmęczony uśmiech.

- Wychodzę, Darryl. Dasz sobie radę?

Chłopak pokazał w uśmiechu wszystkie  
zęby, jego miła, pokryta piegami twarz przybrała  
iście diabelski wyraz.

- Jasne, szefowo - odpowiedział,  
machając do niej ręką. - Wyglądasz na padniętą.

- Bo jestem. - Zarzuciła torbę na ramię. -  
Od dziewiątej rano do dziesiątej w nocy na  
nogach.

- No to czas odpocząć. - Znów się  
uśmiechnął. -1 śpij spokojnie. Wszystko mam pod  
kontrolą, a w razie czego wiem, gdzie cię szukać.

Liz po raz ostatni rzuciła okiem na salę,  
skinęła na pożegnanie kelnerkom i wyszła z  
restauracji, kierując się w stronę auta. Parkowała o  
dwie przecznice od Bourbon, na niewielkim  
placyku. Nie przeszkadzało jej, że musiała przejść  
kilkaset metrów, chociaż rzadko kończyła przed  
dziesiątą trzydzieści. Ta część Dzielnicy należała  
do najbardziej ludnych, a ona na wszelki wypadek  
zawsze miała ze sobą wierną puszkę gazu.

Wierną. W przeciwieństwie do Santosa.

Odgoniła od siebie natrętne myśli i  
wciągnęła głęboko rześkie, nocne powietrze.  
Musiała się trzymać. Była przecież twarda.  
Spędzała całe dnie w restauracji nie tylko

z konieczności, ale i z wyboru. Im dłużej, im ciężiej pracowała, tym mniej miała czasu na myślenie o Santosie.

Po wszystkim, co między nimi zaszło, nadal go kochała.

Nie wybaczy mu jednak tego, że zdradził ją właśnie z Glorią. Gdyby wiedziała, jak mu odpłacić, na pewno by to zrobiła.

Dotarła do Bourbon Street i popatrzawszy w lewo, a potem w prawo, zatrzymała się zdziwiona. Na wprost niej szła Hope St. Germaine. Liz zeszywniała. Nocne życie Dzielnicy Francuskiej z pewnością nie było dla Hope. Chyba że wypełniała tu jakąś misję miłosierdzia.

Ale sama? O tej porze?

Nie zatrzymując się, Liz spuściła głowę, zawróciła i poszła za Hope. Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy kobieta weszła do Paris Nights, klubu striptizowego, którego właścicielem był Chop Robichaux. Liz nie znosiła Chopa. Podczas spotkań Stowarzyszenia Kupców i Restauratorów Dzielnicy Francuskiej facet mierzył ją od stóp do głów, jakby zastanawiał się, ile też może być warta na rynku. Słyszała o jego dawnych działaniach, o zatargach z prawem. Od pewnego znajomego dowiedziała się o takich rzeczach, że potem śniły jej się nocami koszmary.

Pokręciła głową. Co ją obchodzi Chop, Hope i jej wizyty w Paris Nights? Pomimo to weszła za nią do klubu. Zatrzymała się przy drzwiach, a gdy jej oczy przywykły do półmroku, spostrzegła, że Hope rozmawia przy barze właśnie z Chopem. Poczekała, aż flegmatyczny właściciel obejdzie bar, po czym oboje zniknęli na zapleczu.

Liz przymrużyła oczy. Jakie interesy mogą łączyć szanowaną panią St. Germaine z plugawym handlarzem płatnym seksem?

Poszła za nimi, przezornie zachowując odpowiedni dystans. Wśliznęli się za scenę. Wyciągnęła szyję, próbując dostrzec coś między wirującymi tancerkami i zobaczyła, że Hope przesuwa po stole coś, co przypominało kopertę.

- Cześć, laska. - Cuchnący alkoholem mężczyzna zatoczył się na nią i złapał ją za ramiona. - Zatańczysz?

- Nie, nie tańczę. - Z odrazą uwolniła się z uścisku. - Przepraszam.

Zaczęła wycofywać się z klubu, ale pijany mężczyzna szedł za nią.

- Ej, kotek, nie pierdol... Założę się, że nieźle dajesz. Lepiej niż te na scenie, nie?

Liz spojrzała na mężczyznę lodowatym wzrokiem.

- Nie.

Chwycił ją ponownie, tym razem za łokieć. Strząsnęła jego rękę i kopnęła go w goleń. Zdziwiony wydał z siebie jęk bólu, potknął się, zrobił krok do tyłu.

Liz wybiegła na zewnątrz.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Czterdzieści osiem godzin po aresztowaniu Santosa Gloria wpłaciła kaucję i zabrała go wprost do hotelu, gdzie czekał już na nich Jackson. Santos wparował do pokoju i nie tracąc czasu na uprzejmości, natarł na partnera:

- O co tu, do cholery, chodzi?

Ten najspokojniej w świecie uniósł wzrok i odpowiedział beznamiętnym, opanowanym głosem:

- Robichaux poszedł do prokuratora okręgowego i doniósł, że go szantażujesz. Miałeś mu grozić, że jeżeli ci nie zapłaci, dobierzesz mu się do skóry.

- Co takiego? - Santos poczerwieniał z gniewu. - Przecież to bzdury!

- To jeszcze nie koniec. - Jackson pokiwał głową. - Twierdzi, że to ty stoisz za skandalem sprzed sześciu lat. Kapujesz? Tym sposobem mielibyśmy Aferę Pięciu...

Santos opadł na krzesło. Od przeszłości nie da się uciec. Przypomniawszy sobie podejrzliwe spojrzenia kolegów, a nawet otwartą wrogość. Czuł się przez nich zdradzony. Najpierw, kiedy odkrył, że za pieniądze gotowi byli sprzedać honor policjanta. Co gorsza, jeden z nich potwierdził, że brał udział w aferze. Teraz scenariusz się powtarzał.

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, zerwał się i zaczął krążyć po pokoju.

- Chop twierdzi, że nie tylko ty brałaś udział w skandalu. Ale ty byłaś prowodyrem - kontynuował Jackson.

- Kiedy zorientowałaś się, że wydział wewnętrzny cię namierzył, pogrążyłeś, według niego, kumpli, byle ratować własny tyłek. Poszedł na współpracę z tobą, bo groziłeś jemu i jego rodzinie. Oczywiście nie miał nic do stracenia, skoro otrzymał gwarancję, że nie będzie za nic odpowiadał.

- Rzadki gnojek. - Santos zatrzymał się na wprost partnera. - Gdybym miał go tu teraz, skręciłbym mu kark.

- Czegoś tu nie rozumiem - wtrąciła Gloria, odzywając się po raz pierwszy, odkąd znaleźli się w hotelu.

- Dlaczego wydział wewnętrzny uwierzył temu typowi? Przecież ten człowiek jest kryminalistą.

Jackson uśmiechnął się ponuro.

- Śmieszne, prawda? Ale dla niewinnych nastąpiły złe czasy, Glorio. W departamencie było tyle skandali, tyle wpadek z łapówkami, że w oczach opinii publicznej wszyscy jesteśmy ubabrani błotem. W ostatni wtorek „60 Minut” puściło dwa tak niepochlebne wystąpienia, że sam Pennington zrobił u nas inspekcję. Przysięgał, że oczyści departament. Jeżeli nie udowodnisz swojej niewinności, jesteś winny, przynajmniej w wewnętrznym. A ci są tak zajadli, jak ty byłaś kiedyś, Santos.

- Jasne. - Santos znowu zaczął chodzić po pokoju.

- Robichaux poszedł ze swoją bajeczkę do prokuratora, prokurator pchnął sprawę dalej, do



wydziału, a ci założyli haczyk. Nagadał im, że biore, więc dali mu znaczony banknoty, a on im mnie wystawił. Jasne, wszystko kapuję.

- Zatrzymał się, popatrzył na Jacksona czerwony ze złości. -1 na pewno wszyscy chętnie kupili tę historyjkę, nie tylko fiuty z wydziału, ale reszta chłopaków też. Wierzą tej nędznej kreaturze, nie mnie! Pięknie... - zacisnął pięści.

- Psiakrew, jak pięknie!

- Nie wszyscy - powiedział cicho Jackson.

- Ale

sprawa faktycznie nie wygląda najlepiej. Miałaś kiedyś układ z Robichaux, stosowałaś szczególne metody śledcze. Najpierw skontaktowałaś się z Chopem, dopiero potem z wydziałem.

- On do niego zatelefonował - wyjaśniła szybko Gloria. - Powiedział, że ma informację o Śnieżynce, że trzeba natychmiast przyjechać. Wiem, byłam przy tym.

- Ale nie ty odbierałaś telefon. A to tak, jakby cię tam nie było, przynajmniej dla chłopców z wydziału. - Jackson zwrócił się ponownie do Santosa. - A przy tobie znaleziono znaczną forszę.

- Którą mi podrzucano. Jackson uniósł w górę rękę.

- Ja o tym wiem i ty o tym wiesz...

- Musimy o tym przekonać wydział wewnętrzny - wtrąciła Gloria.

- Przede wszystkim musimy dowiedzieć się, dlaczego tak się stało - dodał Jackson. - Santos, myśl. Już nie pracujesz w Dzielnicy. Nie stanowisz dla Robichaux zagrożenia. W tym mieście jest wystarczająco dużo zabójstw, żebyś nie miał czasu na nic innego. Wystawiając cię, sporo ryzykował.

- Kasa. Takiego typu interesuje wyłącznie kasa. Ktoś mu zapłacił, żeby to zrobił. - Santos zmrużył oczy. - Ale kto?

- Pytanie dnia, przyjacielu.

Zadzwonił menedżer hotelu. Gloria zamieniła z nim kilka słów i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Obowiązki wzywają - mruknęła pod nosem. - Jeżeli będziecie mnie potrzebować, dajcie znać przez sekretarkę.

Santos podszedł do niej. Ujął ją za rękę i podniósł do ust.

- Dzięki - powiedział cicho, raptem uświadamiając sobie, jak bardzo jej potrzebuje. -  
Za wszystko.

Uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń.

- Drobiazg.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Jackson westchnął i popatrzył na przyjaciela.

- Wyjątkowa kobieta. Stoi przy tobie murem. Nie do wiary, jak cię wspiera. Obdzwoiła w twojej sprawie wszystkich znajomych. Zastanawiałeś się nad tym, co z nią wyprawiasz?

Santos zachmurzył się i popatrzył na drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Gloria. To prawda, że walczyła o niego dzielnie. Zaraz po zatrzymaniu zadzwoniła do Jacksona, następnie skontaktowała się z najlepszym adwokatem. Gdy kaucja została ustalona, dokonała wpłaty i doprowadziła do spotkania w hotelu.

Cały czas zastanawiał się, dlaczego ona to robi. Czekał kiedy i skąd spadnie cios. I czuł się jak kupa gówna.

- Czyja wiem? - westchnął. - Jeżeli chodzi o Glorię, nigdy niczego nie byłem pewien.

- Tak też myślałem. Ale zastanów się nad tym. Bo znowu pokpisz sprawę.

- To znaczy?

- Pamiętasz Liz? Santos odwrócił głowę.

- Ja jej nie kochałem. To nie było to.

- A Gloria, to jest to?

- Ej, stary, skąd to nagle zainteresowanie moim życiem prywatnym? Nie mamy ciekawszych tematów?

Jackson roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Mamy naszego opornego świadka.

- Tina?

- Ta sama. - Jackson złączył dłonie. - Mówi, że jest śledzona, osaczana przez

Śnieżynkę...

- Wierzysz jej?

- Nie wiem. Dziewczyna nie pasuje. Jest dużo starsza niż wszystkie ofiary. Inne włosy, oczy... - Pokręcił głową.

- Ale rzeczywiście wpadła w popłoch.  
Moim zdaniem świruje.

- Autosugestia? - Santos potarł nos  
palcem. - Mam nadzieję, że ją sprawdziłeś?

- Jasne. Próbowałem nakłonić do  
mówienia, ale milczy jak zaklęta.

- Nic nowego.

- Jest inny powód, dla którego nie za  
bardzo jej wierzę.

Santos podniósł wzrok. Przeczynał, że  
będzie to najmniej przyjemna wiadomość tego  
dnia.

- No?.

- W Baton Rouge znaleźli następne ciało.

- Baton Rouge! - Santos zerwał się na  
równe nogi, tym bardziej wściekły, im bardziej  
uprzytamniał sobie własną bezradność. - Ten  
sukinsyn zaczyna się wymykać!

- Tego nie wiemy. Mógł być...

- Daj spokój, Jackson. Wiesz równie  
dobrze jak ja, że już go tu nie ma. Ten gość nie  
błądzi. Wybiera sobie miejsca, gdzie czuje się  
bezpiecznie. I trzyma się ich, dopóki nie zrobi się  
gorąco. Zabijał w Nowym Orleanie, teraz zmienił  
okolicę.

Jackson nie zaprzeczał. Po chwili  
odchrząknął i powiedział:

- Wybieram się tam, żeby zobaczyć, co  
znaleźli. Czy to ten sam facet, czy ktoś się pod  
niego podszywa.

- Dłonie?

- Były naznaczone krzyżami.

- Niech to szlag! To mój gość, Jackson!

Jadę z tobą!

- Jasne. Wtedy i mnie odbiorą tę sprawę. -

Jackson wstał. - Jadę sam, kolego. Gdyby szef dowiedział się, że w ogóle z tobą rozmawiałem, zawiesiłby mnie od razu.

- To co mam robić? - jęknął Santos. -  
Siedzieć na tyłku i czekać, aż klient nam pryśnie?

- Dokładnie.

- Pieprz się.

Jackson poklepał Santosa po plecach.

- Jakoś z tego wybrniemy. Najpierw musimy wyciągnąć ciebie.

Przez chwilę Santos milczał, po czym spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

- A jeżeli się nie uda? Nie chodzi o to, że mogą mnie zamknąć, ale stracę blachę, Jackson. Jestem gliną, tylko to umiem robić...

Jackson ścisnął przyjaciela za ramię.

- Wiem. Wydostaniemy cię. Dowiemy się, kto to zrobił i przysmażymy im tyłki. Weź się w garść, stary.

## ROZDZIAŁ SZEŚCÍDZIESIĄTY

Santos nie miał zamiaru siedzieć beczynnie. Nie chciał dopuścić do tego, żeby Śnieżynka wymknął mu się z rąk, ani by ktoś ratował jego własny tyłek. Zamierzał dopaść Robichaux i wycisnąć z niego prawdę. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że obicie Chopa nie poprawi jego sytuacji.

Powinien zająć się Tiną. Może rzeczywiście morderca krąży wokół niej. Facet mógł wiedzieć, że go widziała. Może będzie próbował zatrzeć ślady, zanim zwieje z miasta. Tina była ostatnią, która widziała Billie przy życiu, widziała jej klienta. Wniosek stąd, że i on mógł się jej przyjrzeć. Jeżeli zaś klientem był Śnieżynka, zapewne zechce się pozbyć dziewczyny.

Odczekał, aż zapadnie zmrok i wyprawił się do Dzielnicy. Przemierzał ulice, zaglądał do barów, sprawdzał wszystkie miejsca, gdzie najczęściej kręciły się prostytutki. Ani śladu Tiny. Po kilku godzinach zaczął zastanawiać się, czy ze strachu nie wyjechała z miasta, albo może zaszła się na jakiś czas w jakiejś kryjówce.

Ostatnią możliwość odrzucił. Żeby zarobić, dziewczyny musiały pracować bez przerwy. Pracowały, nawet gdy były chore albo kiedy chorowały ich dzieci. Pracowały, gdy z nieba lał się żar i gdy ziąb wyganiał ludzi z ulic. Jeżeli Tina jest w mieście, na pewno stoi na ulicy. Musi szukać dalej.



W końcu jego upór przyniósł rezultaty. Dostrzegł ją, jak wychodziła - jak na ironię - z Klubu 69. Podjechał do krawężnika i opuścił szybę.

- Tina?

Odwróciła się, lecz na jego widok zachęcający uśmiech znikł z jej twarzy.

- Spadaj.

Ruszyła przed siebie, Santos jechał obok.

- Nie mam zamiaru. Jeśli porozmawiasz ze mną teraz, zaoszczędzisz nam czasu i kłopotów.

Zakłęła głośno i zwolniła kroku.

- O co chodzi, złotko? Szukasz laski?

- Chcę pogadać.

- Poważnie? - Pochyliła się, oparła przedramieniem o opuszczoną szybę i zwilżyła językiem wargi.

- O czym? O twoim fiucie?

Szedł od niej silny, mdlący zapach alkoholu. Większość dziewczyn piła i narkotyzowała się. Otepienie pomagało im znieść swoją pracę. Dzięki temu mogły utrzymać się w biznesie.

Zrobiło mu się jej żal. Pamiętał ją inną. Nie winił siebie za zakręty w jej życiu, jednak nadal w jakiś sposób czuł się za nią odpowiedzialny.

- Wiesz, o co chodzi, Tina. Chcę rozmawiać o Śnieżynce.

- A, służbowo. - Uniosła brwi. - Ale słyszałam, że już nie jesteś gliną.

Nie odpowiedział na zaczepkę.

- Detektyw Jackson powiedział mi, że złożyłaś mu wizytę.

- I co z tego?

- Ktoś cię straszy. Mówiłaś podobno, że Śnieżynka za tobą łązi.

Zmrużyła mocno umalowane oczy.

- To prawda. I wiesz, co zrobił ten twój Jackson? Nic.

- Wyprostowała się. - Dlatego powtarzam jeszcze raz: spadaj.

Odwróciła się i poszła. Santos wysiadł z auta i pobiegł za nią.

- Tina, chcę ci pomóc!

Nie zatrzymała się. Podniosła do góry rękę i nie odwracając się, pomachała mu na pożegnanie.

- Przepraszam cię za to, że wtedy nie wróciłem! Pozwól pomóc sobie teraz...

Zatrzymała się bez oglądania wstecz.

- Ty nie chcesz pomóc mnie - powiedziała twardo.

- Chcesz pomóc sobie. Zależy ci tylko na złapaniu tego świra i gównu cię obchodzi ja czy inne dziewczyny. Dla was jesteśmy tylko dziwkami.

Podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę.

- To nieprawda, Tina. Przysięgam, że bardzo mnie to obchodzi.

Spojrzała na niego przez ramię. Jej oczy, błyszczące od zbierających się łez, wypełniał ból.

- Gdybym cię obchodziła, wróciłbyś wtedy po mnie.

- Nie mogłem. Ale jestem teraz. I wierzę, że ten łajdak rzeczywiście może cię śledzić. Uważa, że jesteś dla niego zagrożeniem, potencjalnym świadkiem w sprawie. Jeżeli boi się twoich zeznań, będzie chciał cię zabić.

Dziewczyna pobladła, Santos położył dłoń na jej ramieniu.

- Chyba że wcześniej go dopadniemy. Tina, proszę, pomóż sobie i pomóż mnie.

Przez chwilę miał wrażenie, że ją przekonał, ale strach, który widział w jej oczach,

przeobraził się nagle w furie. Wyrwała ramię z jego uścisku i krzyknęła:

- Zostawcie mnie! Ja nic nie wiem!

- Tina... - Jeszcze raz wziął ją pod ramię. Machnęła torebką i uderzyła go w bok. Torebka otworzyła się i cała zawartość rozsypała się po chodniku.

Santos kucnął i zaczął pomagać jej zbierać porozrzucone przedmioty - paczka papierosów, zapalki, kłęb zmiętych banknotów, garść prezerwatyw.

- Idź stąd - powiedziała Tina, zagarniając plastikowe opakowania.

- Nie odejdę. Dopóki nie porozmawiasz ze mną, będę się ciebie czepiał co wieczór. Ustąpisz i obojgu nam będzie lżej.

Pochyliła się mocniej, sięgając po ostatnią prezerwatywę, i wtedy zza jej koszulki wysunął się łańcuszek z krzyżykiem. Mały, gładki, tani. Wyglądał jak inne, które zapełniały szufladę jego służbowego biurka. Przytrzymał jej dłoń.

- Co to? Skąd to masz?

Wyrwała rękę i wrzuciła do torebki ostatnie opakowanie.

- Nie wiesz, detektywie? To gumki. Stuprocentowy lateks, wierny przyjaciel prostytutek. Rany, ty o tym nie wiesz? - zrobiła kpiącą minę. - Taki duży chłopiec, były glina z obyczajówki? Kupujemy te gumki w aptece na rogu, proszę pana. - Wskazała palcem kierunek. - Może cię zaprowadzić?

- Nie o to chodzi. - Wyciągnął rękę i zahaczył łańcuszek palcem.

- Hola! Łapy przy sobie!

Szarpnęła się, ale Santos nie puścił

krzyżyka.

- Powiedz mi, skąd to masz.

- Prezent z okazji ukończenia uniwerku - rzuciła z sarkazmem. - A może pamiątka od pierwszej komunii, nie pamiętam. Od kochającej mamusi i kochanego tatusia. Przypominasz sobie? Opowiadałam ci o nich. O moim ojczymie, mężu mojej starej. Był taką samą świnią jak ty.

Santos owinął łańcuszek dokoła palców.

- Nie pieprz, Tina. Skąd to masz?

- Od przyjaciela, który chce zbawić moją nieśmiertelną duszę. W porządku? Jak tak, to spierdalaj.

Zbawić nieśmiertelną duszę...

Santos poczuł na plecach lodowaty dreszcz. Tina знаła mordercę. Był tego pewien. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Co to za przyjaciel? Mów!

- Jesteś detektywem, więc wydedukuj.

Santos szarpnięciem zerwał łańcuszek. Dziewczyna straciła równowagę i usiadła na chodniku.

- Tina, do cholery, życie ci niemiłe? - mruknął jakieś przekleństwo, pokręcił głową. Wziął głęboki oddech i zaczął mówić, spokojniej już i ciszej: - Posłuchaj, nie wróciłem wtedy po ciebie, ponieważ tamtej nocy została zamordowana moja matka. Ona była... tancerką, tutaj, w 69. Załatwił ją klient, jak twoją przyjaciółkę Billie. Nie wróciłem po ciebie, ponieważ sam nie miałem dokąd pójść, rozumiesz? Mój świat się zawalił. Teraz myślę... że to mógł być ten sam morderca. Muszę wiedzieć, czy to ten sam. Muszę go złapać, rozumiesz? - Znów odetchnął, po czym pochylił się nad nią i dokończył: - A teraz powiedz mi, skąd masz ten krzyżyk.

## **ROZDZIAŁ           SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY**

Tina dostała krzyżyk od ulicznego kaznodziei z Dzielnicy, właściciela sklepiku z dewocjonaliami przy Dauphine Street. Według Tiny był to miły facet, choć trochę fanatyk. Lubił wszystkie pracujące dziewczyny. Lubił głosić nauki o dobru i złu. Cytował Pismo i usiłował zmieniać ich grzeszne życie.

Z pewnością to nie on był mordercą, mówiła Tina. Wykluczone.

Santos i Jackson byli innego zdania. Jackson, mocno podekscytowany zeznaniem, kazał przyjacielowi wziąć na wstrzymanie i obiecał wrócić z gościem tak szybko, jak to możliwe.

Czekanie było piekłem. Santos krążył po pokoju swego mieszkania, przeklinając Chopa Robichaux i wszystkich, z którymi drań był w zmowie. Chciał działać, wejść do mieszkania delikwenta, skuć go i zawlec do wydziału. Chciał robić swoją robotę.

Chciał, żeby facet okazał się zabójcą jego matki. Chciał mieć pewność i smażyć go na żywym ogniu.

Jackson zadzwonił do niego, gdy tylko wrócił do wydziału. Twierdził, iż wszystko wskazuje na to, że sklepikarz jest zabójcą. W sklepie i mieszkaniu znaleźli mnóstwo podejrzanych rzeczy: krzyżyki i wycinki z gazet na temat Śnieżynki. Nawet zdjęcia kilku ofiar.

Nie mieli tylko człowieka. Jest w podróży, poinformowała ich dozorczyńni. Czasami wyjeżdża nawet na tydzień, ale nigdy na dłużej. Nie wiedziała, dokąd pojechał tym razem.

- Ile ma lat? - zapytał Santos, ściskając z całych sił słuchawkę. - Czy mógł... - Nie był w stanie dokończyć zdania. Tak długo, tak rozpaczliwie długo czekał na tę chwilę, lecz jednocześnie się jej bał. - Czy mógł zabić moją matkę? - zapytał wreszcie, a po jego pytaniu w słuchawce zapadło głucho milczenie. - Jackson?

- Mógł - odparł ponaglony przyjaciel. - Od dawna mieszka w Dzielnicy. Często chodzi na dziwki.

Santos poczuł, że uginają się pod nim kolana. To może być on.

- Spokojnie, stary. „Może” to jeszcze nie „na pewno”.

- Wiem, na razie to mi wystarczy.

## **ROZDZIAŁ           SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI**

- Witaj, Liz.

Podniosła głowę znad leżącego na barze grafiku zmian kelnerskich.

- Jackson! - ucieszyła się. - Co cię sprowadza?

- Zatęskniłem za twoją sałatką z tofu i sezamem.

- To mi się podoba. Tak powinien mówić dobry klient. - Zsunęła się z wysokiego stołka. - Zaraz wybiorę ci stolik. Sam jesteś czy czekasz na kogoś?

- Sam jak mały palec.



- Chciałeś chyba powiedzieć: paluch -  
zaśmiała się Liz. - Ile mierzyłeś po urodzeniu,  
metr?

- Metr dwadzieścia.

Znowu się roześmiała i zatrzymała przy  
stoliku pod oknem, z widokiem na ulicę.

- Może być?

- Wspaniale. - Jackson odsunął krzesło. -  
Usiądziesz ze mną?

Spojrzała na bar, gdzie czekał grafik.  
Powinna rozpisać go jeszcze dzisiaj i przygotować  
wypłatę na następny dzień.

- Tylko na moment. Ciągłe ta papierkowa  
robota, końca nie widać. To najbardziej  
uprzykrzona strona tego biznesu.

- Zycie... - westchnął Jackson i podniósł  
oczy na kelnerkę, która podeszła i wręczyła mu  
kartę. - Nie oddzielisz miłych stron od  
uprzykrzonych. Weźmy na przykład mnie.  
Uwielbiam robotę w policji, tylko jakoś nie znoszę  
przestępców. - Zamówił sałatkę i ziołową herbatę.  
- Jak sprawy? - zagadnął, gdy zostali sami.

- Świetnie - odpowiedziała Liz o wiele za  
szybko. I zbyt pogodnie. Poczuła na policzkach  
falę gorąca, odchrząknęła.

- A u was? Słyszałam, że macie  
Śnieżynkę.

- Podejrzewamy jednego faceta. Uniosła  
brwi.

- Mówisz to bez przekonania.

- Tak? - Jackson wzruszył ramionami. - W  
przeciwieństwie do mojego partnera nie jestem w  
gorącej wodzie kapany. Czekam z ostatecznym  
wyrokowaniem, aż zbierzemy wszystkie dowody,  
a klient będzie w areszcie.

Na wspomnienie Santosa Liz poczuła bolesny ucisk w gardle.

- Co z nim?

- Jeżeli czytałaś gazety, to wiesz.

Przygryzła wargę. Przecież go nienawidzi, upomniała samą siebie. Dla niej mógłby spłonąć na stosie na środku Jackson Square. Razem z Glorią.

- Liz? Źle się czujesz?

- Nie, dlaczego? - Pokręciła głową.

Jackson obserwował ją spod oka. Znowu poczuła wypieki na policzkach. Tym razem palił ją wstyd i poczucie winy. Odwróciła wzrok.

- Czyjego sytuacja jest... aż tak zła, jak czytałam? To znaczy, czy jest jakaś szansa...?

- Że się wykaraska? Cholera, mam nadzieję. Ktoś go wpakował, Liz. Ktoś jeszcze poza Chopem Robichaux.

- Poza Robichaux? - powtórzyła. - Ale kto?

- Gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy działać. Tymczasem Santos ma poważne kłopoty.

- Jackson popatrzył na nią uważnie. - Może ty coś wiesz?

- A powinnam? - Wstała gwałtownie, z wymuszonym uśmiechem na ustach. - O, jest twoja sałatka. Przepraszam, zostawię cię. Muszę wracać do pracy.

Ruszyła w stronę baru, ale zatrzymały ją słowa Jacksona:

- On nie chciał sprawić ci bólu, Liz. To porządny facet. I świetny gliniarz.

Chciało jej się płakać. Odwróciła się bez słowa i siadła przy barze. Nie potrafiła skupić się nad rachunkami. Przed oczyma wracała ujrzana

poprzedniego wieczoru scena: Hope St. Germaine w klubie Chopa Robichaux, ich rozmowa, koperta...

Jak na zawołanie do restauracji wszedł Santos. Liz zamarło na moment serce, przez ułamek sekundy miała nadzieję, że przyszedł tu dla niej, po prostu dla niej.

Oczywiście, że nie. Przyszedł nie do niej, lecz umówił się z Jacksonem. I wyglądał na bardzo skrępowanego.

Powinno mu być głupio, pomyślała w gniewie. Powinien czuć się jak ostatni gnojek.

Zauważyła, że spojrzał na nią z ukosa, skrzywił się i zrobił taki ruch, jakby zamierzał uciec. Jackson pokręcił głową i pokazał mu krzesło naprzeciw siebie. Santos usiadł z miną skazańca.

Jego widok sprawiał jej ból, w gardle czuła dławiący ucisk, bo przecież to okropne uczucie: pragnąć kogoś tak bardzo i wiedzieć, że jest nieosiągalny. Dlaczego im się nie udało? Dlaczego nie umiał jej pokochać? Gdyby nie Gloria, byłaby z nim, byłiby szczęśliwi.

Próbowała przeglądać zamówienia i kwity, ale nie potrafiła skupić się na niczym. Santos absorbował ją całkowicie. Rzuciła jeszcze raz na niego okiem i szybko odwróciła wzrok.

Wygląda źle, pomyślała. Wymizerowany, zmęczony.

Zarazem było w nim coś chłopięcego; mały, zagubiony dzieciak. Tak pewnie wyglądał, kiedy zamordowano jego matkę i został sam.

Niedawno stracił Lily, teraz pracę. Nie miał nic, o czym mógłby powiedzieć: moje. Nie, Liz nie potrafiła mu źle życzyć, niezależnie od tego, co sama od niego wycierpiała.

Wstała i nerwowo wytarła ręce o spódnicę. Chop i Hope St. Germaine... To, co widziała, mogło nie mieć żadnego znaczenia i pewnie nie miało, ale o tym niech zadecyduje sam Santos.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła do ich stolika.

- Cześć, Santos.

Podniósł na nią spłoszony wzrok.

- Cześć, Liz.

Wyglądał na wykończonego. Teraz była pewna, że nie chciał sprawić jej bólu, a jeśli sprawił, to nie celowo. Żal w jego oczach był szczery, tak jak nieklamany był jego smutek.

- Jeśli chcesz, żebym wyszedł - powiedział cicho - to wyjdę.

- Nie, ja... muszę z tobą porozmawiać. - Spojrzała na Jacksona. - Z wami dwoma. Mogę usiąść?

Skinęli głowami. Usiadła i bez zbędnych wstępów opowiedziała im całą historię. Kiedy skończyła, Jackson odchylił się w swoim krześle i gwizdnął przez zęby.

- No, Batmanie, to mamy naszą świętoszkę.

Santos w zdumieniu pokręcił głową.

- Czuję, że to ona, ale nie chciałem wierzyć. Mówiłem sobie, że musiałem zwariować, że to jakaś paranoja...

- A jednak. No proszę, Hope St. Germaine i Chop Robichaux... - Jackson pokręcił głową. - Niżej upaść już nie można. Układ damy z alfonssem. Tylko skąd ona go zna?

- Właśnie. Nie znalazła go przecież w książce telefonicznej.

- A i on nie ryzykowałby dla kogoś, kto przychodzi z ulicy.

- Dla dużej kasy mógłby. Znam sukinsyna.

- Ile mógł żądać? - Jackson złączył palce.

- Jak myślisz?

- Zdobędziemy dowody. Wiemy, że coś ich łączy. Dowiemy się, co było w kopercie.

Liz przysłuchiwała się tej wymianie zdań w milczeniu. Czowała się jak piąte koło u wozu. Wyłączona z gry. Odchrząknęła i wstała.

- Rozmawiajcie, zostawiam was. Chciałam tylko... - przerwała, w obawie że wybuchnie płaczem, że jeszcze chwila, a skompromituje się łzami.

Santos także się podniósł.

- Liz, nie wiem, jak mam ci dziękować.

Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdyby nie...

- Daj spokój. Nie ma sprawy.

- Nigdy ci tego nie zapomnę. Jestem twoim dłużnikiem.

Pokręciła głową.

- Nie, Santos. Nie jesteś. Nie zrobiłam tego dlatego, że ci... wybaczyłam. Nie zrobiłam tego dlatego, żeby ci pomóc, ani dlatego że cię... kocham. - Głos jej się załamywał. - Zrobiłam to dlatego, że tak zrobić należało. Ponieważ jesteś świetnym gliną. I dlatego też, że gdybym wam tego nie powiedziała, nie miałabym spokojnego sumienia.

Santos ujął jej dłoń i serdecznie uściśnął.

- Tak czy inaczej, dziękuję, Liz. Uratowałaś mi życie.

**ROZDZIAŁ           SZEŚĆDZIESIĄTY**  
**TRZECI**

- Przemyślał pan propozycję, panie Michaels? - zapytała Gloria, zamykając drzwi gabinetu i wskazując gościowi miejsce na sofie.

- Proszę mi mówić Jonathan - uśmiechnął się do niej.

- Gloria.

- Zdecydowałem się, - Uśmiechnął się znowu. - To piękna nieruchomość, Glorio. I dbasz o nią troskliwie.

- Dziękuję. - Splotła ręce na podołku, chcąc ukryć ich drżenie. - Kocham St. Charles. Należy do mojej rodziny od dawna.

Zawahala się. Co ona właściwie robi? Miała mieszane uczucia. Rozmowa z Jonathanem Michaelsem oznaczała, że zdradza ojca. Z drugiej strony rozumiała, że czasy się zmieniły, zmieniła się ona, zmienił się Hotel St. Charles.

- Trzeźwemu człowiekowi interesu mój plan musi wydać się szalony - zaczęła.

- Ależ skąd. - Pochylił się do niej, opierając ręce na kolanach. - Kiedy mój agent skontaktował się z tobą, nie oczekiwałem wiele. W końcu raz już próbowaliśmy, bez powodzenia. Dlaczego chcesz teraz sprzedać hotel?

- Nie interesuje mnie sprzedaż - sprostowała szybko. - Wyjaśniałam już twojemu agentowi, że chodzi o spółkę.

Pochylił głowę, kryjąc uśmiech.

- Powiadasz więc, że chciałabyś wejść w spółkę. Z dwudziestoma procentami udziału?

- Tak jest. Warunki nie podlegają negocjacjom. - Gloria zacisnęła dłonie. - Przejąłbyś zarządzanie hotelem. Masz znakomitą opinię.

Przytaknął z uśmiechem.

- Jeśli można zadać pytanie, dlaczego wspólnik i dlaczego teraz?

- To nie zależy ode mnie. Po prostu hotel nie przynosi już takich zysków jak dawniej.

- Lokalizacja?

- Tak, to główna przyczyna. Ale też w mieście jak grzyby po deszczu wyrastają nowe hotele. - Znała te słowa, te przyczyny, na pamięć. Sto razy powtarzała je w myślach. - Jeżeli frekwencja nie wzrośnie, nie będę w stanie dalej prowadzić hotelu. St. Charles zacznie podupadać.

- Możesz opuścić ceny.

- Już to zaczęłam robić, stopniowo, od kilku lat. Ale gości nie przybywa, a ja mam coraz mniejsze zyski. Standard się obniża. Muszę coś z tym zrobić.

- Rozumiem. Upadek St. Charles byłby tragedią. Niewiele jest miejsc z tak wspaniałą tradycją. - Spojrzał jej bacznie w twarz. - Czy to już wszystkie przyczyny?

- Nie. - Wstała i podeszła do okna. Popatrzyła na przejeżdżające auta. - Jak wiesz, prowadzenie hotelu to nieustanna odpowiedzialność.

- Praca na pełnym etacie i nadgodziny - dodał. - Albo nienormowany czas pracy.

- Dobrze to ująłeś. - Spojrzała na niego. - A ja chcę się zaangażować w nowe



przedsięwzięcie. Mam na oku znacznie mniejszą, ale obiecującą nieruchomości.

Uniósł brwi.

- Sądząc po twoich oczach, to coś nietypowego.

- Bardzo. Ale pochłonie masę czasu. I wymaga inwestycji.

- Nie potrzebujesz może współnika?

Zaśmiała się. Zaczynała czuć sympatię dla swojego rozmówcy.

- Wierz mi, to nie dla ciebie. Ale ja jestem związana z tym miejscem równie mocno, jak z St. Charles. - Widząc zdziwienie w jego oczach, dodała: - Posiadłość rodzinna, ze strony mojej matki.

- Ach, tak.

Podeszła do biurka i przysiadła na jego brzegu.

- Jak dotąd mówimy o mnie i o tym, co mną powoduje. A ty, Jonathanie? Wiem, że bardzo dokładnie zbadałeś sprawę. Nie osiągnąłbyś w interesach tak wiele, gdybyś nie miał dobrych informacji. Dlaczego chcesz wejść ze mną w spółkę?

- To proste. - Uniósł dłonie. - Ponieważ St. Charles to prawdziwa perła. Doskonale pasuje do innych moich hoteli. Poza tym wierzę, że ta dzielnica Nowego Orleanu będzie się zmieniać, odżyje. Myślę też, że międzynarodowa klientela będzie wolała piękny stary hotel niż standardowy Holiday Inn czy Sheratona. - Splótł razem palce obu dłoni. - Moim zdaniem St. Charles potrzebuje tylko umiejętnej reklamy, i w Stanach, i za granicą. Mam dobre kontakty z europejskimi biurami podróży. Nie minie pół roku, a będziemy mieli dziewięćdziesięcioprocentową frekwencję.

Gloria z trudem ukrywała podniecenie. Odkąd umarł jej ojciec, St. Charles nie miał takich obrotów, chyba że w okresie karnawału.

- To bardzo śmiałe założenia, Jonathanie. Spojrzał na nią z pewną miną.

- Nie takie rzeczy mam już za sobą.

Nie przechwalał się. Zanim zdecydowała się na rozmowę, zebrała dokładne informacje. Jonathan Michaels cieszył się kryształową opinią w branży. Rzetelny, z mocnym kapitałem, miał za sobą wiele sukcesów, uważany był i za uczciwego, i zdecydowanego. Rok wcześniej magazyn „Hotel” uznał go Hotelarzem Roku.

Wstał i podszedł do panoramicznego okna, od którego przed chwilą odeszła Gloria. Spojrzał w dół.

- Zamierzam kupić w okolicy jeszcze kilka nieruchomości.

Gloria uniosła brwi.

- Chcesz inwestować w tę martwą dzielnicę?

- Mam kapitał. I kocham to miasto. Wierzę w nie. - Założył ręce na piersiach. - Może nie wiesz, ale jestem rodowitym nowoorleańczykiem.

Skinęła głową.

- Twój ojciec swego czasu pracował w St. Charles.

- Jako portier - Jonathan roześmiał się. - Pamiętam, jak odwiedzaliśmy go tutaj z moją matką. Wchodziłem do hotelu z nabożną czcią.

Gloria zawtórowała mu śmiechem.

- Mnie zdarza się to jeszcze teraz.

- Poznałem wówczas twojego ojca. Był dla nas bardzo miły. Później spotykałem się z nim przy okazji interesów.

Gloria omiotła spojrzeniem swojego gościa. Jonathan Michaels wyglądał na mężczyznę po czterdziestce. Jej ojciec miałby dzisiaj sześćdziesiąt cztery lata.

- Tak? Nie wiedziałam.

- Dopiero wchodziłem w branżę. On był już bardzo poważany, wszyscy się z nim liczyli. Ogromnie mi imponował.

Uśmiechnęła się lekko.

- Mnie też. - Spojrzała na zegarek. - Wiem, że spieszysz się na samolot, nie będę zatrzymywać cię dłużej.

Skinął głową i ruszyli do drzwi.

- Aha - zatrzymał się jeszcze - gdybym przyjął twoje warunki, jak prędko byłabyś skłonna utworzyć spółkę?

- Nie widzę powodów, żeby zwlekać. Muszę oczywiście porozmawiać jeszcze z moim doradcą finansowym, prawnikiem i księgowym. No i z moją matką. Wiesz zapewne, że ma w hotelu pięćdziesiąt procent udziałów.

- Uważasz, że będzie skłonna do rozmów?  
- zagadnął, gdy szli do wind.

- Nie jest związana z hotelem żadnym sentymentem, tak jak ja, ale lubi tu bywać. No i cieszy ją prestiż właścicielki.

- Wiele szczegółów trzeba będzie omówić przy stole.

- Naturalnie. Zadzwoń do ciebie - powiedziała Gloria, żegnając swojego gościa.

- Zadzwoń. To korzystny układ dla nas obojga. Wyjdzie St. Charles na dobre.

- Gdybym nie wierzyła, nie zgodziłabym się na to spotkanie. Zadzwoń - powtórzyła.

Kiedy wróciła do gabinetu, zatrzymała się w progu i spojrzała na biurko swojego ojca. Czuła smutek, ale przepelniała ją też nadzieja.

Ojciec nie chciałby, żeby hotel popadł w ruinę. Z pewnością spodobałby mu się Jonathan Michaels, jego pozycja w branży, fakt, że jest

rodowitym nowoorleańczykiem.

Matce nie spodoba się na pewno. Nie będzie dla niej „dość dobry” jak na wspólnika. Będzie broniła swojego statusu, będzie się bała, że „ludzie zaczną mówić”.

I raczej nie zgodzi się na podobne przedsięwzięcie.

Gloria nie bardzo wiedziała, co z tym fantem zrobić.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Klub nazywał się Rack. Położony na obrzeżach Dzielnicy Francuskiej, z dala od legalnych lokali i niedostępny dla turystów, otwierał podwoje o północy, a kończył działalność o świcie. Obsługiwał klientelę o dość nietypowych gustach seksualnych - sadyści, masochiści, miłośnicy skórzanej bielizny, kolców, łańcuchów i pejców.

Tam właśnie weszła Hope St. Germaine.

Santos gwizdnął pod nosem. Pięć dni ją śledził i w końcu uzyskał coś konkretnego. Ale żeby tutaj? Pokręcił głową. Gdyby nie przekonał się na własne oczy, gdyby nie jechał za nią i nie widział, jak wysiada z samochodu i ubrana na czarno, z twarzą ukrytą za woalką, szybko wchodzi do środka, nigdy by nie uwierzył.

Prawie ją miał.

Nasunął głębiej na oczy czapkę nowoorleańskiej drużyny Saints i wysiadł z auta. Jackson, korzystając ze swoich źródeł, odkrył, że St. Germaine podjęła ostatnio z banku dwadzieścia pięć tysięcy dolarów w gotówce. Sprawdził też, że nie wpłaciła tych pieniędzy na żaden inny rachunek, w każdym razie jego informatorzy nic o tym nie wiedzieli.

Podejmowanie gotówki nie jest jeszcze przestępstwem. Poza tym zdobyta nielegalnie informacja nie była żadnym dowodem. Santos potrzebował zatem czegoś więcej: potwierdzenia, że Hope zastawiła na niego pułapkę.

Wszedł do klubu, pochylając nisko głowę.

Nie chciał, żeby ktoś go rozpoznał. Wiele lat temu dokonał tu rutynowej kontroli, po której klub został zamknięty. Jeśli dobrze pamiętał, raptem na siedemdziesiąt godzin. Wydział nie miał ani pieniędzy, ani ludzi, by zajmować się każdym przypadkiem łamania prawa, tym bardziej gdy sprawa dotyczyła dobrowolnego seksu między dorosłymi. Choćby to był seks o szczególnym charakterze.

Rozejrzał się po wnętrzu. Było tu elegancko i miło, wystrój nieco staroświecki, wyszukany, dość zaskakujący jak na miejsce dostarczające sadomasochistycznych uciech. Ale też Rack przyciągał bogatą klientelę, ludzi nawykłych do najwyższego standardu, nawet w takim klubie.

Przecisnął się wśród gości odzianych w czarne, nabijane ćwiekami skóry, zatrzymał na moment, by przepuścić jakiegoś mężczyznę, który prowadził na smyczy swojego „przyjaciela”. Przy barze kobieta obuta w piętnastocentymetrowe szpilki opierała nogę na nagich plecach swojego towarzysza, traktując je jako podnózek. Santos skrzywił się, kiedy wbiła ostry obcas w żywe ciało. W barwnym tłumie, gdzie strój był wyrazem seksualnych upodobań, można było też dojrzeć najzwyczajniej ubranych ludzi - szare garnitury bankierów i księgowych.

Nigdzie nie widział Hope St. Germaine.

Musiała pójść do pomieszczeń prywatnych. Zaklął i rozejrzał się raz jeszcze. Wejście na zaplecze wymagałoby interwencji prawa.

- Hej, ogierze. - Podeszła do niego wysoka, mocno zbudowana kobieta i ujęła go pod

ramię. - Można na ciebie liczyć? - spytała schrypniętym głosem. - Wyglądasz na faceta, który dobrze leje.

Santos spojrział w mocno umalowane oczy. Rozpoznał Sama-Samanę. Spotykał go, kiedy pracował jeszcze w Dzielnicy. Sam był męską prostytutką i transwestytą. Teraz mógł - albo mogła - się przydać.

- Cześć, Samanto - uśmiechnął się powściągliwie. - Co taka miła dziewczyna robi w takim miejscu?

Poznała go, szeroko otworzyła zdziwione oczy i chciała odejść. Santos przytrzymał ją za rękę.

- Nie masz chyba zamiaru mnie zostawić, prawda? Bądź grzeczna, Samanto, nie rób scen.

- Jestem grzeczna, detektywie. Pożartować nie można?

Santos ścisnął szeroką dłoń o starannie umalowanych paznokciach.

- Chodź ze mną, Sam, pogadamy. - Pociągnął ją w odosobniony kąt i stanął plecami do ściany, by widzieć salę. - Powiedz, co się tu dzisiaj dzieje.

Samanta zaczęła drzeć.

- Nic się nie dzieje.

- Chodzi o pokoje na zapleczu. Chcę wiedzieć, kto tam jest.

Samanta wygładziła czarną, satynową suknię, rozciętą na dwie części i złączoną na bokach srebrnymi łańcuchami.

- Naprawdę nic nie wiem.

- Nie? A czym się tak denerwujesz?

Przecież tylko pytam.

- Ja? Niczym.



- Drżysz jak listek. Masz coś na sumieniu? - Santos przysunął się bliżej. - Wiesz, że mogę cię zdjąć za pół tuzina różnych sprawek. Nigdy nie lubiłaś pierdła, prawda, Samanto? Chłopcy nie są dla ciebie zbyt mili...

Pobladła.

- Zostaw mnie, proszę. Jeżeli ktoś się dowie, że sypnęłam...

- Interesuje mnie dama w średnim wieku. Wyższe sfery. Pieniądze i pozycja.

Samanta przygryzła wargę, zerkając nerwowo na boki.

- Wiesz, o kim mówię?- Santos popatrzył jej w oczy.

- Widzę, że wiesz. To powiedz. To bardzo ważna sprawa. Osobista.

Milczała przez chwilę, po czym przysunęła się bliżej.

- To prawdziwa suka - szepnęła. - Tak złała mojego przyjaciela, że przez tydzień leżał w szpitalu.

Santosowi mocniej zabiło serce. Miał ją. Miał!

- Coś jeszcze?

- Lubi młodych, takich prawdziwych macho. - Sam pociągnęła nosem.

- Jest tu teraz?

Zwilżyła wargi i skinęła głową.

- Przyszła niedawno. Nigdy z nikim nie rozmawia, na nikogo nie patrzy.

- No dobrze, przyszła. I co dalej?

- Poszła prosto na górę. Podobno każe mówić do siebie Violet.

Violet? Czyli Fiolek. Przybrała imię od kwiatu. Tak jak inne Pierron.

- To Chop podsyla jej chłopców, prawda? Twarz Samanty stężała.

- Nic o tym nie wiem.

- Ja wiem. - Santos schwycił ją za rękę i ścisnął tak mocno, że się skrzywiła. - Chop obsługuje większość tych, którzy tu przychodzą. Ile bierze? I co jej załatwia?

- Nigdy nie byłam w pokojach, ale słyszałam, że suka płaci od paru stów do paru tysięcy. Zależy na co ma ochotę.

Kilka tysięcy to jednak nie dwadzieścia pięć. Santos pokiwał głową. Nie, te pieniądze musiała wydać na coś innego, nie na swoje fantazje.

- Dzięki, Sam - powiedział, puszcżając spoconą rękę.

- Nie zapomnę ci tego.

Odwrócił się i chciał odejść, ale Samanta zatrzymała go za ramię, mierząc pełnym uznania spojrzeniem.

- Dług możesz spłacić już teraz. Zostań przez chwilę, zaszalejemy. - Przysunęła się do niego. - Nauczę cię kilku sztuczek.

Zdjął jej rękę z ramienia.

- Znam już wszystkie sztuczki. Trzymaj się, Sam.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Kilka godzin później Santos i Jackson zajechali przed klub Chopa Robichaux na Bourbon Street. Nie minęła jeszcze dziesiąta rano i ulice świeciły pustkami. Mieli uzasadnione przeczucie, że Chop będzie sam, a o to właśnie im chodziło. Zamierzali zagrać z nim niekoniecznie w granicach prawa. Bez świadków.

- Jesteś pewien, że dobrze robimy? - zapytał Jackson.

- Mhm. Przekonamy go, że St. Germaine wpuszcza go na minę i że może mieć kłopoty.

- Kupi to?

- Musi.

Santos zerknął niespokojnie na wejście do klubu. Setki razy odgrywali podobne sceny, ale nigdy tak dużo nie zależało od ich wyniku. Tym razem na szali kładł własne życie.

Odwrócił się do przyjaciela.

- Albo i nie kupi.

- Kupi. - Jackson zacisnął usta. - Zapędzimy go w kozi róg. Będzie kwiczał jak prosię. A jeżeli nie, to tak mu skuję pysk, że w końcu puści farbę.

- Już to widzę - mruknął Santos, siląc się na dowcip. - Jeszcze mi powiedz, że potem zamówisz stek.

- Duży i krwisty.

Santos roześmiał się, chociaż nie było mu do śmiechu.

- Wiemy o najważniejszym, o pieniądzach. Wiemy, że się z nim spotkała, że dała mu kopertę. Znamy jej szczególne gusta. Tyle wiemy, co do reszty gramy w ciemno. - Trącił przyjaciela łokciem. - Robimy to cały czas, nie?

- I całkiem nieźle nam idzie.

- Cholera, chciałbym, żebyśmy mieli więcej - westchnął Santos. - Żeby to była oficjalna wizyta. Granie w ciemno przestaje być zabawne, kiedy chodzi o ratowanie własnej dupy.

- Nie pieprz - rzucił z irytacją Jackson. - Ten śmierdziel miałby cię załatwić? Niedoczekanie.

- No to jazda.

Weszli do klubu. Chop siedział przy barze, jadł coś, paląc równocześnie papierosa. W telewizorze nad barem leciała kreskówka.

- Zamknięte!- zawołał z pełnymi ustami, nie podnosząc głowy. - Zapraszam o jedenastej.

- Do jedenastej nie wytrzymam, szefie - powiedział Santos, podchodząc powoli do baru. - Mamy pilny interes do załatwienia.

Chop obrócił się w ich stronę, zaklął i ponownie pochylił nad jedzeniem.

- Czego, świnie?

- Mówiłeś coś? - Jackson stanął z jego lewej strony.

- Odpieprz się.

Santos zajął miejsce przy barze z prawej strony Chopa. Spojrzał Jacksonowi w oczy.

- No popatrz, chyba ktoś tu dzisiaj wstał lewą nogą.

Chop popatrzył na niego spod zmrużonych powiek i wziął do ust następny kęs jedzenia.

- Spadaj, gnoju. Nie jesteś już gliniarzem.

- Nie? A to co? - Santos wyciągnął odznakę, lub coś, co miało uchodzić za odznakę, i błysnął tym przed oczami Chopa. - W życiu jak na karuzeli, wszystko się zmienia.

Niby coś wiesz, a tu wstaje nowy dzień i znowu nic nie wiesz.

Chop nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

- Co to za goryl? - Kiwnął głową w stronę Jacksona.

- Ochronia cię?

- Detektyw Jackson. - Teraz Jackson błysnął blachą i schował ją do kieszeni. - Mocno walę po ryju, do usług. Chcemy pogadać z tobą o rozmowie, jaką odbyliśmy z twoją przyjaciółką.

- Z przyjaciółką? - Chop roześmiał się gardłowo. - Ja mam jakieś przyjaciółki?

- Ta nazywa się Hope St. Germaine. Czasami mówi o sobie Violet. Coś ci świta?

Uśmiech znikł z twarzy Chopa. Odsunął talerz.

- Nie. Odświeżcie mi pamięć.

- Z przyjemnością. - Santos wziął zapalniczkę Chopa i zważył ją w dłoni. - Ciężka. Pewnie złota. - Otworzył ją, uderzył w kółko, zapalił i zwiększył płomień.

- Dużo kosztuje taka zapalniczka, Chop? Nie dwadzieścia pięć tysięcy? Nie, pewnie nie aż tyle. Jak myślisz, Jackson?

Rzucił zapalniczkę w stronę partnera, ten złapał ją i także zważył w dłoni.

- Cholera wie. Ale jak się ma dwadzieścia pięć tysięcy, to można zaszaleć.

Chop wyrwał zapalniczkę Jacksonowi i schował do kieszeni.

- Krótko, panowie. Macie jakieś dowody?

- Dowody? - Santos nachylił się w stronę Chopa, wpijając w niego oczy. - Może jeszcze nie dowody, ale pewne zeznania. - Wzruszył



ramionami. - Nie wiemy tylko, co z nimi zrobić. Jakaś twoja przyjaciółka, Hope St. Germaine, powiada, że ją szantażujesz. Grozisz jej, że ujawnisz jej seksualne upodobania. Twierdzi, że słyszała, jak planowałeś mnie załatwić. Mówi, że może to udowodnić. Ponieważ sama nie zamierza kiblować. Kapujesz coś z tego?

- Ni cholery.

Santos uśmiechnął się nieznacznie.

- Mamy cię, przyjacielu. Intryga i szantaż.

- Gówno prawda - odparł spokojnie Chop.

- Nic nie macie.

- Mamy co trzeba.

- No dobra... - Chop pokręcił głową i wstał, jakby zamierzał odejść od baru. - Jest podejrzenie, trzeba zadzwonić do prokuratora. Znam jednego, przyjaźnimy się trochę. Na pewno zainteresuje go ta sprawa. Zaczekacie? Zaraz przyjedzie.

Jackson schwycił go za ramię.

- Najpierw ustalmy, co mu powiemy.

Mamy świadka, który widział was razem. Widział, jak pieniądze szły z rąk do rąk. Szantaż to paskudna sprawa, Robichaux. Szczególnie gdy szantażuje się kobietę taką, jak St. Germaine. Ona ma wielu wysoko postawionych przyjaciół. Cholera, sami nie wiedzieliśmy, jak wielu...

Chop przełknął ślinę. Teraz nie był już taki pewny siebie.

- Widzisz? - Santos pochylił się do niego.

- Boisz się. Ona też się boi". Za bardzo jej nie lubię, ale jeżeliw ten sposób pozbędę się ciebie, będę szczęśliwy. Ty pójdziesz siedzieć, ja dostanę z powrotem odznakę. I będę miał cię z głowy na parę lat, według kodeksu od piętnastu do

trzydziestu. Mówimy w końcu o szantażu, a szantażowana nie chciałaby, żebyś wyszedł zbyt szybko i znowu zaczął jej bruździć. Postara się. Ma lepsze wtyki niż twój zasrany prokurator, uwierz mi, gości z najwyższej półki.

Odwrócił wzrok i uśmiechnął się lekko do partnera. Byli górą.

- Odpieprz się - wymamrotał Chop, lecz tym razem

zabrzmiało to mizernie. - Dlaczego miałbym ją szantażować? Dlaczego miałbym psuć sobie reputację? Mam bogatych klientów, znacznie bogatszych od niej, którzy mają więcej do stracenia. Ona to płotka.

- Ależ ja ci wierzę - powiedział rozbawiony Santos. Popatrzył na Jacksona. - A ty, wierzysz?

- Jasne, że mu wierzę, ale czy ława przysięgłych mu uwierzy? Sporo brudów trzeba będzie wyciągnąć, jeśli dojdzie do sprawy. Umówmy się, Chop to nie harcerz, co zbiera datki na biednych.

Chop nie odzywał się przez długą chwilę. Patrzył to na Santosa, to na Jacksona, nerwowo przygryzając dolną wargę. W końcu zaklął.

- Okay, nie mam zamiaru beknąć dla tej zboczonej suki. Czego chcecie i co dajecie w zamian? Bo czegoś chcecie, nie? - Spojrzał na Santosa. - Po to tu przyszliście.

- Powiedz, jak było.

- Przyszła do mnie sama. Chciała umoczyć ci tyłek. Wszystko zaplanowała.

- Taaa... - westchnął Santos, maskując podekscytowanie. - Mówimy o St. Germaine, jednej z najstarszych i najbardziej szanowanych rodzin w tym mieście. O kobiecie, która codziennie jest na mszy, która przeznaczą na cele charytatywne miliony dolarów. I ona miałaby chcieć umoczyć mi tyłek? - Skinął na Jacksona. - Skuj go.

- To prawda! - Chop cofnął się, ściągając usta. - Mogę wam dowieść! Mam nazwiska, daty, fotografie. Kurwa, nawet nagrania! Nikt nie umoczy Chopa Robichaux!

Rzeczywiście Chop miał masę dowodów na potwierdzenie swojej wersji wydarzeń. Choć moralnie był nikim, swoje interesy prowadził z iście diabelską pedanterią. Dokumentował wszystko i wszystkich. Nie przechwalał się, gdy twierdził, że posiada klientów, którzy mają znacznie więcej do stracenia niż Hope St. Germaine. Miał układ z prokuratorem okręgowym, który go chronił i bronił. Chociaż tym razem nawet on nie mógł mu pomóc.

Santos uderzył kopertą o dłoń. W środku były fotografie Hope St. Germaine, zdradzające szczegóły jej drugiego życia, które tak długo udawało się jej trzymać w tajemnicy.

Co zrobi Gloria, kiedy się dowie? Zrobiło mu się niedobrze na tę myśl. Dobry Jezu, jak powiedzieć o tym Glorii?

- Hej, partnerze. Santos odwrócił się.

- I co? Masz nakaz?

- Będzie gotowy za niecałą godzinę, jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

- Chcę przy tym być, Jackson.

- Jasne. Już rozmawiałem z szefem.

Przesłuchał taśmy z zeznaniami. Da się zrobić.

Santos spojrzął na zegarek, zachmurzył się.

- Potrzebuję całej godziny. Muszę... - słowa utknęły mu w gardle. Spojrzął przyjacielowi w oczy. - Muszę najpierw uprzedzić Glorię. Nie chcę, żeby dowiedziała się z mediów. Na pewno będzie chciała zobaczyć się z matką.

- Chcesz powiedzieć Glorii? Nie możemy ryzykować, mamuśka gotowa dać nogę.

Santos pokręcił głową.

- Nie mogę inaczej.

- Dobra, dopilnuję, żebyś miał tę godzinę.

- Jackson dostrzegł niepewny wyraz twarzy przyjaciela. - Dasz sobie radę?

- Pewnie... Cholera, nie wiem. - Zaklął, zły i przygnębiony sytuacją, w jakiej się znalazł. - Cieszę się, że odzyskałem odznakę. Jestem znowu gliniarzem, to moja robota. Ale jak mam spojrzeć Glorii w oczy? Jak jej powiedzieć, kim jest jej matka?

- Masz rację, Santos. Jesteś dobrym gliną. A to, co się stało, to nie twoja wina. Pamiętaj o tym.

- Jasne. Powiedz to Glorii. - Znowu westchnął ciężko.

- Co mam zrobić, żeby uniknąć sprawienia jej bólu?

- Nie wiem. - Jackson położył mu rękę na ramieniu.

- Po prostu nie wiem.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Santos znalazł Glorię w jej hotelowym biurze. Poleciał sekretarce, żeby nikt im nie przeszkadzał, poprosił Glorię, żeby usiadła, i cichym, spokojnym głosem wyłożył całą historię, zaczynając od tego, co usłyszał od Liz.

Gdy mówił, Gloria siedziała nieporuszona, wpatrując się w niego bez wyrazu, nie wierząc własnym uszom. Kiedy skończył, pokręciła głową.

- To nie może być prawda. Po prostu nie. Nie mówiłeś poważnie.

- Śmiertelnie poważnie. - Chrząknął w zakłopotaniu. - Bardzo mi przykro...

- Ale... - przełknęła ślinę. - Przecież te podejrzenia są śmieszne, obłąkane. Powiedziałaś, że... że śledziłaś moją matkę? Że coś ją łączy z tym... Chopem Robichaux? Że ona jest jego klientką? - Podniosła głos. - A może podejrzewasz, że to ona...

- Ona mnie wrobiła. Tak.

Znowu pokręciła głową, czując, że krew

odpływa jej z twarzy. To niemożliwe, powtarzała sobie z uporem. To się nie mogło zdarzyć..

- Przykro mi, Glorio. Też bym wolał, żeby to nie była prawda.

Popatrzył na swoje dłonie, uniósł wzrok. Widząc bezradny wyraz jego twarzy, Gloria wstrzymała oddech. Owładnął nią strach, zaczęła się trząść.

- To nieprawda! - Poderwała się z fotela, zaciskając dłonie w pięści. - Powiedz, Santos, dlaczego to robisz? Wiem, że ty jej nienawidzisz. Wiem, że masz powody, ale to... to jest...

Odwróciła się od niego, nie mogąc znieść pełnego współczucia wzroku. Ukryła twarz w dłoniach, szukając słów, które odsunęłyby od niej koszmar.

- To wykracza poza nienawiść, Santos. To jest chore. Tobie potrzebna jest pomoc.

Wstał i podszedł do niej. Ujął jej dłonie i zaczął rozcierać, jakby chciał je ogrzać.

- Kochanie, to nie ja jestem chory. Uwierz mi, że nie cieszy mnie zadawanie ci bólu.

Wyrwała rękę.

- Nie wierzę ci! To kłamstwo! Nie znoję tego, ona jest moją matką!

- Wiem. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo bałem się tu przyjść, powiedzieć ci o wszystkim. Nie wyobrażasz sobie...

- Daj spokój, nie udawaj. Tobie to sprawia przyjemność.

Zesztywniał.

- Kierujesz swój gniew na niewłaściwą osobę, Glorio. Nic nie zmieni faktów. To nie ja cię krzywdzę, oboje dobrze o tym wiemy.

Zakryła dłonią oczy. To nieprawda. To nie

może być prawda.

- Przyniosłem... dowody. Mam zdjęcia. Ale nie chciałbym, żebyś je oglądała. - Ścisnął ją za ramię, zmuszając, żeby na niego spojrzała. - Po prostu mi uwierz, Glorio. Tak będzie lepiej.

- Zdjęcia? - powtórzyła z płaczem. - Jakie zdjęcia?

Wskazał na kopertę, która leżała obok krzesła.



- Robichaux miał teczki wszystkich klientów. Notował każdą transakcję, datę i rodzaj dostarczanej... usługi, wraz z kosztami. Teczka twojej matki zawiera wpisy od roku 1970.

Kiedy ona sama miała trzy lata. Kiedy ojciec jeszcze żył. Boże...

Żołądek podszedł jej do gardła. To nieprawda. To niemożliwe.

W kilku krokach znalazła się obok krzesła i rozerwała kopertę.

- Glorio! - Santos wyciągnął rękę, próbując ją powstrzymać, lecz zdążyła się odsunąć. - Kochanie, proszę, po prostu mi uwierz. Kiedy zobaczysz te zdjęcia... Kiedy je zobaczysz, już nigdy...

- Nic nie mów! - Oddychała głośno, była na granicy hysterii. - Nic już do mnie nie mów! Nie chcę z tobą więcej rozmawiać!

- Ja tego nie zrobiłem, Glorio. Ja to tylko odkryłem. - Podszedł do niej ostrożnie. - Kiedy zobaczysz te fotografie, już nigdy ich nie zapomnisz. Nie rób tego, proszę, dla własnego dobra. Nie ma takiej potrzeby. Po prostu mi uwierz.

Sięgnęła do środka i poczuła pod palcami gładką powierzchnię fotograficznego papieru. Wyjęła jedno ze zdjęć. Ręka zaczęła jej drżeć, oczy wypełniły się łzami. Koperta wyslizgnęła jej się z dłoni. Gloria skuliła się, łkając, a Santos podszedł, objął ją i pomógł jej się wyprostować.

- Już dobrze, Glorio. Uspokój się, kochanie, wszystko będzie dobrze...

- Nie... nie będzie - mówiła przez łzy, wtulając twarz w jego ramię. - Jak może być dobrze? Moja matka jest... moja matka...

Długo nie mogła się uspokoić. Płakała głośno, nie mogąc znieść bólu. Santos obejmował ją, szeptał słowa pociechy, głaskał po włosach. W końcu, wyczerpana, uniosła ku niemu twarz.

- Co ja mam teraz zrobić, Santos? Jak... co dalej?

- Powoli - powiedział cicho, wycierając łzy z jej policzków. - Najpierw musisz do niej pójść. Nie masz zbyt wiele czasu. Sporządzono już nakaz aresztowania.

- Aresztowania? - powtórzyła. - Pod jakim zarzutem?

- Fałszowania dowodów przeciwko policji. Odwlokłem to trochę, wiedząc, że będziesz chciała ją zobaczyć, zanim...

Zanim aresztują jej matkę. Zanim wybuchnie skandal i w mediach rozpęta się piekło. Glorii na moment stanęło serce, by zaraz uderzyć ze zdwojoną siłą.

- Od kiedy wiesz o tym wszystkim? Jak długo ją śledziłeś?

- Pięć dni.

- Pięć dni. - Uwolniła się z jego ramion, owładnięta nagłym gniewem. - Wiedziałaś o tym od pięciu dni i nic mi nie mówiłaś? Przez pięć dni nosiłaś się z podejrzeniami i...

- Aż do dzisiaj to były tylko podejrzenia. Co miałem ci powiedzieć?

- Prawdę! Byliśmy kochankami, sypialiśmy ze sobą, a ty nic mi nie powiedziałaś! Nie widzisz w tym niczego złego?

- Nie. Nie mając dowodu, nie miałem nic do powiedzenia. Co mógłbym powiedzieć? Że wydaje mi się, że twoja matka ukartowała intrygę przeciwko mnie? Że jest związana ze światem

przestępczym? Że od lat płaci za seks, chodzi po burdelach? Wyobrażasz to sobie? Przecież to twoja matka, Glorio.

- Tak... - Drżącą dłonią odgarnęła włosy z twarzy. - Ona jest moją matką. Dlatego powinieneś być powiedział mi prawdę. Powinna była wiedzieć, co się dzieje, Santos.

- Gdybym to zrobił, mogłabyś uniemożliwić mi śledztwo.

- Rozumiem. - Zacisnęła pięści. - Bałeś się, że ją uprzedzę i ona się wymknie. Martwiłeś się, że mogłabym cię powstrzymać.

- Wiedziałem, że nie będziesz mi wierzyć - powiedział z westchnieniem. - Dlatego chciałem mieć pewność, dowody. Co w tym złego?

Gloria zamknęła oczy. Kochała go i wiedziała, że nigdy nie przestanie go kochać. A on nie miał do niej zaufania. Nie kochał jej, nigdy nie pokocha.

Podeszła do biurka. Z dolnej szuflady wyjęła torebkę.

- Ile mam czasu?

- Niedużo. - Popatrzył na zegarek. - Najwyżej dwadzieścia minut.

Skinęła głową, pozornie uspokojona.

- Idę.

- Pojadę z tobą. Zmrużyła oczy.

- Idź do diabła. Jadę sama.

- Dałem słowo Jacksonowi.

- Nadal się boisz, że pomogę jej uciec? -

Podeszła do drzwi. Stanęła przy nich i odwróciła się do Santosa. – Nie ufasz mi. Oskarżasz, że nie mam do ciebie zaufania, że nigdy go nie miałam. Tymczasem mam go na tyle, żeby cię kochać. To nie ja, ale ty podkreślałeś różnice, które nas dzielą. Cały czas mnie osądzałeś, twierdziłeś, że opływam w bogactwa, że jestem zepsuta, zajęta wyłącznie sobą. Że nie potrafię kochać... - Uniosła głowę. - Ale to ty uznałeś, że nie zasługujesz na moje uczucia. - Z trzaskiem otworzyła drzwi. - Teraz widzę, że nigdy w nas nie wierzyłeś. Nigdy mi nie ufałeś i nadal nie ufasz. Tylko że teraz nie mam czasu, żeby się tym przejmować. Jadę, Santos. Sama.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Gloria prowadziła auto jak obłąkana, oślepiąca przez łzy, ogłuszona tym, co usłyszała o matce. Musi istnieć jakieś wyjaśnienie, powtarzała sobie z rozpaczą. Modliła się, żeby matka przytuliła ją i zapewniła, że wszystko, co powiedział Santos, jest wymysłem, kłamstwem.

Przeczuwała jednak, że nie otrzyma takiego zapewnienia.

Cudem dotarła do domu Hope bez wypadku. Wskoczyła z samochodu, przebiegła przez trawnik i zaczęła walić w drzwi.

Otworzyła jej pani Hillcrest.

- Paniąka Gloria! Co się stało?

- Gdzie matka? - Gloria minęła gospodynię. - Muszę się z nią widzieć.

- Jest w swoim pokoju, odpoczywa.

Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.

Gloria wbiegła na schody.

- Zaraz ktoś po nią przyjedzie. Zatrzymaj ich na dole tak długo, jak to możliwe.

- Ktoś przyjedzie? - Pani Hillcrest podeszła do schodów. - Po matkę paniąki? Nie rozumiem.

Gloria przystanąła i popatrzyła na gospodynię.

- Rób, o co proszę, Greto. Nie pytaj.

Gnana, jakby sam diabeł ją pędził, dotarła na szczyt

schodów, przebiegła przez korytarz i wpadła do sypialni matki.

- Mamo!

Hope spała. Nagle przebudzona, poderwała się na łóżku zdezorientowana i na wpół przytomna.

- Gloria? - zapytała, mrugając powiekami i zasłaniając ręką gardło. - Co ty tu robisz?

- Mamo... musimy porozmawiać. - Drżąc na całym ciele, podeszła do łóżka i usiadła na jego skraju. - Mamo, oni...

Zadławiła się łzami. Och, Boże, musi się opanować, nie ma dużo czasu. Musi usłyszeć prawdę z ust matki, choćby najgorszą.

- Zaraz po ciebie przyjadą. Musimy porozmawiać. Ja chcę wiedzieć...

- Przyjadą po mnie? - przerwała Hope, odgarniając włosy spadające jej na czoło. Sięgnęła po szlafrok i narzuciła na plecy. - Kto? O co chodzi?

- Santos... i inni. - Gloria z bijącym mocno sercem szukała jej wzroku. - Policja. Mają nakaz. Mówią...

- Policja u mnie? - Hope opadła na poduszki z przerażeniem w oczach. - Ale co się stało? Nie mam pojęcia, co mogło...

- Mówią, że współdziałałaś z Chopem Robichaux. Że uknułaś intrygę przeciwko Santosowi.

Matka nie zaprzeczyła, nie uczyniła żadnego gestu. Wpatrywała się tylko w córkę, poruszając bezdźwięcznie ustami, jak schwytna w potrzask.

Jest winna wszystkiemu, o co oskarżał ją Santos.

Dobry Boże, to prawda!

Z oczu Glorii popłynęły łzy. Otarła je zniecierpliwiona.

- Mamo, oni wszystko wiedzą. O sprawie Santosa, o twoich powiązaniach z Robichaux. O tym, co on... jakich dostarczał ci... usług. - Podniosła głos. - Czy to prawda? Tak było? Robiłaś to nawet wtedy, kiedy żył jeszcze ojciec?

- Nie! - krzyknęła matka głosem tak rozpaczliwym, jakby wydobywał się z najgłębszych zakamarków duszy. - Nie!

Gloria zamknęła jej dłonie w swoich. Były zimne i wilgotne, niczym dotyk śmierci.

- Mają dowody. Daty, fotografie. Całą twoją teczkę. Mamo... powiedz, że to nieprawda. Ja ci uwierzę. Powiedz, skąd mogą mieć te zdjęcia, a ja...

Hope wyrwała dłonie i wyskoczyła z łóżka. Przebiegła przez pokój, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz.

- Mamo!

- Nadchodzą Ciemności! Musimy się ukryć, Glorio Aleksandro! Musimy przygotować plan! „Choćbym chodził ciemną doliną...”

- Mamo... - Gloria patrzyła na nią coraz bardziej przerażona. - Uspokój się, razem coś wymyślimy. Obiecuję, że znajdę jakieś wyjście...

- Nie, nie... to nadchodzi. Nadchodzą Ciemności, Zło... Nadchodzi On!

Gloria ponownie ujęła dłonie matki i mocno je ścisnęła.

- O czym ty mówisz? Wyjaśnij mi, chcę ci pomóc.

- Dobrze. - Hope pokiwała głową. - Muszę ci powiedzieć. Powiem... - Napotkała wzrok córki. Jej spojrzenie było pełne lęku, obłąkane. - Ciemności i Bestia. Idą po nas. Już są. - Zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju. Długie poły jedwabnego szlafroka owijały się wokół jej kostek. - Próbowałam cię ochraniać, od samego początku. Nigdy nie ustępowałam, bo... bo, widzisz, ja wiedziałam. Widziałam to w tobie i wiedziałam, że to jest złe.



Gloria zwilżyła wyschnięte wargi.

- Co we mnie widziałaś, mamó?

- Bestię!

Gloria cofnęła się. Słowa matki dotknęły ją do żywego. Naraz przypomniała sobie dzieciństwo i wpatrzone w nią oczy Hope, za każdym razem, kiedy się budziła.

Jęknęła przerażona. Pragnęła od matki tylko jednego

- miłości. Matka zaś widziała w niej potwora.

- To nasza klątwa - mówiła dalej Hope. – Diabelska spuścizna Pierron, przechodząca z matki na córkę... my wszystkie nosimy to w sobie. Jesteśmy grzesznicami, jesteśmy napiętnowane. Walczyłam rozpaczliwie, z całych sił... - Uniosła do twarzy drżące dłonie. - Ale to było silniejsze.

Gloria przypomniała sobie, co Santos opowiadał o perwersyjnych upodobaniach jej matki.

- A więc ty... uległaś, poddałaś się, tak? - zapytała ostrożnie.

- Tak. - Hope uniosła ku niej twarz wilgotną od łez.

- Chciałam, żebyś ty się uchroniła. Poprzysięgam sobie, że odciągnę Bestię od ciebie. Obiecałam sobie, że nie padniesz jej ofiarą. Ja płaciłam jej daninę, ja brałam na siebie pokusy, grzech, bo ty miałaś być czysta. Czy nie próbowałam cię obmywać, oczyszczać?

Biblioteka. Mały Danny. Żołądek podszedł Glorii do gardła.

Hope chwyciła ją za rękę.

- Masz jeszcze czas. Rozumiesz?

Uratujemy cię!

- Mamo, tobie potrzebna jest pomoc.  
Zapewnimy ci opiekę.

- Na nic opieka, na nic pomoc! - Hope  
pobiegła do drzwi balkonowych, rozwarła je i  
przypadła do poręczy. Wychyliła się  
niebezpiecznie.

- Mamo! - Gloria pobiegła za nią i objęła  
od tyłu ramionami. - Wypadniesz. Odejdźmy stąd.

Hope zaczęła się szarpać. Drewniana  
poręcz zaskrzypiała złowrogo, wygięła się.  
Przestraszona córka odciągnęła matkę na bok, lecz  
sama straciła równowagę, zachwiała się i  
poleciała do tyłu, na drzwi balkonu. Poczowała ból i  
puściła matkę. Ta cofnęła się na powrót do  
poręczy.

- To jest w tobie - wysyczała - czeka, aż  
będzie się mogło nakarmić twoimi grzechami,  
twoją sprośnością. Próbowałam cię oczyścić.  
Próbowałam uchronić przed pokusami cielesności.  
Gloria wyciągnęła rękę.

- Santos nam pomoże. Jeżeli go poproszę,  
on nam pomoże. Wszystko będzie dobrze.

Hope zaśmiała się cicho. Nagle zrobiła się  
podejrzanie spokojna.

- Santos - powtórzyła. - Nie widzisz, kim  
on jest? Glorio, w nim mieszkają Ciemności.  
Bestia tkwi w nich wszystkich. I posługuje się  
nimi, żeby nas pokonać.

Z parteru dobiegły odgłosy rozmowy.  
Gloria rozpoznała Santosa, Jacksona, pokojówkę.  
Santos im pomoże, pomyślała. Wbrew  
wszystkiemu powinien im pomóc.

- Są już na dole, mamo. Pozwól mi z nimi  
porozmawiać. Zyskamy na czasie, razem coś  
wymyślimy.

- Dobrze, Glorio. - Matka skinęła głową i wróciła do sypialni. Jej spokój przerażał teraz Glorię bardziej niż histeria. - Odmówię różaniec.

Miała wrażenie, że matka nawet nie zauważyła jej wyjścia. Gdy tylko opuściła pokój, pobiegła w stronę schodów. W holu stali Santos, Jackson, pani Hillcrest i jeszcze dwóch policjantów, których nie znała.

- Santos!

Podniósł głowę. Łzy ulgi popłynęły jej z oczu. Santos wybiegł jej naprzeciw i wziął ją za rękę.

- Nic ci nie jest?

- Mnie nic, ale matka... - Ścisnęła jego dłoń. - Dostała ataku hysterii. Ona... straciła rozum. Boję się, Santos. Boję się o nią. Nie wiem, na co ją stać, kiedy was zobaczy.

Detektywi spojrzeli krótko po sobie.

- Zadzwoń do wydziału - rzucił Santos. - Sprowadź tu jakiegoś psychiatrę. Gdzie ona jest? - zapytał, kiedy Jackson poszedł wykonać polecenie.

Gloria wskazała w milczeniu schody. Oboje weszli na górę, dotarli do sypialni. Gloria zapukała i uchyliła drzwi.

- Mamo? - zaczęła łagodnie, żeby jej nie spłoszyć.

- To ja, Gloria. Jest ze mną Santos. On nam pomoże. Wszystko będzie dobrze.

Uchyliła drzwi szerzej i zajrzała do środka. Nie dostrzegła matki i wystraszona, pchnęła drzwi szerzej.

- Mamo, jesteś tu?

I wtedy zobaczyła - matka stała na poręczy balkonu, chwiejąc się niebezpiecznie. W rękę

trzymała różaniec. Powiew powietrza unosił w górę jedwabne poły szlafroka, rysując je po bokach jakby w kształt skrzydeł. Hope wyglądała niczym czarny, gotujący się do lotu anioł.

- Mamo! - Gloria wyciągnęła ręce. - Nie ruszaj się, proszę!

Hope spojrzała jej w oczy. Były spokojne i całkowicie przytomne.

- Nadeszła Bestia - wyszeptała.

- Pani St. Germaine, proszę, niech się pani nie rusza.

- Santos posuwał się ostrożnie w głąb pokoju. Mówił głosem niskim, uspokajającym. - Proszę tylko...

Różaniec wymknął się z palców i z charakterystycznym stuknięciem spadł na podłogę. Gloria zamarła, Hope uśmiechnęła się.

- Zapamiętaj, córeczko. Zło przybiera różne oblicza.

Po tych słowach runęła w dół.

## ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Santos raz po raz spoglądał na zegarek. Dzień w wydziale zabójstw dłużył się niemiłosiernie, chociaż każdy dzień od czasu samobójstwa Hope St. Germaine, aresztowania Chopa Robichaux i ujęcia człowieka, który mógł okazać się Śnieżynką, wydawał się niemiłosiernie długi.

Owym człowiekiem był znajomy sklepikarz Tiny. Wrócił w końcu do Nowego Orleanu, a wtedy został zatrzymany. Wcześniej Santos i Jackson znaleźli świadków, którzy skojarzyli go z dwiema ofiarami - jeden z nich widział go razem z Billie, drugi w noc śmierci Lucii. Oczywiście facet zaprzeczał, jakoby był Śnieżynką, jednak Santos wiedział, że to on. Co więcej, wiedział, że Śnieżynka i zabójca jego matki to ta sama osoba.

Znowu spojrzął na zegarek i zaklął. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego czuje niepokój i dlaczego chce czym prędzej wydostać się z tego miejsca. Nie miał przecież gdzie iść, nikt na niego nie czekał. Z pewnością nie Gloria.

Nie widział jej od czasu pogrzebu, a i wtedy prawie ze sobą nie rozmawiali. Była zdruzgotana, pogrążona w bólu. Próbował podejść do niej, pocieszyć ją, ale nie potrafił. Między nimi pojawił się mur, zupełnie jakby wstrząsające informacje o matce, a potem jej samobójstwo, odebrały im wszelką zdolność porozumienia.

Tęsknił do niej. Chciał zburzyć ów mur,  
żeby podtrzymać ją na duchu.

Lecz nawet gdyby mu się udało, ich  
związek nie mógłby przetrwać. Zbyt wiele ich  
dzieliło - przeszłość, cierpienia, pozycja  
społeczna. Gloria nie byłaby szczęśliwa z  
gliniarzem, przynajmniej nie na długo.

Zadzwonił telefon. Chwycił za słuchawkę  
niczym tonący za linę.

- Słucham, detektyw Santos.

- Pomóż mi... - z drugiej strony rozległ się  
ledwie słyszalny kobiecy głos. - Proszę, pomóż...

Wyprostował się.

- Kto mówi?

- Santos, proszę. Musisz mi pomóc, nie  
mam do kogo się zwrócić.

- Tina - dopiero teraz ją rozpoznał - to ty?

- On mnie śledzi. Wiem, że to on. -  
Zaczęła płakać. - Zabije mnie...

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

- Buster Flowers siedzi. Facet, który dał  
ci krzyżyk.

- To nie on! Santos, nie chcę umierać!

Jej krzyk poraził go. Była śmiertelnie  
wystraszona.

- Skąd dzwonicz?

- Z budki przy rogu Toulouse i Burgundy.  
Obok apteki i kościoła.

- Dobra - popatrzył na zegarek,  
obliczając, ile o tej porze dnia zajmie mu dojazd -  
zostań tam. Będę za dziesięć minut.

- Pośpiesz się, Santos, błagam.

Odwiesił słuchawkę i zerwał się,  
chwytnąjąc w locie marynarkę. Patterson, który  
zajmował biurko naprzeciw niego, podniósł

głowę:

- Co się dzieje?
- Dziewczyna, która wskazała nam gościa. Mówi, że ktoś nadal ją śledzi. - Włożył marynarkę. - Jeżeli Jackson

wróci przede mną, powtórz mu. Dzwoniła z budki przy Toulouse i Burgundy.

Patterson skrzywił się z niechęcią.

- Dziwce coś się roi. Mamy gościa. Daj sobie spokój.

Arogancja Pattersona zmroziła Santosa. A jeżeli zamknęli nie tego człowieka? Nie przypuszczał, by tak było, ale kto wie? Zebrane dotąd dowody, choć nie dawały stuprocentowej pewności, wyraźnie wskazywały na sklepikarza.

A jeżeli sklepikarz i Śnieżynka to dwie różne osoby? Oznaczałoby to, że prawdziwy zabójca nadal jest na wolności.

- Słyszałeś, co powiedziałem? - znów odezwał się Patterson. - Dziwka świruje. Daj sobie spokój, szkoda czasu.

- Tak, słyszałem. - Santos spojrzął przelotnie na kolegę. - Ale wolę sprawdzić.

Dotarcie na miejsce zajęło mu niewiele więcej niż obiecane dziesięć minut. Odnalazł budkę, aptekę i kościół. Zatrzymał wóz przy krawężniku i wysiadł.

Tiny nie było.

Rozglądał się niepewny, czy stanął na właściwym rogu. Toulouse i Burgundy. Narożna apteka. Klasztorny kościół pod wezwaniem Maryi Panny. Wszystko się zgadza.

Gdzie więc, u diabła, jest Tina? Lustrował dokładnie okolicę, szukając miejsca, gdzie mogłaby się ukryć. Jego wzrok przyciągnęły szklane drzwi do apteki. Kartonik z napisem „Zamknięte” kołysał się lekko, jakby dopiero co powieszony.

Zerknął na zegarek. Dwadzieścia po piątej. Rzadko kto zamyka aptekę o tak wczesnej porze,



szczególnie w Dzielnicy. Wpatrzony w napis, usiłował przypomnieć sobie, co mówiła dziewczyna. Toulouse i Burgundy, apteka...

Tak, apteka! Apteka, w której dziewczyny kupują prezerwatywy.

Przeszedł przez ulicę, podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Przy kasie stał jakiś mężczyzna, liczył utarg. Poza nim wewnątrz nie było chyba nikogo.

Santos zapukał w szybę. Młody mężczyzna przy kasie podniósł głowę, Santos pokazał odznakę.

- Policja!

Mężczyzna pobladł, zamknął szufladę i podszedł do drzwi. Długo patrzył przez szybę na odznakę, zanim zdecydował się otworzyć.

- O co chodzi, panie władzo?

- W okolicy było kilka włamań. Mogę wejść i się rozejrzeć?

- Włamania? - powtórzył mężczyzna. - W okolicy?

- Zgadza się.

- Dobrze. - Chłopak, który, zdaniem Santosa, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, cofnął się i wpuścił go do środka.

W słabo oświetlonym wnętrzu panował przejmujący chłód. Zagracone było najróżniejszym towarem - leki, kosmetyki, jedzenie. Wzrok Santosa niemal od razu przyciągnął koszyk z jabłkami stojący na kontuarze. Niczym pies węszący trop podniósł głowę i spojrzał ponownie na chłopaka. Ten był zdenerwowany i zniecierpliwiony.

- Jesteś właścicielem?

- Mój wuj.

- Rodzinny interes? A gdzie wuj?

- Poszedł na mszę.

- Żartujesz? - Santos zaczął przechadzać się między półkami. - Chodzi co wieczór?

- Prawie co wieczór. - Chłopak szedł za

nim. - To pobożny człowiek. Zawsze powtarza, że  
kto boi się Pana, nie zazna ciemności ni cierpienia.  
Szuka pan czegoś konkretnego?

- Jeszcze nie wiem. Wcześniej zamykacie.  
Moglibyście zrobić niezłą kasę wieczorem.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Niebezpiecznie. Napady prawie co noc.

- A dziewczyny? To przecież stałe klientki  
- zagadnął Santos.

- Nie przychodzą do nas. Wuj nie lubi  
 prostytutek.

Kłamię. Santos był tego pewien. W sklepie  
 było zimno jak w grobowcu, ale na czole chłopaka  
 lśniły krople potu.

- Szukam prostytutki o imieniu Tina. Znasz  
 ją?

- Nie. Już mówiłem, że one tu nie  
 przychodzą.

- To może ją widziałeś? Dzwoniła  
 niedawno z budki naprzeciwko.

- Widziałem różnych ludzi przy telefonie.  
 Jak ona wygląda?

Santos opisał Tinę, uważnie przyglądając  
 się szczupłej twarzy rozmówcy. Nie wyrażała  
 niczego szczególnego.

- Chyba widziałem podobną - orzekł  
 chłopak. - Ale się zmyła.

- Jak to się zmyła?

- Poszła do St. Peter's.

Tym razem w głosie chłopaka zabrzmiała  
 nuta przebiegłości i rozbawienia. Bawi się z nim?  
 Taki sprytny? Santos wskazał drzwi na zaplecze.

- Co tam jest?

- Magazyn.

- Mogę zajrzeć?

- Proszę.

- Ty idź przodem.

Znowu poczuł mrowienie na plecach. Może  
 nic tu nie było, ale czuł, że jest inaczej. Że coś jest  
 nie w porządku. Wrócił myślami do Tiny. Gdzie

znikła?

- Proszę - powtórzył chłopak, otwierając drzwi. Santos wszedł do środka, między półki i sterty pudełek. Szukał drzwi.

Znalazł je. Żarówka oświetlająca napis „Wyjście ewakuacyjne” była przepalona, samo wyjście zagrodzone stosem pudeł.

- Gdzie te drzwi prowadzą?

- Do zaułka. Nie używamy ich. - Chłopak wskazał tabliczkę kodową zamka z migającą zieloną diodą. - To zabezpieczenie przed złodziejami. O to panu chodziło, detektywie? - Założył ręce na piersi. - O włamania?

- Zgadza się. - Santos spojrzał na chłopca i uśmiechnął się. - Myślę, że wszystko w porządku. Bardzo mi pomogłeś. Dziękuję. Aha - odezwał się jeszcze, już od frontowych drzwi. - Blokowanie wyjścia ewakuacyjnego jest niezgodne z przepisami przeciwpożarowymi. Gdyby inspektor to zobaczył, mógłby zamknąć wasz interes.

- Pogadam z wujem. - Koniecznie.

- Mam nadzieję, że złapiecie tych włamywaczy.

- Złapiemy. - Santos pochwycił jego spojrzenie. - Wszystkich łapiemy.

Wszedł na ulicę, chłopak zamknął za nim drzwi. Santos odwrócił się i zobaczył, że powrócił do rachunków.

Zmrużył oczy. Coś mu się nie podobało w tym smarkaczu. Czuł przez skórę, że coś jest nie tak, choć jego przeczucia nie musiały mieć nic wspólnego z Tiną. Tymczasem teraz najważniejsza była ona.

Zaklął, świadomy każdej uciekającej sekundy. Tina mogła oczywiście pójść sobie w

swoją stronę, wcale by go to nie zdziwiło.  
Dlaczego jednak byłaby taka wystraszona? Czym?  
Wzywała go, prosiła o pomoc. Czemu więc się  
zmyła?

Podszedł do rogu i popatrzył w kierunku St.  
Peter's. Naraz coś zaświtało mu w głowie. Jak się  
wyraził ten chłopak? Poszła do St. Peter's?

St. Peter. Święty Piotr. Święty pilnujący  
niebieskich bram. Święty, który sprawdza, czy  
dusza może dostać się do nieba.

Chłopak posłał Tinę na spotkanie ze Świętym Piotrem.

Santos zawrócił w miejscu i pognął z powrotem do apteki. Żałował, że nie ma czasu, by wezwać posiłki, ale liczyła się każda sekunda. Oby nie było za późno. Dobry Boże, spraw, by nie było.

Kiedy dobiegł do rogu, z zaułka na zapleczu apteki wyłonił się stary buick. Oczy kierowcy i Santosa spotkały się. Za kierownicą siedział chłopak z apteki.

Santos wyszarpnął pistolet, klęknął i krzyknął:

- Stać!

W tym samym momencie chłopak nacisnął na gaz, kierując wóz prosto na niego. Santos rzucił się w bok, przeturlał, wycelował i strzelił. Raz, potem drugi. Samochód skręcił gwałtownie, uderzył w żelazny płot klasztoru, odbił się i trzasnął w figurę Jezusa. Posąg przełamał się i runął na przednią szybę po stronie kierowcy, całkowicie ją miażdżąc.

Ktoś krzyknął. W drzwiach pobliskiego sklepu stłoczyli się ludzie, niektórzy wybiegli na zewnątrz, chcąc lepiej widzieć. Santos pobiegł do pojazdu.

- Policja! - krzyknął, wyciągając odznakę. - Niech ktoś zadzwoni na 911! Wezwijcie pogotowie!

Dotarł do auta. Siła uderzenia otworzyła bagażnik i w środku, skrzepowaną niczym jagnię ofiarne, ujrzał Tinę.

Pod Santosem ugięły się kolana. Żyła.

## ROZDZIAŁ      SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Popularność Ogrodu ziemskich rozkoszy rosła niemalże z dnia na dzień. Nie zaszkodziły mu złośliwe recenzje degustatora Gregory'ego Robertsa ani dwuznaczny rozgłos wokół Liz, który przyniósł jej skandal wywołany sprawą Santosa i Hope St. Germaine. Restauracja stała się tak modna, że Liz nie miała teraz chwili wytchnienia.

Właśnie udało jej się przysiąść na moment i odetchnąć. Była trzecia po południu - przerwa między lunchem i kolacją. Bardzo lubiła tę porę dnia. Z westchnieniem ulgi poprawiła się na barowym stołku i sięgnęła po kubek z herbatą ziołową, którą przygotował dla niej Darryl.

- Sukces bywa męczący, co? - zagadnął.

- Ale przyjemny. - Uśmiechnęła się i otoczyła gorący kubek dłońmi. - Bardzo przyjemny.

- Ja tam się nie skarzę. Napiwki są imponujące. Wiesz, że znowu o nas piszą?

- Naprawdę? - Ściągnęła but i zaczęła ocierać obolałe podbicie stopy o poprzeczkę stołka. - Gdzie?

Darryl podał jej „Times Picayune”, otwarty na dotyczącym ich artykule.

- Tym razem nazywają cię „właścicielką stylowej i popularnej restauracji”. To cytat. - Błysnął zębami w szerokim uśmiechu i odszedł zrealizować jakieś zamówienie.



Liz sączyła herbatę i uśmiechała się do siebie. Co za ironia losu, że odruch sumienia tak sownie się jej opłacił. Nie oczekiwała niczego w zamian za swoją uczciwość. Chciała jedynie spać spokojnie. Ale żeby osiągnąć w ten sposób i uznanie, i pieniądze? Tego się nie spodziewała.

Musiała jednak przyznać, że cieszyło ją to. Miała ochotę klaskać z radości i śmiać się z zachwyty nad osiągniętym sukcesem. Jej życie także zmieniło się na lepsze. Gdyby tylko miała Santosa, wszystko układałoby się idealnie.

- Cześć, Liz.

Gloria? Liz zeszywniała, wzięła głęboki oddech i odwróciła się do dawnej przyjaciółki. Zmierzyła ją niechętnym wzrokiem. Wydarzenia ostatnich tygodni zostawiły wyraźny ślad na jej twarzy. Gloria była wymizerowana i przemęczona. Oczy miała smutne.

Nic dziwnego. To na pewno straszne, dowiedzieć się, że miało się matkę potwora?

Podniosła głowę, nie dając ogarnąć się współczuciu.

- Co cię sprowadza?

- Możemy porozmawiać? - Gloria splotła nerwowo palce. - Proszę...

Liz jeszcze raz zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem.

- Nie wiem, o czym mogłybyśmy rozmawiać.

- O przeszłości - odpowiedziała cicho Gloria. - O nas.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Liz poczuła napływające do oczu łzy. Zamrugła gwałtownie powiekami. Nie może się przecież rozbeczeć w obecności Glorii.

- Żadnych „nas” już nie ma.

- Ale byliśmy. Kiedyś, dawno temu. Liz, proszę cię. Zawahała się, ale skinęła głową i zsunęła się ze stołka.

- Dobrze. - Nałożyła pantofel i zerknęła na barmana. - Darryl, jeżeli będziesz mnie potrzebował, jestem u siebie.

Darryl uniósł kciuk do góry i Liz zaprowadziła Glorię do biura. Kiedy weszły do środka, zamknęła drzwi i stanęła na wprost dawnej przyjaciółki, nie prosząc, by usiadła.

- O co chodzi?

- Bardzo tu u ciebie miło. Słyszałam, że jedzenie jest świetne. Gratuluję.

- Dziękuję - mruknęła, zła, że komplement Glorii sprawił jej przyjemność. - Powiesz mi, o co chodzi?

- Ja... - Gloria westchnęła głęboko. - Boże, tak dużo mam ci do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. Po pierwsze, myślę, że powinnam cię przeprosić. Za to, co wydarzyło się kiedyś. Nie przypuszczałam, że moja matka może cię skrzywdzić. Nie wiem, jak do tego doszło. Powinnam była zastanowić się, przewidzieć...

Gloria z rezygnacją machnęła ręką.

- Nie mówmy o niej.

- Nie znałam jej, jak się okazuje. Myślę, że nikt jej nie znał. Jestem pewna, że oglądasz dziennik...

- Tak.

- No więc... no więc sama widziałaś. Wiesz, Liz, strasznie mi przykro. Tak bardzo, że... - głos jej się załamywał. Liz widziała, że z trudem hamuje płacz. - Jest mi przykro, że nie stanęłam wtedy po twojej stronie. Że nie potrafiłam okazać,

jak wiele dla mnie znaczysz. Byłaś moją najlepszą przyjaciółką.

Spuściła głowę i po chwili popatrzyła na Liz smutnym wzrokiem.

- Tak bardzo się bałam tego, co może zrobić matka, że przestałam się troszczyć o ciebie. A tamtego dnia... zupełnie się załamalam.

Liz poczuła dławienie w gardle. Rozumiała. Choć wolałaby nie rozumieć. Tego dnia ona załamała się także.

Odsunęła się od Glorii i podeszła do swojego biurka. Wpatrywała się w zarzucony papierami blat, wymyślając sobie od idiotek za to, że dopuściła do tej rozmowy.

Zacisnęła powieki. Nie umiała zapomnieć, czego się

dowiedziała o matce Glorii w ciągu minionych tygodni. Oglądała wiadomości telewizyjne, czytała gazety i cały czas zastanawiała się, co naprawdę znaczyło być córką Hope St. Germaine. Przez wszystkie te lata Gloria miała prawo się bać.

- Przyszłam tu dzisiaj także po to, żeby podziękować ci za to, co zrobiłaś dla Santosa.

Na wspomnienie Santosa Liz zeszytniała. Poczowała gniew i ból. Współczucie i zrozumienie znikły. Spojrzała wyzywająco w twarz Glorii.

- Nie zrobiłam tego dla niego - powiedziała szorstko.

- A już na pewno nie po to, żebyście żyli sobie we dwoje długo i szczęśliwie.

- Wiem. Chciałam ci tylko powiedzieć, że... nigdy nie przestałam go kochać, Liz. Nigdy.

We wzroku Glorii było coś, co ją zdumiało. Smutek i namiętność, które świadczyły o głębi uczuć. Uczuć zbyt silnych i intensywnych, by mogły być tylko kaprysem zepsutej egoistki. Jej własne uczucia bladły wobec tego, co widziała w oczach Glorii.

Przed jej oczami stanął nagle obraz z odległej przeszłości. Dwie dziewczyny stojące w szkolnym korytarzu i zaśmiewające się do rozpuku. Miały wówczas przed sobą całe życie. Jedna z nich poznała właśnie chłopca i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Mówiła, że ten chłopiec jest jej przeznaczony.

Być może był.

W oczach Liz zakręciły się łzy. Odwróciła wzrok i szybko spojrzała na zegarek.

- Jeżeli to wszystko... - zaczęła, lecz nie skończyła.

- Naprawdę muszę wracać do pracy.

- Oczywiście. - Gloria cofnęła się w kierunku drzwi.

- Dziękuję ci, że poświęciłaś mi czas. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś. Wiem, że jesteś... bardzo zajęta. Sama trafię do wyjścia.

Liz patrzyła, jak Gloria odwraca się, podchodzi do drzwi, otwiera je i przekracza próg.

Nie. Nie mogła pozwolić, by odeszła, nie poznawszy całej prawdy.

- Glorio?

Gloria przystanęła i obejrzała się przez ramię.

- Tego dnia... tego dnia, kiedy twoja matka zażądała wyrzucenia mnie ze szkoły, ja załamalam się także. Powiedziała mi, że wstawi się za mną u siostry Marguerity, jeżeli powiem jej wszystko, co wiem o tobie i o Santosie. Byłam przekonana, że ona wie, że ty i Santos jesteście kochankami. Ja także bardzo się bałam. Bałam się, że stracę stypendium. Bałam się twojej matki, swojego ojca...

- Miałaś szesnaście lat - powiedziała cicho Gloria. - W tym wieku naprawdę można się bać.

- Później też. - Liz popatrzyła Glorii w oczy i uśmiechnęła się nieznacznie. - Wiesz co, Glo? To już za nami. Nie wracajmy więcej do przeszłości.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Chłopak z apteki, niejaki John Francis Bourgeois, został aresztowany i oskarżony o zamordowanie ośmiu młodych kobiet. Dowody rzeczowe nie pozostawiały żadnych wątpliwości: ślady zębów na jabłkach oraz testy DNA z krwi i płynów fizjologicznych znalezionych na ofiarach świadczyły niezbicie, że nikt inny nie mógł być mordercą. Dochodziło do tego zeznanie Tyny.

John Bourgeois nie był ostatnim klientem Billie, ale kręcił się w pobliżu. Tina widziała go, zamieniła z nim nawet tamtej nocy kilka słów.

Nie kojarzyła go z morderstwem, lecz on myślał inaczej. Przestraszył się, że przypomni sobie o nim, kiedy policja zacznie ją przesłuchiwać. Był pewien, że oficerowie śledczy skojarzą fakty, dlatego postanowił pozbyć się dziewczyny.

Zaczął ją śledzić, czekając na odpowiedni moment. Zobaczył ją przy telefonie i zaprosił do środka, żeby poczekała w aptece. A potem wpadł.

Santos siedział na kanapie w swoim mieszkaniu, ogłuszony panującą wokół ciszą. Nie pomylił się w żadnym szczególe. Dziewczęta znały i lubiły Johna, który próbował je nawracać. Czyż jego wuj nie mawiał, że „kto się boi Pana, nie zazna ciemności ani bólu”? Santos nie mylił się także co do tego, że John zamierzał wynieść się z miasta.

Mylił się wszakże co do jednej, najważniejszej rzeczy: John Francis Bourgeois miał dwadzieścia dwa lata, więc kiedy została zamordowana Lucia Santos, był pięcioletnim brzdącem.

To nie on.

Westchnął ciężko. Nie znalazł zabójcy swojej matki. Nie pomścił jej śmierci. I raczej nigdy go nie znajdzie.

Wstał i podszedł do okna. Wyrzwał na pustą ulicę. Świtało, miasto pogrążone było jeszcze we śnie. On także potrzebował snu, ale nie mógł zmrużyć oka.

Dotknął szyby opuszkami palców, czując ciepło nadchodzącego dnia. Powrócił myślami do wieczoru sprzed tygodnia, kiedy to uwolnił zamkniętą w bagażniku Tinę. Wtuliła się w niego, łkając i dziękując mu za to, że żyje.

Zacisnął powieki. Uczucia dławiły go. Nie dane mu było uratować własnej matki, ale uratował Tinę. Schwytawszy Śnieżynkę, ocalił wiele, bardzo wiele dziewcząt. To też była jakaś satysfakcja.

Na dodatek, zupełnie jak w bajce, Tina przysięgła, że zmieni swoje życie. Miała zamiar przenieść się do małego miasteczka, gdzie nikt jej nie będzie znał, podjąć pracę i na zawsze zerwać z prostytutką. Santos dał jej nawet trochę pieniędzy, tyle ile zdołał zaoszczędzić. Obiecała, że kiedyś mu odda, chociaż wcale mu na tym nie zależało. Ostatecznie zrobił dla niej to, co obiecał wiele lat temu - wrócił po nią, pomógł.

Odszedł od okna, myśląc o matce. O jej życiu i śmierci. O tym, jak go kochała i jak bardzo, wbrew wszystkiemu, kochała świat. Może

właśnie dlatego powinien zapomnieć o nienawiści.  
Dla niej. Uwolnić się od gniewu i poczucia winy.  
Od bólu.

Tak, trzeba żyć dalej. Stawiać czoło  
rzeczywistości. Cieszyć się życiem. Że jest się  
tutaj, w tej chwili. Nie nienawidzić, lecz kochać...

Gloria.



Gloria miała rację - źle ją osądzał, był głupi, że nie chciał uwierzyć w jej miłość. Domagał się, by dowiodła mu swoich uczuć, jakby sam nie wiedział, co jest wart. Nawet kiedy pojawił się na pogrzebie jej ojca, zrobił to tylko po to, by usłyszeć jej deklarację.

Przypomniał sobie Lily. Nienawiść Hope do matki rodziła w Lily nienawiść do samej siebie. Nigdy nie potrafił tego zrozumieć. Nigdy nie mógł pojąć, dlaczego Lily nie potrafiła ujrzeć siebie taką, jaką była naprawdę. Dobrą, kochającą, ze wszech miar godną miłości.

On postępował tak samo: nie chciał ujrzeć w sobie człowieka, jakim był naprawdę, wartego miłości Glorii.

Wreszcie przejrzał. Przeszłość odeszła. Poczuł się wolny i lekki jak ptak. Kochał Glorię. Zasługiwał na jej miłość. Mógł uczynić ją szczęśliwą.

Powinien powiedzieć jej, co czuje.

## ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Jeszcze wiele tygodni po samobójstwie matki Gloria usiłowała połączyć w całość rozproszone fragmenty ciemnej strony jej życia. Mimo że sprawiało jej to ból nie do wytrzymania, chciała poznać prawdę. Zdawała sobie sprawę, że jeśli tego nie uczyni, nie będzie w stanie żyć dalej.

Zaczęła chodzić do psychiatry, który pomógł jej zrozumieć stan matki. Okazało się, że Hope była ciężko chora. Lekarz mówił o paranoi, być może schizofrenii, był przekonany, że gdyby żyła, nie stanęłaby przed sądem. Zamiast do więzienia, trafiłaby do szpitala.

Gloria z całego serca pragnęła, by tak właśnie było. Wiedziała jednak, że Hope nie zniosłaby skandalu. Woląла śmierć niż upokorzenie, sama dokonała wyboru.

Jej własne doznania były niezwykle pogmatwane. Czowała się osierocona i zdradzona, czuła gniew i bezradność. Żyła w uczuciowym chaosie, pozostawiona sama sobie i całkowicie zdana na łaskę losu. W ciągu dwudziestu czterech godzin jej świat zmienił się raz na zawsze, na domiar złego wszystko, co wiedziała o sobie i swojej matce, okazało się kłamstwem. Raz jeszcze zmuszona była odpowiedzieć sobie na pytanie: Kim jestem?

Ukojenia szukała w domu przy River Road. Tu czuła się otoczona miłością rodziny, której prawie nie знаła. W tym miejscu odzyskiwała swoje ja. Mijały tygodnie i - być może po raz pierwszy w życiu - zaczynała czuć się

znowu sobą.

Wbiła motykę w wilgotną ziemię. Czerwcowe słońce paliło plecy, koszula była wilgotna od potu. Promienie słońca, czarna gleba i własny pot - oto ukojenie i szczęście.

Wkrótce powinna wrócić do miasta, do klimatyzowanego gabinetu w St. Charles. Odbyła już kilka rozmów z Jonathanem Michaelsem i ich prawnicy przygotowywali właśnie szczegółowe umowy.

Nie żałowała swojej decyzji. Przywrócenie pierwotnej świetności Pierron House miało pochłonąć pokaźną sumę. Chciała tu urządzić trzy luksusowe apartamenty gościnne i dwa prywatne. Powinna zatrudnić administratora, który zamieszkałby na miejscu, dwóch przewodników i dozorcę. Nie miała złudzeń, że otwarcie Pierron House dla turystów przysporzy jej profitów, ale też nie zależało jej na wielkich dochodach. W końcu nie robiła tego dla pieniędzy, lecz z miłości. Pierron House współtworzył historię Luizjany, jej własną historię, zatem nie mogła pozwolić, by popadł w ruinę, jak wiele innych pamiątek Południa.

Wyprostowała się, otrzepała brudne od ziemi ręce i spojrzała z podziwem na swoją pracę. W ciągu minionego tygodnia posadziła rabaty jednorocznych kwiatów na całym trawniku od frontu. W skrzynkach na galerii pyszniły się czerwone begonie.

To dla kobiet, myślała, które mieszkały i pracowały w tym domu.

Wciąż czytała ich pamiętniki. Żyła ich marzeniami i smutkami. Lektura przynosiła zrozumienie, zrozumienie rodziło miłość.

Mieszkanki Pierron House nie były złymi ludźmi, diabolicami, jak uważała jej matka. Były zagubione w świecie, w którym przyszło im żyć. Bezradne, pozbawione wzorców i szans. Świat odmawiał im ich, gardził nimi, lecz nie pomagał wydostać się z upokarzającego położenia.

Gloria z uśmiechem wystawiła twarz na ożywczy, słodki powiew idący od Missisipi. Rozumiejąc te kobiety, zaczęła rozumieć samą siebie. Ona także tkwiła przez lata w pułapce, którą zgotowała jej matka. Walcząc o matczyną miłość, usiłowała się zmienić, stać osobą zupełnie inną, niż była w rzeczywistości. Na próżno, bowiem Hope widziała w niej jedynie zło i grzech, nic więcej. W sobie pewnie także. Biedna kobieta, bolesne wspomnienia.

Teraz jednak Gloria czuła się wolna. Wolna od dawnych kompleksów i oskarżeń. Pokochała siebie taką, jaką była, i już nigdy nie zamierzała udawać kogoś innego.

Usłyszała za plecami warkot samochodu. Odwróciła się i osłoniła oczy dłonią.

Santos. W końcu przyjechał.

Z bijącym sercem czekała, aż podjedzie bliżej. Brakowało jej go, tęskniła do niego. Uświadomiła sobie w ostatnich tygodniach, że to naprawdę on jest najważniejszym mężczyzną w jej życiu.

Wysiadł z auta, stanął przed nią z poważnym wyrazem twarzy.

- Dzień dobry, Glorio.

- Witaj, Santos. Zastanawiałam się, kiedy przyjedziesz. I czy w ogóle przyjedziesz.

- A ja zastanawiałem się, czy chcesz, żebym przyjechał.

- Chciałam. Chcę. - Położyła dłoń na jego piersi, na sercu. - Cieszę się, że tu jesteś.

Santos ujął w dłonie jej twarz.

- Dobrze się czujesz? Martwiłem się o ciebie. Uśmiechnęła się i przykryła jego dłoń swoją.

- Tak, bardzo dobrze.
- Brakowało mi ciebie.
- Mnie ciebie też. Bardzo.

Zbliżył usta do jej ust, musnął je lekko.

- Coś ci przywiozłem. - Wyjął z kieszeni

marynarki

małe, mocno zniszczone kartonowe pudełeczko i wcisnął jej w dłoń. - To dla ciebie.

Popatrzyła najpierw na pudełeczko, potem na niego i serce ścisnęło jej się ze wzruszenia. Zobaczyła w jego oczach coś, czego do tej pory nie widziała - głębokie, gorące, silne uczucie. Ostrożnie i nabożnie otworzyła wieczko. Wewnątrz, owinięte w bibułkę, leżały kolczyki. Wyjęła jeden z nich i podniosła do światła. W słońcu zalśniło różnobarwne jak tęcza szkło.

- Należały do mojej matki - powiedział cicho, zapinając kolczyki w jej uszach. - Nic więcej mi po niej nie zostało. Uwielbiała je.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Ja też będę uwielbiać.

Wzięła go za rękę i pociągnęła do domu, do sypialni. Tam, na wielkim łożu skąpanym w blasku słońca, kochali się żarliwie i gorąco jak wtedy, gdy byli nastolatkami. Gdy byli jeszcze zbyt młodzi, by wiedzieć, że wspólne życie może być rajem.

Przez lata zdążyli dojrzeć, zmądrzeć. Teraz już to wiedzieli.

„KB”